

The background of the poster is a dark, industrial hallway with a woman's face in the foreground. The hallway has a grid floor and a curved wall with windows in the distance. The woman's face is partially obscured by the large red text. Her eyes are looking directly at the camera, and her hand is near her mouth. There is a red splatter on the right side of the image.

SARAH HILARY

W
OBCEJ
SKORZĘ

NAJLEPSZY KRYMINAŁ W WIELKIEJ BRYTANII 2015!



S A R A H H I L A R Y

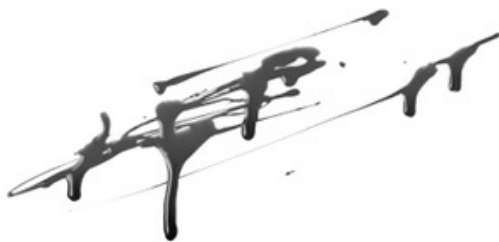
W
OBCZEJ
SKORZE



Przekład
Agnieszka Brodzik

 CZW
ARTA
STRO
NA

Dla Anny, na przekór



Pięć lat wcześniej

ZANIM UDAŁO JEJ SIĘ dotrzeć do domu, zdążyli już otoczyć budynek kordonem. Nieznajomy w mundurze właśnie rozwija taśmę policyjną.

Marnie obserwuje jego metodyczną pracę z bezpiecznej kryjówki w samochodzie, lodowatymi palcami trzymając klucz w stacyjce, nie zgasiwszy silnika, by móc szybko uciec, odjechać i nie wracać...

Rozumie, że nie przedostanie się przez kordon policyjny, lecz wie też, że musi. Cokolwiek ją czeka w tym domu — a boi się, boi się tak bardzo, że bolą ją zęby — znajdują się tam również *odpowiedzi*. Musi się dostać do środka.

Gasi silnik i ściska w pięści kluczyki, ich zęby wbijają się boleśnie w jej palce. Zaczyna się trząść, jeszcze zanim wysiadzie z samochodu.

Karetka, przed domem stoi karetka, jednak cicho, bez syreny i świateł. Jej załoga jest w środku, nikt się nie śpieszy z wyjściem. To zły znak. Najwyraźniej można porzucić nadzieję, bo zdarzyło się najgorsze. Marnie ma mokrą twarz i wypatruje deszczu, jednak niebo jest czyste, szare, jakby ktoś naciągnął na nie plandekę. Nie ma deszczu, jest za to tępe, zgrzytliwe napięcie przed burzą.

Padało cały miesiąc. Podobnie jak reszta londyńczyków, przyzwyczała się; w schowku trzyma jedną parasolkę, w szufladzie biurka na komisariacie drugą, a jeszcze inną w torebce na ramieniu. Nie chciała moknąć w kolejce po kawę albo wychodząc ze stacji metra czy stercząc na miejscu zbrodni. „Zawsze bądź przygotowana” to żadne motto, to zwykły rozsądek. A przynajmniej kiedy możesz. Kiedy nie staje przed tobą coś tak ogromnego i potwornego, że boisz się podejść bliżej.

Szuka wzrokiem funkcjonariusza wspierającego.

I oto jest, we fluorescencyjnej kamizelce, stoi przy samochodzie taty, brązowym vauxhallu, źródle dumy i radości. Wóz zdaje się błyszczeć mimo braku słońca, podobnie jak szyby w oknach, oślepiając Marnie. Zupełnie jakby wszystko za policyjną taśmą było kruche, zrobione ze szkła. Nawet wiszący nad drzwiami kosz petunii. Kruchy, łamliwy.

Marnie stoi na chodniku, zęby jej dzwonią z zimna, i wie, że musi się dostać do środka, i wie, że nie może.

Znowu ma czternaście lat i nadzieję wślizgnąć się z powrotem do domu, nie budząc przy tym rodziców.

Oczy pieką od maskary, w ustach sucho po tequila. Czuje się, jakby wąż wpełzł jej do butów i dusił stopy, aż omdlały. Nie ma czucia w nogach i ogarnia ją panika. Prędzej umrze, niż tam dotrze...

Otrząsa się ze wspomnień. Nie ma czternastu lat, lecz dwadzieścia osiem, i jest przerażona tym, co znajdzie po drugiej stronie policyjnej taśmy: ciszę oraz ten mroczny smród, który zostanie na jej ubraniach na wiele godzin, a na skórze jeszcze dłużej.

Zmusza się do skupienia myśli na czymś innym. Innej zbrodni, która nie zdołała jej pokonać, znacznie gorszej niż to, co czekało ją w domu. Albie Crane...

W jej myślach pojawia się Albie Crane. Bezdomny w podeszłym wieku, bez rodziny. Spalony żywcem w porcie przez dzieciaki naćpane najtańszymi dragami, zanim jeszcze zaczęło padać, kiedy wciąż było dość sucho, żeby stary płaszcz i sześć spłaszczonych kartonów paliły się całą noc, zostawiając po sobie lepką masę oskórowanych żeber i zwęglonej czaszki. Stary Albie Crane, po którym nikt nie płakał. Zmusiła się do powtórzenia tego kłamstwa: „Spał, kiedy to się stało”, jakby dało się przespać coś takiego. Wydawało jej się, że nie zobaczy i nie poczuje nic gorszego, ale potem Albiego Crane’a przebiły dwie ofiary pożaru domu, stopione w jedno przez ogień.

Funkcjonariusz wspierający jest dość młody, żeby mieć trądzik, ale to nie ma znaczenia. On tu dowodzi. Mógłby zatrzymać nawet naczelnika policji.

Taśma, wprawiona w ruch przez powiew powietrza albo przejeżdżające samochody, furkocze, *fur-fur-fur*.

Kątem oka Marnie zauważa panią Poole, sąsiadkę rodziców, jak stoi skulona na podwórku przed domem numer dwanaście. Pod wpływem szoku na jej twarzy wykwitły plamy, na ramionach trzyma foliowy koc, jednak nikt jej nie towarzyszy. Cała akcja rozgrywa się w budynku obok. Nikomu innemu nie stała się krzywda, inaczej policyjna taśma odgrodziłaby większy teren.

Zazwyczaj by ją to pocieszyło; byłoby znakiem, że niebezpieczeństwo się nie rozprzestrzeniło. Że jest prywatną sprawą ofiar.

Widząc Marnie, pani Poole wydaje zduszony jęk i zakrywa usta dłonią.

Marnie schyla się i przechodzi pod taśmą.

— Pani nie może tu wejść.

Z bliska trądzik wygląda jeszcze gorzej, jest żółto-czerwony. Chłopak zbliża się do niej, powaga funkcji dodaje mu dobre dziesięć centymetrów wzrostu.

Marnie wyciąga odznakę, zbyt późno przypominając sobie, że oprócz stopnia zdradza własne nazwisko. Rome, zupełnie tak jak właściciele domu. Sierżant Marnie Rome. Córeczka Grega i Lisy.

Ktoś kładzie jej wielką łapę na ramieniu i Marnie aż podskakuje.

Tim Welland, jej przełożony.

Teraz kobieta już ma pewność: jest tak źle, że gorzej być nie może.

— Sierżant Rome — mówi cicho. — Marnie.

Zwraca się do niej po imieniu. Jest gorzej, znacznie gorzej.

— Proszę. — Marnie chce po prostu dostać się do środka. Tutaj trzęsie się z zimna. — Panie inspektorze, proszę... — Przytrzymując ją za ramię, Welland prowadzi ją z powrotem w stronę taśmy, która ociera się o jej koszulkę. — Proszę...

Welland ma strup nad lewą brwią, zbyt wysoko, żeby to było zwykłe zacięcie się przy goleniu. Jest

poszarpany i tworzy go kilka okręgów nałożonych na siebie jak tarcza na strzelnicy. Czerwone żyłki znaczą białka jego oczu. Wygląda na chorego. Wygląda staro.

— Proszę mnie wpuścić do środka — mówi Marnie. — Proszę. Chcę ich zobaczyć.

— Jeszcze nie. Jeszcze... nie.

Swoją niedźwiedzią łapą przytrzymuje ją w miejscu, jednak nie może jej powstrzymać przed patrzeniem przez ramię na wychodzącego z budynku technika, z zakrwawionymi kolanami białego kombinezonu i plastikową torebką trzymaną w wyciągniętej przed siebie ręce.

Nóż. Nóż do krojenia chleba, ze stalowymi ząbkami obklejonymi strzępkami czerwonej skóry.

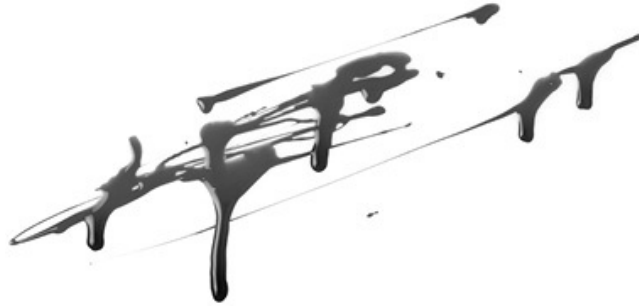
Najpierw słycać niski odgłos protestu jakby zwierzęcia cierpiącego na chroniczny ból, a potem suchy, urywany szloch. Marnie nie może tego znieść, chce zakryć uszy, lecz może powinna raczej zasłonić usta, bo to z nich dobiega ten dźwięk.

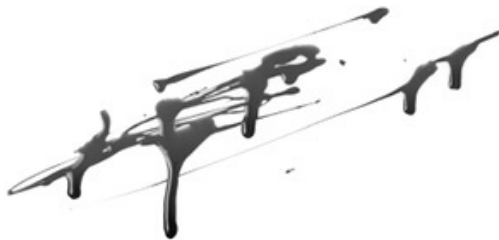
Welland popycha ją w stronę krawężnika. Marnie walczy. Nie chce być tą osobą — tą, która pada na chodnik i płacze, która nie potrafi znieść pukania do drzwi, która pada i nigdy więcej się nie podnosi.

Ofiarą. Marnie nie będzie ofiarą.

— Proszę dać sobie chwilę, pani sierżant. — Ciężka dłoń Wellanda łąduje na jej karku. Marnie nie ma innego wyjścia, musi położyć głowę na kolanach. — Po prostu... daj sobie chwilę.

Część 1





Teraz

OD STRONY ULICY dom komisarz Marnie był wąski i elegancki, pokryty stiukiem. Noah Jake wyobrażał sobie, że w środku znalazłby proste, funkcjonalne meble. Drewniane okiennice, wazę udającą kamień, z pomarańczowymi kwiatami. Mieszkanie z dwoma pokojami i korytarzem, zgadywał Noah. Miał ochotę zajrzeć do środka, jednak nie chciał się narzucać. Zamiast tego położył ręce na kierownicy i czekał, patrząc, jak światło słoneczne przebija się przez chmury nad Londynem i pada na stiuk.

Czasami łatwo było pamiętać, że miasto powstało na masowych grobach po pladze. Nic nie było równe, nawet droga, pełna samochodów jadących z centrum na West End. Przeczytał gdzieś — zapewne w jednym z przewodników Dana — że Primrose Hill omal nie zostało ogromnym cmentarzyskiem; plany z dziewiętnastego wieku przewidywały w tym miejscu wielokondygnacyjną piramidę, wyższą niż katedra św. Pawła, mającą pomieścić pięć milionów zmarłych mieszkańców miasta. W tamtym okresie architekci mieli obsesję na punkcie starożytnego Egiptu, wszędzie wciskali hieroglify, kierując się radami powracających z wypraw podróżników. Dzisiaj nad miastem górowało obracające się London Eye, z osią niczym kościelna iglica.

Noah zerknął na zegarek, a potem na dom.

Drzwi wejściowe były ciemnoniebieskie i błyszczące, tak jak jej oczy. Drzwi z zamkiem antywłamaniowym. Jeszcze chwila i będzie spóźniona. Noah nigdy nie słyszał, żeby jej się to przytrafiło. Powinien zapukać? Nie, to byłoby wścibstwo. Niewiele zdołał dowiedzieć się na temat Marnie Rome w ciągu pięciu miesięcy wspólnej pracy, zdawał sobie jednak sprawę, że pani komisarz bardzo pilnuje swojej prywatności.

W każdym razie nie minęła minuta, kiedy otworzyły się niebieskie drzwi. Komisarz zeszła po schodach do samochodu, ubrana w ciemny garnitur i białą koszulę, ze skórzaną torbą w wyłaczane wzory. Wszystko w jej wizerunku było starannie dobrane, począwszy od krótkich rudych loków po buty na niskim obcasie.

Noah zerknął na fotel pasażera, chociaż wiedział, że jest czysty, a potem strzepał niewidoczny pył z rękawów marynarki; chciał zaprezentować się należycie. Wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi przed pasażerką.

— Dobry.

— Dzień dobry. — Wślizgnęła się na fotel, stawiając torbę na podłodze. — Poszcęściło ci się z parkowaniem.

— Przyjechałem wcześniej, bo pomyślałem, że lepiej, żebyśmy się dzisiaj nie spóźnili.

— I słusznie.

Noah przekręcił kluczyk, ale poczekał, aż Marnie zapnie pas. Zauważyła to i uśmiechnęła się, a potem zapięła klamrę z przesadną dbałością.

— Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Pół godziny później, kiedy patrzył na zdjęcia leżące na biurku ich przełożonego, inspektora Tima Wellanda, „bezpieczeństwo” było ostatnim słowem, jakie przychodziło Noahowi do głowy.

— Nasif Mirza. — Welland rzucał fotografie jedna po drugiej, jakby rozdawał karty. — Podejrzany w sprawie o brutalną napaść z bronią w rękę. Tą bronią był bułat, jeśli nie zdążyliście się jeszcze domyślić. — Zdjęcia upodabniały go do reżysera, który właśnie pokazuje rozrysowane kadry jakiegoś horroru. Pretensjonalnego filmu tylko dla dorosłych, z którego wycinają bardziej makabryczne sceny i wydają je tylko na DVD.

Marnie Rome sięgnęła po jedną z fotografii, przyjrzała jej się, a potem ją odłożyła. Noah trzymał ręce poza zasięgiem wzroku, pod blatem biurka.

— Właśnie patrzycie na to, co zostało z prawej ręki Lee Hurrana — oznajmił Welland.

A zostało coś żółtego, tłustego i poszarpanego. Bułat odciął dłoń Hurrana w nadgarstku. Nie poszło gładko; amputacja wymagała dwóch czy trzech ciosów, odsłonięty kawałek kości był potrzaskany od siły uderzeń.

Palce Noaha zrobiły się mokre od potu. W biurze Wellanda było duszno i gorąco; Tim, w trakcie remisji raka skóry, okrągły rok podkręcał ogrzewanie. Nieczuły na wysoką temperaturę, nigdy się nie pocił. Podobnie Marnie Rome. Noah zerknął na nią i zobaczył świeży materiał bluzki, suchą skórę szyi. Tymczasem u niego kropla potu spływała powoli między łopatkami, łaskocząc go.

— Hurrana nie chce zeznawać. Podobno boi się, że straci drugą dłoń, a może nawet jaja. — Welland kiwnął na zdjęcia. — Nasif nie jest zbyt wybredny, jeśli chodzi o odcinanie części ciała.

— Hurrana jest w szpitalu. — Marnie szybko omiotła wzrokiem leżące na biurku zdjęcia. — Lekarze sprawdzają, czy nie doszło do infekcji. W ranie było mnóstwo brudu... Może Hurrana poczuje się bezpieczniej, kiedy wróci do domu.

— Domu, czyli tej dziury, gdzie go znaleźli? Nie liczyłbym na to.

— Mamy bułat. Z odciskami palców Mirzy. To nie wystarczy?

— Ani trochę. Koronna Służba Prokuratorska — Welland wymówił każdą sylabę z niesmakiem — potrzebuje więcej dowodów, zanim wniosą oskarżenie. Najwyraźniej ten... obiad dla psa to za mało.

Marnie chwyciła najgorsze ze zdjęć, żeby mu się przyjrzeć. Noah żałował, że nie jest dość twardy, żeby łatwo znosić tę część pracy. Zbyt często czuł obrzydzenie, musiał się przyzwyczaić do takich widoków. Takich widoków jak...

Jak odcięta, na wpół zjedzona dłoń Lee Hurrana. Dorwały się do niej szczury albo bezdomny kot. Nie znaleźli jej w magazynie, gdzie dokonano napaści. Nasif Mirza — albo ktoś inny — przerzucił ją na

drugą stroną ściany, gdzie znajdowało się nielegalne wysypisko.

— Ayana Mirza... — zaczęła Marnie.

— Prokuratura chce jej zeznań — przerwał podkomendnej Welland — na temat wybuchowego temperamentu brata. A najlepiej, żeby w ogóle doniosła na niego za to, co jej zrobił.

— Możemy go aresztować bez zeznań siostry.

— Za to? — Welland pokazał na zdjęcia. — Czy to drugie?

Noah wolał nie myśleć o tamtym zdarzeniu; o tym, co Nasif Mirza zrobił Ayanie w ich rodzinnym domu. Fotografie na wpół zjedzonej dłoni Hurrana były wystarczająco paskudne.

Ani on, ani Marnie nie mieli okazji poznać dziewczyny. Przejęli sprawę z innego wydziału z powodu niedawnych cięć budżetowych.

— Prokuratura źle ocenia szanse na doprowadzenie Nasifa przed sąd — oznajmił Welland. — Na bułacie były inne odciski, ktoś mógł ukraść broń, bla, bla, bla. Ich zdaniem zeznania Ayany mogą przeważać szalę. Dziewczyna jest chodzącym dowodem na brutalność brata. Nie ma wątpliwości, że świetnie wypadnie w sądzie.

— I nie uważają, że to nękanie ofiary?

— Są ostrożni, komisarz Rome. A oboje dobrze wiemy, co się dzieje, kiedy prokuratura robi się ostrożna.

— Wiem, co się stało Ayanie. — Oczy Marnie pociemniały. — Zresztą to nie był tylko Nasif. Wszyscy trzech bracia dziewczyny brali w tym udział.

— To, co się czasami dzieje w rodzinach... — Welland skrzywił się, jakby powiedział coś nietaktownego. Szybko odwrócił wzrok od Marnie.

Wzruszyła ramionami.

— Można na tym zarobić, gdy się jest psychiatrą.

Noah odniósł wrażenie, że coś mu umknęło, jakby nie dosłyszał czegoś ważnego. Od tego gorąca gotował mu się mózg. Jak Welland mógł pracować w takich warunkach?

— Doradzam ostrożność. Dziewczyna boi się, że bracia mogliby ją odnaleźć. Ukrywa się... — Welland zerknął w notatki.

— W ośrodku dla ofiar przemocy w Finchley — podpowiedziała Marnie. — Rozmawiałam z Edem Bellokiem.

— Tak, Finchley. — Welland kiwnął głową. — Co Ed ma do powiedzenia na jej temat?

Ed Belloc pracował w biurze wsparcia ofiar przemocy. Noah go nie poznał, lecz sądząc po tym, co mówiła o nim Marnie, był dobrym człowiekiem, wykonującym trudną pracę. Pomógł policji odnaleźć Ayane Mirzę po ucieczce z domu.

— Będzie chciała uniknąć zakłócenia spokoju ośrodka — zauważyła Marnie — i nie zaryzykuje utraty miejsca w nim. Nie ma zbyt wielu opcji, nie stać jej na wynajem mieszkania. Jeśli znajdzie pracę albo zgłosi się po zasiłek, jej bracia mogliby ją wyśledzić poprzez numer ubezpieczenia społecznego. Dlatego... dziewczyna próbuje pozostać osobą zaginioną.

Welland kiwnął głową i wstał z krzesła.

— Sierżancie Jake, na pewno chce pan teraz sprawdzić pocztę. Komisarz Rome, mogę na słówko?

Marnie poczekała na wyjście Noaha z biura, wiedząc, co ją teraz czeka. Położyła ręce na kolanach, próbując w ten sposób powstrzymać się przed wierceniem. Opuszki palców kleiły się od dotykania zdjęć; chciała się umyć. Nie pomagały też warunki panujące w biurze Wellanda, przywodzące na myśl saunę. Mogła się założyć, że Noah właśnie brał zimny prysznic w łazience na komisariacie.

Kiedy zostali sami, Welland odchylił się i podparł brodę kciukami.

— Jak się pani czuje?

W świetle jarzeniówek kopuła jego czaszki była błyszcząca i piegowata. Twarz, pozbawiona rzęs i brwi, wydawała się naga. Otwarta. Świetna do wyciągania zeznań. Nowotwór omal nie pozbawił go oka. Chociaż od dwóch lat rak pozostawał w remisji, jego skóra wciąż nosiła oznaki choroby, przez co oko pozostawało ponuro odsłonięte, a ci, którzy nie znali historii Wellanda, jego walki, żartowali, że śpi z jednym okiem otwartym.

— Nic mi nie jest. — Posłała uśmiech na drugi koniec biurka. Światło odbijało się od błyszczących na blacie zdjęć. Ślady zębów na martwej dłoni Lee Hurrana. Zastanawiała się, czy prosił, żeby mu ją pokazano. Czy Hurrana chciał na nią spojrzeć, wiedząc, że chirurdzy nie mieli szans jej przyszyć? Zanim ją odnaleziono, długo leżała martwa.

— Nic mi nie jest — powtórzyła.

Welland przyglądał się jej twarzy, szukając innej odpowiedzi. Część z jego zachowań, jak się domyślała, było zwyczajnym skreślaniem kolejnych pozycji z listy zadań. Sto pierwsza zasada zarządzania ludźmi: „Okaz swoim podwładnym troskę, zwłaszcza w kryzysowych sytuacjach”. Nie sprawiało mu to żadnej przyjemności.

— Może i doskonale udaję pozbawionego uczuć chama, ale wiem, jaki mamy dzień.

— Piątek — odparła i uśmiechnęła się.

Kiwnął głową na kalendarz wiszący na ścianie. Zdjęcia mostów. Welland uwielbiał mosty. Na marzec wybrano ten zwijany nad Paddington Basin. Wyglądał jak kołowrotek dla chomika giganta.

— Jutro... minie pięć lat, co do dnia. Jak sobie z tym radzisz?

— Nie licząc — rzuciła Marnie.

Nie licząc, nie wspominając. Nie rozmawiając o tym.

— Ale wciąż go odwiedzasz.

— Tak. — Nigdy nie ukrywała swoich wizyt, pewna, że Welland i tak by się o nich dowiedział; detektywi zajmujący się morderstwami nie mogą ot tak pojawiać się w poprawczaku, nie uruchamiając kilku alarmów w systemie. — Jutro też.

— Jutro — powtórzył Welland. — W rocznicę.

— Zaklepałam ten termin już dawno. Nie zamierzam kupować baloników. — Uśmiech bolał, ale postanowiła go utrzymać. — Jeśli to miał pan na myśli.

— Oczywiście, że nie miałem na myśli baloników. Chodziło mi o to, co zrobił. Co zrobił pięć lat temu...

— Pięć lat to szmat czasu. — Sięgnęła po zdjęcie odciętej dłoni Hurrana i udawała, że znowu mu się przygląda. Przynajmniej teraz mogła przestać się uśmiechać. — Dla niego. Pięć lat to szmat czasu dla Stephen.

— To i tak za krótko — warknął Welland, a potem chrząknął. — Pani komisarz... Marnie. — Skrzywił

się. Nie lubił zwracać się do podwładnych po imieniu. Już pięć lat temu, przed domem jej rodziców, miał z tym problem, kiedy mówił do niej per Marnie i obejmował ją.

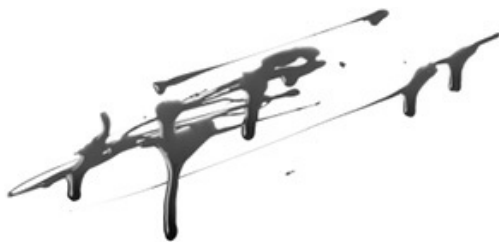
Postanowiła oszczędzić mu tych nieprzyjemności.

— Mam zadanie do wykonania — oznajmiła, wstając. — Muszę załatwić prokuraturze te zeznania, prawda?

Welland wyraźnie poczuł ulgę. Znowu odchylił się na fotelu, uwalniając palce, by otrzeć twarz, której skóra po wielu operacjach pozostawała nieustannie napięta.

— Jasne.

2



W FINCHLEY słońce przegrało potyczkę z chmurami.

Ośrodek dla kobiet będących ofiarami przemocy okazał się brązowym budynkiem z betonu, wpuszczonym nisko w ziemię, z dachem napuchniętym od zbyt wielu warstw papy. Przed fasadą ustawiono rusztowanie, czerwono-biała taśma upodabniała metalowe rozpórki do tradycyjnych reklam golibrodów. Wybrzuszona przez deszcz cienka warstwa folii otaczała krawędź dachu. Każde okno zostało zasłonięte, przez co budynek łatwo byłoby pomylić z ruiną, miejscem przeznaczonym do rozbiórki.

— Pierwsze wrażenie? — zapytała Marnie, gasząc silnik. — Nie mogę powiedzieć, żeby ujmował mnie ten szyk prefabrykatów.

— To poważny kandydat na najbardziej przygnębiające miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem. — Noah popatrzył przez przednią szybę. — Może w środku wygląda lepiej...

— Tak twierdzi Ed. Przynajmniej w odniesieniu do większości innych ośrodków. — Marnie wysiadła z samochodu. — Nie jestem pewna, czy ten też miał na myśli.

Noah poszedł jej śladem. Podmuchy powietrza wywoływane przez ruch uliczny szarpały folią, a jej szum przypominał tarcie ziarenek piasku o podeszwy butów. Od rusztowania bił zapach rozgrzanego metalu. Na ścieżce prowadzącej do wejścia ziały dziury w miejscach, gdzie odstawiono fuszerkę przy wylewaniu asfaltu. Prawdziwa ruina.

— Co robią na dachu? — zapytał Noah.

— Nie mam pojęcia. Może przecieka. — Marnie stanęła, przyglądając się zasłoniętym oknom ośrodka. — Wyobraź sobie takie życie, bez śladu. Ja bym chyba nie dała rady. A ty?

— Gdybym znalazł się w dramatycznej sytuacji, może. Gdybym nie miał innego wyjścia.

— Tak, w dramatycznej sytuacji. — Potarła dłonią kark. — Jeśli właśnie tutaj Ayana Mirza czuje się bezpieczna, musimy to uszanować. Jeśli uda nam się ją przekonać do zeznawania przeciwko braciom, super. Ale musimy być delikatni.

Noah kiwnął głową. Nad nimi szare chmury przepuszczały pojedyncze promienie słońca.

— Zbiera się na deszcz — zauważył. — Mam nadzieję, że dobrze zabezpieczyli dach.

— To nie zwykły deszcz. — Marnie spojrzała na niebo. — To burza. Nie czujesz jej zapachu?

Powietrze wewnątrz wydawało się suche, naelektryzowane. Cisza panująca w ośrodku była sztuczna.

Niegodna zaufania. Marnie spięła się, zerkając do tyłu na drzwi, które się za nimi zamknęły.

— Co z ochroną?

Cyklopowe oko kamery monitoringu, zainstalowanej na zewnątrz, odbijało ich twarze w pomniejszeniu.

Marnie pokazała swoją legitymację, chociaż nikt o nią nie prosił.

— Drzwi były tylko zatrzaśnięte — powiedział Noah. — Prawda?

— Tak. — Komisarz Rome stała, wsłuchując się w ciszę.

— Może wyprowadzili wszystkich z budynku na czas remontu dachu.

— Ed twierdzi co innego. Mają tu swojego pracownika, w dni robocze od dziewiątej do siedemnastej.

Ktoś powinien mieć nad wszystkim pieczę. Chodźmy.

Ruszyli pustym korytarzem, który pachniał zatęchłym dymem papierosowym, talkiem i mlekiem. Na samym końcu znajdowało się wyjście ewakuacyjne, zamknięte. Cisza była jeszcze bardziej wyraźna.

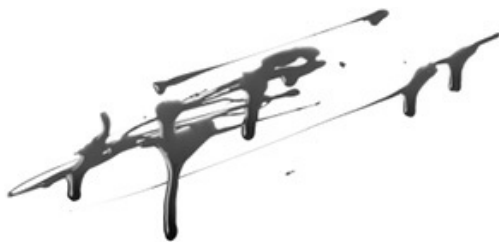
Noah potarł zmarznięte palce. Nie chodziło tylko o tę ciszę; wszystko tu wydawało się niepokojące, jakby ktoś zastawił na nich pułapkę albo...

Z prawej strony dobiegł ich krzyk.

Marnie Rome zaczęła biec.

Noah deptał jej po piętach, czując, jak na jego karku pojawia się gęsia skórka.

3



KIEDY DOTARLI do pokoju, krzyk ucichł nagle, jak po naciśnięciu przycisku. Otyła dziewczyna w czarnym dresie zakrywała usta dłonią, stojąc pośrodku zbitych w ciasną grupę, milczących kobiet. Pomieszczenie miało szerokie, zasłonięte okna, a na ścianach murale: dzikie zwierzęta w wysokiej trawie. Sceneria sprawiała wrażenie nierzeczywistej.

Na podłodze leżał mężczyzna, nad nim stała kobieta z nożem, mokrym od krwi.

Komisarz Rome wyciągnęła do niej rękę.

— Wszystko w porządku. Już po wszystkim.

Kobieta obrzuciła ją dzikim wzrokiem. Nóż w jej dłoni podskoczył.

Noah, który właśnie sięgał po telefon, zatrzymał się w pół kroku. Wolał mieć wolne ręce, na wypadek gdyby Marnie albo któraś z lokatorek ośrodka została zaatakowana. Serce waliło mu jak młotem. Mężczyzna na podłodze wierzgnął nogami. Noah powinien mu pomóc, jednak bał się ruszyć, kiedy napastniczka wyglądała w ten sposób: jak oszalała, zdolna do wszystkiego. Jej włosy naelektryzowały się i przykleiły do twarzy.

— To sierżant Noah Jake — powiedziała Marnie spokojnym, niewzruszonym głosem. — A ja nazywam się Marnie Rome. Jesteśmy tutaj, żeby wam pomóc. — Kiwnęła głową na Noaha, nie odrywając wzroku od pięści kobiety.

Nóż przestał podrygiwać. Kobieta spięła się, jakby słuchała całym ciałem, i zahipnotyzowana wpatrywała się w spokój malujący się na twarzy Marnie.

Noah zapomniał, że Rome potrafi to robić. Uspokajać ludzi. Widywał to już na komisariacie, jednak nigdy w sytuacji zagrożenia. Nie odwracając wzroku od noża, wyciągnął telefon i wykręcił numer alarmowy.

— Proszę wysłać karetkę — powiedział i podyktował adres, zdając sobie sprawę, że narusza regulamin; adres ośrodka był tajemnicą, ściśle strzeżoną ze względu na bezpieczeństwo kobiet.

To był nóż kuchenny, zwyczajny nóż kuchenny. W zaciśniętej dłoni kobiety.

Ktoś rzucił na podłogę bukiet żółtych róż. Mężczyzna nadal wierzgał, rozgniatając płatki na dywanie. Rzęził, a na jego piersi powiększała się czerwona plama.

— Sierżancie Jake — poganiała go Marnie.

Noah schował telefon i klęknął, żeby sprawdzić puls na szyi mężczyzny, jednocześnie wolną ręką

szukając źródła krwawienia: pojedyncza rana kłuta między żebrami, po prawej stronie. Jego palce wślizgły się między poszarpane tkanki i opadł nieco do przodu, tylko odrobinę.

— Przepraszam, przepraszam...

Podparł się pięścią o podłogę, żeby odzyskać równowagę. Drugą ręką cały czas trzymał mocno ranę.

— Już dobrze — powiedziała Marnie. Dopiero po chwili Noah zdał sobie sprawę, że mówiła do stojącej za nim blondynki. — Oddaj mi nóż albo rzuć go na podłogę. Zajmę się tym. Zajmę się tobą.

Twarz zranionego mężczyzny była kwadratowa i dziobata, cera ziemista. Miał problem z zaczerpnięciem oddechu, z jego ust wydobywała się różowa piana. Noah podniósł wzrok, próbując zrozumieć, co tu się stało. Kobieta miała białą twarz i czarne oczy. Czerwoną pięść. Wbiła nóż w pierś mężczyzny z całej siły, dość głęboko, by zamoczyć sobie palce w jego krwi. Ostrze długości dobrych dwudziestu centymetrów. Aż po trzonek. A to oznaczało...

Noah czuł pod palcami ssanie. Z ust mężczyzny ciekła spieniona, jasnoczerwona plwocina. Miał przebite płuco.

Cholera.

Noah nie mógł dopuścić, żeby się zapadło. Musiał temu zapobiec, natychmiast.

Przycisnęła lewą dłoń do zasysającej powietrze rany, a wolną wsunął pod głowę mężczyzny, żeby podnieść go do pozycji siedzącej. Nie było to łatwe. Człowiek miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i solidną budowę; góra mięśni i tłuszczu.

Noah poczuł na ręce ciepłą krew. Musiał zaczopować ranę, musiał zablokować dopływ powietrza.

Wiedział to...

Szkolenie z pierwszej pomocy. W teorii wszystko wiedział. Po raz pierwszy miał okazję zastosować teorię w praktyce.

— Proszę. — Szczupła dziewczyna o ciemnej karnacji klękła obok niego, wyciągając telefoniczną kartę prepaid i bawełniany, pomarańczowo-różowy szalik. — Weź to.

Fala ulgi pchnęła adrenalinę w odpowiednie miejsca.

— Dzięki. — Noah mógł wykorzystać kartę, jednak nie szalik. — Macie folię spożywczą? W kuchni?

Kiwnęła szybko głową i wyprostowała się, a potem zniknęła z jego pola widzenia. Noah podniósł mężczyznę:

— Wypluj, jeśli możesz — powiedział.

Im mniej różowej piany w jego ustach, tym lepiej.

Za nimi komisarz Rome obejmowała kobietę z jasnymi włosami. Noah nie widział już noża, słyszał jednak, jak napastniczka płacze i szczęka z nerwów zębami. Któraś z mieszkanki ośrodka zapytała:

— Jak się tu dostał? — Był to dziewczęcy głos, bliski krzyku. — Jak on się tutaj dostał, do cholery? — powtórzyła.

Marnie coś wymruczała i piskliwy głos ucichł. Dziewczyna o ciemnej karnacji wróciła do Noaha z rolką folii spożywczej. Przykrył ranę kartą telefoniczną w nadziei, że powstrzyma napływ powietrza do opłucnej, a potem sięgnął po rolkę folii i męczył się z nią, dopóty dziewczyna nie pomogła mu przytrzymać mężczyzny. Była silna, chociaż drobna. Podając sobie rolkę, owinęli go trzykrotnie folią, a potem ona przegryzła ją i oderwała. W ten sposób uszczelnili ranę.

— Dzięki — powiedział i po raz pierwszy na nią spojrział. Zobaczył proste, czarne włosy, owalną

twarz, migdałowe oczy, z których lewe było mleczną ruiną z popalonymi rzęsami i brwią. — Ayana?

— Tak.

Siostra Nasifa Mirzy, którą przyjechali przesłuchać. Skończyła dziewiętnaście lat, wyglądała jednak na młodszą.

Rome kucnęła obok nich.

— W jakim jest stanie?

— Jego płuco się zapada. Zrobiliśmy, co się dało, ale trzeba go jak najszybciej zawieźć do szpitala.

Marnie odgarnęła niesforny kosmyk sprzed oczu wierzchem dłoni.

— Nazywa się Leo. Leo Proctor. — Kiwnęła głową na Noaha. — Dobra robota, sierżancie.

— Miałem pomoc.

Marnie skinęła na Ayane.

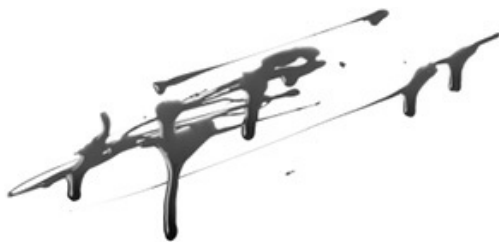
— Dobra robota.

Dziewczyna wytarła krew z ręki w materiał spódniczki.

— Nie rozumiem, jak się tu dostał. Ośrodek jest bezpieczny. Zawsze zamykają drzwi na klucz. Sprawdzalam. — Zawahała się, zdając sobie sprawę, że jej głos jest najdonośniejszym dźwiękiem w całym pomieszczeniu; zraniony mężczyzna przestał wierzgać i leżał spokojnie, rżąc. — Zawsze zamykają drzwi — powtórzyła Ayana.

Ktoś pociągnął nosem; to jasnowłosa kobieta z zakrwawioną ręką. Czarnoskóra dziewczyna z warkoczykami obejmowała ją ramieniem. Obie miały na sobie takie same, bezkształtne ubrania: szare spodnie dresowe i T-shirty.

— Jest w szoku. To Hope Proctor. — Marnie spojrzała na rannego mężczyznę na podłodze. — A to jej mąż. Pójdę zadbać o to, żeby karetka trafiła na miejsce.



CHOLERA. Dwa radiowozy. Trzy, jeśli liczyć nieoznakowane mondeo.

Dziwka miała wsparcie.

Osunął się bardzo nisko na fotel, ciągnąc za czapkę z napisem *I <3 London*, którą kupił na stoisku dla turystów. Jej daszek zakrywał oczy i usta. Nie powinno go tu być. Nie powinien siedzieć w samochodzie, a już na pewno nie w zaparkowanym sto metrów od ośrodka dla ofiar przemocy. Nagłe wycie syreny sprawiło, że rzucił się po kluczyki i wbił je w stacyjkę, ukruszając przy tym ząbek. Niezdarny idiota.

To wszystko przez nią...

Opuścił rękę na kolana i spojrział w lusterka. Nadal lało, jakby ktoś odkręcił kurek nieba; mokra ściana deszczu, gruba i zimna, sprawiała, że w samochodzie zaparowały okna. Uruchomił wycieraczki i wytarł szyby od środka mankietem, żeby nadal móc wyglądać na zewnątrz.

Ni cholery nie zamierzał stąd uciekać.

Kilka tygodni zajęło mu wyśledzenie jej w tej dziurze. Ośrodek śmierdzał, nawet z takiej odległości. Zawilgocony. Zagrzybiały. Ona też tak pachniała. Kiedyś go to podniecało.

Karetka przecięła chodnik i zaparkowała przed budynkiem; gdy tylne drzwi się otworzyły, wypchnęły falę deszczu.

Cholera.

Opuścił się jeszcze niżej. Chciał zobaczyć, kogo wyniosą z ośrodka, kobietę czy mężczyznę, martwego czy żywego.

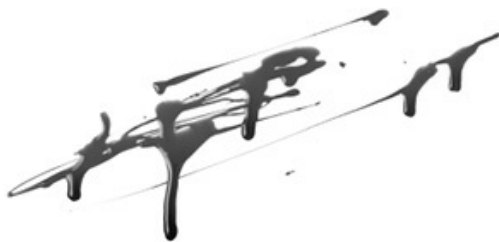
Lepiej nie ją...

Lepiej, żeby to nie była ona, kurwa.

Chciał ją zabić własnymi rękami, gołymi rękami. Tylko ona i on, tak jak kiedyś. Tylko że tym razem nie odwróci się do niej plecami.

Był taki głupi.

Nigdy więcej nie popełni tego błędu.



RATOWNICY MEDYCZNI — kobieta i mężczyzna — pojawili się tak mokrzy, że aż błyszczący. W którymś momencie w ciągu ostatniej godziny zaczęło padać. W tej chwili deszcz miał siłę monsunu, walił w dach ambulansu, dudnił o dziurawy chodnik.

— Już go przejmujemy, dzięki — powiedział ratownik, kiwając na Noaha.

Funkcjonariusz przesunął się, żeby mu nie zagradzać drogi, a potem wstał, zeszywniały i drżący.

Ratownik spojrział na niego.

— Wszystko w porządku?

Noah kiwnął głową.

— Tak.

— Leo, prawda? Zaraz zrobi ci się wygodniej, Leo.

Noah odsunął się, żeby nie przeszkadzać ratownikom w pracy.

Na kanapie siedziała żona Leo, opatulona w koc ratunkowy, otoczona ramieniem czarnoskórej przyjaciółki. Obok nich klęczała ratowniczką i właśnie owijała bandażem prawą dłoń Hope; kobieta skaleczyła się nożem. Przyjaciółka w lewej pięści ścisnęła zwitek bawełny rdzawego koloru. Mural za ich plecami tworzył agresywny łuk zieleni, z wysokiej trawy wystawał różowy nos lwa.

Żółte światło wystrzeliło na sufit i kobiety się wzdrygnęły: błyskawica.

Rome słusznie wieszczyła burzę. Właśnie rozmawiała z policjantami, którzy przyjechali razem z karetką. Mówiła cicho, skupiała na sobie ich uwagę. Noah przyglądał się jej, wiedząc, co właśnie chodziło jej po głowie: musieli zadbać o dowody, zająć się świadkami tak, żeby ich zeznania miały wartość w sądzie. Mantra ze szkolenia: „Wszystko musi zagrać, jak trzeba; nie będzie drugiej szansy”.

— Zaraz położymy cię na noszach, Leo.

Ayana i reszta patrzyły na ratowników ze złudnym spokojem kogoś, kto już był świadkiem traumy, i to nie raz. Noah musiał zmyć krew z rąk, żeby nikogo nie straszyc.

Wyszedł z pokoju dziennego i znalazł kuchnię. Na trzech z czterech ścian wisiały dziecięce rysunki, kilka przyczepiono do lodówki magnesami. Za oknem widać było podwórko, puste, jeśli nie liczyć hałaśliwej ulewy. Aż zamrugał, tak zwyczajny był ten krajobraz. Czy Noah rzeczywiście właśnie zatkał czyjeś płuco kartą telefoniczną? Tak, jego palce lepiły się od krwi Leo Proctora, a ich końce drżały od adrenaliny. W ustach czuł miedziany posmak monet, tych o najmniejszym nominale.

Szuflada pod zlewem była otwarta. Domyślił się, że właśnie tutaj Ayana znalazła folię spożywczą. Wsunął ją, a pozostałe sprawdził, szukając sztuców. Chciał znaleźć nóż podobny do tego, który technicy właśnie pakowali do torebki na dowody — z ostrzem ze śladami tkanki płuca Leo Proctora. A jednak w szufladach nie dostrzegł nic ostrzejszego niż obieraczka do warzyw. Nie przerywał poszukiwań i wreszcie zobaczył noże na lodówce, w poczerniałym, tłustym bloku. Z dala od dzieci. Hope Proctor potrzebowałyby krzesła, żeby się do nich dostać. Noah ich nie dotykał. Odkręcił ciepłą wodę i zaczął myć ręce, szorując kciukami palce, czekając, aż krew przestanie w nim buzować.

Podwórze oświetlił piorun, jego jasny odbłask na chwilę wpadł do zlewu. Noah doliczył do sześciu, zanim rozległ się grom. Burza się zbliżała.

— Jak się trzymasz? — Marnie stanęła w progu.

— Dobrze. — Oderwał kawałek papierowego ręcznika. Wytarł ręce. — Miałaś rację z tą burzą.

Brzmiało to, jakby ktoś właśnie smażył podwórze, plwociny deszczu wzbijały w powietrze splecione języki pary.

Marnie podeszła do zlewu.

— Trochę nam się zejdzie z przesłuchiwaniami świadków. Większość kobiet jest spokojna, jednak wątpię, żeby tak pozostało. — Zdjęła marynarkę i podciągnęła rękawy koszuli, a potem namydliła ręce, podobnie jak Noah. — Ratownicy byli pod wrażeniem pierwszej pomocy w twoim wykonaniu. Uznali, że nawet nieźle ci poszło, jak na glinę.

— Miałem szkolenie — odparł. — Mówili coś o jego szansach na przeżycie?

— Tylko tyle, że dobrze sobie poradziłeś, ale przebite płuco to przebite płuco.

— A kobieta przyznała się, dlaczego to zrobiła?

— Nic jeszcze nie powiedziała. — Marnie zerknęła na stojak z nożami na lodówce. Dotknęła dłonią karku, jakby ją coś zabolalo. — Jej koleżanka z warkoczykami, Simone, twierdzi, że nóż należał do Leo, który najwyraźniej przyszedł tutaj uzbrojony. Jeśli to się potwierdzi, zapewne działała w obronie własnej.

— Wszedł tutaj z nożem? — Noah pomyślał o ciężkim, bezwładnym ciele Proctora, jego twarzy wykrzywionej bólem. Hope była połową swojego męża, ważyła może pięćdziesiąt kilogramów. Leo raczej powyżej stu. Noaha bolała ręka od trzymania ofiary w pozycji siedzącej do czasu przybycia ratowników. — Jakim cudem mu go odebrała?

— Nie wiem. Musimy to ustalić. Nie brakuje nam świadków, ale jeszcze za wcześnie, żeby zbierać od nich zeznania, a przynajmniej tak uważają ratownicy.

Kolejne błyskawice na podwórku. O barwie stali, jak wyrwane kable. Marnie opuściła rękawy, nie zapinając mankietów.

— Zaparzymy herbatę...

Noah zaczął szukać kubków w szafce nad kuchenką.

Marnie nalała wody do czajnika i podłączyła go do prądu.

— Radzą nam nie ruszać Hope, dopóki trochę nie ochłonie. — Spojrzała w stronę okna; deszcz spływał po szybie. — Simone mówi, że ona boi się wody. Że Leo kiedyś kazał jej siedzieć pod prysznicem przez kilka godzin, żeby się umyła. — Jej oczy wyrażały potępienie. — To jeden z wielu powodów, dla których się tutaj ukrywała.

Noah przypomniał sobie krzyk: „Jak on się tu dostał?” i chociaż kobiety miały na myśli Leo Proctora, równie dobrze mogłyby się bać *jego*. Nieznajomego. Mężczyzny. Zastanawiał się, dlaczego Marnie nie przyjechała sama.

— Jak Leo tu wszedł?

— Tego też nie potrafię wytłumaczyć. Jeanette... to ona krzyczała... upiera się, że zamknęła drzwi na klucz, to podobno standardowa procedura. Ona odpowiada za bezpieczeństwo, cokolwiek to znaczy. Sądząc po jej zapachu, miała przerwę na papierosa. Koniecznie chce nas przekonać, że niczego nie zaniedbała. Trochę zbyt usilnie.

— Myślisz, że próbuje chronić swój tyłek?

— Przyszło mi to do głowy.

— Aresztujemy ją?

— Hope? Powinam ją ostrzec, zanim zacznę zadawać pytania. — Marnie wydawała się mówić z niechęcią. — Ale myślę, że możemy z tym poczekać, aż trochę się uspokoi. Nigdzie nie ucieknie.

Noah przypomniał sobie, jak Hope się trzęsła, kiedy jej mąż leżał z przebitym płucem, z zaciśniętymi, pustymi rękami po bokach. Leo miał na palcu obrączkę. Hope też? Nie pamiętał. Powinien zwracać większą uwagę na takie szczegóły.

— Co się stało z jej dłonią? Widziałem, jak ją opatrywali?

— Trochę nieumiejętnie złapała nóż, ale ratownicy mówią, że to powierzchowna rana, trochę poważniejsze skaleczenie, nic więcej. — Marnie nalała wrzątku do kubków. — Jeanette twierdzi, że widziała tyle co my. Była na posterunku, a kiedy przyszła do pokoju dziennego, Leo już leżał na podłodze. — Po jej ironicznym tonie dało się poznać, że nie wierzyła w tę wersję wydarzeń. Sięgnęła po zgnieciony żółty płatek, który przyczepił się do jej spodni. — Róże. Jakie to romantyczne...

— Myślisz, że planował ją dźgnąć tym nożem?

— A jaki miałby inny powód, żeby zabrać go ze sobą? Wydaje mi się, że bukiet mógł służyć do ukrycia broni do czasu, aż uda mu się wejść do środka.

Noah otworzył lodówkę, żeby wyjąć karton mleka.

— A co z naszymi świadkami?

— Simone. Ayana. Mab, która chowała się za kanapą, ale miała dobre pole widzenia. I jeszcze dwie inne kobiety, z którymi nie miałam okazji porozmawiać. Jeanette na razie odrzucam.

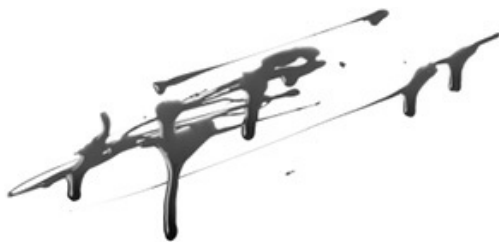
Pięciu świadków, pięć kobiet ukrywających się przed brutalnymi mężczyznami. Jak się poczuły, widząc Leo Proctora z nożem, wchodzącego do pokoju? Jak Hope dźga swojego męża, być może śmiertelnie?

— W pomieszczeniu jest zainstalowana kamera?

— Tylko przy wejściu, o ile w ogóle działa. Już posłałam przez komisariat prośbę o udostępnienie nagrań. W środku nie ma żadnego monitoringu. Dla przebywających tu kobiet bardzo ważne jest, by nikt ich nie inwigilował. Inaczej nie czułyby się bezpieczne... — Marnie podniosła tacę. — Myślisz o tym, o ile łatwiejsze miałibyśmy zadanie, gdybyśmy mieli obiektywne dowody na to, co się tutaj stało?

— Nieskończenie łatwiejsze.

— Mniej pracy, więcej szczęścia? — Wydawała się ponura. — Nikt nas tak bardzo nie kocha.



HOPE PROCTOR nie ruszyła się z kanapy; nadal siedziała pod zielonym murałem ze swoją przyjaciółką, Simone. Noah rozejrzał się, po raz pierwszy naprawdę przyglądając się wystrojowi pokoju. Panoramiczny telewizor zajmował większość powierzchni jednej ściany, tynk popękał wokół stalowych uchwyty. Kanapa i fotele zwrócone były w jego stronę, jakby zamiast urządzenia stał tam kominek. Wszystkie sprzęty w pokoju wyglądały na tanie i nietrwałe, błyszczące tylko z wierzchu, jak wszystko kupowane z katalogu. Cienki dywan znaczyła czerniejąca już plama. Ktoś zdążył pozbierać róże, zostawił tylko jeden czy dwa płatki, zgniecione pod butami.

Hope i Simone nie były same. Trzy inne kobiety siedziały na kanapie: dwie z nich młode, ciemnowłose, trzecia zaś zdecydowanie starsza, ubrana w kwiecistą sukienkę. Obleczone rękawiczkami dłonie trzymała na kolanach, jakby coś pod nimi ukrywała, usta miała wciągnięte, policzki zapadnięte przez braki w uzębieniu. Mab, domyślił się Noah. Jeanette, która powinna była pilnować drzwi, siedziała w pewnym oddaleniu. Ayana Mirza stała przy oknie, skręcając w rękach pomarańczowo-różowy szalik.

Grube zasłony nie pozwalały wyjrzeć na zewnątrz. Deszcz wybijał nieustannie swój rytm, dudniąc w szyby i ściany. Hope kulila się od tego dźwięku, jakby krople były gorące i trafiały w jej nagie ciało. Simone obejmowała ją. Folia koca ratowniczego szeleściła pod jej ramieniem, na palcach błyszczała krew koleżanki.

— Przyniosłam herbatę. — Marnie Rome posłała wszystkim uśmiech. Był idealny; przynosił ukojenie, a jednocześnie nie sprawiał wrażenia zbyt poufałego. Noah próbował nauczyć się podobnego uśmiechu. — Nie wiem, kto pije z cukrem. Może ktoś mi pomoże? Simone, może ty?

Simone podniosła się z kanapy. W warkoczyki wplotła szklane cytrynowe koraliki. Stukały o siebie, gdy ruszyła się, skoncentrowana na zadaniu, jakie powierzyła jej komisarz Rome. Była mniej więcej w wieku Ayany, dość młoda, żeby cieszyło ją uznanie Marnie.

Hope Proctor złapała Noaha za rękę.

— Pan przy nim był. Czy on się bał? Wściekał? O Boże... — mówiła gorączkowym głosem, dość niskim i głębszym, niż się spodziewał. Na twarzy z nerwów wystąpiły jej plamy, obandażowana dłoń wyglądała jak należąca do dziecka, opuszki palców były lodowate od szoku. — Przepraszam, przepraszam. Czy wiedział, że umiera? Bardzo się wściekał?

Noah usiadł na miejscu, które wcześniej zajmowała Simone.

— Był w szoku — odparł cicho. — Tak jak ty.

— Ratownicy szybko przyjechali — dodała Marnie. — To dobrze. Może dzięki temu się z tego wyliże.

Hope obróciła się gwałtownie w stronę funkcjonariuszki, poblądła jeszcze o ton.

— Wyliże się... wyliże... O Boże. — Zakrywała twarz dłońmi. Szara bluza była o wiele za duża, rękawy opadły, pokazując siniaki na nadgarstkach i przedramionach. Noah musiał odwrócić wzrok.

Ayana sączyła herbatę, stojąc przy oknie. Podała mu kartę telefoniczną, wiedząc, że mógł użyć jej do zatkania rany w klatce piersiowej Leo Proctora. Jak na to wpadła i co jeszcze wiedziała?

Noah nie zapomniał, dlaczego w ogóle się tutaj pojawili, czego inspektor Welland spodziewał się po tej wizycie: zeznania potwierdzającego, że Nasif Mirza jest skłonny do przemocy.

Hope kołysała się na kanapie, przytrzymując włosy, by nie opadały jej na twarz. Noah czuł zapach krwi na jej rękach.

— Przepraszam — powiedziała równie silnym głosem, jak wcześniej. — Zaraz mi przejdzie. Możecie postawić mi zarzuty. Wiem, że na to czekacie. Rozumiem.

— Nie ma pośpiechu — odparła Marnie.

— Skąd się tu wzięliście? — Każde pytanie zadawała na wdechu, jakby mówienie wymagało wysiłku, którego była jednak gotowa się podjąć. — Dzięki Bogu, że tak było, ale skąd?

— Przyjechaliśmy do Ayany.

Hope spojrzała w stronę okna, potem na kobiety siedzące z parującymi kubkami herbaty.

— Nie dam rady niczego wypić. — Pochyliła głowę, przełknęła nerwowo ślinę. — Proszę, inaczej z wymiotuję.

Jej tęczyki cienko okalały rozszerzone źrenice. Zmarszczyła brwi, a rysująca się między nimi głęboka bruzda sugerowała, że ten stan podwyższonej nerwowości był dla niej normalny.

— Nie musisz niczego pić — uspokoiła ją Marnie.

Simone wróciła na kanapę, rozkładając ręce, żeby objąć Hope.

Noah podszedł do Ayany.

— Jak się czujesz?

— Nic mi nie jest. — Mówiła bardzo spokojnym głosem, patrzyła, nie mrugając. Miała akcent z południowego Londynu. Domyślał się, że podłapała go w szkole.

— Szybko wpadłaś na ten pomysł z kartą telefoniczną.

— Z folią spożywczą też. — Posłała mu cień uśmiechu. — Widziałam to w telewizji. W serialu policyjnym. Tutaj bardzo często gapię się w telewizor. Seriale. Konkursy audiotele. Bardzo mi to szkodzi. Wszystko tutaj ma na mnie zły wpływ. — Poszerzyła swój uśmiech, pokazując nawet zęby. — Podoba mi się to. Mogę też czytać i uczyć się. Zainteresowała mnie psychologia kryminalna.

— Jakiś kurs korespondencyjny?

Kiwnęła głową. Nie mogła wychodzić z ośrodka, tyle wiedział. Dziewczyna spojrzała na kanapę, gdzie w zupełnej ciszy siedziały trzy kobiety: Mab i dwie ciemnowłose. — Zaoferowali mi miejsce z innymi Azjatkami. Takich słów użyli: z *innymi Azjatkami*. Znałam kogoś z takiego ośrodka. Kobiety pracujące tam plotkowały w meczecie. — Podniosła kubek do ust. — Wolę być tutaj.

— Nawet teraz?

— Nie wiem, jak on się tu dostał. Ośrodek jest bezpieczny. Bardzo tego pilnują. Drzwi pozostają

zamknięte na klucz, chyba że poprosimy o ich otwarcie. — Zmarszczyła czoło, patrząc na kobiety znajdujące się w pokoju. — Lubimy, gdy są zamknięte.

Ośrodek jest jak więzienie. Takie z telewizją i książkami jest szansą na podjęcie nauki i nawiązanie przyjaźni. Noah pomyślał o karcie telefonicznej. Czyj numer wybierała Ayana, kiedy chciała porozmawiać? Może dzwoniła tylko do telewizji.

Szyba w oknie obok trzęsa się od hałaśliwego, zimnego deszczu. Czuł jego zapach przez ciężkie zasłony.

— Straciłaś kartę. Masz komórkę? Kupię ci doładowanie.

— Tak. — Dotknęła plecionej torebki przy pasie. — Dziękuję. Niewiele zostało już na tej karcie. Mniej niż pięć funtów.

— Dam ci nową — obiecał Noah.

Nie mógł tak szybko zacząć wypytywać ją o Nasifa. Już wcześniej byłoby to trudne, zważywszy na to, co razem z braćmi jej zrobili.

Rodzeństwo Ayany. W ich własnym domu. Dwóch ją przytrzymało, podczas gdy trzeci prysnął jej skoncentrowanym wybielaczem w oczy. Kiedy pozwolili dziewczynie wstać, udało jej się wybiec z domu na ulicę, wołając o pomoc.

Chirurdzy uratowali jej prawe oko. Niestety lewego już nie.

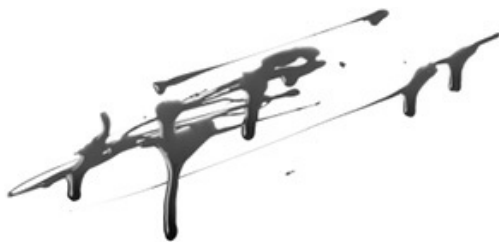
Jednak nie straciła całkiem wzroku.

Prokurator wierzył, że jej zeznania pomogą umieścić Nasifa za kratkami, ale dotychczas dziewczyna nie mówiła o tym, co wycierpiała z rąk braci. Zgodnie z notatkami, które Noah i Marnie otrzymali z innego wydziału, po ataku, podczas pobytu w szpitalu, nikt Ayany nie odwiedzał. Dopiero trzeciego dnia przysłała samotna kobieta, ściskając kurtkę z kapturem.

— Przyszłam, żeby zabrać córkę do domu.

To była pani Mirza. Matka Ayany.

Dziewczyna przestała krzyczeć dopiero wtedy, gdy tamta wyszła.



— Nóż? — powtórzył komisarz Tim Welland. — W ośrodku dla ofiar przemocy? Myślałem, że w takich miejscach powinno być bezpiecznie.

— Pracujemy nad tym w tej chwili. — Marnie zrobiła krok w bok, żeby przepuścić pracownika biura wsparcia ofiar, który szedł do pokoju dziennego. — Musimy się dowiedzieć, jak Leo dostał się do budynku i skąd wiedział, że znajdzie tutaj swoją żonę. Ale najpierw trzeba zadbać o to, by wszyscy znowu poczuli się bezpiecznie.

— Po takim ataku? — Usłyszała, jak Welland krzywi się po drugiej stronie linii: *powodzenia*. — A jak się ma Ayana Mirza?

— Pomogła uratować Leo Proctorowi życie.

— O ile faktycznie przeżyje. Z tego, co pani mówiła...

— Jego stan był stabilny, kiedy zabrała go karetka.

— Myśli pani, że żona chciała go zabić?

Marnie potarła kark, zgodnie z wyuczonym nawykiem, pieszcząc ból błąkający się po jej ciele.

— Świadkowie twierdzą, że to było w obronie własnej.

— A można im ufać? — W głosie Wellanda zabrzmiał sceptycyzm. — Nóż w płuco brzmi raczej jak próba zabójstwa. Nie twierdzę, że kobieta nie miała dobrego powodu, w końcu raczej nie trafiła do ośrodka przypadkiem.

— Gdyby ją pan widział albo słyszał... Jest przerażona, że jej mąż może przeżyć, nie próbuje jednak wymyślać wymówek. I tak jest cała w siniakach, oczywiście.

Marnie zabrała nóż z drżących rąk Hope. Zrozumiała wtedy po raz pierwszy, jak przerażające jest użycie ostrza jako śmiertelnej broni.

— Zabiorę ją do szpitala — powiedziała Wellandowi. — Niech ją tam obejrzą.

— A jak się trzyma sierżant Jake?

— Dobrze. Kazałam mu się przebrać. Na komisariacie ma ubrania na zmianę.

— Aż tak?

— Aż tak. Proctor się na niego wykrwawiał.

Welland usłyszał chłód w jej głosie.

— A pani, pani komisarz?

Spojrzała na koniec korytarza, gdzie znajdowały się zamknięte drzwi ewakuacyjne.

— To przemoc domowa z użyciem noża. Połowa naszej roboty to przemoc domowa z użyciem noża, ale... Proctor jest w stanie stabilnym. Zdziwię się, jeśli się nie wyliże. To potężny facet, ma porządną wyściółkę. — Innymi słowy, to nie będzie morderstwo. — Szczerze mówiąc, bardziej martwię się o Hope. Chcę wiedzieć, co się wydarzyło, zanim się tu pojawiła, co ją skłoniło do ucieczki.

Odpowiedzi. Chciała odpowiedzi.

— Czyżby zmiana planów? — zapytał nagle Welland.

— Na jutro? — Gwałtownym gestem odgarnęła włosy z twarzy. — Nie. Oczywiście, że nie. Jeśli Proctor umrze... wtedy przełożę wizytę.

— Bądźmy w kontakcie — powiedział. — Muszę wiedzieć, że masz wszystko pod kontrolą.

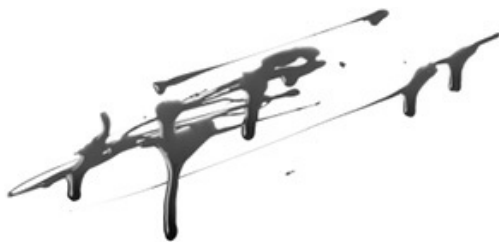
— Oczywiście. — Wyobraziła sobie jego twarz, minę zachęcającą do zwierzeń. Osobiście nie miała nic przeciwko temu, by ukrywać przed nim jakieś tajemnice. I tak zbyt wiele już o niej wiedział. Cieszyła się z każdego sekretu, który udało jej się ukryć, dzięki czemu utworzyła warstwę ochronną przed jego dociekliwością, jego wiedzą.

On wie, jak umarli, myślała często, jak wyglądali po śmierci. Jak ja wyglądałam, zapłakana na ulicy przed domem, ale nie ma pojęcia, że lubię soloną czekoladę i głupie seriale szpiegowskie, gdzie główna bohaterka co tydzień ma inną perukę i potrafi skopać każdemu tyłek. A jeśli wszystko inne zawiedzie, zostaje jeszcze sekret słów. Słów na mojej skórze.

Tę tajemnicę skrywała przed wszystkimi. Przed Gregiem, jej ojcem. Przed matką, Lisą. Przed Lexie, terapeutką, którą przydzielili jej po morderstwie. A nawet przed Edem Bellokiem, któremu instynktownie powierzała większość swoich sekretów.

Truizmy na jej skórze, nastoletnia rebelia wydziergana igłą tatuażysty. Teraz, po trzydziestce, wstydziła się tej brzydkiej dziewczyny, jaką kiedyś była, z rzęsami pokrytymi grubą warstwą maskary i w ciężkich buciorach, z wystudiowaną samotnością i niemal autystycznym milczeniem. Porzuciła tę postać, będąc mniej więcej w wieku Ayany; hormony opuściły jej ciało tak, jak platan zrzuca płatki kory, a wraz z nimi zniknęły londyńskie toksyny. Podekscytowana poczuciem celu, postanowiła zostać pilotką. Ta prędkość, ta siła, bezkresne niebo i adrenalina. Niecierpliwie zadowolili się policją. Nigdy nie zamierzała zostać tu na stałe, chciała w ten sposób tylko ukoić świerzbące stopy i dłonie rwące się do czynu, do ucieczki...

Bała się, że jeśli zbyt długo będzie się zastanawiać nad wyborem drogi, znowu stanie się tamtą dziewczyną. Tą, która ukradkiem wychodziła z domu, gdy rodzice spali, wsiadała do pierwszego autobusu jadącego do miasta, gdzie mogła zapłacić mężczyźnie z najczystszyimi rękami, jakie kiedykolwiek widziała, żeby zapisał jej nastoletnią skórę czarnymi, piekącymi sekretami.



W KARETCE to nie ona, tylko jakiś obcy facet, wielkolud z maską tlenową na twarzy.

Nikt, kogo by znał.

Raz jeszcze wytarł zaparowane szyby mankietem kombinezonu. Pod daszkiem czapki jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

Nie ona.

Drzwi ciągle otwierały się i zamykały, wszędzie było pełno policjantów i w końcu musiał uruchomić silnik, odjechać. Nie mógł ryzykować, że go złapią. W ogóle nie powinien siadać za kółko, za dużo już nabił punktów karnych, pomijając wszystko inne, ale jak ma się niby inaczej poruszać po mieście?

Policja z przyjemnością by go zgarnęła. Wiedział o tym.

Zaparkował dwie ulice dalej, nie gasząc silnika, z włączonymi wycieraczkami, żeby deszcz nie zasłaniał mu widoku, gdy czekał, aż odjadą, aż czerwone światła dadzą mu znak, że droga wolna. Nie potrzebował wiele. Wystarczy jedna szansa. Może dwadzieścia minut, może mniej.

Lampy uliczne już się zapalały. Jak zwykle zbyt wcześnie. Londyn się oszukuje, myśląc, że wyrzyga nowy budynek i nikt nie zauważy gówna na każdym rogu, żebraków i wieczorów panieńskich, kałuż wymiocin i dziwek co krok.

Oglądał ostatnio telewizję, jakieś badziewie o kolesiu, który uderzył innego tak mocno, że tamten zapadł w śpiączkę. Idiota ciągle się z tego powodu mazał, stojąc na deszczu, z gilami spływającymi mu po twarzy. Kamera wciąż pokazywała Londyn z lotu ptaka, jakby to było drugie Los Angeles, z wieżowcami i wymyślnymi lądowiskami dla helikopterów, kpiny jakieś. Londyn nigdy tak nie wyglądał, nie z dołu, gdzie naprawdę się żyło.

Poczekał dziesięć minut, potem przejechał się po osiedlu i wrócił do miejsca, skąd widział ośrodek. Deszcz spływał z podjazdu rwącą rzeką, brudną kaskadą z samego dachu.

Nieoznaczone mondeo ciągle tam stało, a do tego dwa radiowozy, ale oni nie czekali na niego ani na nią. To tylko przypadek.

Ludzie nie wierzą w przypadki; patrzyli w drugą stronę. Tego właśnie potrzebował. Raptem dziesięciu czy dwudziestu minut, kiedy będą patrzeć gdzie indziej; wtedy mógłby to załatwić.

Ją załatwić.

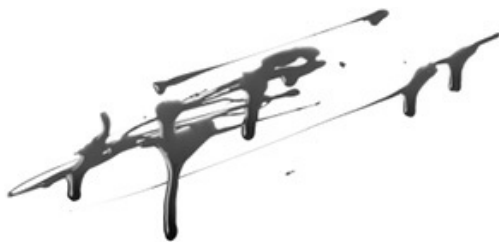
Ośrodek nie wydawał się zbyt bezpieczny, nie dawał za bardzo schronienia. Głupia cipa myślała, że jej

tu nie dopadnie. Nawet jeśli wszystko inne zawiedzie, zostaje jeszcze ogromna dziura w dachu.

Nie potrzebował wiele czasu. Chciałby móc się nie śpieszyć, ale to już dawno nie wchodziło w rachubę, wiedział o tym; skończył się wolny taniec, nie będzie już patrzył, jak ona się wije.

Tym razem będzie szybko i mocno. Tym razem, kiedy już z nią skończy, nie będzie uciekała i chowała się przed nim.

Uważał, że potrzebuje raptem dwudziestu minut, nie więcej.



TY PIERDOLONA SZMATO, jesteś jusz trupem. Myślisz żeś taka bezpieczna, ale guwno wiesz cipo.

Niebieski atrament na kawałku kartki, nierówno wyrwanej z zeszytu w linie. Tusz w kilku miejscach rozmazał się grubiej, w kilku cienie. Długopis najwyraźniej przerywał i autor musiał w paru miejscach poprawiać.

Marnie Rome podniosła kartkę do szpitalnej lampy, żeby przyjrzeć się różnej grubości liniom i nierównemu brzegowi papieru pod światło.

Wiele się dało powiedzieć o człowieku, studiując jego charakter pisma. Także z doboru słów, przyrządu do pisania i papieru. Dało się poznać, jaka powierzchnia służyła mu za podkładkę i czy był pijany albo chory. Wszystko zależało od maleńkich odcisków i wgnieceń. Nawet jeśli nie miało się oryginalnej wiadomości, nawet jeśli został tylko używany przez autora zeszyt. Wgniecenia pozostawiały głębokie ślady i dało się na pustej kartce odtworzyć ślad napisu, nadając jej ładunek elektrostatyczny i wysypując szklane paciorki z proszkiem węglowym na powierzchni, które przyklejają się do wgłębień, ukazując słowa jak za dotknięciem magicznej różdżki. Marnie pracowała już z policyjnym specjalistą od badania dokumentów. Znała wszystkie sztuczki, osiągnięcia nauki.

Myślisz żeś taka bezpieczna, ale guwno wiesz cipo. Niewiele magii było tu potrzeba. Żadnych zawołanych przekazów. Tylko trzy linijki napędzanej nienawiścią groźby.

Marnie znalazła ten liścik w torebce Hope Proctor. Nie był podpisany.

Nie mogła od razu ustalić, czy napisał go jej mąż. Przeszukała jego portfel, jednak z podpisów na kartach bankowych zostały tylko smugi; teraz nikt już nie sprawdzał podpisu, wszystkie karty były na PIN. Marnie wyjęła telefon i zadzwoniła do Noaha Jake'a.

— Potrzebuję próbki pisma Leo Proctora.

— Dobra — odparł Noah. — A co znalazłaś?

— Niewiele. — Przewróciła kartkę w ręce. — Tylko krótkie czytało autorstwa jakiegoś analfabety...

Gdzie jesteś?

— Na komisariacie, pojechałem się przebrać. Jak się ma Leo?

— Według ostatnich wieści nadal żyje. Spróbuj załatwić mi próbkę jego pisma. Może coś się znajdzie w rzeczach Hope w ośrodku. I postaraj się pogadać z Ayaną. Coś was łączy.

— Coś nas łączy? — powtórzył Noah.

— Pomogła ci uratować Leo. Tworzyliście zgrany zespół. Wykorzystaj to. Może uda się zdobyć to, o co prosił Welland.

— Myślisz, że ze mną pogada na osobności?

— Nie jesteś sam, masz przecież ludzi z biura wsparcia ofiar przemocy. Poprosiłam też Eda Bellocę, żeby odwiedził was później. Po prostu... sprawdź, jak Ayana się czuje. Założę się, że z tobą porozmawia. Czasami lepiej rozmawia się z obcymi.

— Dobra — zgodził się Noah. — Postaram się.

— Świetnie. Spotkamy się na miejscu, jak już pogadam z lekarzem i Hope. — Rozłączyła się i spojrzała na zegarek.

Za osiem godzin będzie już jutro. Piąta rocznica ich śmierci. Co powiedziała wcześniej Wellandowi?

Nie liczę.

Jasne.

Złożyła list z pogrozkami i wsunęła go do kieszeni. Musiała na razie o nim zapomnieć; lepiej się na nic nie nastawiać. Charakter pisma może nie pokrywać się z charakterem Leo Proctora, może nawet umyślnie próbował ukryć fakt napisania tej wiadomości, może celowo udawał analfabetę. Hope była inteligentna, elokwentna. Czy to możliwe, by wyszła za kogoś popełniającego takie błędy? Leo pracował na budowie. Marnie wiedziała niewiele więcej. Na razie. Potrzebowała badania lekarskiego, żeby przekonać się, jak bardzo wyżywał się na żonie. Rozumiała jej chęć zachowania choć strzępków godności i intymności po wydarzeniach z poranka, jednak upierała się przy obdukcji. Twarde dowody, jak to mówił Welland.

Hope Proctor wbiła nóż w płuco męża. Marnie musiała dowiedzieć się jak i dlaczego. W ośrodku Simone Bissell powiedziała: „Ona krzywo widzi. Ciągłe stawia kubki na krawędzi stołu i wiecznie coś rozlewa. Kolesi bił ją tyle razy, że dziewczyna krzywo widzi. Nie miała pojęcia, gdzie wbija ten nóż”.

Wbiła go w pierś męża, dość głęboko, by przebić mu płuco.

Leo to potężny mężczyzna. Duży cel.

Z kolei Hope była wystraszona i Marnie w to wierzyła. Liścik z pogrozkami był przezroczysty w miejscach, gdzie Hope dotykała go mokrymi od potu palcami. Możliwe, że spanikowała i wbiła nóż w pierś męża na ślepo.

Kuchenny nóż. Czarna rączka, stalowe ostrze. Trzydzieści funtów, może czterdzieści w dobrym sklepie. Porządne wyposażenie kuchni, reklamowane przez kucharkę celebrytę, jego podpis nadrukowano czarnym tuszem na ostrzu i srebrnym na czarnej, gładkiej rączce.

Marnie miała ten nóż w torbie na dowody na komisariacie. Pięknie wyważony... a przynajmniej tak go sobie wyobrażała, ponieważ wciąż zbierała się na odwagę, żeby go dotknąć.

Sanitariusz pchnął wózek przez drzwi wahadłowe na drugim końcu korytarza, a w powietrzu rozległ się dźwięk jakby małej eksplozji.

— Można już wejść.

Lekarz koło trzydziestki, w okularach, wydawał się bardzo zmęczony, kiedy się do niej zbliżył.

— Jak brzmi werdykt? — zapytała Marnie.

— Widziałem już gorsze przypadki, ale zazwyczaj u dziewczyn pracujących na ulicy. Uszkodzenia pochwy sugerują wkładanie do niej przedmiotów. — Spojrzał na notatki i odczytał je beznamiętnym głosem: — Ślady ugryzień na piersiach i udach. Blizny sugerujące powtarzające się już od dawna

stosunki analne. Powierzchowne otarcia rąk i nóg. Ślady na plecach prawdopodobnie spowodowane uderzeniami paskiem. Tego rodzaju obrażeń można się spodziewać u kogoś, kto lubuje się w seksie sadomasochistycznym.

Właśnie to się wydarzyło w domu Hope. Za zamkniętymi drzwiami.

Marnie aż zadrzała; wrażenie to było jej tak dobrze znane, jak ziewanie.

Nie ma to jak w domu.

Czy w ogóle ktoś gdzieś na świecie tak myśli?

— Badanie ją zdenerwowało — mówił lekarz. — Przepisałem jej środek uspokajający. Proszę potraktować ją łagodnie, chociaż nie powinna być oteplona. — Na jego twarzy pojawił się uśmiech podziwu. — Za to nie ma ochoty, żeby traktować ją z góry.

— A co z jej mężem? Jakież zmiany?

— Ani trochę. — Zerknął na inne notatki. — Mogę za to powiedzieć, że ma uszkodzoną wątrobę, niezbyt poważnie, za to już od dawna.

— Jest alkoholikiem?

— Niemal na pewno. Zawartość alkoholu we krwi wskazuje na duże jego spożycie na dwie godziny przed przyjęciem do szpitala.

Innymi słowy, Leo Proctor pojawił się w ośrodku uzbrojony i pijany w sztok.

— A poza tym? Drobne obrażenia typowe dla ludzi jego branży i graczy rugby. Zgodnie ze szpitalną dokumentacją, kilkakrotnie leczyliśmy mu pęknięte żebra, częsty uraz w sporcie kontaktowym. Osiem miesięcy temu pojawił się tu z dwoma złamaniami w prawej dłoni. Nazywamy to złamaniem boksera.

— Złamanie boksera? — powtórzyła Marnie. — Czy to oznacza, że zranił się, uderzając kogoś?

— Albo coś. W dokumentach zapisano to jako uraz nabyty w trakcie wykonywania pracy.

— Może mi pan podać daty i szczegóły? — Przebiegła wzrokiem podaną przez lekarza kartkę. Leo Proctor osiem miesięcy temu złamał rękę. Wsunęła papier do kieszeni, zaraz obok liścika z pogrózkami. — Jak szybko po odzyskaniu przez niego przytomności możemy z nim porozmawiać?

— Założyliśmy mu dren w klatce piersiowej. Zważywszy na to oraz na utratę krwi, lepiej, żeby pozostał nieprzytomny. Przebite płuco to poważny uraz, zwłaszcza jeśli to rana kłuta.

— Hope spanikowała. Tak twierdzą świadkowie.

— Szkoda, że trafiła akurat w płuco. — Znowu zerknął w kartę Hope. — Albo i nie... Skaleczenie ręki jest powierzchowne. A odpowiadając na pani pytanie, jeszcze za wcześnie, żeby zgadywać, kiedy się obudzi.

— Ale kiedyś się obudzi, prawda?

— Tego się spodziewamy na tym etapie.

Leo Proctor nie umrze. *Dobrze*. Marnie chciała go przesłuchać. Hope może liczyć na łagodne potraktowanie, jej mąż niekoniecznie.

— Jest coś jeszcze — powiedział lekarz. — Nie mam pojęcia, czy to istotne — wskazał na notatki — ale oboje mają takie same tatuaże.

— Mają...

— Omal go nie przegapiliśmy u niego, choćby z powodu dużej ilości krwi. Jej znajduje się, eee, tuż poniżej prawej piersi. — Ta informacja zdawała się wprawiać go w zakłopotanie, nieobecne przy

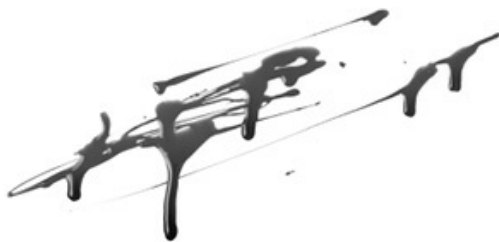
rozmowie o wykorzystaniu seksualnym. — Serce przebite strzałą. — Skrzywił się. — Raczej mało oryginalne.

— A gdzie znajduje się jego tatuaż? — Marnie czuła pieczenie na skórze pod żebrami i nad biodrami. — Powiedział pan, że omal go nie przegapiliście. Gdzie się znajduje?

— W tym samym miejscu. — Lekarz zaczął pocierać okulary palcem wskazującym. — Właśnie dlatego prawie nam umknął. Z powodu całego tego bałaganu.

Wytarł palec w biały kitel.

— Tatuaż jest dokładnie w tym miejscu, w które wbito nóż. Strzał w dziesiątkę, można powiedzieć.



— MOJE IMIĘ w języku etiopskim znaczy *piękny kwiat*. — Ayana Mirza usiadła w nogach łóżka, w wąskim pokoju w ośrodku. — Z kolei w kaszmirskim – *dzień sądu*.

— Twój brat... — zaczął Noah.

— Nasif. Jego imię oznacza *najsprawiedliwszego*. — Wykrzywiła się. — Mój drugi brat to Turhan, czyli *litościwy*.

— Nasif... jest podejrzanym w sprawie o brutalny napad.

Ayana uniosła brodę, pokazując bielmo zranionego oka.

— Znowu?

— Tym razem użył bułata. Mężczyzna stracił rękę.

Ayana zagryzła wargi, jakby chciała powstrzymać się przed mówieniem. Mały pokój szczelnie wypełnił się ciszą. Noah rozejrzał się. Szafę na ubrania zastępował stojak, a na nim wisały dwa swetry z sieciówek i spódnica z jerseyu. Okna zasłaniały kotary w paski. Ściany przemalowywano tyle razy, że powierzchnia farby wyglądała jak pokryta pryszczami. Na niskim biurku leżała sterta książek z biblioteki i prace domowe na kurs korespondencyjny. Nic innego w tym pomieszczeniu nie należało do Ayany, nawet czerwona sukienka, w którą była ubrana. Dziewczyna nie miała czasu spakować się przed ucieczką z domu.

— Obiecałem ci to. — Noah wyciągnął doładowanie do telefonu. Sprezentował jej dziesięć funtów, dochodząc do wniosku, że dwadzieścia byłoby przesadą, mogłoby wydać się obraźliwe.

— Dziękuję. — Wzięła od niego kartę, pocierając ją kciukiem.

— Twoi wujkowie zeznawali w obronie Nasifa. Właściwie każdy członek twojej rodziny tak zrobił. Wszyscy mówią, że jest bardzo łagodny. Nie mamy nic, co świadczyłoby o jego brutalnym zachowaniu w przeszłości.

Ayana kiwnęła głową, jakby się z tym godziła.

— Oczywiście.

— Wiesz, że to nieprawda.

— Wiem też, że nie potrzebujecie moich zeznań, żeby go aresztować. — Ayana pochyliła głowę, słysząc odgłosy włączonego telewizora, dochodzące z pokoju dziennego. — Policja może działać niezależnie.

Noah uśmiechnął się do niej.

— Nauczyłaś się tego na kursie?

— To prawda. — Ayana wykonała precyzyjny gest swoimi drobnymi dłońmi. — Policja nie musi już polegać na zeznaniach ofiary i może działać niezależnie.

— W tym przypadku ofiara nam nie pomaga.

— A czy zabiją go, kiedy wam pomoże? Bo to zrobi ze mną moja rodzina, jeśli złożę zeznania. — Dziewczyna sięgnęła do kieszeni sukienki i wyjęła saszetkę. — Wiesz, co jest w środku? — Poluźniła troczki. — Strączki z nasionami. — Z otwartego woreczka wydobył się zapach przyprawy garam masala. — Tak pachnie dom. — Jej uśmiech wywołał ból w piersi Noaha. — Trzymam to, żeby przypominać sobie, że świat nie jest czarno-biały. Nigdy nie jest po prostu dobry albo zły, bezpieczny albo groźny. Rozumiesz?

Noah rozumiał doskonale. Dla Ayany dom był bogatą mieszanką miłości i lojalności, honoru i posłuszeństwa, nagrody i kary. Pojmował to, lecz nadal chciał, żeby wreszcie przemówiła. Inaczej nigdy nie będzie wolna. Zastanawiał się, która z kobiet z ośrodka kupiła jej te ziarna. A może dziewczyna miała je przy sobie, kiedy uciekła po incydencie z wybielaczem?

— Tęsknię za domem — powiedziała krótko. — A wiesz, co robię, kiedy tęsknię za bardzo i kusi mnie, żeby z tego skorzystać? — zapytała, podnosząc swój tani telefon komórkowy z ukruszoną obudową. — Przypominam sobie nie tylko dobre, ale też te złe rzeczy. — Wrzuciła urządzenie z powrotem do woreczka, a potem ściągnęła troki. Zza ściany znajdującej się za jej głową dobiegało dudnienie telewizora. Ayana założyła włosy za uszy i stwierdziła beznamiętnie: — Nasif miał bułat. Wujek podarował mu go, gdy Nasif miał sześć lat. To nie zabawka.

— Widziałaś, jak go używał?

— Tylko dla zabawy. Żeby się popisać. — Znowu złożyła ręce na kolanach. — Czasami udawał, że użyje go, jeśli nie będę się odpowiednio zachowywać w szkole, ale to była tylko gra. Jest tchórzem, tak jak Turhan i Hatim. Żaden nie robi nic sam, bez pomocy pozostałych. — Jej wzrok wędrował po pokoju. — Mama trzymała mnie w domu, żebym nauczyła się być dobrą żoną, tak jak ona. Być nieszczęśliwą jak ona. Bracia zabierali mnie do szkoły wtedy, gdy na to pozwalała. Ich obowiązkiem było mnie pilnować. Jeśli rozmawiałam z zachodnimi dziećmi, zwłaszcza chłopcami, donosili na mnie. Czasami donosili na mnie nawet wtedy, gdy do nikogo się nie odzywałam. Przynosiłam wstyd całej rodzinie. Kto by chciał się ożenić z taką dziewczyną? A co innego miałoby mnie czekać, jak nie małżeństwo? — Znowu popatrzyła na Noaha. — To nie dotyczy tylko dziewczyn. Znam też chłopaków, którzy zostali zmuszeni przez rodziny do poślubienia kogoś, kogo sobie nie wybrali. Byli bici, kiedy się nie zgadzali.

— Mogłabyś wystąpić przeciwko tym zwyczajom. Przeciwko przemocy, której stałaś się ofiarą.

— W sądzie? — Uśmiechnęła się smutno. — A potem co, miałabym tu wrócić? Znaleźliby mnie. Powiedzieli już o tym wszystkim, których znają. A znają wielu ludzi. Ekspedientów, taksówkarzy. Nawet ludzi pracujących w szpitalach. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy zawsze ktoś na ciebie patrzy, kiedy jesteś pod nieustanną obserwacją.

Zmierzali donikąd, kręcili się w kółko. Ayana była przekonana o własnej bezsilności, wydawała się niemal nią delektować. Noah się mylił: jednak w ogóle jej nie rozumiał. Musiał przeszukać pokój Hope, sprawdzić, czy nie ma listów od Leo.

— Możesz mi powiedzieć o tym, co się stało dzisiaj rano?

Ayana wygładziła dolną część swojej sukienki.

— A co chcesz wiedzieć?

— Pierwszy raz widziałaś Leo?

— Tak.

— Wszyscy siedzieli w jednym pokoju — stwierdził Noah. — To normalne?

— Tak. Po śniadaniu oglądamy telewizję. Na zmianę robimy kawę i herbatę. Dzięki temu czujemy się jak rodzina. Spędzamy wspólnie czas przed telewizorem. Jak normalni ludzie.

Telewizja była dla niej wyznacznikiem normalności.

— Leo Proctor pojawił się w ośrodku tuż po dziewiątej. Zgadza się?

— Była dokładnie dziewiąta dwadzieścia. Właśnie kończyła się *Lorraine*.

— Wszystkie siedziałyście w pokoju dziennym. Hope, Simone i reszta.

Ayana, mówiąc, liczyła na palcach.

— Hope, Simone, Mab, Shelley i Tessa, i ja.

— A gdzie wtedy była Jeanette?

Ayana znowu zaangażowała swoje palce.

— Palła na zewnątrz. Wkradała się do naszych pokoi. Wyjadała jedzenie z lodówki.

— Kiedy weszliśmy, znajdowała się w pokoju dziennym.

— Pojawiła się tuż przed wami i od razu zaczęła krzyczeć. Tylko ona robiła hałas.

— Kto pierwszy zobaczył Leo? — zapytał Noah. — Hope?

— Zapewne. Reszta oglądała telewizję, ale ona nie była szczególnie zainteresowana. Nie tylko *Lorraine*. W ogóle. — Dłonie Ayany wróciły na kolana. — Jest nerwowa, nie może usiedzieć w jednym miejscu.

— Dopiero niedawno trafiła do ośrodka, prawda? Domyślam się, że każdy na początku czuje się nieswojo.

— Mieszka tutaj od trzech tygodni. Jej stan się pogarszał, nie polepszał. — Z tonu dziewczyny łatwo dało się wywnioskować, że nie podobało jej się zachowanie Hope.

— W jakim sensie?

— Cały czas się kręciła. Była niespokojna, jakby wcale jej się tu nie podobało.

— A jak się zachowywała dzisiaj rano?

— Jak zwykle. — Ayana wzruszyła ramionami. — Ani lepiej, ani gorzej.

— Niespokojna — powtórzył Noah. — Nerwowa.

— Właśnie tak.

— W której części pokoju się znajdowała, kiedy wszedł Leo?

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

— Przy oknie. Zawsze stawała przy oknie. Nie wyglądała na zewnątrz, żadna z nas tego nie robi, ale lubiła tam przebywać. Może pokój wydawał jej się zbyt duszny.

— Jak zareagowała na widok Leo? — zapytał.

— Bardzo szybko się odwróciła. To dlatego się obejrzałyśmy; żeby zobaczyć, co się stało. I wtedy go zauważyłyśmy.

Drzwi znajdowały się za kanapą i fotelami. Z okna wejście było dobrze widoczne, więc to, że Hope jako pierwsza zauważyła Proctora, miało sens.

— Wszystkie spojrzaliście w tym samym czasie? — zapytał Noah. — Po tym, jak Hope się obróciła?

— Tak.

— Mówiła coś albo krzyczała?

— Tylko wzięła głęboki wdech. — Ayana zaprezentowała ten dźwięk, wciągając powietrze przez zęby.

— Nic nie powiedziała.

— I co się stało potem?

— On stanął w progu. Ona podeszła do niego.

— Ona do niego. Jesteś pewna, że nie odwrotnie?

— Spójrz na plamę na dywanie — odparła spokojnie Ayana, bardzo pewna swoich wspomnień. —

Gdyby to on podszedł do niej, krew zaplamiłaby dywan pod oknem.

— Mówił coś? — zapytał Noah.

— Nie. Tylko wyciągnął rękę z bukietem.

— W jaki sposób? Możesz pokazać?

Dziewczyna złożyła dłonie i wyciągnęła je przed siebie na odległość ramienia.

— Użył obu rąk?

Kiwnęła głową.

— Hope przyjęła kwiaty?

Po twarzy dziewczyny przemknął uśmiech.

— Nie.

— Ale podeszła do niego. Blisko.

— Gdyby miała pistolet — Ayana wzruszyła ramionami — mogłaby zostać przy oknie. Musiała podejść bliżej. Miała nóż.

W ciszy, która zapadła po tym stwierdzeniu, Noah usłyszał dzingiel zapowiadający jakiś tani serial policyjny.

— Dlaczego uważasz, że to Hope miała nóż?

— Tylko to ma sens. On nie przyniósłby tutaj noża. Po co? Jeśli chciał ją zabić, zrobiliby to w domu. Po co miałby to robić tutaj, na oczach tylu świadków? — Ayana rozłożyła ręce. — To nie ma sensu.

— Twoim zdaniem ona to planowała. — Noaha przebiegł dreszcz. — To nie był wypadek.

— Koleś wykrwawiał się w twoich ramionach. Czy w twoich oczach to wyglądało na wypadek?

— Simone mówi, że Hope spanikowała. — Wypowiedział te słowa bardzo powoli i cicho. — Że przestraszyła się i spanikowała.

— Tak, bała się — zgodziła się Ayana. — Ale nie panikowała. To nie był wypadek. — Splotła palce na podołku. — Dla nas wypadki nie istnieją. Nikt nigdy nie *spada ze schodów* ani nie *potyka się i rani w głowę*. Wymyślamy wymówki, żeby to ukryć, ale to nigdy nie są wypadki.

— Skąd Hope wzięła nóż? — zapytał Noah.

— Domyślam się, że z kuchni. Albo zabrała go ze sobą z domu.

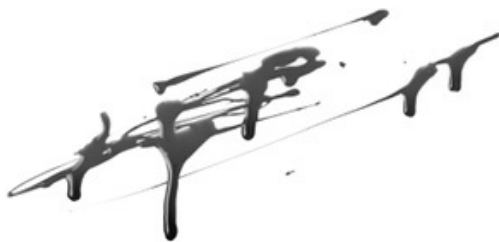
— Simone twierdzi, że to w obronie własnej, że to wypadek. Dlaczego miałyby kłamać?

— Żeby chronić Hope — odparła Ayana. — Zbliżyły się do siebie. Hope rozmawia chyba tylko

z Simone. I ponieważ Hope miała bardzo poważny powód, żeby zabić męża. — Dotknęła kącika ślepego oka. — Znacznie lepszy powód niż ten, dla którego moi bracia zrobili to. Powiedzieli, że patrzyłam na chłopaka, ale to nieprawda. Nigdy nie patrzyłam na nikogo prócz nich. A jaką radość sprawiło im wykonanie tego obowiązku. Jacy szczęśliwi byli w roli moich katów. Czuli się tacy silni. Męscy. — Jej głos stężał, lecz wydawała się zdumiona, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w to, co jej się przytrafiło. — Właśnie dlatego to zrobili. Ponieważ spójrzałam na nich inaczej, niż powinnam. Nie na kogoś innego, na nich.

Podniosła brodę, patrząc buńczucznie na Noaha.

— Gdybym ja miała nóż, zrobiłabym to samo, co Hope. Trzykrotnie. Znalazłabym sposób, żeby to się wreszcie skończyło. Zupełnie tak jak ona. Hope też musiała go powstrzymać. Nawet sobie nie wyobrażasz, co on jej zrobił, jaki wywoływał w niej strach. Powinieneś się cieszyć. Z tego, co zrobiła. Policja potrzebuje każdej pomocy, żeby pozbyć się takich potworów.



HOPE PROCTOR leżała na łóżku ustawionym pod jedną z odrapanych ścian szpitalnej sali. Biały koc okrywał ją od stóp do klatki piersiowej. Pod nim miała na sobie szpitalną koszulę, czuła jej papierową strukturę. Pod każdym okiem widać było różowe plamy wstydu, jakby uszczypnęła się w policzki; wiedziała, co przekazał Marnie lekarz, nie miała już żadnych sekretów.

Marnie przystawiła krzesło do łóżka.

— Nie musimy jeszcze rozmawiać. Możemy poczekać, aż będziesz silniejsza.

— Chcę to zrobić teraz. — W jej głosie dało się słyszeć pewną zaciętość. — Gorzej już być nie może. Chyba że... Co z Leo? Nie chcieli mi nic powiedzieć, tylko tyle, że wciąż jest nieprzytomny.

— Bo tylko tyle wiadomo. Wygląda na to, że się z tego wyliże.

Hope kiwnęła głową.

— Dobrze. — W ośrodku wydawała się przerażona, że jej mąż może przeżyć. Czy to strach przed odwetem? — Nie chcę, żeby umarł. Na wypadek gdybyś myślała, że... — Skrzywiła się. — Nigdy bym go nie skrzywdziła, nigdy.

— Ale on cię krzywdził. Prawda?

Hope odwróciła wzrok.

— To... nasza prywatna sprawa — ściszyła głos do szeptu. — Małżeństwo to prywatna sprawa.

Czy właśnie tak Leo skłonił ją do ukrywania tego, jak ją traktował? Co się dzieje za zamkniętymi drzwiami to prywatna sprawa. Marnie często słyszała te słowa, gdy dochodziło do przemocy domowej.

— Lekarz powiedział mi o twoich urazach. Rozumiem, że trudno ci o tym mówić, ale przecież mieszkałaś w ośrodku. Musiałaś chcieć, żeby to się skończyło.

— Potrzebowałam czasu. — Hope skubała koc, jej palce straciły kolor z zimna. — Żeby pomyśleć. I żeby on też pomyślał. Wydawało mi się... że jeśli zastanowimy się, czego chcemy...

— A czego chcesz, Hope? — Nie potrafiła powiedzieć „pani Proctor”.

— Kocham mojego męża — syknęła niespokojnie. — Co w tym złego w tych czasach? Kochałam go, gdy za niego wychodziłam, i wciąż go kocham. Złożyłam przysięgę małżeńską w dobrej wierze.

Staromodne sentymenty. Hope miała dwadzieścia osiem lat. Z jasnymi włosami, twarzą w kształcie serca i drobnymi dłońmi z perłowymi paznokciami sprawiała wrażenie laleczki. Jako panna młoda musiała wyglądać ślicznie, z welonem, koronką w stylu vintage, bukietem z pomarańczowych kwiatów.

Kiedy wytatuowała sobie serce przebite strzałą? Z pewnością nie przed ślubem.

— Odeszłaś do ośrodka wsparcia ofiar przemocy trzy tygodnie temu. Dlaczego to zrobiłaś?

— Żeby się zastanowić. Przecież już mówiłam. Żeby mieć czas na zastanowienie się.

— Wyszłaś za mąż dziewięć lat temu. Kiedy po raz pierwszy cię skrzywdził?

Hope zacisnęła wargi, odwróciła wzrok.

— Coś się musiało wydarzyć trzy tygodnie temu — powiedziała Marnie. — Coś, co skłoniło cię do odejścia. Co to było?

— Spanikowałam. Czasami mam te... ataki. Paniki. Nie wiem wtedy, co robić.

— Rozmawiałaś na ten temat z lekarzem?

Hope kiwnęła głową.

— Leo mnie do niego zabrał, kiedy było naprawdę źle. Stwierdził, że muszą być jakieś proszki, które mi pomogą. Coś, co by mnie uspokoiło.

Chemiczne otumanienie. Leo Proctor. Co za człowiek.

— Lekarz coś przepisał?

— Tak, ale przez te tabletki źle się czułam. Byłam nieprzytomna. Nie mogłam rano wstawać. A Leo potrzebuje śniadania. Pracuje na budowie i potrzebuje trzech porządnych posiłków — wyrecytowała te słowa, jakby stanowiły regułę, według której żyła, była to jej przysięga małżeńska w praktyce.

— Czyli przestałaś brać leki. Co się wtedy stało?

— Było... było dobrze, dopóki miałam jakieś zajęcie. Leo brał nadgodziny, musieli szybko dokończyć duże zlecenie. Pracował jak wół. Nie potrafiłam nadążyć. — Przytrzymała włosy z dala od twarzy, a po chwili spuściła je, by zakryć oczy. — Ciągłe robiłam coś nie tak. Przypalałam jedzenie, kupowałam złe rzeczy. Któregoś dnia... zbiłam lustro. Siedem lat nieszczęścia. O niczym innym nie potrafiłam już myśleć. — Jej ramiona zaczęły się trząść. Dekolt jej koszuli był mokry od łez. — Siedem lat! Siedem kolejnych lat.

Marnie poczekała chwilę, aż Hope się uspokoi.

— Czyli odeszłaś do ośrodka. Powiedziałaś mężowi, gdzie się wybierasz?

Ed Belloc z biura wsparcia ofiar przemocy nazywał to Pierwszą Zasadą: jeśli myślisz o odejściu od swojego oprawcy, nigdy mu o tym nie mów. Po prostu odejdz. Kobiety, które zapowiedziały swoje odejście, często traciły życie.

— Nie powiedziałam — odparła Hope, lecz bez przekonania.

— Ale odnalazł cię dzisiaj rano. Zadzwoiłaś do niego, Hope? Czy to dlatego wiedział, gdzie się znajdujesz?

Wplotła palce we włosy. Wcześniej musiała skubać bandaż na prawej dłoni, bo był postrzępiony. Po dłuższej chwili odetchnęła, mówiąc:

— Tak...

— Jak zareagował, kiedy mu o tym powiedziałaś?

Marnie musiała poczekać na odpowiedź, ale wreszcie usłyszała:

— Martwił się o mnie. Pytał, czy wszystko w porządku. Zawsze się martwi, kiedy jestem w towarzystwie. Nie jestem zbyt mądra, nie potrafię przejrzeć zamiarów innych ludzi. Czasami wpadam przez to w kłopoty.

Lekarz wcześniej zachwycał się inteligencją Hope. A jednak Leo zdołał przekonać ją, że nie jest zbyt mądra. Klasyczna technika izolacji. Sprawić, by inni ludzie byli postrzegani jako zagrożenie. Leo wychodził zaś przy tym na bohatera, który dba o bezpieczeństwo żony.

— Prosił, żebyś wróciła do domu?

Hope skrzywiła się jak noworodek i popatrzyła takimi samymi, niewidzącymi oczami.

— Nie, nie prosił. Nie wtedy. Zapytał, czy może się ze mną zobaczyć. Kiedy powiedziałam, że tutaj nie wpuszczają gości... wściekł się. — Wytarła nos, na jej dłoni błyszczały smarki. — Chciał mnie zobaczyć. Jestem jego żoną. Wszyscy inni w ośrodku to obcy. Mogłam być w niebezpieczeństwie.

— Czułaś, że coś ci grozi?

Hope pokręciła głową.

— Byłam bezpieczna. Powiedziałam mu to, ale on i tak się martwił.

— Chociaż mówiłaś, że wszystko w porządku.

— Powiedziałam mu, że mam nowe koleżanki. Simone i Mab. Zwłaszcza Simone.

— Jak na to zareagował? Na wieść o nowych koleżankach?

Kobieta złapała za koc.

— Nigdy wcześniej nie miałam koleżanek.

— Nigdy? — Marnie pomogła jej się nakryć. — Czy tylko odkąd wyszłaś za mąż?

— Od... czasów szkoły, chyba. Nie jestem zbyt towarzyska.

Wykręciła rękami bawełniany koc. Cienkie włókna mięśni odznaczały się na tej części dłoni, które widziała Marnie. Tego rodzaju mięśnie wyrabia się na siłowni albo podczas pracy fizycznej. Sprzątaczkini na komisariacie miały takie same dłonie, tylko mniej zadbane, z gorszym manicure; Leo lubił, kiedy jego żona dobrze wypadała przed ludźmi.

— Leo powiedział ci, że nie jesteś zbyt towarzyska.

Hope zeszywniała.

— To prawda. Leo nie kłamie. Nie mnie.

— A innych okłamuje?

— Tylko tak, jak wszyscy inni. Jak wtedy, gdy spóźnia się do pracy albo na trening rugby. Nie tak, jak myślisz. — Zaczerwieniła się, znowu ciągnąc za włosy, szukając rozdwojonych końcówek. — Wiem, co sobie myślisz, co próbujesz zrobić, ale to ja go dźgnęłam. *Ja*. — Uderzyła pięścią w piersi. Rozległ się głuchy odgłos. — To ja.

— Tak, ty. Teraz próbuję dowiedzieć się, dlaczego to zrobiłaś. Powiedziałaś, że nie chciałaś jego śmierci.

— Nie chciałam. I nie chcę.

— Ale dźgnęłaś go w pierś nożem.

— Spanikowałam! — Oczy Hope odwróciły się od Marnie.

— Dlaczego spanikowałaś? Co twoim zdaniem miało się wydarzyć?

Czekała, ale Hope pozostawała zamknięta, z jedną ręką we włosach, a drugą zaciśniętą w pięść przy piersi. Marnie bardzo wyraźnie pamiętała o tatuażu, który opisał lekarz. Pod prawą pierśią Hope. Serce przebite strzałą. Skóra świerzbiała ją ze współczucia.

— Sięgał wcześniej po nóż? Żeby ci grozić? Żeby cię skrzywdzić?

— Nie. *Nie*.

— Skąd wzięłaś ten nóż?

— Z... z domu. Leo przyniósł go z domu.

Zwyczajny nóż. Taki, jaki każdy z nas ma w kuchni. Marnie upomniała się w myślach, że powinna skupiać się na kobiecie na łóżku, a nie pozwalać sobie na ucieczkę we wspomnienia.

— Czyli nóż należał do was. Do ciebie i Leo.

— Kupiliśmy go w sklepie Petera Jonesa. Zaraz po ślubie.

— Jak Leo zdołał wnieść go do budynku ośrodka?

— Schował... schował go w różach.

Gdzieś w szpitalu rozległ się sygnał ostrzegawczy.

— Schował nóż — powtórzyła Marnie — w różach.

— To moje ulubione. Żółte róże.

Bukiet okazał się pustym gestem. Dlaczego Hope tego nie rozumiała? Pięć lat temu w imieniu wszystkich policjantów Welland wysłał jej wieniec. Lilie, chory wykręt od rozkładu, jak świeczka zapachowa w laboratorium patologa. Marnie od tamtej pory nienawidzi lilii.

Na korytarzu jakieś łóżko uderzyło o ścianę.

— Dlaczego Leo zabrał ze sobą nóż, Hope?

— Dla mnie — szepnęła. — Żebym poczuła się bezpieczna.

Marnie uszczypnęła się u nasady nosa. Ta rozmowa była... szalona.

— Leo przyniósł nóż do ośrodka dla ofiar przemocy, żebyś poczuła się bezpieczna.

— Tak.

— I zadziałało?

Hope nie odpowiedziała.

— Możesz na mnie spojrzeć, Hope?

Kobieta podniosła głowę z chłodem zbiega w oczach. Urażę. Ponieważ Marnie zmuszała ją do konfrontacji z prawdziwym obliczem jej małżeństwa?

— Tak lepiej. Dziękuję. — Posłała przesłuchiwanej uśmiech pełen wsparcia. — Leo podał ci nóż, czy właśnie tak trafił w twoje ręce?

— Tak. Powiedział, że nie znam tych kobiet. Że do takich miejsc trafiają bardzo różni ludzie. Jak do więzienia, powiedział. A w więzieniach zawsze jest przemoc.

— Dał ci nóż, a ty go wzięłaś.

— Tak.

— I co się wtedy wydarzyło?

— Wtedy... — Podłożyła pod nos wyprostowaną dłoń. — Wtedy wyciągnął do mnie bukiet kwiatów i chciałam je powąchać. Wyglądały tak pięknie, idealnie, tylko że ukłułam się w palec... — Zaczęła szukać śladu na lewej dłoni i zaraz pokazała Marnie skaleczenie na opuszcze palca serdecznego, oszołomiona. — Nie bolało. Ledwo coś poczułam, to tylko ukłucie, ale spanikowałam. Spanikowałam.

Otworzyła szeroko oczy.

— Dźgnęłam swojego męża przez takie coś! — Pchnęła skaleczony palec w stronę Marnie. — Ukłucie! Takie nic! Dlaczego? Kto robi takie rzeczy? Przecież to nic, zwykłe ukłucie. Jak mogłam? *Jak?*

Marnie złapała ją za rękę.

— Hope... do kogo mogę zadzwonić? Czy jest ktoś, kogo chciałabyś tu widzieć? Ktoś z rodziny?

Pięć lat temu zadali Marnie to samo pytanie. Nie potrafiła podać żadnego imienia, nie od razu. Tylko Eda Belloca, ale na tym polegała jego praca. Bała się, że przyjdzie do niej jako psycholog, a nie przyjaciel.

— Nie mam żadnej rodziny. — Hope skuliła się w sobie, jakby ten wybuch pozbawił ją resztek siły. — Wszyscy umarli. Tata, gdy jeszcze byłam mała. Mama... w zeszłym roku. Na raka.

— Przykro mi... A co z przyjaciółmi?

— Simone...

— Z ośrodka?

— Tak. Jeśli będzie chciała przyjechać. Wiem, że się boi. — Hope zabrała rękę z uścisku Marnie, żeby znowu wytrzeć nos. — Nie mam żadnych chusteczek, były w mojej torebce...

— Simone się boi... opuścić ośrodek?

Hope kiwnęła głową, a potem odwróciła twarz.

— Ja tak samo się bałam. Myślałam, że jestem tam bezpieczna. To był dla mnie... dom. Człowiek w domu powinien czuć się bezpiecznie.

— Tak, masz rację. — Marnie wstała z krzesła. — Zapytam Simone, czy chciałaby cię odwiedzić. I poproszę, żeby wzięła ze sobą twoją torebkę. — Zawahała się. — Znalazłam w niej liścik. Bardzo nieprzyjemny liścik.

— Co takiego? — zapytała beznamiętnym, wypranym już z emocji głosem. Pocierała skórę pod prawą pierś, gdzie znajdował się tatuaż.

— Liścik z pogrózkami — wyjaśniła łagodnie Marnie. — W twojej torebce.

— Aha. — Pokręciła głową. — To nie do mnie. Zabrałam go, bo bardzo ją wystraszył. Była pewna, że tamten facet ją odnajdzie... To dlatego nie wiem, czy przyjedzie. Jest taka wystraszona...

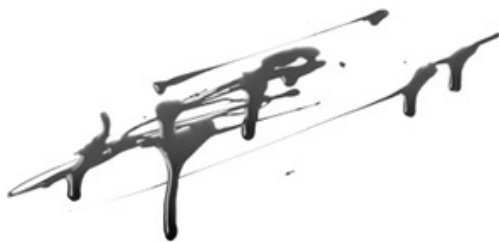
— Liścik był do Simone?

Hope kiwnęła głową.

— Od Lowella.

— Jakiego Lowella? — Marnie poczuła nieprzyjemne swędzenie między łopatkami.

— Nie wiem. Po prostu... Lowella. To, co jej zrobił... — Hope zadrżała. — Leo przynajmniej... Nigdy mnie nie krzywdził tak, jak Lowell krzywdził Simone. To potwór. Simone mówi, że on nigdy się nie podda, nigdy. Dopóki jej nie odzyska.



— CO TY TUTAJ ROBISZ?

Przyjaciółka Hope z warkoczykami, Simone Bissell, stała w progu jej pokoju, rzucając Noahowi wyzwanie spojrzeniem.

— Chciałem spakować rzeczy dla Hope — wymyślił na poczekaniu. — Do szpitala. — Podniósł plastikową kosmetyczkę. — Tylko tyle udało mi się znaleźć.

Pokój Hope był pedantycznie wysprzątny. Wszystko co miała, było pochowane w szafie i szafce nocnej przy łóżku. Noah szukał próbki pisma Leo Proctora, jednak nie znalazł nic, co by do niego należało. Kosmetyczka wyglądała na taką, którą kupuje się w zestawie z dezodorantem, szczoteczką do zębów i żelem pod prysznic.

Simone wpatrywała się w niego wielkimi oczami.

— Nie powinno cię tu być. — Miała nieoczywisty akcent. Z północnego Londynu, jednak ani z wyższych sfer, ani z ulicy. — To pokój Hope. Prywatny.

— W porządku. — Szukał gorączkowo słów, które by ją uspokoiły. — Jestem detektywem. Byłem tutaj wcześniej, z komisarz Rome, pamiętasz? Dopiero co rozmawiałem z Ayaną...

— Wiem, kim jesteś. — Uniosła brodę. — Jesteś obcym. Hope cię nie zna. Nie zrobiła nic złego.

— Raniła swojego męża.

— Nie widziałeś tego. — Wykrzywiła usta. — On jest niebezpieczny. Hope uratowała nam życie. Uratowała nam wszystkim życie.

Łóżko zostało pościelone z wojskową dbałością. Noah wsunął rękę pod materac z każdej strony, jednak nic nie znalazł. Pustka tego pokoju naigrawała się z niego.

— Dlaczego zatrzymali ją w szpitalu? — zapytała z naciskiem Simone.

— Żeby się upewnić, że nic jej nie jest.

— Chcę się z nią zobaczyć. — Simone rozejrzała się po pokoju, mierząc wzrokiem jego pustkę lub sprawdzając, czy Noah czegoś dotykał. — Nie powinna być teraz sama.

— Nie jest sama. Komisarz Rome z nią została.

— Powinna mieć przy sobie kogoś bliskiego. — Simone uciekła wzrokiem w stronę okna; po raz pierwszy Noah dostrzegł na jej twarzy strach. Kobieta bała się tego, co znajdowało się za szybą. Zastanawiał się, jaki kształt przybierał ten lęk. Męża albo ojca? A może braci, jak w przypadku Ayanę?

— Zrobiłabyś to dla niej? — zapytał. — Wyszłabyś z ośrodka?

Simone uniosła brodę. Upór przeobraził jej twarz, nadał jej ciemnym policzkom różany odcień.

W przeszłości musiała mieć złamany nos, lecz nie odejmował on jej urody.

— Ona mnie potrzebuje. — Otaksowała go spojrzeniem. — Masz kogoś, prawda, kto by dla ciebie wrócił? — Kiwnęła głową w stronę okna, jakby pokazywała siedlisko dzikich zwierząt, miejsce, do którego nikt o zdrowych zmysłach by się nie zbliżał. — Kto by tam wrócił. Masz kogoś takiego.

Tak, miał.

— Komisarz Rome niedługo przyjedzie ze szpitala. Zapytam ją, czy możesz odwiedzić Hope.

— Naprawdę?

— Tak.

Simone kiwnęła głową.

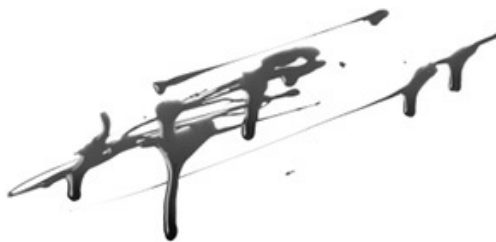
— Ona musiała to zrobić. — Jej wielkie oczy znowu na niego spojrzały. — Nie miała innego wyjścia.

— Skąd wzięła nóż? — powiedział tak cicho, jak tylko potrafił, wiedząc, że ratownicy ostrzegali przed przedwczesnym zadawaniem pytań. — Simone? Skąd wzięła nóż?

— To był sprawdzian. Chciał się przekonać, czy ma dość odwagi... — ściszyła głos do gorączkowego szeptu. Zaczęła pocierać dłońmi o przedramiona, schowane pod rękawami bluzy. — Opowiedziała mi, co jej robił... Nie uwierzyłbyś. Chyba uważał, że już ją złamał. Że nie odważyłaby się. Nie spodziewał się, że się poważy. Myślał, że ją całkiem przygniół do ziemi, ale czasami... nawet w takim stanie...

Wyciągnęła ręce z rękawów i zacisnęła dłonie w pięści.

— Kiedy już się podniesiesz, jesteś twardszy.



DESZCZ PRZESTAŁ JUŻ PADACĆ, światło ulicznych lamp utknęło w kałużach. Było dość ciemno, żeby mógł zdjąć czapkę — *I <3 London* — byle nadal nie prostował się na fotelu.

Myślał, że kiedy zapadnie zmrok, będzie mógł zobaczyć, co się dzieje w ośrodku, jednak przyczepili coś grubego w oknach i dało się dojrzeć tylko poruszające się cienie w pokojach z przodu.

Nie mógł już dłużej tu siedzieć, nie dzisiaj. Miał parę rzeczy do zrobienia i obiecał się nie spóźnić. Tak wyglądało teraz jego życie: zawsze coś obiecywał, zawsze innym, ale nigdy sobie. Tak jak tutaj. Gdy czekał na szansę, żeby ją dorwać.

Przygryzł palec wskazujący lewej ręki, aż w końcu poczuł smak krwi. W półmroku lamp ulicznych jego dłoń była brzydka, wykręcona jak u staruszka cierpiącego na artretyzm. Zwinął ją w pięść i wyobraził sobie, jak wali nią w twarz tamtej...

To go uspokoiło.

Gniew był jak noworodek; czasami trzeba było pozwolić mu się wykrzyczeć. Kiedy trochę mu przeszło, włożył z powrotem palec do ust i zaczął wysysać krew.

Coś musiał przegapić, kiedy uciekł z zasięgu wzroku policjantów i czekał, aż umilkną syreny. Kiedy karetka zabrała tego wielkoluda. W jego głowie pojawiła się przelotna myśl: *Kim on był? Co się z nim stało?* Jednak tak naprawdę nie miało to dla niego znaczenia.

Liczyło się tylko nieoznakowane mondeo.

Gdy znowu zajechał przed front budynku, właśnie ten samochód zobaczył...

Ktoś przeparkował auto. Znajdowało się w innym miejscu, odwrotnie ustawione. Ten sam pojazd, bo sprawdził rejestrację.

Co, jeśli dotrą do niej, zanim mi się to uda?

Podczas gdy on krył się za rogiem, mondeo gdzieś pojechało i wróciło. Co, jeśli ją przegapił i policja dotarła do niej pierwsza? Przez sekundę ulga wiała się na dnie jego trzewi, jednak zaraz przypomniał sobie, co ta kobieta zrobiła i dlaczego nie mógł jej odpuścić; obietnicę, jaką złożył samemu sobie.

Policja jeszcze nie opuściła ośrodka, co oznaczało, że ona też tam była. Nie odważyłaby się wyjść sama, tego był pewien. Spodziewała się go.

Miał dużo frajdy, pisząc tamten liścik.

Ty pierdolona szmato, jesteś jusz trupem.

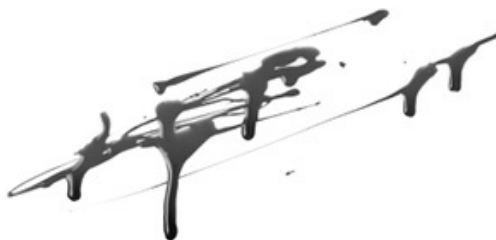
Ściskając długopis w lewej ręce — a raczej tym, co zostało z jego lewej ręki — udawał jakiegoś dupka, który nie znał ortografii, na wypadek gdyby tamta pochwaliła się komuś tą wiadomością. Wiedział, że doskonale zdawała sobie sprawę, kto jest autorem.

Miał nadzieję, że się boi. Miał nadzieję, że sra w gacie ze strachu.

Należało jej się. Za to, co zrobiła.

Należało jej się wszystko, co obiecał jej dać.

Myślisz żeś taka bezpieczna, ale guwno wiesz cipo.



SĄDZĄC PO TYM WSZYSTKIM, co Marnie powiedziała na temat Eda Belloca, Noah wyobrażał go sobie jako niedźwiedzia, potężnego i mięciutkiego. Aseksualnego.

Kiedy wszedł, zobaczył mężczyznę mierzącego niecałe metr osiemdziesiąt. Szczupłego i przemokniętego; krople deszczu spływały mu po twarzy, układając jego ciemne włosy w kształt kwiatów dzwonka. Otrząsnął się na progu ośrodka jak pies, podnosząc rękę w pozdrowieniu w stronę kamery monitoringu.

Noah wpuścił go do budynku i poszedł do najbliższej łazienki po ręcznik.

— Dzięki. — Belloc zaczął wycierać sobie głowę, wyciągając wolną rękę. — Jestem Ed. Sierżant Jake, jak się domyślam.

Jego dłoń okazała się chuda i zimna.

— Mów mi Noah. Może gorącej herbaty?

— Chętnie. Dzięki. — Ed przeszedł do wycierania karku. — Gdzie Rome?

— Właśnie wróciła ze szpitala. Jest w pokoju dziennym.

Rome? Ta poufałość go zdziwiła, ale Ed znał Marnie od lat; a przynajmniej od pięciu, tylu był pewien Noah. Mężczyzna okazał się młodszy, niż detektyw się spodziewał. Wyglądał na trzydzieści kilka, a na jego twarzy malowało się półskupienie studenta w środku sesji. Ubrany też był po żakowsku, w wytarte sztruksy i niebieską koszulę z podniszczonym kołnierzem, którą deszcz zmienił w granatową. Jego bałagan na głowie zaczynał schnąć do koloru ciemnego blondu, a oczy miał brązowe. Wydawał się uroczy na swój nieogarnięty sposób. Noah preferował facetów nieco bardziej ostrych, ale podobało mu się, co Ed robił ze swoim wyglądem. Od bardzo dawna nie widział tak niegroźnie wyglądającego mężczyzny.

Marnie czekała w progu pokoju dziennego, na widok Eda jej twarz złagodniała.

— Dziękuję, że przyjechałeś. Jak było w sądzie?

— Duszno. — Skończył wycierać się ręcznikiem. — Miło było wyjść na świeże powietrze.

Poprawiła jego mokry kołnierzyk.

— Wyglądasz, jakbyś tu przypłynął...

— A więc co się tutaj działo? — Spojrzał ponad jej ramię na pokój, gdzie siedziały kobiety. —

Powiedziałaś, że doszło do incydentu. To nie brzmiało dobrze.

Marnie zaprowadziła obu mężczyzn do biura.

— Jedna z mieszanek dźgnęła swojego męża nożem. Pojawiliśmy się dosłownie sekundę później. Całe szczęście, że Noah był ze mną. Uratował ofierze życie.

Biuro było małym, pozbawionym okien pomieszczeniem. Trzy z czterech ścian okazały się tylko ściankami działowymi, w związku z czym do środka wpadały wszystkie dźwięki z sąsiednich pokoi. Biurko było ledwo widoczne spod stosu brudnych kubków, pustych opakowań po słodyczach i kolorowych magazynów z półnagimi celebrytkami na okładkach.

— O kim mowa? — zapytał Ed.

Marnie usunęła egzemplarz „Heat”, żeby móc usiąść na krawędzi blatu.

— Hope Proctor.

— Nie znam. Jak długo już tu jest?

— Trzy tygodnie.

— Moja ostatnia wizyta była miesiąc temu. — Ed wyglądał na skruszonego.

— Chciałam cię zapytać, jak tu się dba o bezpieczeństwo — powiedziała Marnie. — Wygląda na to, że mąż Hope wszedł tutaj uzbrojony i nikt nie próbował go powstrzymać.

Ed przez sekundę milczał, a potem odparł:

— Wniósł do ośrodka nóż?

— Nikt mu w tym nie przeszkadzał.

— O której godzinie to było?

— O dziesiątej, dzisiaj rano. Drzwi nie były zamknięte na klucz. To normalne w takich miejscach jak to?

— W takich miejscach jak to nic nie jest normalne. — Ed znowu zaczął wycierać kark. — Chciałbym ci móc powiedzieć, że wyszkoleni ochroniarze dbają o bezpieczeństwo dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, niestety w wielu przypadkach nie jest to praktykowane. Na dyżurze *powinien* być wyszkolony personel. Drzwi *powinny* być zamknięte. Są zainstalowane przyciski uruchamiające alarm i powinny działać. Nie powinniśmy z braku środków polegać na pomocy wolontariuszy... — Podrapał się po głowie. — Gdzie jest teraz Hope?

— W szpitalu. Podali jej środki uspokajające. — Marnie zerknęła na Noaha. — Jest z nią sierżant Abby Pike.

— W jakim jest stanie?

— Kiepskim. — Marnie złapała się za kark. — Wstrząśnięta. Czuje się winna. Wypiera ze świadomości to, co się stało. Dziewięć lat była ofiarą męża, w dużej mierze chodziło o znęcanie się na tle seksualnym. Niełatwo się z nią rozmawiało. Nie podobały jej się pytania...

Noah oparł się o ścianę, zbierało mu się na mdłości. To właśnie takiemu człowiekowi uratował życie? Gwałcielowi i sadyście?

— Mimo to czuje się winna — powiedziała Marnie. — Twierdzi, że Leo przyniósł nóż, żeby mogła się bronić. Wyobrażacie sobie?

— Tak, a do tego także wiele gorszych rzeczy — odparł Ed. — A co do niechęci do pytań... Nie bierz tego do siebie. Trzymanie tajemnic daje siłę, nawet ofierze. Rozumiem, że to wbrew intuicji, ale założę

się, że czuła się silniejsza, zanim cokolwiek ci wyznała... — Między brwiami Eda pojawiła się pionowa zmarszczka. — Kto jeszcze był przy tym?

— Simone Bissell. Mab Thule. Tessa Stebbins i Shelley Coates. Ayana. I ich opiekunka, Jeanette Conway.

— Chryste — wydyszał Ed, wyraźnie wstrząśnięty. — Wszystkie to widziały? Sam atak? Mab, Simone i cała reszta?

— Tak.

Ed spędził cały dzień w sądzie, przypomniał sobie Noah. Nic dziwnego, że wyglądał na przybitego.

— Ayana pomogła Noahowi zająć się Leo — oznajmiła Marnie. — Świetnie sobie poradziła. Pozostałe... wydawały się spokojne, w tamtej chwili.

— Wyobrażam sobie. Czyli... na czym stoisz, jeżeli chodzi o zeznania świadków?

— Zeznania mogą jeszcze poczekać. Chcieliśmy najpierw przywrócić im poczucie bezpieczeństwa, zanim zaczniemy zasypywać je pytaniami.

Ed kiwnął głową, wyraźnie poczuł ulgę.

— Dziękuję.

— Powiedz mi, jak to wygląda. Mówiłeś, że macie ograniczone środki?

— Nie tylko tutaj. — Ed oparł się o krawędź biurka, krzyżując nogi. Miał na sobie skarpetki nie do pary, jedną brązową, a drugą granatową. — Wszędzie. Cięcia budżetowe naprawdę nas zabolowały. To przykre, ale ofiary przemocy domowej to łatwe cele. Nie narzekają i nie mają dość siły, żeby walczyć o swoje prawa. To czyni je niewidzialnymi.

— Powiedziałeś, że nie zdążyłeś poznać Hope. W waszej bazie też jej nie było. Zastanawiam się, jak w ogóle tutaj trafiła.

— Zapewne zadzwoniła na infolinię i ją tu wysłali. Wiesz, czy jest z okolicy?

— Nawet bliskiej okolicy. Z samego Finchley. To typowe?

— Czasami. To zależy, jak bardzo się bała, że mąż ją wyśledzi. — Ed podrapał się w kolano. — Wyjaśniła, jak do tego doszło? W sensie, jak tu dotarł.

— Zadzwoniła do niego.

— Ach. — Nie wydawał się zdziwiony, raczej smutny. — To się zdarza.

— Co do kwestii noża — zaczęła Marnie. — Simone i reszta twierdzą, że to w obronie własnej. Wydaje mi się, że taka wersja najbardziej do nich przemawia.

— Noże... noże są przerażające.

Marnie spojrzała na kalendarz ścienny, a potem zupełnie odwróciła wzrok. Ed przyglądał jej się z czułością, a Noah zaczął się zastanawiać, jak naprawdę byli sobie bliscy. Powtórzył w myślach stwierdzenie Belloc, jego ostrożny ton: „Noże są przerażające”.

— Simone mówi więcej niż pozostałe kobiety. Jest przekonana, że Leo dostał to, na co zasłużył, ale to była obrona własna. Panika. — Marnie powiedziała to tak, jakby sprawdzała prawdopodobieństwo tej teorii.

— Simone... — Ed się zawahał. — Ma więcej powodów do strachu przed nożami niż reszta.

Marnie posłała mu pytające spojrzenie, ale on tylko pokręcił głową.

— To nie ja powinienem opowiadać tę historię, ale... traktuj ją łagodnie. Simone nie jest tak silna, jak

się może wydawać.

— Chce się zobaczyć z Hope — powiedział Noah. — W szpitalu.

Na twarzy Eda pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Simone tak powiedziała?

— Zbliżyły się do siebie — stwierdziła Marnie. — Bardzo jej broniła, odkąd się tu pojawiliśmy.

— I jest gotowa opuścić ośrodek? — Ed wytarł kciukiem kroplę deszczu z policzka. — Mógłbym pojechać z wami?

— Do szpitala? Chciałam poprosić, żebyś został tutaj...

— Jeśli tu mnie potrzebujesz, oczywiście, ale najpierw wolałbym porozmawiać z Simone, jeśli nie masz nic przeciwko.

— Pewnie. Hope i tak jest na lekach uspokajających. Mam nadzieję, że znajdzie się dla niej łóżko na weekend. Zaplanowali już rezonans magnetyczny. Z tego, co mówiła Simone, powinniśmy chyba spodziewać się gorszych obrażeń niż te, które znaleźli do tej pory.

Marnie wyprostowała się i ruszyła w stronę drzwi.

— Wiem, że robi się późno i jesteś już zmęczony. Nie oczekuję, że będziesz tu długo siedział.

Ed odparł krótko:

— Zostanę tak długo, jak będzie trzeba.

— Dziękuję. Noah... ty powinieneś już wracać do domu. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy tu sterczeli.

— Jesteś pewna?

— Idź, miej jakieś życie osobiste. Zadzwoń, jeśli będzie coś nowego. — Zerknęła na zegarek. — Nie będzie mnie jutro, chyba że coś się wydarzy w szpitalu.

— Dobra.

Jutro, czyli w sobotę; Noah i tak nie spodziewał się zobaczyć jej w sobotę. O ile, jak to ujęła, nic nie wydarzy się w szpitalu.

— Jakieś plany na weekend? — zapytał Ed, kiedy Noah wyszedł z ośrodka.

Marnie podeszła do okna, żeby odsunąć róg ciężkiej zasłony. Rany nieba już zaschły, zostały tylko strupy i neonowe światła. W Londynie nigdy nie robiło się naprawdę ciemno.

— Zamierzam odwiedzić Stephena. — Pozwoliła kotarze opaść z powrotem na swoje miejsce i odwróciła się do Eda.

Pochylił głowę, szukając czegoś w kieszeni, a przywołał przy tym ducha okresu dojrzewania.

— I jak wam się układa?

— Nie najlepiej, jeśli mam być szczerą. — Starła się mówić swobodnym tonem. — Gdyby to od niego zależało, nie widywałby się ze mną. Jednak zdaniem jego adwokata to będzie dobrze wyglądać, jakby posuwał się do przodu.

— To daleko. — Edowi włosy wpadały do oczu. — Jeśli szukasz towarzystwa na czas podróży...

— Na pewno nie chcesz w ten sposób spędzać weekendu.

— Prawda. Mógłbym zamiast tego obejrzeć powtórki *Buffy* i próbować pobić swój rekord we wpychaniu chipsów do ust.

Uśmiechnęła się do niego.

— No dobra, teraz naprawdę muszę cię ze sobą zabrać. Tylko że ruszamy o siódmej rano.

Myślała, że w ten sposób go zniechęci, ale on tylko kiwnął głową.

— Będę gotowy na czas.

— A jeśli chodzi o Simone... Mówiłeś co prawda, że nie możesz mi powiedzieć, ale Lowell... —

Złożony liścik wciąż znajdował się w jej kieszeni. — Czy on jest częścią tej historii?

Zdziwił się.

— Powiedziała ci?

— Nie Simone, Hope. Podobno Lowell groził Simone.

Oczy Eda zaszyły mgłą.

— Niedawno?

Marnie wyjęła liścik i rozprostowała go, a potem podała Edowi, który przeczytał wiadomość w ciszy.

— Nie ma daty. — Oddał jej karteczkę.

— Nie ma daty — powtórzyła. — Czy to brzmi jak Lowell?

— Z tego, co mi powiedziała? Nie. Ale nie widziałem jego charakteru pisma.

— A gdzie on jest? — zapytała. — W Londynie?

— Tak. O ile nic się ostatnio nie zmieniło.

— Czyli jeśli udało mu się wysledzić Simone... powinniśmy ją przenieść?

— *Jeśli* ją wysledził. — Ed się zawahał. — Nic mi nie powiedziała o liście.

— A powinna? Jako warunek jej pobytu w ośrodku czy żebyś był na bieżąco?

— Nie, nie ma takiego wymogu. Tylko... myślałem, że mi ufa. — Uśmiechnął się słabo. — Odezwał się moje ego. Przepraszam.

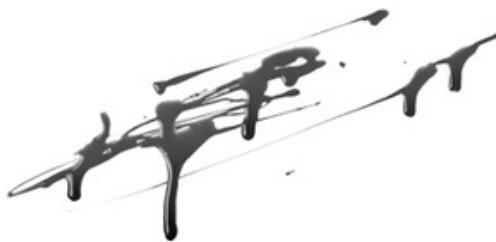
Ed nie miał żadnego ego. A jeśli miał, ona nie widziała na to żadnych dowodów.

— Porozmawiaj z Simone. Ja zadbam o to, żeby ktoś z nimi został na weekend. Przynajmniej wiemy, że ośrodek jest znowu bezpieczny.

Piątkowy wieczór cały zajęty. Nie zostanie już miejsca na wątpliwości co do sobotniej wycieczki.

— Podjadę do ciebie — powiedziała Edowi. — Jutro o siódmej.

— Będę gotowy.



KIEDY WYBIŁA DWUDZIESTA, King's Cross powoli przechodził na ciemną stronę mocy, szykując się do godzin seksualno-narkotyczno-muzycznego szczytu. Na zewnątrz klubu świeciły jaskrawe neony, wewnątrz było pełno ludzi, ale ani śladu Dana Noysa.

Dan wysłał mu wiadomość, że się spóźni. Noah zamówił kieliszek wódki, żeby zacząć noc. Musiał zapomnieć o wydarzeniach minionego dnia. Cały ten ośrodek i życia wykrzywione przez nienawiść i strach... Lustro wiszące za barem odbijało część jego twarzy pośród butelek, szklanek i kieliszków. Wypił wódkę i odwrócił się, żeby rozejrzeć się po klubie.

Muzyka dudniła z głośników, zachęcając pary do tańca. Dwóch mężczyzn wiło się do rytmu, trzymając sobie nawzajem ręce na biodrach. Z dala od parkietu inne pary piły albo rozmawiały, obłapiały się lub całowały. Noah zaczynał się relaksować; tak wyglądała jego wersja normalności, zamiast oglądania telewizji...

Ciepła dłoń spoczęła na jego ramieniu.

— Jesteś... — Dan pocałował go w szyję.

Noah wyciągnął rękę i dotknął twarzy Dana, a potem go pocałował, przelewając na niego swoją ulgę, wdzięczność i czyste pożądanie.

— Wódka? — Dan pukał palcem pustego kieliszek Noaha. Miał na sobie najstarsze džinsy i biały T-shirt, a do tego buty do wspinaczki od Red Chili. — Przecież pijemy tequilę.

Zabrali shoty do ciemnego kąta, gdzie Dan przycisnął Noaha do filaru i wznowił pocałunek, gorączkowo, jakby i on chciał szybko zapomnieć o tym dniu. Cały tydzień zajmuje się artystami i ich wielkimi ego. Czasami wracał do domu jeszcze bardziej przygnębiony niż Noah.

— Nareszcie — wydyszał Dan — pieprzony piątek.

W końcu zabrakło mu powietrza i udał się do baru po następną kolejkę. Potem zlizywali sobie nawzajem sól z szyi i wysysali limonki z ust, aż w końcu wargi Noaha napuchły i zaczęły szczytać.

— Chcecie czegoś mocniejszego?

Noah uniósł wzrok i zobaczył nieznajomego. Koszulka w kratę, kolczyk w brwi, prawa dłoń schowana w kieszeni džinsów.

Noah pokręcił głową.

— Nie, dzięki.

— Na pewno? — Koleś pokazał spoconą dłoń. Foliowa torebka z pigułkami.

Dan posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Tak, na pewno.

Koleś odszedł.

— Całe szczęście, że twoja szefowa tego nie widziała — rzucił Dan.

Noah potarł lepką od limonki szyję.

— Myślisz, że gdzieś teraz imprezuje? — Dan posłał kciuk, wciąż smakujący owocem. — Komisarz Rome?

Noah nie odpowiedział. Nie wiedział, jak Marnie spędza piątkowe wieczory czy weekendy. To nie była jego sprawa.

— No, chyba że jest w *szczęśliwym związku małżeńskim*... — zakpił Dan. — A może wzięła rozwód.

Wygląda na taką, co potrafi dać facetowi popalić.

— Przerzucam się na pepsi, chcesz? — Noah ruszył w stronę baru, nie chcąc znowu rozmawiać o pracy.

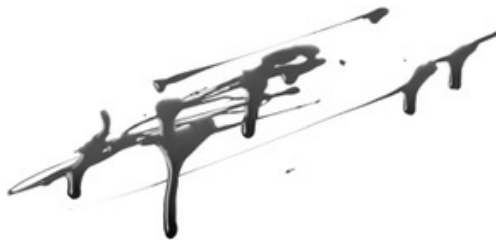
Dan uważał, że tylko szaleniec wybrałby robotę w policji. Nazwał tę instytucję „zdevaluowaną”. A także skorumpowaną, źle opłacaną i prowadzoną nieudolnie przez ludzi o niecznych pobudkach. Do tego jeszcze Noah był pół-Jamajczykiem. Udało mu się nawiązać jakieś przyjaźnie w trakcie szkolenia? Nie, ale nie po to został śledczym, żeby mieć przyjaciół. Chciał w ten sposób coś zmienić. W życiu takich ludzi jak Ayana Mirza, która walczyła o życie Leo Proctora, chociaż był obcy i prawdopodobnie bił swoją żonę, i w żadnym wypadku nie zasługiwał na ratunek.

Po drugiej stronie pomieszczenia koleś oferował pigułki innej parze. Może Noah powinien zastanowić się jeszcze nad swoją definicją normalności.

Zdziałali coś, on i Ayana. Zwiększyli szansę na przeżycie Leo Proctora. Ale co z kobietami z ośrodka, co z samą Ayaną?

Czy Noahowi udało się wpłynąć jakoś na bezpieczeństwo dziewczyny w tamtym miejscu z nową plamą na dywanie i dziurą w dachu? Jak bezpiecznie się czuła dokładnie w tej chwili? Kiedy Noah zamawiał pepsi w klubie pełnym ludzi, dla których „nieznajomy” oznaczało szansę na seks bez zobowiązań, bez wyrzutów sumienia...?

Jak bezpieczne były Ayana Mirza i nieznajome kobiety, z którymi mieszkała pod dziurawym dachem w Finchley?



DESZCZ ZOSTAWIŁ ślady oddechu na wewnętrznych stronach okien ośrodka. Simone wyciągnęła rękę i włożyła ją pod zasłonę, żeby dotknąć szyby. Była zimna, twarda i śliska. Rozczapierzyła palce, przyciskając je do mokrej powierzchni, zastanawiając się, jak musi wyglądać z ulicy. Dłoń bez ciała; zasłona skrywała resztę.

Czy samochód ciągle tam stał i czekał?

Widziała go, kiedy policja zabrała Hope: zaparkowane auto z włączonymi wycieraczkami, wyganiającymi deszcz z przedniej szyby.

Ktoś tam był i ich obserwował. Zawsze ktoś taki był. Simone bała się o Hope. Lepiej nie opuszczać ośrodka, nie samemu. A najlepiej w ogóle.

Zabrała z powrotem rękę i zaczęła przyglądać się mokrym śladom. Nie umyła się jeszcze. Krew Hope wyschła między palcami. Może zresztą była to krew Leo? Simone podniosła dłoń i powąchała. Deszcz miał metaliczny zapach, jak wiadro albo pocisk. Przyłożyła czubek języka do skóry między palcami — ledwie dotyk, dla smaku — i już wiedziała, że to krew Hope. Była zbyt słodka, by należeć do mężczyzny. Simone odwróciła się od zimnego okna i zobaczyła płaski kształt łóżka.

Pokój Hope był niemal zupełnie pusty. Simone chciała wejść tu jako pierwsza po tym, gdy zabrali jej przyjaciółkę do szpitala. Chciała chronić jej przestrzeń, te kilka posiadanych przez nią przedmiotów. Ubiegł ją policjant, szukając wzrokiem, rękami — czego? Kolejnego noża?

Skąd wzięła nóż, Simone?

Powiedziała detektywowi, że to był sprawdzian. Że Leo nie sądził, by Hope starczyło odwagi...

Leo roztrzaskał Hope na tysiąc kawałków, Simone była tego pewna. Hope jej powiedziała, nie wszystko, ale dosyć. Nawet gdyby nie odezwała się ani słowem, Simone i tak by wiedziała. Wiedziała, że dach przecieka, jeszcze zanim pokazały się pęknięcia i długo przed tym, jak deszcz wyrwał w nim dziurę.

Złamane rzeczy były jak stłuczone lustro; dawały szczególny rodzaj światła, jak... to jak zobaczyć swoje odbicie w wiadrze mleka, które skwaśniało od burzy.

Simone wiedziała, że Hope jest w kawałkach, jeszcze zanim zamieniły choć słowo. W ciemności, w tym pokoju, podała jej swoje ręce, by mogła je potrzymać. W milczeniu, siedząc obok siebie, nasłuchując ciszy. Swojej i jej.

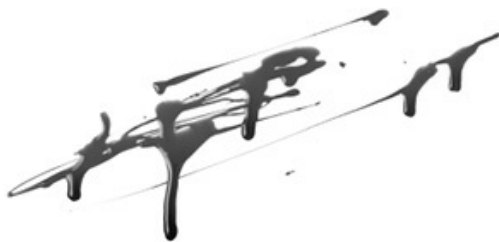
Wszyscy inni zadawali pytania. Simone miała już dość pytań. Z Hope było inaczej. Zupełnie jakby wiele lat temu wrzuciła kamyk do studni i teraz — zaraz — miała usłyszeć plusk. Daleko w dole, w mroku. Jednak jeszcze nie w tej chwili. Nie, dopóki cisza z nimi nie skończy.

Cisza przynosiła ukojenie. Kiedy siedziała tak, trzymając się z kimś za rękę, nie mówiąc nic, lecz *wiedząc...* Simone czuła, że się leczy. I Hope też.

Powiedziała to temu policjantowi. Powiedziała, że Leo skrzywdził Hope. I że kiedy skrzywdzony człowiek się podnosi, staje się twardszy.

Zacisnęła palce w pięść, powoli, chowając wilgoć z okien w zagięciach dłoni.

Staje się twardszy.



Pięć lat wcześniej

W SĄDZIE jest gorąco i duszno. Co pół godziny z prymitywnej klimatyzacji wydostaje się zimny powiew, żeby podgryzać jej kostki, zanim zginie w żarze.

Stephen siedzi ze zwieszoną głową, na ramionach dźwiga brzemień cienia. Adwokat nauczył go, jaką pozycję przyjmować. „Wzrok spuszczone”, doradzali. „Wyglądaj żałośnie”, podpowiadali. Właśnie to powiedziała mu Marnie, gdyby była odpowiedzialna za jego obronę. Oczywiście nie jest. Pojawiła się tutaj, jak to ujął oskarżyciel, żeby patrzeć, jak sprawiedliwości staje się zadość. Cokolwiek to znaczy. Kiedyś wiedziała albo myślała, że wie.

Chcą, żeby opowiedziała przed tłumem obcych ludzi, jak się czuje po tym, co on zrobił. Odmówiła, bo co niby miała powiedzieć?

„Dzisiaj czuję ból w głowie, nad lewym uchem. Da się tam wbić nóż, jeśli się ma dość siły. On dźgnął mamę właśnie w tym miejscu. Nie wiem dlaczego”.

Gdyby postanowiła zeznawać w sądzie, powiedziała by: „Nie wiem dlaczego. Chcę wiedzieć dlaczego”.

Nie pozwolą jej zadać tego pytania. Zamiast tego spodziewają się, że rozbierze się do naga i pokaże z każdej strony. Że się rozpłacze. Że opowie, jak bardzo zmieniło się jej życie, jak niewiele jej zostało. Nie pozwolą jej zapytać, dlaczego to zrobił.

Cała reszta — wszystko, co jej wolno — to zwyczajnie kolejna krzywda z jego ręki. A niech ją diabli wezmą, jeśli pozwoli, żeby sypał sól w tę ranę, nie odpowiadając na pytania.

Dzień po dniu siedzą tam, w tropikalnym żarze sali sądowej, jak jaszczurka i szarańcza albo wąż i mangusta. Nie zamierza przyjmować roli ofiary, nawet jeśli miałoby to pomóc oskarżeniu. „Ława przysięgłych musi zobaczyć, co on zrobił”, mówili. „Pokaż im, co zrobił”.

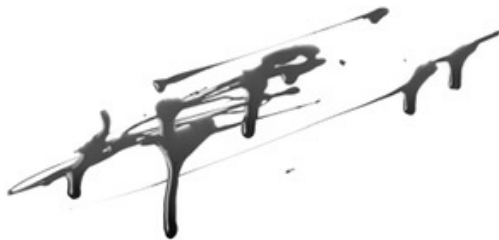
Ławnicy widzieli zdjęcia i twarz patologa. Marnie spodziewała się, że mężczyzna będzie umiał lepiej skrywać emocje. Widziała wzrok ławników, ich grymasy i skrzywienia. *Mnie im nie dacie*, myśli.

Nie zamierza mówić o tym, jak bardzo ich kochała, jaką pustkę po sobie zostawili. Jeśli mu to da, on wróci do celi, żeby się tym napawać albo się tego bać. Już dość im zabrał z życia. Więcej mu nie odda.

Kiedy zapada wyrok, nie przynosi ani ulgi, ani szoku. Marnie nie rozumie, jak mogłoby być inaczej,

choć na schodach sądu zawsze jest pełno rodzin ofiar; płaczą albo się wściekają, wdzięczni bądź też rozczarowani wynikiem. Ona nie widzi w wyroku żadnego ostatecznego wyniku, żadnego końca. „Winny” nic nie oznacza, jeśli on ma spuszczone głowę i nikt nie mógł przyjrzeć się jego oczom, żeby wiedzieć, czy jest wdzięczny czy wściekły. Gdy go zabierają — wtedy jest inaczej. Wtedy ona ma ochotę skoczyć i jednym susem pokonać dzielącą ją i Stephena odległość. Żeby ich powstrzymać; żeby go nie wyprowadzali, nie zamykali, nie stawiali muru między jej pytaniami a jego odpowiedziami.

Co oni ci zrobili? Czy w ogóle coś zrobili, cokolwiek? Czy problem tkwił tylko w tobie, Stephen? W twoich węzowych oczach i wzroku szarańczy? Czy problem tkwił tylko w tobie?



Teraz

DOM POPRAWCZY Sommerville znajdował się na granicy Bristolu i Mendips. Spacerniak miał raptem dwadzieścia metrów kwadratowych powierzchni wylanej asfaltem, gdzie parszywa taśma odgradzała truchło boiska do piłki nożnej. Wszędzie indziej widziało się stal i szkło, gładkie powierzchnie odbijały promienie słabego słońca.

Godzina dziesiąta, sobotni poranek. Marnie zostawiła Eda na parkingu, żeby rozprostował nogi po długiej podróży. Miał termos z kawą i gazety.

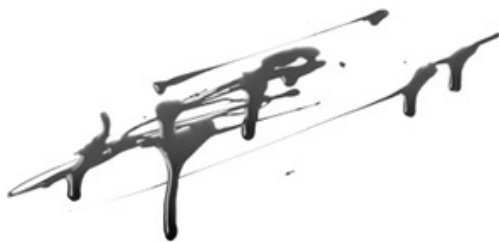
Marnie zadzwoniła do szpitala o siódmej, dopytując o Leo i Hope. Niczego nowego się nie dowiedziała. Leo pozostawał nieprzytomny, Hope zaś czekała na rezonans. Towarzyszyła jej sierżant Abby Pike, cały czas czuwając.

— Jeszcze chwila. — Strażnik odprowadzający Marnie zatrzymał ją tuż przed szklanymi drzwiami wejściowymi, mogła zobaczyć swoje odbicie w szybie. Kosmyk włosów wyswobodził się z koka zwiniętego tuż nad karkiem. Szybko odgarnęła go za ucho dwoma palcami. Szyba niezbyt korzystnie pokazywała jej odbicie, podkreślając każdy cień i każdą zmarszczkę. Kolejne wizyty w tym miejscu sprawiały, że Marnie czuła się staro.

— Dobra, można wchodzić. — Strażnik otworzył drzwi i przytrzymał je, wpuszczając Marnie do środka.

Znalazła się w kwadratowym pomieszczeniu wyłożonym wykładziną jak stężały ocean plam, który emanował drażniącym gardło zapachem.

— Marnie Rome — odparła na pytanie wyraźnie znudzonego strażnika. — Chciałam się zobaczyć ze Stephenem Keele'em.



TYLKO JEDEN WIĘZIEŃ w pokoju widzeń, siedzący przy metalowym stole pod paskiem sufitowego światła, które wyzerowało ze wszystkiego kolor.

Marnie zajęła miejsce po drugiej stronie tego stołu. Wszystkie meble były przykręcone do podłogi na wypadek potencjalnych bójek.

Zaś naprzeciwko komisarz...

Stephen Keele pachniał wodą i mydłem, z pikantną, metaliczną nutą: więziennymi perfumami. Patrząc na jego cerę, można by pomyśleć, że ostatnie pięć lat spędził w swoim pokoju bez dostępu do światła słonecznego, jednak on od zawsze był blady.

Marnie pamięta ich pierwsze spotkanie. Wydał jej się wtedy dziwnie opanowanym ośmiolatkiem z twarzą starotestamentowego anioła. Czarne loczki, niebieskie oczy i pełne usta naokoło małych, równych zębów. Poprawczak go nie zmienił, a przynajmniej nie było tego widać. Stephen miał dziewiętnaście lat i od pięciu odbywał karę za podwójne morderstwo.

Siedział prosto na krześle, światło wybielało jego ramiona. Marnie zastanawiała się, co ten szary dres skrywał. Czy Stephen, jak Hope Proctor, wyrządzone mu krzywdy zachowywał dla siebie? Albo wyrządzone innym przez niego? Trzymał ręce poza widokiem, pod stołem.

— Przywiozłam ci książkę. — Położyła ją na blacie. — To zbiór opowiadań. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Nie dotknął tomu. Marnie czekała, aż na nią spojrzy, jednak on wciąż wpatrywał się w ścianę za jej głową.

— Jeremy mówi, że lubisz czytać. — Dotknęła książki palcem. — To jedne z moich ulubionych tekstów.

— Jeremy — powtórzył. Jego głos pozostał taki sam. Niski, precyzyjny. Nie pasował do nastoletniego chłopaka. Raczej do trzydziestolatka. Nadal nie chciał na nią spojrzeć.

— Jeremy Strickland. Twój adwokat.

Stephen przechylił głowę na lewą stronę, jakby jej nie słyszał.

Nigdy wcześniej nie miał problemów ze słuchem.

Znowu urósł o kilka centymetrów. Jako ośmiolatek był chudy i pewnie nigdy by się nie roztył, o ile nie zacząłby jadać według panującej tu diety wysokowęglowodanowej. W tej chwili był szczupły,

z zaokrąglonymi biodrami i ramionami. Nadal miał też anielską twarz i pełne usta.

Czekała, aż sięgnie po książkę, a przynajmniej zwróci na nią uwagę. Nie doczekała się.

— Jak się czujesz? — zainteresowała się, próbując powstrzymać się na razie od innych pytań.

Ktoś gdzieś w budynku kopał piłkę; jałowy, powtarzający się dźwięk, jak skóra waląca w skórę.

Marnie spojrzała na drugą stronę stołu, na chłopaka, który zabił jej rodziców.

— Zapytałam Jeremy'ego, czy mogłabym ci coś przywieźć. Powiedział, że raczej nie, bo chyba masz już wszystko, czego potrzebujesz.

Powoli, bardzo powoli, niczym pająk spuszcający się z pajęczyny, oczy Stephena zwróciły się ku Marnie. Wyciągnął ręce spod stołu i sięgnął do kieszeni.

Każdy ruch był przemyślany, precyzyjny. W jego dłoniach znalazły się okulary, założył je. Cienkie, złote oprawki podkreślały delikatność jego nosa. Plama białej farby wyschła w rogu prawej soczewki. Podstawą kciuka przysunął zbiór opowiadań do siebie, patrząc znad złotych oprawek na okładkę. Potem znowu na nią.

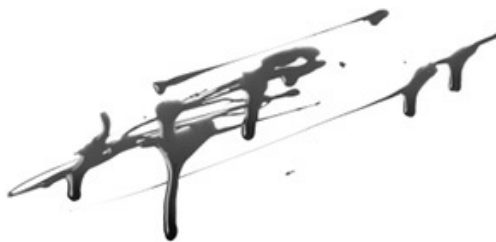
— *Przed oczami miałem niebo* — powiedział, a każde słowo skapywało z jego języka jak zaprawiony miód. — *Było błękitne i złote*^[1].

Nie mogła zaczerpnąć powietrza, szok przegonił z niej całe ciepło. Cały świat straty w jednym spojrzeniu i garstce słów, których nie mógł znać, których *nie powinien* znać, o ile...

Widział ją. Lata temu. Zanim rozszarpał jej rodzinę na strzępy.

Widział ją. Nago.

^[1] Cytat z „Obcego” Alberta Camusa, tłum. Maria Zenowicz.



ŚWIATŁO SŁONECZNE było jak uderzenie w twarz.

Ed stał przy samochodzie i popijał kawę z termosu. Marnie minęła go i podeszła do drzwi od strony kierowcy, a potem wsiadła i odpaliła silnik. Ed wskoczył na fotel pasażera.

— Rome?

Skreśliła, koła zaszurały, ruszyła w stronę wyjazdu. Sommerville było jednym wielkim kłamstwem. Wszystko było tu kłamstwem, i wszyscy. Jechała w gęstej od gniewu ciszy, próbując pozbyć się adrenaliny przez palce, kierownica trzęsała się pod jej dotykiem.

— Rome? — Świeża plama kawy wykwitła na rękawie Eda.

Zwolniła i zaczęła pilnować prędkości, wciskając gniew z powrotem do skrytki.

Nie chciała przyznać, że wizyta u Stephena była błędem. Jeśli to prawda, to popełniała ten błąd raz za razem przez trzy lata. Było już za późno, żeby przestać.

Kiedy dotarli do autostrady, wybrała pas do wolniejszej jazdy, zajmując miejsce za przyczepą do przewożenia koni. Z wentylacji poleciał zapach tych zwierząt, taki jesienny. Przypomniała sobie bransoletkę z koralikami, prezent od mamy. Jeden z koralików miał kształt srebrnej podkowy. Marnie kiedyś trzymała ją w pudełku w swoim pokoju. Teraz nie miała pojęcia, co się stało z pudełkiem i bransoletką.

— Stephen nic nie zmienił w moim pokoju — powiedziała. — Nawet jednej rzeczy, przez całe sześć lat. Weszłam tam, gdy go aresztowali. Moje plakaty wciąż wisiały na ścianach, moje rzeczy leżały w szafkach. Niektóre z jego ubrań wisiały w szafie, ale poza tym? Pokój wyglądał dokładnie tak samo. Wystraszyło mnie to. Pamiętała, jak ją zmroziło, gdy stanęła w progu pomieszczenia, które należało do niej przez osiemnaście lat, spodziewając się, że go nie rozpozna, że będzie zupełnie inne. W końcu teraz należało do czternastoletniego chłopca. Czternastoletniego mordercy. Tylko że wcale tak nie było. To był nadal jej pokój, dokładnie taki sam, jakim zostawiła go, wyjeżdżając do college'u.

— Myślałam, że go przerobią jeszcze przed jego przeprowadzką. Oczywiście wcześniej nie był różowy i uroczy, w końcu należał do chłopczycy. Ale myślałam, że chociaż go opróżnią, przemalują. Mama mówiła, że czekają, aż Stephen wybierze kolor. Najwyraźniej nigdy się nie zdecydował.

— Jak on się czuje? — zapytał Ed.

— Tak samo. — Spojrzała w lusterka wsteczne. — Nic się nie zmieniło.

Więzienie zmienia ludzi. To założenie było jednym z filarów jej pracy. Musiała wierzyć, że ludzie w więzieniu się zmieniają. Jednak nie Stephen Keele.

— Miał okulary taty. — Szarpnęła kierownicą, gdy jakiś samochód próbował ją wyprzedzić. — Musiał je mieć przez cały ten czas.

— Jesteś pewna? — Ed wahał się, próbując wyczuć jej nastrój. — Wiele par okularów wygląda identycznie...

— Te należały do taty. Na szkle była biała farba. Kiedyś dotknął ich brudnymi palcami podczas malowania wanny. — Mocno ścisnęła kierownicę. — Stephen... założył je. Spojrzał na mnie tak, jak kiedyś tata, kiedy miał coś trudnego do powiedzenia.

Nie powtórzyła Edowi tego, co usłyszała od Stephena, gdy patrzył na nią przez okulary ojca. Słów, które dowodziły, że widział ją bez ubrań, nawet bez bielizny. Wiedział, jak Marnie wygląda. Poznał sekret, który ukrywała przed wszystkimi. Miała ochotę zerwać mu okulary z twarzy i powalić go na ziemię. Wrzeszczeć i szarpać, zniszczyć tę anielską twarz, odesłać go z powrotem do celi — jego *prywatnego pokoju* — z krwią w oczach.

— Wiedział, co robi — powiedziała Edowi. — Tam, przed chwilą. I wtedy też, kiedy miał czternaście lat. *Wiedział*. Niektóre dzieci rodzą się... stare.

Ed dotknął jej łokcia, jakby chciał przejąć jej gniew, żeby poluzowała chwyt na kierownicy.

— Przed nami stacja benzynowa. Zatrzymajmy się na kawę. Ja stawiam.

— Lunch na stacji benzynowej? Nie szalej.

Mimo to zjechała, zostawiając konie bez eskorty.

Lunch składał się z burgerów z frytkami i sokiem pomarańczowym, który wyglądał całkiem niezłe. Marnie odkręciła butelkę. W kącie grał i błyskał światłami szereg automatów do gier. Przy stole pod oknem czteroosobowa rodzina z mechaniczną koncentracją wsuwała jedzenie do ust, jakby miało im to oszczędzić obowiązku rozmawiania ze sobą.

Na niskim suficie brzęczały jarzeniówki.

Wróciło do niej wspomnienie, surowe i wyraźne, jak znalazła czytaną przez ojca książkę na krześle w pustym domu. Sięgnęła po nią. Przycisnęła kciukiem miejsce, w którym skończył, aż palec zrobił się ciepły od przepływającej krwi.

Ed nie pytał, czy Marnie chce pogadać. Zamiast tego zachęcał ją do posiłku. Miał rację; potrzebowała kalorii. Patrzyła, jak posypuje frytki dodatkową porcją soli. Niesamowite, że pozostawał szczupły, a jego skóra nie przypominała kolorem surowej bułki do burgera. Lubiła go, może nawet więcej niż lubiła. To jednak nie powstrzymywało jej przed zastanawianiem się, czy wybrała go na przyjaciela ze względu na jego zawód. Biuro wsparcia ofiar przemocy. Nienawidziła myśleć o sobie w ten sposób, jak o ofierze. Widziała, co zrobił Stephen, a przynajmniej tyle, ile pozwolili jej zobaczyć. Plamy na płytkach, podłodze i ścianach. Nie próbowała chować się przed tym, przekonując samą siebie, że z czasem będzie łatwiej. Łatwiej na niego patrzeć, łatwiej spędzać z nim czas. Łatwiej dotrzeć do prawdy o tym, co zrobił. Zamiast tego miała coraz większe trudności. Może potrzebowała Eda, nie tylko jako kolegi z pracy czy przyjaciela, ale też psychologa.

— Chciałam jak najszybciej stamtąd uciec.

— Mówisz o Sommerville? — zapytał Ed.

— Nie, o domu rodziców. Chciałam jak najszybciej się stamtąd wyrwać, pokazać, że potrafię poradzić sobie lepiej niż oni. Nie chodziło tylko o ambicję — bawiła się butelką soku — naprawdę wierzyłam, że jestem więcej warta. Kiedy powiedzieli, że Stephen się wprowadza... Zrobiło mi się go żal. Bo musi mieszkać w tamtej zapyziałej dziurze. W tamtym domu.

— Każdy osiemnastolatek tak myśli, kiedy opuszcza rodziców.

Zgarnęła włosy z czoła.

— Nie wiem, co robię, Ed. Co ja robię?

— Przechodzisz... przechodzisz pewien proces. Próbujesz znaleźć wyjście.

— Naprawdę? Kiedyś myślałam, że próbuję pogodzić się z tym, co zrobił, może nawet na tyle, by mu wybaczyć. — Pokręciła głową. — Ale to chyba głównie prawda. Może tak naprawdę chcę patrzeć na niego w tamtym miejscu. Wiedzieć, że tam utknął. Że odbywa karę.

— To w ogóle do ciebie niepodobne, Rome. — Ed pochłonął kolejną frytkę. — Ale dobra, załóżmy, że naprawdę tego chcesz. Co w tym złego?

— Nigdy się od tego nie uwolnię. Jeśli tego rzeczywiście pragnę... Równie dobrze mogę zostać z nim w więzieniu, w celi obok.

Ed zlizął sól z palców, koncentrując się na tym zadaniu. To pomagało. Zachowywał się, jakby nie działo się nic szczególnego. Dzięki temu nie odpływała myślami gdzieś dalej.

— Powinam ci za to płacić — powiedziała.

Spojrzał na jej talerz, jakby miała na myśli jedzenie.

— Ja stawiam, pamiętasz?

— Chodziło mi o terapię. Odwalasz nadgodziny za darmo.

— Hej. — Uśmiechnął się do niej. — Robimy, co możemy, dobra?

Dokończyła sok i zakręciła pustą butelkę.

— Opowiedz mi o kobietach z ośrodka. Opowiedz mi o... Mab. Kiedy ją pierwszy raz spotkałeś?

— Kiedy byłem jeszcze żółtodziobem. Była w pierwszym ośrodku, do którego mnie wysłano. — Ed wykrzywił usta w uśmiechu. — Zaparzyła mi herbaty w najlepszej zastawie i przez długie godziny mówiła o bombardowaniu Londynu, o ludziach, których poznała, żyjąc na ulicy... W końcu opowiedziała mi o mężczyźnie, za którego wyszła. To był amerykański kaznodzieja. GI Joe z Biblią w ręku. — Jego uśmiech zniknął. — Bił ją w ramach pokuty za swoje grzechy. Mieli syna, identycznego jak ojciec. Kiedy skończył trzynaście lat, też zaczął ją bić. Z czasem uwierzyła, że na to zasłużyła... albo nie tyle *zasłużyła*, co nie może tego uniknąć. Powiedziała mi raz, że słyszy w sobie tykanie. Że jest groźnym niewypałem. Wierzy, że przemoc jest w niej i nie ma przed nią ucieczki.

Starł z twarzy smutny grymas.

— Próbowała robić wszystko, czego od niej wymagano. Wyszła za męża, chodziła na nabożeństwa, urodziła dziecko. Wszystko zaprowadziło ją w to samo miejsce: do przemocy. O wielu rzeczach w ogóle nie chciała mi powiedzieć. Mab potrzebuje... potrzebuje swoich sekretów. Jakiegoś skrawka życia, który należałby tylko do niej. Czy to ma sens?

— Tak. To miało sens, nie tylko w oczach Mab.

— Pokazała mi kilka rzeczy, które udało jej się uratować z bombardowania. Takie pierdółki jak

przedawnione kupony, fragmenty biżuterii. Nic cennego, nie licząc wartości sentymentalnej.

Marnie wpatrywała się w jego twarz, gdy mówił, obserwowała błyszczącą w oku sympatię, usta przybierające kształt.

— A co z Simone? Rozmawiałeś z nią o liście z pogrózkami?

— Nie, o tym nie. Była zbyt zdenerwowana Hope. Cieszę się, że znalazła przyjaciółkę... Nauczyły mnie cierpliwości. Mab i reszta. Wracają do znęcających się nad nimi mężów, wycofują oskarżenia. Odmawiają zeznań. Innymi słowy, upadają. Nie można się na nie złościć. Wszyscy inni to robią.

— Zakłęty krąg przemocy. Czy nie tego uczą? Przemoc, przebaczenie, więcej przemocy...

— Tak się czasami dzieje, tak.

Tak właśnie to wyglądało w przypadku Stephena Keele'a. Mimo że nigdy nie podniósł na nią ręki, Marnie czuła się posiniaczona po każdej wizycie w poprawczaku, emocjonalnie poobijana; nieustannie napawał się tym, co zrobił, a ona i tak wracała po więcej. Nie wybaczała, nie, ale wracała. Dlaczego? Dlaczego tak trudno jej było zostawić go, żeby tam zgnił?

— Obiecałam — powiedziała Edowi — że będę mieć na niego oko.

— Komu? Rodzicom?

Kiwnęła głową.

— Rozmawialiśmy o tym, ile oni mają lat, a ile on. Mama nie mogła znieść myśli, że zostanie sam, jeśli oni zachorują. Albo kiedy będą już za starzy, żeby się nim opiekować.

— W takiej sytuacji nie spodziewaliby się, że dotrzymasz obietnicy.

— Pewnie nie. Ale kto wie? Jeśli czegoś mnie nauczył, to właśnie tego, że tak naprawdę ich nie znałam. Nie miałam pojęcia, że potrzebują się kimś zajmować, żeby czuć się wartościowo.

To najtrudniej było jej wybaczyć: że Stephen pokazał, jak bardzo obcy są dla niej jej rodzice. Wszystkie szczęśliwe wspomnienia zostały bezpowrotnie zniszczone, ponieważ kim byli? Parą, która przyjęła chłopca z problemami, by hojnie obdarzyć go miłością? Nie znała tej pary. Stephen wymazał całe jej dzieciństwo. Marnie odstawiła pustą butelkę po soku na tłusty blat stołu.

— Wiesz, jako dziecko świetnie potrafiłam ocenić charakter człowieka.

— Wciąż potrafisz — odparł Ed.

— Może w pracy, gdy mam dobry dzień. Wtedy jednak... byłam bardzo podejrzliwa, zawsze wiedziałam, kiedy ktoś sobie ze mnie kpi albo traktuje mnie z góry. — Nieświadomie zaczęła pocierać skórę na żebrach. — Ale jego... zupełnie się tego nie spodziewałam. Nie spodziewałam się nawet kłótni, a co dopiero... czegoś takiego. Wywoływało w niej to wściekłość, nawet po tylu latach. Ta jej ślepotą.

— Nikt się tego nie spodziewał — powiedział Ed. — Nic nie mogłaś zrobić.

— Kiedy mówiłeś o cierpliwości wobec Mab i innych... Myślisz, że może mi jej zabraknąć?

Ed już miał podnieść rękę w proteście, ale się wstrzymał.

— Może. — Zaczerpnął ostrożnie powietrza. — One nie są... one nie są takimi ofiarami jak ty. One nie walczyły. One trzymają głowę nisko, chowają się w cieniu.

— Ja jestem innego rodzaju ofiarą? — To bolało. Był zbyt blisko jej najgorszego koszmaru: stygmatu ofiary. — Myślisz, że ja nie chowam się w cieniu? — ściszyła głos do szeptu. — Ostatnie pięć lat spędziłam w mroku i... Wiem już wszystko o cieniach. O spuszczeniu głowy i ukrywaniu się.

Ed zamarł i czekał, aż Marnie skończy. A potem powiedział bardzo cicho:

— Ty odzyskałaś kontrolę. Stałaś się silniejsza i porzuciłaś rolę ofiary. Właśnie to miałem na myśli. Z jego twarzy odpłynęła cała krew.

— Może — zgodziła się. — Może na wierzchu. *Ale nie pod skórą. Mógłbyś mnie przeświecić i znalazłbyś we wnętrzu mrok.*

— Wtedy jakoś sobie dawałam radę. Nawet po tym, jak zobaczyłam dom i zidentyfikowałam ciała... Jakoś parłam do przodu. Zostałam komisarzem w wieku trzydziestu trzech lat.

Pracowała długo i ciężko. Wyrabiała szalone nadgodziny i brała się za najtrudniejsze sprawy. W aktach znajdowała ocean otuchy; nie przeszkadzało jej nawet, gdy zacięła się papierem.

Przynajmniej mam pracę. Zadanie. Powtarzała to jak mantrę. Timowi Wellandowi bardzo to pasowało. I jej też, a przynajmniej tak jej się wydawało. Dystans. Odrętwienie. Problemy innych ludzi.

— Zostałam karierowiczką. Wredną suką. No, chyba nie muszę ci tego mówić. Złotym dzieckiem Wellanda. Jego pogromczynią smoków.

— To niesamowite, co potrafimy znieść, kiedy zajdzie taka potrzeba.

— A jednak nie można wiecznie przed tym uciekać. To coś nas dogania i się mści.

— Prawie zawsze — zgodził się Ed. Przesunął swoją tacę minimalnie w prawo, jakby chciał oczyścić przestrzeń między nimi, tworząc miejsce na jej wyznanie.

— Gdybym ci powiedziała, że byłam przerażona... — zawahała się, czekając, aż mężczyzna w pogniecionym garniturze minie ich stolik. — Wtedy, pięć lat temu. Każdego dnia. *Przerażona.*

— Uwierzyłbym.

— Dostrzegalesz to? Myślałam, że całkiem nieźle to ukrywam.

— Bo to prawda. — Ed opuszką kciuka śledził wzór na blacie. — Ale... znałem cię przedtem.

Przedtem.

Rzadko kiedy myślała o swoim życiu sprzed Stephen'a Keele'a. Większość ostatnich pięciu lat spędziła na unikaniu patrzenia w tamtym kierunku. Parła do przodu, jakby drogę za nią odcięła lawina. Tylko długi, kręty tunel przed nią, który trzeba pokonać — jak jej się wtedy zdawało — czołgając się na brzuchu, z latarką w zębach.

— A jednak dotarłam. — Zakręciła pustą butelką na stoliku. — Dotarłam.

— Prawda. — Ed, wyczulony na takie uwagi, nie zastanawiał się nawet sekundy.

Pierwszy raz się na to zdecydowała, na rozmowę z Edem o uczuciach.

— Mam jego zeszyty ze szkoły. Myślę, że można je traktować jak pamiętniki. Myślałam, że kryją jakieś wskazówki, odpowiedzi. Poprosiłam Kate Larbie, żeby na nie spojrzała. Spotkałam ją na kursie samoobrony, Kate zawodowo analizuje dokumenty. Myślałam, że coś tam znajdzie. Gdyby tylko dało się to rozszyfrować...

— Dało się? — zapytał Ed.

— Nie. Za jej plecami grupka podróżnych walczyła o miejsce w kolejce po kawę.

Ed się zawahał.

— Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać, kiedy tylko zechcesz.

Uniosła kąciuki ust, oszczędnie dozując uśmiech.

— Przegapiłam czas terapii. Właściwie to nieprawda. Chodziłam na terapię dwa razy w tygodniu przez pół roku. — Sześć zmarnowanych miesięcy; zaczęła się lepiej czuć dopiero po rozpoczęciu kursu

samoobrony. Ktoś powinien powiedzieć psychologom z policji, żeby fundowali zajęcia z kick-boxingu.

— Nie chodziło mi o to, że możesz się do mnie zgłosić na terapię — odparł Ed. — Jestem też twoim przyjacielem. Mam nadzieję.

Marnie ukradła mu frytkę.

— Jesteś jedyną osobą, z którą o tym rozmawiałam. Mój szef twierdzi, że już tylko odwiedzając Stephen'a, wkładam rękę do ognia.

Ed zaczął mówić bardziej swobodnym tonem, dostosowując się do zmiany w nastroju Marnie.

— Ciekawa metafora. Domyślam się, że Welland to ten typ człowieka, który narzeka na rodzinne święta.

— Lubi mosty i stare samochody. Uwielbia alvisy.

— Aha. — Ed wydawał się speszony. — Nie rozumiem samochodów. Nigdy nie nauczyłem się prowadzić.

— Nie śpieszy się. Ile masz lat? Trzydzieści cztery?

— Tak dobrze zgadujesz czy sprawdzałaś mnie? — Jego oczy błyszczały. — Jestem Strzelcem, jeśli interesują cię takie rzeczy. Ayana twierdzi, że to czyni mnie ekstrawertykiem. Co szczególnie widać po tym, jak spędzam weekendy, pożerając chipsy i oglądając powtórki *Buffy*.

— Teraz jesteś tutaj.

— Ano.

— Cholera, Belloc. Dobry w tym jesteś.

— W czym?

— Trzymaniu ludzi za rękę bez wprawiania ich w zakłopotanie. — Marnie obrzuciła go taksującym spojrzeniem. — To pewnie przez ten bałagan na głowie. — Wyciągnęła dłoń, żeby strzepnąć kawałek sałaty z jego grzywki. — Albo szyk fast foodu.

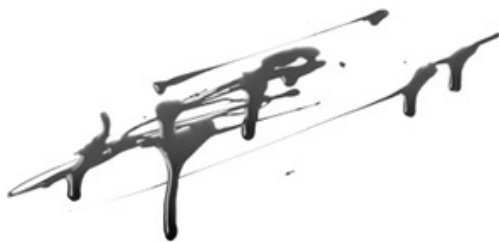
Ed spuścił głowę nad talerz. Czy on się *zarumienił*?

— Nie ma sprawy — odparł.

— *Znajomi z pociągu*, taki tytuł miała książka, której mój ojciec nie zdążył doczytać.

Na piętrze, w ich sypialni, znalazła na wpół skończony szalik w różnych odcieniach zieleni. Z mięciutkiej wełny. Morska zieleń i mech, i bluszcz.

Marnie nie wiedziała, czy szalik był robiony z myślą o niej, czy o Stephenie. Wiedziała tylko, że jej przybrany brat, chłopiec, którego rodzice pokochali po jej wyprowadzce, wziął nóż do chleba ze stojaka w kuchni i dźgnął Lisę oraz Grega Rome'ów po dwanaście razy, a potem usiadł na najniższym stopniu schodów, przemoczony do suchej nitki ich krwią, i tam poczekał na przyjazd policji.



— WSZYSTKO W PORZĄDKU? — Tessa Stebbins miała włosy spięte w ciasny kucyk, rękami obejmowała się w pasie.

— Muszę do łazienki — odparła Ayana.

Tessa spojrzała jej przez ramię na otwarte drzwi do toalety.

— Tylko nie mów, że znowu się zapchało. — Prychnęła jak Shelley Coates; zawsze ją kopiowała. — Idź do tej drugiej. Pięć minut temu wszystko działało.

Ayana nie wiedziała, jak to wytłumaczyć, więc tylko kiwnęła głową i popatrzyła, jak Tessa odchodzi.

Żaden sedes nie był zapchany. Obie łazienki dopiero co zostały posprzątane, podobnie jak kuchnia.

Właściwie cały ośrodek śmierdział wybielaczem.

Ayana nie mogła uciec przed tym zapachem.

Wspomnienie paliło jej twarz i dłonie, i gardło. Zupełnie jak ogień, tylko gorzej, biały żar wyżerał jej skórę.

Nie mogła wyjść na zewnątrz — *nie mogła* — ale żałowała, nawet jeśli to oznaczałoby kucanie nad rynsztokiem albo za krzakami, jak zwierzę.

Zamiast tego poszła do schowka na końcu korytarza, jedyne pomieszczenia, w którym nigdy nie sprzątało. Zamknęła za sobą drzwi i podniosła ciężką pokrywę zamrażarki, żeby się trochę ochłodzić.

Pęcherz bardzo ją bolał i bała się, że zaraz się zsika. Zdarzyło jej się już to w przeszłości, i to nie raz. Zawsze wtedy, gdy matka znajdowała się dość blisko, by zaraz kazać jej klęknąć i zetrzeć plamę z dywanu.

Zastanawiała się, który z braci został zmuszony do umycia podłogi w łazience po tym, co jej zrobili z wybielaczem. Zapewne Hatim. Biedny, przerażony Hatim.

Pokrywa zamrażarki jej ciążyła. Podparła ją ramieniem. Zapach był tutaj nieco mniej wyraźny.

Wczoraj w ośrodku pojawiło się zbyt wielu obcych ludzi. Mąż Hope Proctor, policjanci, ratownicy medyczni. Wszystkie kobiety się zdenerwowały, nawet Shelley Coates. Ayana widziała Simone, jak stała przy oknie i obserwowała ulicę. Nigdy wcześniej tego nie robiła — żadna z nich — ale coś tam najwyraźniej zauważyła. Ayana rozpoznała strach na twarzy dziewczyny. Ośrodek nie wydawał się już bezpieczny, a teraz to — ten *zapach*.

Jęknęła z bólu i rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby wykorzystać. Jakiegoś wiadra albo

butelki. Upokarzające, tak, lecz nie mogła już dłużej się powstrzymać. Do rana zapach wybielacza wywietrzeje, a ona będzie mogła znowu korzystać z łazienki.

Chciała wrócić do swojego pokoju, do książek.

Co by pomyślał sierżant Jake, widząc ją w tej chwili, płaczącą z braku wiadra, chociaż dopiero co pomogła mu uratować życie tamtemu mężczyźnie? Albo komisarz Rome, z jej gładką skórą i przejrzystymi oczami, co ona by pomyślała? Czy komisarz Rome się kiedyś bała, naprawdę, szczerze bała, tak jak Simone Bissell, kiedy patrzyła na ulicę? Czy komisarz Rome wiedziała, jak to jest, tak bardzo się bać? Samochodów i kotów, i suchych liści spadających z drzew, i... i ciekących kranów, i listonoszy dostarczających reklamy, i zapachu pożyczonych ubrań albo...

Gdzieś z ulicy dobiegł odgłos strzelającego silnika i Ayana aż podskoczyła, uderzając o pokrywę zamrażarki; zaczęła palcami szarpać gumową uszczelkę. Jej serce zamarło, a potem zaczęło wierzgać w klatce piersiowej niczym szczur złapany w pułapkę.

Pochyliła się między stalowe wargi zamrażarki, próbując odzyskać oddech, dysząc gwałtownie jak Leo Proctor.

Górna część jej ud paliła, jakby ktoś smagnął ją tam pasem.

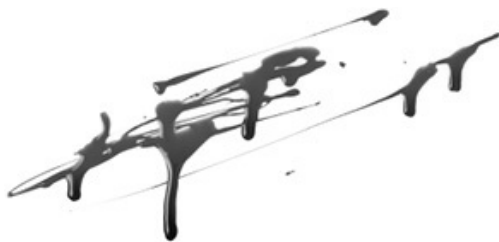
Spojrzała w dół, na kamienną podłogę schowka. Pod jej stopami wykwitł cień, powstały z wilgoci spływającej po nogach. Zaszlochała, gdy przed oczami stanęła jej matka, z ustami rozwartymi w niemym krzyku. Ten jej gniew czasem brzmi jak strach. Łamie jej głos i rwie skórę na dłoniach, łamie jej nogi w kolanach, gdy klęka do szorowania podłogi. Ayana powinna klęknąć obok niej i szorować, szorować, szorować, nigdy nie podnosząc głosu ani wzroku. Tylko w ten sposób może być blisko matki, dlatego klęka i klęka, i patrzy, jak ich dłonie poruszają się wspólnie na podłodze, zdzierając brud, który nigdy nie znika na długo. Jeśli Ayana pracuje za wolno, jej matka puka ostrzegawczo. Później, na oczach synów, uderza dziewczynę za zbyt późne wykonanie zadania. Następnego dnia znowu klękają, jedna obok drugiej, i szorują, szorują.

Tamtego ranka, kiedy straciła oko, razem z matką myły podłogę w łazience. Włosy jej braci były wszędzie, czarne przecinki i pytajniki na białych kafelkach. Matka oddycha ciężko w trakcie pracy; jest jeszcze tyle do zrobienia. Ayana, myśląc o książce, którą właśnie czyta, nie porusza się dość szybko. Matka grozi jej dłonią zaciśniętą w pięść i mówi, co się stanie, jeśli nie będzie poświęcać właściwej uwagi rodzinie i obowiązkom.

— Chcesz mieć tutaj prawdziwy bałagan do sprzątnięcia? Co? Chcesz zostać tym bałaganem?

Matki nie ma w domu, kiedy to się dzieje. Jednak Ayana wie: dała swoje przyzwolenie Nasifowi i Turhanowi, a także biednemu, przestraszonemu Hatimowi. Zrobili to za jej zgodą.

Już nigdy nie może wrócić do domu.



ZANIM MARNIE dotarła do domu, zdążyło się już zrobić chłodno. Podrzuciła Eda, odmówiła wspólnej kawy i pocałowała go w kącik ust.

— Dziękuję za dzisiaj.

Jej mieszkanie było sterylnie chłodne, jak w metalowej szafce. Plecy bolały od długiej jazdy. Spróbowała je rozciągnąć, krzywiąc się. Przeczytała gdzieś, że kręgosłup przechowuje wspomnienie bólu. Naukowcy znaleźli białko odpowiadające za reakcję na syndrom centralnego neuropatycznego bólu. Cokolwiek to oznaczało. Cieszyła się, kiedy ból przenosił się w miejsce, które nie przypominało jej o bezkrwawych ranach na ich ciałach.

Matka chciała, żeby Stephen wybrał kolor ścian do swojego pokoju. Do dawnego pokoju Marnie. Nie wybrał. Zostawił wszystko tak, jak było, jakby spodziewał się, że Marnie kiedyś wróci.

Nie, jakby wiedział, że tam nie zostanie.

Wspomnienia pulsowały tępo w jej piersi.

Marn, mamy niesamowite wieści.

Tak się cieszyli, że w ich domu znowu pojawi się dziecko. Marnie przestała nim być już w wieku jedenastu lat, a i wcześniej wydawała się nazbyt niezależna, najszcześniejsza we własnym towarzystwie. Typ samotnika; tak też pomyślała o Stephenie, kiedy się pierwszy raz spotkali.

Marn, to jest Stephen.

Wyciągnęła do niego rękę, ponieważ wydawało jej się, że tego właśnie chciał, taki właśnie był. Jego dłoń okazała się zimna i delikatna. Wzrok też miał zimny, jednak w nim już nic delikatnego nie dostrzegała, raczej twarde, diamentowe wiertło.

To takie małe dziecko, Marn, a miało takie piekło w życiu. Chcielibyśmy mu to wynagrodzić, choć trochę.

Świetnie, naprawdę świetnie.

Czy była zazdrosna? Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy Stephen wprowadził się do jej rodziców. Od trzech mieszkała w Londynie, szcząc się zerwaniem więzów rodzinnych. Nie jak koledzy i współlokatorzy, którzy każde wolne spędzali w domu i wracali z wałówką, posiłkami gotowymi do zamrażania, domowym ciastem, niczym dzieci po imprezie. Nie Marnie Rome, ona z tym wszystkim skończyła. Wyzbyła się tego, co dziecięce. Kartka na Boże Narodzenie, prezenty w postaci książek,

będące dowodem jej smaku i inteligencji. Na dobrej drodze, by zostać detektywem, skupionym na zadaniu, niczego niepomijającym. Wolnym od całego tego bałaganu życia rodzinnego, od ograniczających więzów.

Dopóki któregoś poranka nie zadzwonił telefon. Popołudnie w domu, przeciągające się aż do wieczora, nocy. Zaczęła myśleć — po raz drugi w życiu — że nigdy się już nie uwolni. Nie ucieknie.

Wspominanie tamtej nocy było jak przewracanie stron we flipbooku, szczegóły stają się niewyraźne i skaczą. Pamiętała zapach i to, jak jej buty przyklejały się do podłogi w kuchni.

Gorączka zadrzała gdzieś za oczami. Marnie podniosła rękę i powąchała rękaw.

Woń poprawczaka wniknęła w ubrania i włosy. Będzie nosić ją ze sobą przez kilka dni, jak więzienny tatuaż. Nie ma ucieczki.

Zadzwoniła komórka. Wyciągnęła ją z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz.

SMS od Eda: *Gdybyś mnie potrzebowała, jestem.*

Pochyliła się, przyciskając czoło do małego ekranu. Pięć lat temu obiecała sobie, że nie zbliży się do niego, o ile nie będzie miała pewności, że to nie atak paniki albo rozpacz każe jej to zrobić. Więcej niż raz była bliska zaproszenia go do siebie na coś więcej niż kawę. Podobała mu się; wiedziała o tym. To nie kwestia ego, a poza tym odwzajemniała to uczucie. Ed ją pociągał. Gdyby zdecydowała się na ten krok w tej chwili, skończyłoby się na gorączkowym, przygodnym seksie. Nie warto niszczyć ich przyjaźni dla jednej nocy, dla zgaszenia tego rozpaczliwego pragnienia czyjegoś dotyku.

Wstała i poprawiła wszystkie poduszki na kanapie, wytrząsając kształt swojego ciała z każdego kwadratu po kolei, by potem ułożyć je wszystkie z powrotem na miejscu. Zanim skończyła, zaczęła dyszeć. Wyłączyła zaraz światło i mrok ukradł przestrzeń. Marnie poruszała się po mieszkaniu bezszelestnie; rozebrała się i przystanęła na chwilę przed lustrem w szafie.

Żadnych mitycznych stworzeń. Żadnych przebitych strzałą serc, splątanych róż czy drutu kolczastego. Tylko słowa. Ponieważ słowa boją. A konkretnie boją wtedy, gdy tatuuje się je na żebrach i ostrych końcach osiemnastoletnich bioder.

Mam się zabić czy zaparzyć kolejną kawę? Dwie linijki na dwóch ostatnich żebrach po prawej stronie.

Po drugiej stronie klatki piersiowej: *Niepokonane lato.*

Miejsca odosobnienia... na lewym biodrze.

A także naokoło wystającej prawej kości biodrowej. *Przed oczami miałem niebo, było błękitne i złote.*

Nastoletnia egzaltacja. *Niepokonane lato* pojawiło się, gdy naczytała się za dużo Alberta Camusa i postanowiła złożyć oświadczenie na swojej skórze. Na tym powinno się było skończyć. Kiedy jednak Stephen Keele zadźgał jej rodziców, naszła ją ochota na specyficzną torturę tatuowania. Jakby ktoś kłuł cię wkładem do automatycznego ołówka, raz po raz, bez końca. Tatuażysta co chwilę ściera tusz i krew sterylną szmatką, co boli jeszcze bardziej niż sama igła, jak szorowanie świeżo zdartego kolana, a potem obdzieranie go znowu, szorowanie, obdzieranie, raz za razem. Każdy etap tego procesu niesie ze sobą wyjątkowy rodzaj bólu. Igła. Szorowanie. Kiedy można już zdjąć bandaż, a tusz zaczyna wysychać, skóra piecze, jakby ktoś właśnie trzasnął cię na odlew po miejscu oparzonemu na słońcu. Musiała traktować ją jak małe dziecko: często ją myć i dbać, by była ciągle nawilżona. Trzymać ubrania z daleka. Najtrudniejszy zaś był zakaz drapania. Jak zaczniesz drapać, wydrapiesz sobie cały tusz ze skóry i wszystko pójdzie na marne. Metodycznie polewała tatuaże wodą, w dzień i w nocy, a następnie osuszała

je rękami z delikatnością, jakiej nigdy wcześniej czy później nie okazywała swojej skórze, nacierała ją balsamem, dmuchała na nią chłodnym powietrzem, jakby obsypywała ją pocałunkami.

Oczywiście była to forma kary. Nawet nie próbowała temu zaprzeczać. Tylko ten pierwszy raz był inny. Gdy miała osiemnaście lat, chodziło o bunt, o posiadanie szokującej tajemnicy przed Gregiem i Lisą, sekretu, który przynosiła ze sobą do rodzinnego stołu, schowanego pod kilkoma warstwami ciemnych ubrań. Lubiła ten rytuał. Lekcję akceptacji małych ilości bólu, lubowania się w nim. Ćwiczenie samokontroli. Więcej nawet, tatuaże były dla niej zabezpieczeniem przed bliskością. Żadnego przygodnego seksu, jeśli nie chciała tłumaczyć się z tatuaży. Próbowała wyobrazić sobie reakcję Eda na zgrabne linijki tuszu, które nieśmiało okręgały jej biodra, podkreślając brak krągłości. Nie potrafiła zupełnie wyobrazić sobie jego reakcji, może twarz zrobiłaby mu się blada jak przestrzeń między linijkami tekstu.

Jak czuła się Hope Proctor, patrząc na swoją skórę każdego poranka? Widząc bliźniaczy tatuaż, ozdobiony siniakami sprezentowanymi przez męża, Leo Proctora?

Marnie odwróciła się od lustra i zgasiła światło, a potem znalazła łóżko i poduszki, irytująco miękkie pod głową. Nie nastawiła budzika, nie chcąc, by pojawiający się znikąd alarm wyrwał ją rano ze snu. Zamiast tego powiedziała sama do siebie: „Musisz się obudzić wcześniej. O szóstej”. Jej podświadomość, bardziej godna zaufania niż najlepszy budzik, przyjęła zadanie.

Przed oczami miałem niebo, było błękitne i złote.

Ona miała dwadzieścia sześć lat. On dwanaście. Stephen Keele. Patrzył, jak się rozbiera, w trakcie jednej z rzadkich wizyt u rodziców i ich przybranego syna. Dwa lata przed morderstwem.

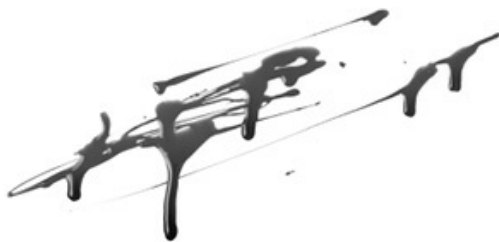
Zadrzała na myśl o oczach Stephena czytających jej skórę. Bała się zasypiać, bo on mógł już czekać na nią we śnie. Czuła jego wzrok. Przyczał się w kącie pokoju i patrzył.

Telefon wybudził ją z półsnu czerwonymi zawijaszami w czerni, o 5.25.

— Prosiła pani, by poinformować, gdyby stan Leo Proctora uległ zmianie — oznajmił lekarz ze szpitala North Middlesex. — Odzyskał przytomność. Kiedy zacznie pani pracę, powinien być już gotowy udzielić odpowiedzi na pytania o to, co się stało.

— A jak Hope?

— Dobrze. Nie przekazaliśmy jej wieści o mężu. Trudno powiedzieć, jak je przyjmie. Pomyślałem, że to pani chciałaby być posłańcem.



RZĄD OKIEN za rzędem okien, a wszystkie sparzone zanieczyszczonym powietrzem, wyglądały z ceglanej ściany szpitala North Middlesex.

Noah Jake wysiadł z mondeo z Edem Bellokiem i Simone Bissell, natomiast Marnie Rome pojechała dalej, w poszukiwaniu parkingu. Mżyło, drobne krople były zimne i drażniące. Simone nie miała płaszcza, jedynie torbę na ramię z miękkiego materiału w słoneczniki. Ed zaprowadził ją do środka. Noah ruszył ich śladem.

Lśniące biurko służyło za front szpitalnego centrum informacji. Silne światło, wizualny ekwiwalent drapania paznokciami po tablicy, przecinało sufit pasami. Simone schowała dłonie w rękawach swetra.

— Muszę do łazienki.

Kobieta za biurkiem skierowała ją na lewo.

Ed Belloc dotknął łokcia Noaha.

— Wszystko w porządku?

Chłopak spojrzał na niego zaskoczony.

— Pewnie. — Zdał sobie sprawę, że chowa głowę w ramionach. Rozluźnił się i uśmiechnął. — Myślałem o Ayanie. Ta sprawa z jej braćmi...

— Prosisz ją, żeby wyszła z kryjówki — powiedział Ed. — Z pierwszego miejsca, w którym czuje się bezpieczna. To nie będzie dla niej łatwe.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale chcę, żeby zostali ukarani za to, co zrobili. Nasif i reszta.

— To naturalna reakcja. — Ed nie przestawał obserwować drzwi do toalety, czekając na powrót Simone.

— Mógłbym wejść i zobaczyć, czy wszystko okej — zaproponował Noah.

Ed popatrzył ponad jego ramieniem na główne wejście.

— Rome już przysłała — oznajmił z ulgą i uśmiechnął się do Noaha. — Lepiej, żeby ona to zrobiła.

Kiedy Marnie wróciła z Simone, cała czwórka poszła na trzecie piętro, gdzie łóżka były oddzielone smętными zasłonami na metalowych ramach. Obok Hope leżała potężna kobieta z zapadniętą twarzą i właśnie stękała nad krzyżówką. Maski tlenowa sprawiała, że jej oczy były zasnutym mgłą. Oddychała ciężko, nierówno.

Sierżant Abby Pike siedziała dyskretnie w pewnym oddaleniu od łóżka Hope. Na widok komisarz

Rome wstała i przysłała się przywitać.

— I jak tam? — zapytała cicho Marnie.

— Spokojnie. Głównie spała. I martwiła się o stan Leo.

— Zrób sobie chwilę przerwy. Zostaniemy tu na jakiś czas.

— Dzięki, szefowo. — Abby posłała Noahowi szeroki uśmiech, nieco mniejszy Simone, a potem opuściła salę.

Simone usiadła na krześle stojącym przy łóżku Hope. Niebieski bawełniany kocyk przykrywał jej nogi. Siedziała prosto, podparta poduszkami. Wyglądała jak szmaciana lalka, którą ktoś ładnie ułożył.

Ed i Marnie stanęli przy nogach łóżka, nie podchodząc ani krok bliżej. Simone wyciągnęła dłoń Hope spod pościeli i przytrzymała. Kobiety rozmawiały szeptem, ledwo dość głośno, by Noah i reszta mogli słyszeć.

— Tęskniłam — powiedziała Simone. — Tak się o ciebie martwiłam.

— Nic mi nie jest. — Ręka Hope pozostawała luźna i bezwładna w uścisku Simone.

— Pani komisarz? — odezwał się lekarz.

Marnie opuściła miejsce obok Eda i podeszła do stojącego dwa łóżka dalej mężczyzny. Lekarz powiedział jej coś, zbyt cicho, żeby Noah mógł dosłyszeć; zagłuszało ich szpitalne radio, włączające muzykę do sali. Hope Proctor ze swojego łóżka patrzyła na nich z taką intensywnością, że Simone obróciła głowę, by zobaczyć, co się dzieje.

Marnie miała zaciśnięte usta. Noah znał tę minę, zwiastowała kłopoty. Lekarz odwrócił się i wyszedł z sali, nie podchodząc do żadnego pacjenta. Marnie kiwnęła na Noaha, żeby poszedł razem z nią. Ed nie potrzebował podpowiedzi, by zostać z Simone i Hope. Noah i Marnie ruszyli za lekarzem na korytarz.

Już za drzwiami Noah odezwał się:

— Hope wygląda dzisiaj nieco lepiej. — Nie do końca była to prawda, ale chciał sprowokować Marnie do mówienia.

Spojrzała na niego z ukosa.

— Wygląda beznadziejnie. — Nie zatrzymała się; weszła za lekarzem na schody.

Noah musiał wydłużyć krok, żeby nadążyć.

— Przedstawimy mu zarzuty?

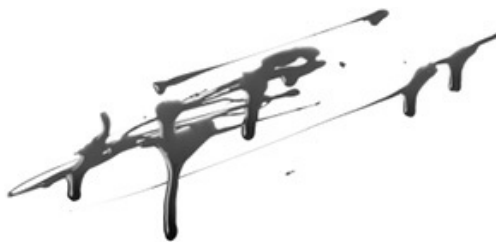
— Najpierw musimy wyciągnąć zeznania z jego żony. Słyszałeś, co mówił Ed. Im dłużej trwa maltretowanie, tym trudniej kobietom wnieść oskarżenie. Najwyraźniej można się przyzwyczaić do wszystkiego.

— Ale jeśli to ona zostanie oskarżona...? Jak to sklasyfikują? Usiłowanie zabójstwa? Napaść z bronią w rękę? Może trafić do więzienia, i to na lata. Adwokat nie zdoła jej przekonać, żeby wydała Leo w ramach strategii obrony?

— Spróbuje. Wszyscy spróbujemy. Sam widziałeś, jak szybko wzięła na siebie winę, jeszcze w ośrodku. Głęboko zakorzeniona mentalność ofiary.

Lekarz ich wyprzedził, jednak teraz nagle się zatrzymał i czekał.

— Leo się obudził. Zobaczymy, co ma do powiedzenia — wyjaśniła Marnie Noahowi.



BYŁA TAM, w szpitalu. Widział ją, cholera jasna, widział ją.

Krople potu wystąpiły mu na całym ciele jak wysypka. Siedział w samochodzie, zgięty wpół nad kierownicą, z czapką na oczach, sercem walącym w piersi.

Wreszcie. Wreszcie...

Z tylnej kanapy zaczął dobiegać dźwięk, jakby tylko czekał, aż mężczyzna dotrze tak blisko, jakby *wiedział*.

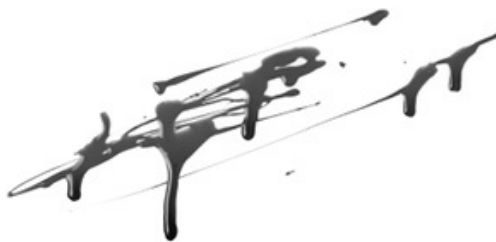
Ciche kwilenie, brzmiące jak mucha w głośniku, chciałbyś móc przegonić je machnięciem ręki, ale nie możesz. W ten sposób będzie tylko gorzej.

I tak się obrócił na fotelu, wściekły, ponieważ *ona tam była*.

To jego szansa, może jedyna, na jaką może liczyć.

Kwilenie się nasiliło, zaczęło skrobać mu czaszkę od wewnątrz.

— Cicho tam — ostrzegł. — Cicho, albo nie tylko ona dostanie to, na co zasłużyła.



LEO PROCTOR wydawał się mniej chory niż jego żona, mimo traumy operacji chirurgicznej, polegającej na zaszcyciu mu dziury w płucu. Dzięki transfuzji krwi jego policzki się zaróżowiły. Okazał się większy, niż go zapamiętał Noah, przypominał sportowca na emeryturze. Poduszka tłuszczu leżała mu pod brodą, policzki wisiały po obu stronach twarzy. Wodniste oczy, jasnobrązowe, z bólem ogniskowały się na Noahu i Marnie.

Komisarz Rome pokazała swoją odznakę i stanęła obok łóżka.

Leo zamknął oczy, a potem znowu je otworzył.

— Gdzie jest Hope? — wyszeptał.

— Jest bezpieczna — odparła Marnie. — W towarzystwie lekarza.

Chłodny ton wypowiedzi sugerował: *Wiemy, co zrobiłeś.*

Leo oblizał wargi koniuszkiem języka.

— Czy nic... nic jej nie jest?

— Jest dokładnie w takim stanie, w jakim ją pan zostawił.

Noah cofnął się o krok, tak dyskretnie, jak tylko potrafił, żeby mieć lepszy widok na Marnie i mężczyznę leżącego w łóżku.

— Ona nie chciała — szepnęła.

— *Ona* nie chciała?

— Nóż... — Leo znowu zwilżył wargi.

— Hope nie chciała pana dźgnąć. Czy to próbuje mi pan powiedzieć?

Proctor dopiero po chwili zrozumiał, skąd się bierze jad w jej głosie. Spuścił wzrok. Zacisnął dłonie w pięści. Pochylił głowę, kąciki ust mu opadły. Karykatura wstydu. Wiedział, że oni wiedzą.

Marnie rzuciła szybko:

— Są pewne wątpliwości w kwestii noża. — Leo na nią nie patrzył. — To pan go przyniósł do ośrodka?

Noah zamaskował swoje zaskoczenie, udając, że przygląda się karcie choroby zaczepionej w nogach łóżka. Jeśli Proctor przyzna się w takich warunkach, prokuratura niemal na pewno odrzuci zeznania. Mężczyzna leżał w szpitalu, obolały i nafaszerowany lekami. Zachowanie Marnie dobitnie świadczyło o tym, jak bardzo zły ma humor: zadawała pytania, które mogą zaszkodzić oskarżeniu. Dopóki niczego mu

nie udowodnią, Leo Proctor musi być traktowany jak ofiara.

— Tak...

— Pan przyniósł nóż do ośrodka. Dlaczego?

Leo przyciskał brodę do piersi. Wymamrotał coś, co brzmiało jak:

— Dla niej.

Marnie skrzyżowała ręce i odwróciła twarz od łóżka. Zobaczyła, że Noah na nią patrzy, i nieco się wzdrygnęła. Potem znowu spojrzała na Leo Proctora.

— Dlaczego Hope znalazła się w ośrodku? — zapytała najbardziej obojętnym tonem, na jaki ją było stać.

— Nie... nie wiem.

— Nie wie pan. A dlaczego większość kobiet trafia do ośrodka?

Pierś Proctora zadrżała.

— Żeby... uciec. — Podniósł głowę. W jego oczach błyszczały łzy. — Żeby się schować.

— A przed czym uciekała Hope? — Milczał. — Przed panem? Chowała się przed panem?

Leo nie odpowiadał. Łzy płynęły po jego zarumienionych policzkach. Marnie wyjęła kartkę papieru z kieszeni i wyprostowała ją, a potem przytrzymała przed oczami mężczyzny.

— To pan napisał ten list do żony, panie Proctor?

— Nie — szept, gęsty od łez. — Nie.

— Nie tak wygląda pański charakter pisma? — Odłożyła liścik i popatrzyła na mężczyznę leżącego na łóżku. — Pan ją bił, prawda? Bił ją pan i gwałcił. Nawet ją pan oznakował, cholera jasna; słyszałam o bliźniaczych tatuażach... Sprawy przybrały tak zły obrót, że wreszcie znalazła w sobie dość odwagi, by odejść. Próbował ją pan odnaleźć? Nie była wcale tak daleko. A potem zadzwoniła, żeby powiedzieć, że jest bezpieczna. Wtedy wiedział pan już na pewno, gdzie się znajduje. Jakie to było uczucie zrozumieć, że uciekała? Że przebywa z innymi maltretowanymi kobietami, że wymieniają się anegdotami o pobiciach? O panu. Nie podobało się panu, prawda?

Jej głos pozostawał beznamiętny, mimo rosnącej nerwowości mężczyzny w łóżku. Przez tę obojętność było jeszcze gorzej; jakby odczytywała zeznania świadka albo akt oskarżenia.

— Wziął pan nóż, kupił kwiaty. Bo tak właśnie wygląda to u takich mężczyzn jak pan. Róże w jednej ręce, nóż w drugiej. A może na pomysł z kwiatami wpadł pan później? Ekstrawagancja. Hope nie spodziewałaby się róż, nie od pana. To nie w pańskim stylu. Nic nie mówi „kocham cię” lepiej niż złamane żebro.

Wreszcie zamilkła.

Leo już otwarcie płakał. Jego pierś gwałtownie podnosiła się i opadała, twarz zapadła się pod ciężarem łez.

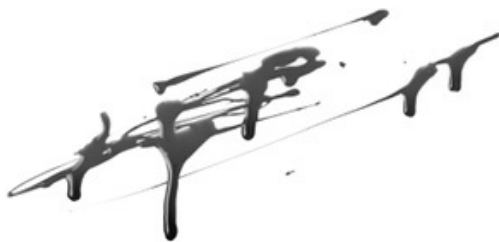
Noah nie mógł na niego patrzeć. Na Marnie też nie. Było mu żal człowieka leżącego w łóżku i wstyd za taktykę Marnie. Zwłaszcza po tym wszystkim, czego nauczyła go o prokuraturze i zbieraniu dowodów.

Zmusił się do wspomnienia Hope leżącej jak połamana lalka. Może powinien się cieszyć na widok rozplakanego Leo Proctora, ale...

Pomógł go uratować. Cholera, wręcz walczył o jego życie.

Tak nie powinno być. Wysiłkiem woli pozostał na miejscu, przed łóżkiem Leo, jednak nie chciał

przebywać ani tu, ani w żadnej części szpitala. Nie chciał wspierać strategii, jaką Marnie przyjęła dla rozwiązania tej sprawy.



MARNIE DOGONIŁA GO na korytarzu. Noah właśnie wyglądał przez okno. Krople deszczu znaczyły szybę przy jego głowie. Podniósł wzrok, gdy się zbliżyła, na jego twarzy malowała się nieufność.

— Przyznał się do zabrania noża do ośrodka — powiedziała. — To daje nam działanie z zamiarem. Noah schował ręce do kieszeni. Mięsień mu zadrżał na policzku.

— Nic, co nam teraz powie, nie jest pewne. Choćby dlatego, że jest nafaszerowany lekami.

— Zabrał nóż do ośrodka — powtórzyła. — Dlaczego twoim zdaniem to zrobił?

— Nie wiem. O to chodzi, prawda? Nie wiemy. Jeszcze nie. I dlaczego zapytałaś go o list, skoro Hope mówiła, że napisano go do Simone?

— Ponieważ nie wiem, czy to prawda, czy może Hope kłamie, żeby kryć męża. Liścik z pogroźkami i nóż tworzą razem przekonujący materiał dowodowy, a ja jestem przekonana, że ona go chroni. Bo przeszła traumę. Została sterroryzowana. Nie rozmawiałeś z lekarzem, który ją badał. Jej obrażenia świadczą o trwającej wiele lat przemocy. O gwałtach.

Spojrzenie Noaha mimowolnie stało się podejrzliwe.

— Ale nie mówią nam, kto ją maltretował i gwałcił.

Miała ochotę go zdzielić.

— Osiem miesięcy temu, kiedy Hope mieszkała jeszcze u siebie, Leo złamał rękę. Złamanie boksera, jak mówią lekarze. Wiesz, co to znaczy? — Zacisnęła dłoń w pięść i pokazała Noahowi. — Można się tego nabawić, uderzając kogoś.

— Pracuje na budowie. Mógł tam złamać sobie rękę. Albo grając w rugby.

— A obrażenia jego żony to tylko zbieg okoliczności? Daj spokój, to jego robota. Jest brutalny i tchórzliwy. Oboje o tym wiemy.

— Ale to nie wystarcza, prawda? Zawsze mi powtarzasz, że potrzebujemy twardych dowodów, żeby złożyć przekonującą argumentację. To, co przed chwilą zrobiłaś...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— Nie podobało ci się. Świetnie. Możesz złożyć na mnie skargę.

Noah posłał jej szybki uśmiech, tak jak dziecko podnosi szybko rękę, żeby zablokować cios.

Marnie odwróciła się, zanim zdążył odpowiedzieć, i ruszyła z powrotem do sali, gdzie czekał Ed. Nie miała racji i dobrze o tym wiedziała, ale nie zamierzała przestać ani cofać słów, które doprowadziły Leo

Proctora do płaczu. Żałowała jedynie tego, co będzie musiała powiedzieć Hope: że mężczyzna, który zmienił jej życie w piekło, ma się świetnie.

Ktoś zaciągnął zasłony wokół łóżka Hope. Po Edzie nie było śladu.

Marnie zatrzymała się w pół kroku.

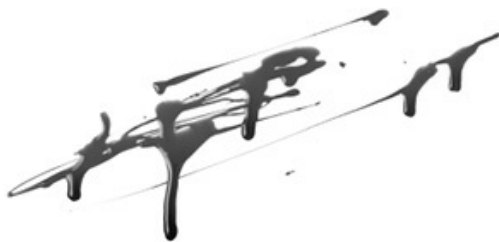
— Hope? — Żadnej odpowiedzi. — Simone?

Nic.

Odsunęła zasłonę i spojrzała na łóżko.

Krzesło stojące obok było puste.

Podobnie jak samo łóżko.



— HOPE PROCTOR — powiedziała Marnie do kobiety obok. — Widziała ją pani?

Pacjentka postukała w aparat tlenowy i pokręciła głową.

Gdzie się podział Ed? Marnie zdążyła wyciągnąć telefon, kiedy Ed i Noah przeszli przez drzwi wahadłowe. Ed niósł w ręku szpitalną koszulę i szlafrok.

— Poinformowałem już ochronę. — Poszarzał z nerwów. — Ale wygląda na to, że uciekły.

— Obie?

— Razem. Hope chciała wyjść do łazienki. Simone powiedziała, że ją zaprowadzi. Wydawało mi się, że są bezpieczne. Hope miała na sobie szlafrok. — Ed pokręcił głową i odłożył ubrania na łóżko. — Simone musiała mieć zapasowe ubrania w torbie. Przepraszam...

Marnie przerwała mu, patrząc na Noaha.

— Pogadaj z ochroną. Powiedz im, że potrzebujemy nagrania z monitoringu z wszystkich dróg wyjściowych. I znajdź Abby Pike.

Noah przytaknął i poszedł.

Ed pokręcił głową.

— Powinienem być z nimi zostać... Jezu, Rome, przepraszam.

— Daj spokój. To ja powinnam była zajrzeć do torby Simone. I niepotrzebnie kazałam Abby Pike iść na przerwę. — Jej dłonie szczypały od potu. Pachy też. — To ja tu dowodzę, nie ty. — Kucnęła przed szafką obok łóżka Hope, chcąc ukryć twarz przed Edem, choćby na minutkę, dopóki sama się nie pozbiera.

— Jak tam Leo? — zapytał.

— Przytomny. Lekarz właśnie pozwolił mi się z nim zobaczyć.

— Myślisz, że Hope się tego domyśliła?

— Tak, tak właśnie myślę. — Szafka okazała się pusta. Marnie wyprostowała się i odwróciła do Eda. — Ale to nie wyjaśnia, dlaczego Simone przyniosła ubrania. Pomyślała o tym, jeszcze zanim Leo się obudził. Zaplanowała tę ucieczkę. Nie mogło być inaczej.

Ed wczepił palce we włosy.

— Cholera — przeklął, a potem powtórzył z naciskiem: — Cholera.

— Przestań — rzuciła. — Potrzebuję twojej pomocy. Wariować z nerwów możesz po godzinach pracy.

Jego zraniony wyraz twarzy sprawił, że się wzdrygnęła, tak jak wcześniej na widok dezaprobaty Noaha

przed pokojem Leo Proctora. Łagodniejszym już tonem dodała:

— Potrzebuję twojej pomocy. Musisz mi opowiedzieć o Simone, jaką jest osobą, gdzie mogła się udać. Ed kiwnął głową.

— Powiem ci wszystko, co wiem, ale nie wierzę, że to jej pomysł. Jest ostatnią osobą, po której spodziewałbym się czegoś równie szalonego.

— Szalona byłaby spontaniczna ucieczka z Hope w szpitalnej koszuli. — Marnie pokazała na porzucone ubrania. — To zostało zaplanowane.

— Zabierać chorą kobietę ze szpitala... — Ed pokręcił głową. — Myślałem, że Simone ma więcej oleju w głowie. Bywa uparta, wiem o tym, jednak nigdy bym się nie spodziewał, że zaryzykuje czyjeś zdrowie.

— Może myślała, że robi dla swojej przyjaciółki to, co najlepsze.

— Powinienem był poczekać na nie przed drzwiami toalety. — Ed wciąż się kajał. — Ale nie chciałem, żeby czuły się jak więźniarki.

Simone liczyła na galanterię Eda, co rozgniewało Marnie, chociaż to ona wysłała Abby Pike na przerwę. Funkcjonariuszka poszłaby z nimi do łazienki. Hope wróciłaby do łóżka. Co powiedziała Simone, żeby przekonać towarzyszkę do ucieczki? Jeśli Hope się jej zwierzała, jeśli powiedziała, że dostrzegła szansę, by położyć kres przemocy...

Co wtedy?

— Jak Hope poradzi sobie z tym fizycznie? — zapytał Ed. — Wspomniałaś, że raport z obdukcji był dość ponury.

— Nie stwierdzono żadnych świeżych ran, nic skutkującego osłabieniem organizmu. Rezonans nic nie wykrył. Bardziej się martwię o jej stan emocjonalny. Do której łazienki poszły? Gdzie Hope się przebierała?

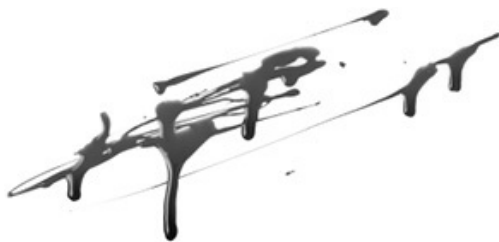
— W tej, z której wcześniej odbierałaś Simone.

— Sprawdzala teren — zdała sobie sprawę Marnie. — Zobaczyłam, jak testuje zamki w drzwiach. Myślałam, że potrzebuje prywatności. O, ja głupia.

Już od soboty zachowywała się, jakby straciła rozum. Po wizycie w Sommerville zrobiła się wystraszona, przeczulona. Dało się to poznać choćby po tym, co zrobiła na piętrze, próbując walczyć z Leo Proctorem jego własną bronią. Teraz groziło jej popełnienie kolejnych błędów, poważniejszych. Strzelała na oślep.

Ed trzymał się blisko. Jakby spodziewał się, że trzeba ją będzie łapać, gdy potknie się o własne nogi. Jego czujność sprawiała, że Marnie miała ochotę go odepchnąć.

— Powiesz mi wszystko, co wiesz na temat Simone Bissell. Zapomnij o poufności i o tym, że te kobiety czują potrzebę skrywania tajemnic. Moim zdaniem Simone bardzo dobrze wiedziała, jak wykorzystać twój szacunek do jej prywatności. Nieprawdaż?



— I JAK?

Abby Pike, zarumieniona od biegu, nie mogła złapać tchu.

— Nic a nic.

— Sprawdźmy na przystanku. Może ktoś zobaczył je, jak wsiadały do autobusu.

Noah nie miał zbyt wielkich nadziei. Wciąż pamiętał, co Marnie mówiła o tych kobietach: że żyją, nie zostawiając po sobie śladu. Było zupełnie tak, jakby Simone i Hope rozplynęły się w sterylnym szpitalnym powietrzu. Pamiętał też, jak Hope przyglądała się twarzy lekarza, który przekazywał Marnie wieści o Leo. Czyżby potrafiła czytać z ruchu warg? Może wcale nie musiała. Zdawała sobie sprawę, że jej mąż ma duże szanse na odzyskanie przytomności. Wiedziała, co to może oznaczać.

Nikt na przystanku nie widział ciemnoskórej kobiety z warkoczykami ani blondynki odpowiadającej rysopisowi Hope.

— Lepiej skontaktujmy się z szefem. — Abby popatrzyła na Noaha. — Do kogo dzwonicz?

— Do Rona Carlinga, jest na komisariacie. Przegląda nagrania z monitoringu z okolic ośrodka. — Noah kiwnął głową na kamery uliczne. — Powiem mu, żeby sprawdził też ten adres.

Kiedy wrócili do sali szpitalnej, komisarz Rome właśnie rozmawiała z mężczyzną w tanim garniturze, z powściągliwym wyrazem twarzy. Noah domyślił się, że to ktoś z administracji szpitala.

— Nie była aresztowana — szepnęła Abby. — Co to oznacza?

— Szpital nie wypisał jej, dlatego wszczęto procedury poszukiwania osoby zaginionej. Taki ma oficjalny status.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Dlaczego Simone miałyby przekonywać ją do ucieczki? Jej stan nie był najlepszy, to po pierwsze.

— Jej mąż właśnie odzyskał przytomność.

— Cholera. Myślisz, że się o tym dowiedziała?

— Zdawała sobie sprawę, że są na to duże szanse.

Abby założyła kurtkę i zapięła guziki.

— Nie wyglądała na dość silną, by stąd wyjść o własnych siłach, a co dopiero wybiec. Szkoda, że poszłam na przerwę. Gdybym została...

— Komisarz ci pozwoliła. Był z nimi Ed Belloc.

— Biedak — szepnęła Abby. — Wygląda na to, że nieźle go zbeształa.

Zerknął na Eda. Abby miała rację, wyglądał na pogwałconego. Przez to Noah stracił chęci na podzielenie się wieściami z przystanku autobusowego. Jeśli monitoring nie podsunie im jakiegoś tropu, mieli przerąbane.

— Skoro jej oficjalnie nie wypisali, mogą ją sprowadzić z powrotem, prawda? — Abby strzepała pyłek z frontu kurtki. — Pomimo tego, że nie była aresztowana?

— O ile ją znajdziemy.

Marnie ich dostrzegła i kiwnęła głową na Noaha. Podszedł do niej, a pół kroku za nim Abby. Mężczyzna w tanim garniturze obrócił się w ich stronę. Wszyscy się obrócili. Tylko Ed Belloc miał jeszcze nadzieję w oczach. Noah pokręcił głową.

— Monitoring szpitala pokazuje, że wyszły frontowymi drzwiami o 11.37 i skierowały się w stronę Bull Lane. Na Bridport Road jest przystanek, ale nikt nie przypomina sobie, by wsiadały do jakiegoś autobusu.

— Jak to w Londynie. Wszyscy zapatrzeni w czubek własnego nosa. — Pracownik administracji szpitala wydawał się zrezygnowany, jakby nie interesowały go losy zaginionej kobiety. Zapewne miewał już gorsze przypadki. Hope Proctor przynajmniej nie była w trakcie rekonwalescencji po operacji chirurgicznej ani nie cierpiała na psychozę.

— Poprosiłem ludzi z komisariatu, żeby zajęli się monitoringiem ulicznym — powiedział Noah.

— Cóż, powodzenia. Szpitalny biurokrata poczekał jeszcze chwilę i odszedł.

— Traktuję to jako porwanie — oznajmiła Marnie.

— Na jakiej podstawie? — Ed Belloc wyglądał, jakby ktoś go wyżył. — Simone nie jest porywaczką.

— Nie wiem, kim jest lub nie jest. Ty będziesz nam musiał to powiedzieć. Porwanie da nam dostęp do większej liczby ludzi niż sprawa zaginięcia. Nie wiemy, czy Hope uciekła z własnej woli. Abby, spędziłaś z nią więcej czasu niż ktokolwiek z nas. Co o tym myślisz?

— Nie ruszała się z łóżka, przez większość czasu spała. Próbowałam z nią rozmawiać, ale nie wykazywała chęci. Nie chciała też słuchać muzyki ani czytać. Zaproponowałam, że przyniosę jej jakieś czasopismo albo gazetę, jednak odmówiła, nie interesowało jej to.

— Jak się odnosiła do pracowników szpitala?

— Była bardzo cicha i grzeczna, słuchała poleceń, ciągle wszystkim dziękowała — ściszyła głos Abby. — Niektóre kobiety marudzą na jedzenie albo zmianę pościeli. Ale nie Hope. Wątpię, żeby smakowały jej posiłki, jednak zjadała wszystko. Ciągle powtarzała, że nie chce nikomu wadzić.

Po takim opisie nietrudno było sobie wyobrazić, że Hope Proctor poszłaby za Simone tylko dlatego, że ta kazałaby jej to zrobić.

Marnie kiwnęła głową na Abby.

— Zgłoś to i zczynajmy. Lepiej sprawdzić ośrodek, na wypadek gdyby tam wróciły, chociaż to wątpliwe. — Spojrzała na Eda. — Simone Bissell posługuje się też jakimś innym nazwiskiem?

To rutynowe pytanie i Noah wątpił, by Marnie spodziewała się odpowiedzi innej niż „nie”, lecz wtedy Ed Belloc powiedział:

— Nasiche Auma.

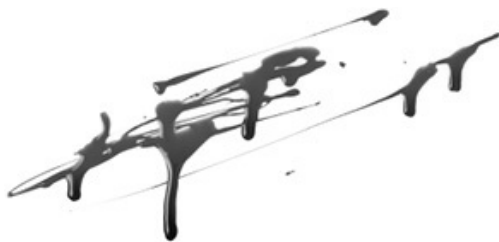
Wszyscy na niego spojrzeli. Noah usłyszał, jak Marnie wydaje zduszone westchnienie.

Ed podyktował nazwisko Abby, a ona je zapisała.

— Została adoptowana przez parę Brytyjczyków, którzy zmienili jej imię. Teraz jest obywatelką Wielkiej Brytanii. O ile dobrze mi wiadomo, używa tylko nazwiska Simone Bissell.

Ed nawet teraz niechętnie zdradzał sekrety kobiety, której próbował pomóc.

— Urodziła się w Ugandzie i tam nadano jej imię Nasiche Auma.



— NASICHE AUMA urodziła się w dystrykcie Apac w północnej Ugandzie w 1988 roku. Nie wie ani kiedy, ani gdzie dokładnie. Uważa, że jej przybrani rodzice zmienili akt urodzenia. Pracowali tam dla organizacji charytatywnej. Nazywają się Charles i Pauline Bissell.

Ed położył ręce na blacie stolika.

— Tak wygląda historia, którą mi opowiedziała. Nigdy nie wątpiłem w jej prawdziwość, nie weryfikowałem jej. — Spojrzał na Marnie. — Na wypadek, gdyby to było ważne.

Kiwnęła głową.

— Mów dalej.

Noah sporządzał notatki, podczas gdy Ed kontynuował opowieść. Noahowi było go szkoda. Humor Marnie się nie poprawił, a przynajmniej nie widocznie.

— W jej wiosce rekrutowano żołnierzy do Armii Bożego Oporu. LRA zabrała wszystkich braci Simone, zanim ona skończyła sześć lat. W chwili jej narodzin porwano około trzech tysięcy dzieci. Chłopców szkolili do walki. Dziewczynki sprzedawali handlarzom broni jako niewolnice seksualne albo zostawiali sobie. — Ed zawahał się. — Ta część historii jest niewątpliwie prawdziwa. Istnieje mnóstwo dowodów zbrodniczej działalności LRA w północnej Ugandzie, Kongo i innych miejscach. Chociaż w ostatnich miesiącach podobno sytuacja się poprawiła. — Wciągnął powietrze do płuc. — Pauline i Charles Bissellowie, brytyjskie małżeństwo, zabrali Nasiche z jej wioski do szpitala w Apac pod pretekstem pogarszającego się z powodu niedożywienia wzroku. Tak naprawdę chcieli ją uratować przed rekrutacją do LRA. Zabrali ją samolotem do Londynu i tutaj oficjalnie adoptowali. Od tamtej pory nie była nigdy w Ugandzie i nie widziała rodziny.

— Jak trafiła do ośrodka? — zapytała Marnie.

— Zaraz do tego dojdę. Musisz poznać całą historię, żeby zrozumieć, dlaczego uciekła. — Ed wyprostował się na krześle. — Do Londynu przyleciała jako dziesięcioletka. Bissellowie mieli pieniądze. Wysłali ją do prywatnej szkoły, opłacili dodatkowe lekcje, żeby szybko nauczyła się angielskiego, a w weekendy zabierali ją na zajęcia z baletu. — Spojrzał w okno. Między jego oczami pojawiła się świadcząca o skupieniu zmarszczka. — Nasiche znaczy *urodzona w sezonie szarańczy*. Wiedziała, że tak się nazywa, chociaż Bissellowie nigdy nie zwracali się do niej tym imieniem. Martwili się, że dzieci w szkole będą miały problemy z wymówieniem go, że to przeszkodzi jej w znalezieniu

przyjaciół. W Anglii zawsze była Simone. — Począł, aż para starszków minie powoli ich stolik i usiądzie pod oknem stołówki.

Marnie postanowiła zostać w szpitalu, głównie po to, by być blisko Leo Proctora i zdobyć pozwolenie na przeszukanie ich domu. Telefon do Jeanette Conway pozwolił potwierdzić, że Hope i Simone nie wróciły do ośrodka. Nikt nie miał pojęcia, gdzie ich szukać. Marnie pomyślała, że dom Proctorów to mało prawdopodobne miejsce, ale chciała przynajmniej je wykluczyć. Zdobyć nakazu potrwa zbyt długo. Mniej czasu zajęłoby skłonienie Leo, by dał im pozwolenie, lecz do tego potrzebowali współpracy ze strony pracowników szpitala, którym nie spodobał się stan pacjenta po pierwszej rundzie pytań policji.

— Bissellowie chcieli, żeby Simone studiowała medycynę — ciągnął dalej Ed. — Wyobrażali sobie, że pewnego dnia wróci do Ugandy jako dorosła kobieta, wykwalifikowany lekarz. Wiele czasu poświęcili na opisanie jej w szczegółach brutalności LRA i rozpaczliwej sytuacji w Ugandzie. Myślę, że o wiele *mniej* czasu poświęcili na okazywanie jej uczuć i zaszczepianie w niej poczucia niezależności. Powiedziała mi, że nieustannie ją kontrolowali, podejmowali za nią wszystkie decyzje. Myślę, że winiła ich za to, co się stało, gdy od nich odeszła. Nigdy nie zachęcali jej do decydowania o sobie, do kształtowania własnych sądów. Przez to nie miała szans uchronić się przed tym, co ją spotkało. Odpadła ze szkoły w wieku siedemnastu lat, zaczęła spotykać się z członkami lokalnego gangu, cięła się... Powiedziała mi, że w ten sposób chciała poczuć więź z życiem, jakie by wiodła, pozostając w wiosce w Ugandzie. Bissellowie oszaleli. Kłócili się z nią. Simone nazwała ich tyranami, rzuciła, że równie dobrze mogło ją porwać LRA. Moim zdaniem gdyby powiedzieli jej, że ją kochają, i porozmawiali z nią o tym, jak czuje się samotna, wszystko potoczyłoby się inaczej. Niestety pokłócili się. Simone spakowała torbę i wyszła.

Ed przerwał na chwilę opowieść, żeby napić się wody z butelki. W stołówce było gorąco, centralne ogrzewanie wysuszyło powietrze na wiór.

— Mieszkała przez jakiś czas na ulicy. Jej instynkt przetrwania trochę przysnął po dziewięciu latach życia jak pączek w maśle, jednak szybko stała się twardsza. Wiedziała, jak unikać kłopotów, trzymała się z dala od niebezpieczeństw. Instynktownie, a przynajmniej tak jej się wydawało. Sposób, w jaki mi o tym opowiadała... jakby tuż pod skórą miała strefę wojny... i wstyd. Dużo mówiła o wstydzie, jaki czuła, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło. Poczucie winy ocalałego. Uciekła, tak to wyglądało w jej oczach. Reszta mieszkańców wioski, towarzysze dziecięcych zabaw, są teraz żołnierzami LRA. Sama próbowała poczuć się jak żołnierz, przekonać siebie samą, że może przetrwać na ulicy. I może by przetrwała, gdyby faktycznie tam pozostała. — Ed przełożył butelkę do drugiej ręki. — Zakochała się w pewnym chłopaku. — Przerwał i spojrzał na notes, w którym Noah zapisywał szczegóły rozmowy.

— Jak się nazywał? — zachęciła go Marnie. — O formalności będę się martwić, kiedy już ją znajdziemy.

— Lowell Paton — odparł Ed. — Uciekł z domu, jak wyjaśnił, ponieważ jego rodzice byli alkoholikami i ciągle się kłócili. Simone zdała sobie sprawę, że mnóstwo dzieciaków miało w domu znacznie gorzej niż ona, jednak i tak nie mogła się przemóc i wrócić. „Byłam zbyt dumna”, tak to ujęła. Zaprzyjaźnili się z Lowellem. Opiekowali się sobą nawzajem, na zmianę szukali pracy, ponieważ jako para mogli wyglądać podejrzanie. Czasami lepiej żyć w pojedynkę.

Twarz Eda spowił cień.

— Pewnego dnia Lowell wrócił z szerokim uśmiechem, mówiąc, że dostał robotę ciecia w bloku mieszkalnym. Świeżo wybudowany, „dla kasiastych”. Powiedział, że mogą przekimnąć w jednym z pustych mieszkań. Simone nie pytała, jakim cudem bezdomny nastolatek dostał pracę, w której powierzane mu są klucze i czyjeś bezpieczeństwo. Poszła z nim, przeprowadzili się do kawalerki w piwnicy, malutkiej, ale z ciepłą wodą, ogrzewaniem. Jak w niebie. Spali na podłodze, na materacu, który Lowell znalazł w garażu obok. Simone poszła na przeszpiegi, wróciła z ogryzkami mebli, naczyniami, czajnikiem i tosterem. Na koniec pierwszego tygodnia urządziła mieszkanie tak, że wyglądało dość porządnie. Miała jeszcze trochę oszczędności, które zabrała ze sobą od Bissellów, i kupiła za nie jedzenie. Upiekła kurczaka i Lowell powiedział, że dawno nie jadł nic tak dobrego. Simone zażartowała, że jeśli chce jej podziękować, może pozmywać.

Ed potarł kark, jakby coś go tam ukłuło.

— Właśnie wtedy uderzył ją po raz pierwszy. Żaden delikatny policzek, żadnego wstępu. Zamachnął się mocno, złamał jej nos. Potem zmusił ją, by poszła do kuchni i umyła naczynia mimo buchającej krwi.

Zamilkł na dłuższą chwilę. Nie odezwała się też Marnie, Noah milczał. Wreszcie Ed powiedział:

— To trwało jeszcze przez ponad rok. Nie mogła uciec. On miał klucze do mieszkania, zamykał ją. Wreszcie się domyśliła, że Lowell wcale nie był bezdomnym nastolatkiem. Właściwie to nie był nawet nastolatkiem. Miał dwadzieścia jeden lat. Jego ojciec był właścicielem firmy odpowiedzialnej za sprzedaż mieszkań w tamtym bloku. Interesy nie szły najlepiej. Zgodnie z oficjalnymi wytycznymi nikt nie pokazywał kawalerki, bo była zbyt mała. Lowell miał do niej klucz, mógł wchodzić i wychodzić, kiedy tylko naszła go ochota. Nie było żadnych sąsiadów, którzy mogliby usłyszeć krzyki Simone. Przez większość czasu i tak nie ważyła się protestować. Bił ją, nawet jeśli go niczym nie prowokowała. Nie przestawał i Simone zaczynała podejrzewać, że kiedyś ją zabije. Im dłużej więził ją w mieszkaniu, tym mniej miała co do tego wątpliwości, bo jak inaczej mógłby rozwiązać tę sytuację?

— Nikt nie sprawdził mieszkania przez ponad rok? — Noah nie dowierzał.

— Tak powiedziała. Czasami słyszała czyjeś głosy, uderzanie młotkiem. Później się dowiedziała, że inspektor budowlany przekładał termin oddania budynku. Materiały nie przeszły kontroli bezpieczeństwa. Praktycznie rzecz ujmując, mieszkała w domu skazanym na rozbiórkę.

— I była maltretowana — przerwała mu Marnie — przez cały ten czas?

— Powtarzał, że ją kocha, kupował jej prezenty, biżuterię i ulubione kwiaty, i to wystarczyło, żeby miała wątpliwości. Przez pozostały czas ją bił. Typowe.

— Jak się stamtąd wydostała?

— Przestała jeść i straciła dużo na wadze, przekonała Lowella, że potrzebuje lekarza. Bała się, że spanikuje i ją tam zostawi na śmierć, ale nie widziała innego sposobu. Błagała go już, obiecywała, że nie wniesie oskarżenia, dawała mu to, czego chciał, a podobno ciągle chciał seksu, jednak nic nie działało. Nie zabrał jej do lekarza, za to poczuł się trochę pewniej i nie bał się odwracać do niej plecami. Do tamtej chwili bardzo się pilnował, nigdy nie dając jej szansy na ucieczkę czy zaatakowanie go. Kiedy jednak mocno wychudła, nie przestał uprawiać z nią seksu, za to już jej nie bił. Zaczął mówić, że go obrzydza. Zastanawiał się na głos, czemu w ogóle poświęca jej czas. Była koścista, śmierdziało jej z ust...

Ed zaczerpnął powietrza.

— Lubił gwałcić ją, gdy miała okres, ale przestała miesiączkować przez utratę wagi. Najpierw był wściekły, potem tylko zirytowany. Przestało go interesować, czy Simone płacze, gdy ją gwałci. Pewnej nocy schlał się tak, że zasnął, a ona wzięła klucze i uciekła.

— Dlaczego nie poszła na policję? — zapytała Marnie.

— Poszła. Powiedzieli, że była zbyt roztrzęsiona, żeby złożyć sensowne zeznania. Miała halucynacje. Zabrali ją do szpitala. Jej BMI wynosiło piętnaście. Lekarze zdiagnozowali poważne niedożywienie i wysłali ją na oddział intensywnej terapii. Kiedy policja wróciła, by ją przesłuchać, już nie chciała rozmawiać. Uznali wtedy, że ma traumę i dlatego odmawia współpracy. Zadzwonili do mnie. Ze mną też nie chciała gadać, i to dość długo. Znalazłem dla niej miejsce w ośrodku. Wreszcie poczuła się bezpieczna, jednak zajęło to wiele czasu.

Marnie czekała w ciszy, kiedy Ed przestał mówić. Z szacunku, jak domyślał się Noah, dla koszmaru, jaki im się właśnie ukazał.

— Powiedziałaś, że miała powód, by szczególnie bać się noży — odezwała się w końcu Marnie. — Lowell ją ciął? Jeśli miał fetysz krwi...

— Nie, to chyba jedyne, do czego się nie posunął. — Ed wciągnął głęboko powietrze do płuc. Opowiadanie historii Simone było dla niego trudne; głębokie linie znaczyły jego twarz po obu stronach ust. — Kiedy miała osiem lat, została obrzezana. Przez matkę i inną kobietę.

Noah usłyszał w głowie tępe, wściekłe dzwonięcie.

— Co się stało z Lowellem? — zapytała Marnie bezlitosnym tonem. — Został aresztowany?

— A później wypuszczony, bez oskarżenia. Kawalerka została oczyszczona, nie został nawet ślad czyjejś bytności w tym miejscu. Strzelam, że ojciec Lowella mu w tym pomógł. — Ed wycisnął resztki uśmiechu z ust. — Zakładając, oczywiście, że opowieść Simone jest prawdziwa.

— Jaki miałyby powód do kłamstwa?

— Żadnego nie dostrzegam. Ośrodek to ostatnia deska ratunku. Nikt w nim nie mieszka, jeśli ma jakieś inne wyjście.

— Nie chciała wrócić do domu?

— Do Bissellów? Nie uważała ich domu za swój.

— Nie próbowali jej odnaleźć, kiedy uciekła?

— Myślę, że próbowali. Zdaniem Simone bali się, że ktoś zakwestionuje legalność adopcji. Sprawdziłem to i z prawnego punktu widzenia jest obywatelką Wielkiej Brytanii oraz ich córką. Poinformowali policję, kiedy opuściła dom. Przez rok jej nazwisko znajdowało się w bazie osób zaginionych. Bissellowie próbowali odwiedzić ją w szpitalu, ale nie chciała. Nie chciała też, żeby poznali adres ośrodka.

— Znęcali się nad nią? — zapytała Marnie.

— Nie chciała o tym mówić. Wątpię, żeby w grę wchodziło fizyczne maltretowanie, ale trafiła do Londynu jako dziesięciolatka po ciężkiej traumie. Z tego, co zrozumiałem, zaczęła chodzić do szkoły i na zajęcia z baletu dosłownie sekundę po wylądowaniu. Nigdy nie rozmawiali o jej rodzinnej wiosce, chyba że w kontekście jej powrotu tam w roli lekarza. Nigdy nie rozmawiali też o obrzezaniu, chociaż pani Bissell wiedziała, co matka Simone zrobiła córce. Najwyraźniej uważali, że polityczna poprawność nie

pozwała na krytykę zwyczajów innych kultur, nawet jeśli te zwyczaje obejmują okaleczanie dziewczynek. — Ed wykrzywił nieznacznie usta, jakby go to bolało. — Simone się dusiła, miała wrażenie, że po dziesięciu latach bycia Nasiche nagle jej tego zakazano. Bissellowie nie szukali dla niej pomocy w przepracowaniu traumy opuszczenia rodzinnej wioski czy tego, co się z nią stało, gdy miała osiem lat. W moim świecie to kwalifikuje się jako zaniedbanie.

— Myślisz, że Bissellowie ją porwali? — zapytał Noah. — Czy raczej działo się to za zgodą biologicznych rodziców?

— Trudno powiedzieć. Simone nie wie. A ja nie jestem pewien, co byłoby gorsze.

— Nie uważała, że Bissellowie ją uratowali? — odezwała się Marnie. — Po tym, co zrobiła jej biologiczna matka?

— Nawet jeśli, nigdy nie użyła takiego sformułowania w rozmowie ze mną. — Na twarzy Eda pojawił się cień uśmiechu. — Myślisz, że to jej chodziło dzisiaj po głowie. Że próbowała uratować Hope.

— Być może. A co ty myślisz?

— Mieszkała w ośrodku przez ponad trzy lata. Hope jest pierwszą osobą, do której się zbliżyła i stało się to w ciągu ilu tygodni? Trzech? Powiedziałaś, że Hope była tam tylko trzy tygodnie. W to nie potrafię uwierzyć.

— Nigdy wcześniej nie wydarzyło się nic podobnego? W ciągu tych trzech lat waszej znajomości?

Ed pokręcił gwałtownie głową.

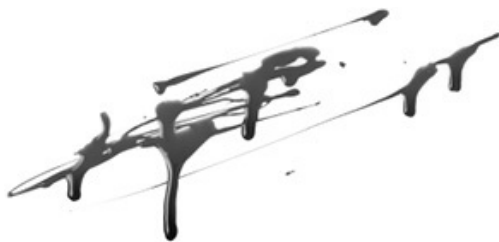
— Nic a nic. Była pomocna, lojalna, odpowiedzialna... A teraz nie tylko traktuję ją protekcyjnie, ale też wychodzę na naiwniaka. — Potrzebował jeszcze wiele czasu, żeby otrząsnąć się z szoku po tym, jak Simone za powierzone jej zaufanie odpłaciła oszustwem.

— Musimy porozmawiać z Ayaną i pozostałymi — oznajmił Noah. — O tym, jak naprawdę były sobie bliskie. Hope i Simone.

— I czy planowały ucieczkę. — Marnie podniosła się z krzesła, przelotnie dotykając ramienia Eda. — Lepiej wracaj do pracy. Może cię podwieziemy?

— Wolałbym jechać z wami do ośrodka — odparł Ed. — Pozwól, że pomogę wam w rozmowie z kobietami. Mogę to zrobić.

— Dobrze — zgodziła się Marnie. — Spotkajmy się na miejscu. Noah, powinniśmy zajechać najpierw na komisariat. Musimy coś załatwić.



TEN PRZEKŁĘTY DŹWIĘK, to piskliwe miauczenie z tylnej kanapy.

— Cicho tam — warknął pod nosem, a potem wykrzyczał to samo na głos: — Cicho tam!

Miauczenie przybrało na sile, drapało jego odsłonięty kark. Próbował policzyć do dziesięciu i dotarł aż do siedmiu, kiedy dźwięk znowu wrócił.

Tak brzmiał akompaniament jego dnia: niekończące się drapanie paznokciami o tablicę, które przypominało mu, że ona — oni, oni wszyscy — trzymali go za jaja.

Uderzył pięścią w deskę rozdzielczą.

— Cicho! Zamknijcie się wreszcie!

Bił i bił, aż plastik zajęczał, a skóra na knykciach pękła i pojawiły się koraliki krwi.

— Małe gnoje! — Odwrócił się do tyłu, pokazując swoją zranioną dłoń, obitą i zakrwawioną. — Zobaczcie, co narobiliście!

Bliźniaki, przypięte do identycznych fotelików, gapiły się na niego wielkimi oczami, z otwartymi buziami, z zaskoczenia na moment ucichły, lecz zaraz znowu — w stereo — zaczynają ten sam akompaniament, właczając powietrze w drobne płucka i wypychając je w postaci ryku.

To ich wina, że stracił tamte dwie z oczu. A przede wszystkim ją. Siedział jej na ogonie, nie dowierzając własnemu szczęściu, kiedy zobaczył, jak wychodzi ze szpitala ze swoją przyjaciółką.

Owa przyjaciółka stanowiła pewien problem, lecz nie taki znowu wielki. Nie bał się. Niestety poruszały się zbyt szybko i wiedziały, jak zniknąć w tłumie. Suki. A potem bliźniaki zaczęły...

Zgubił ją. Przez te pieprzone bachory. Czuł ich oddechy jak zsiadłe mleko. Z drugiej strony, smród Frei, zrujnowane piersi, których nie pozwalała mu dotykać, zawsze obolałe po karmieniu bliźniaków.

— Zamknijcie się, żarłoczne bachory.

Oglądał je w szpitalu, jak walczyły o życie. Urodzone zbyt wcześnie. Leżały w inkubatorach, a jemu serce pękało, siłą woli właczał powietrze w ich płucka...

Kochał je wtedy nieznośnie. Tak dawno temu. W innym życiu. Nie rozpoznawał już tych dwóch potworków z tyłu, zapiętych w modnych fotelikach, które kosztowały więcej niż jego tygodniówka — a przecież nie zarabiał mało. Kiedyś wszystko było łatwiejsze. A potem pojawiły się bliźniaki.

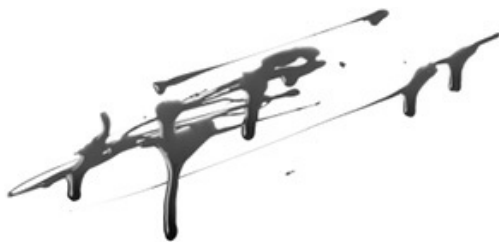
„Zmienią twoje życie”, mówili wszyscy koledzy.

Nie wiedział, że to ostrzeżenie.

Gdyby nie te bachory, nie poszedłby sześć miesięcy temu do tamtego klubu, poszukać chwili ciszy i spokoju. Liczył na zmianę otoczenia, coś, co przypomniałoby mu, jak kiedyś wyglądało życie. Pieprzona dziura z sufitem upstrzonym lustrzanymi kulami i betonowymi ścianami, obietnicą tanich drinków i darmowego, wolnego od wyrzutów sumienia seksu. One Night Stan, tak nazywało się miejsce, gdzie ją poznał. Suka wywróciła jego życie do góry nogami.

Zacisnął dłoń w pięść i polizał popękana skórę, czując leniwe drgnięcie w kroczu, odpowiedź na znajomy smak.

— Cicho — mruknął raz jeszcze, pod nosem, teraz jednak nie wiedział, czy groźba była adresowana do bliźniaków, czy do niego samego.



Sześć miesięcy wcześniej

W WIRUJĄCYCH ŚWIATŁACH stroboskopu widzi ją po raz pierwszy. Światło jest niebieskie, ostre. Odbiera jej skórze kolor. Mogłaby być w każdym wieku. Mogłaby być kimkolwiek.

To nie on wpada na ten pomysł. To nie on robi pierwszy krok. Prawda, ma parszywy humor, godzinę wcześniej trzasnął drzwiami, mając serdecznie dosyć Frei i bliźniaków. Nikt nie mówi nawet połowy tego, co się dzieje, co przeżywa świeżo upieczony ojciec, zapewne boją się, że to skończy się wymarciem gatunku ludzkiego. Bezsenne noce, pewnie, każdy ma jakąś łzawą historyjkę na ten temat. Nikt jednak nie wspomina o strachu, ostrzu w trzewiach, które wbija się głębiej za każdym razem, kiedy maluchy zaczynają płakać. Nikt nie mówi o tym dźwięku, cichym jak odgłos rwania chusteczek, kiedy dzieci przewracają się w kołyskach, a ty wstrzymujesz oddech, modląc się, by nie wrócił wrzask, bo jeśli wróci, już nigdy nie odejdzie, będzie trwał całą noc i jeszcze dłużej.

Minęło sześć tygodni i teraz nadeszła jego kolej, by je karmić, by wstać i wymacać w lodówce butelkę z mlekiem, które matka odciągnęła sobie przed snem. Zeszłej nocy pracował na dwie zmiany, wrócił wykończony. Jęknął, kiedy się rozwrzeszczały — jęknął i odwrócił się, by schować głowę między jej piersi. Tylko że to niedopuszczalne, jemu nie wolno być zmęczonym, jemu nie wolno jęczeć, skoro ona była z nimi *cały pieprzony dzień*. Odepchnęła go, zbyt obolała, żeby dać się dotykać. Paznokcie na stopach, nieobcinane od ośmiu miesięcy, drapały go po goleniach jak żyletki.

Dzisiejsza noc jest inna. Dzisiaj udało mu się uciec na godzinę, ponieważ gdyby został w domu, musiałyby wyładować na czymś swój gniew, a nie stać ich na to, by wymieniać jakiegokolwiek sprzęty. Oszczędzają na podwójnego buggy. Na podwójne wszystko.

W dyskotekowym świetle jej skóra wygląda na purpurową i pokrytą pręgami. Widzi je tylko przez moment, kiedy dziewczyna pochyla się w jego stronę i dekolt bluzki opada, pokazując cienkie paski na pozbawionej koloru skórze górnej części klatki piersiowej.

Na prawo i lewo pary całują się i obściskują. Cały klub śmierdzi feromonami; mężczyzna niewiele młodszy od niego trzyma obie dłonie pod bandażową spódniczką dziewczyny, która wygląda na raptem osiemnaście lat. Ohyda. Desperacja.

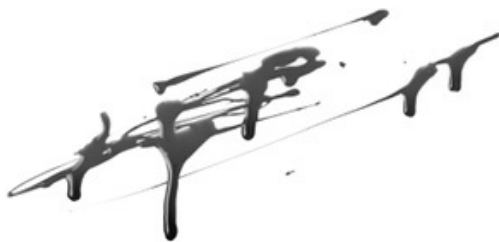
Podnieca go to.

Nie obściskiwanie się. Ta obrzydliwość i wstyd: rzeczy, które teraz kojarzy z seksem. Od czasu pojawienia się bliźniaków — okej, w domu nie może. Najpierw Freya była zbyt obolała — szwy, krwawienie, itd. — potem, kiedy wszystko się wygoiło, oboje byli zbyt zmęczeni, a te jej piersi, Chryste. Przekiekają, gdy bliźniaki płaczą, śmierdzą mlekiem, podobnie mdlącosłodką wonią jak ich wymiociny. Nie może w takich warunkach. Nie staje mu. Nie może być mężczyzną.

W dyskotekowym świetle *jej* cycki są małe i twarde. Raczej z mięśni niż tłuszczu.

Pachnie czystym potem i pieniędzmi. Monetami.

Dopiero kilka godzin później, w pokoju hotelowym, odkrywa, że źródłem miedzianego zapachu jest krew.



Pięć lat wcześniej

TERAPEUTKA, Lexie, siedzi na pufie z kolanami podciągniętymi do piersi. Włosy koloru kukurydzy, przycięte krótko, sterczą jej koło uszu. Ma na sobie zieloną tunikę z legginsami trzy czwarte, a skórzane sandały na płaskiej podeszwie odsłaniają pomalowane lakierem paznokcie. Zupełnie jakby na pufie przycupnął chochlik. Wydaje się nierzeczywista, lecz Marnie ma się na baczności. Zna te sztuczki, wie, jak zawodowcy potrafią zmęczyć swoim radosnym szczebiotaniem. Nie da się nabrać leśnemu skrzatowi o imieniu Lexie.

— Gdzie dzisiaj boli? — pyta Lexie, unosząc głowę.

To ich dwunasta sesja. Dwanaście tygodni i trzy dni od morderstwa. Na ósmym spotkaniu udało im się ustalić, że ból — fizyczny ból — jest przebiegły i ruchliwy niczym akwizytor, który znajdzie cię choćby i na drugim końcu świata.

Dzisiaj ból umiejscowił się w szyi. Po prawej stronie. Nerw, który znalazł się w pułapce.

— W szyi.

Marnie przestała traktować to poważnie — Lexie i jej las kwiatów doniczkowych, silny zapach paczuli — na czwartej sesji. To tylko wypełnianie formalności, papierologia, coś, co musi zrobić, żeby utrzymać swoją pracę, zostać w londyńskiej policji. Najwyraźniej tym bardziej jest przekonująca w swojej poczytalności, im częściej opowiada obcej osobie o swoim cierpieniu. Z początku się opierała, jednak nauczyła się już upokarzać przed Lexie, składać w ofierze swój ból u jej obutych sandałami stóp.

— W szyi — mówi Lexie, mądrze kiwając głową. Jej kolczyki, miniaturowe niebieskie ptaszki, skaczą i podrygują. — Możesz mi opisać, jakiego rodzaju jest to ból?

— Kłujący — odpowiada Marnie niemal bez zastanowienia. Niemal.

Lexie zapisuje coś w notesie. Już to rozgryzła? Domyśliła się tego, co Marnie wie już od tygodni? Że ból wędrujący po jej ciele pojawia się zawsze w określonych miejscach: w głowie, szyi, piersi albo ramionach, nigdy niżej.

Gdyby narysować mapę jej bólu, pokrywałaby się z tym, co można znaleźć w raporcie patologa z sekcji Grega i Lisy Rome. Rany kłute, śmiertelne i nie. Dwanaście na osobę, wszystkie zadane kuchennym nożem.

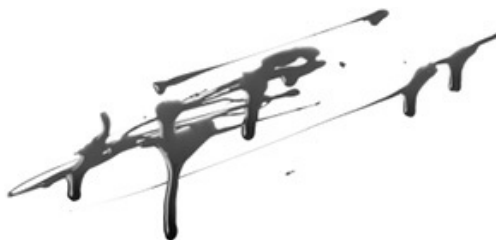
Marnie z początku nie zdawała sobie z tego sprawy. Ból wydawał się zwyczajny i zwała go na stres, spanie w złej pozycji albo siedzenie krzywo przed laptopem, gdy wpisywała nazwisko Stephena do wyszukiwarki. Nauczyła się przykrywać dłonią miejsce bólu i wtedy to zauważyła.

To ich ból czuje.

Precyzyjny, dokuczliwy.

W głowie i piersi oraz dwunastu miejscach pomiędzy.

Wszędzie tam, gdzie on wbił nóż.



Teraz

MARNIE ROME siedziała w małym pomieszczeniu na tyłach komisariatu policji. Sama, nie licząc leżącej na biurku grubej foliowej torebki na dowody. Za plecami komisarz stał brudny metalowy regał z zawartością czyjegoś biurka: kubkiem, żelem do mycia rąk i butelką płynu do soczewek, który dawno stracił ważność. A także z mapą Hendon.

— Tylko ty i ja — szepnęła Marnie do torebki. Wcześniej zamknęła drzwi pokoju na klucz. Teoretycznie było to wbrew zasadom, jednak nie chciała, żeby Tim Welland przyłapał ją na zadawaniu pytań retorycznych foliowej torebce. Nie знаła krótszej drogi z powrotem na terapię, a nie miała teraz ochoty na pochylanie się nad swoim wnętrzem. Nie w chwili, gdy Hope uciekła, a Leo miał dziurę w płucach. I tak długo już to odkładała. Powinna była się tym zająć dużo wcześniej, kiedy krew była jeszcze świeża.

Pod wpływem wilgoci torebka zaparowała, od spodu pojawiła się czerwona wysypka skroplonej pary. Szturchnęła ją palcem, jak dziecko testujące gniazdo os.

— Nie boję się ciebie...

Nie pierwszy raz zasiadła do rozmowy z nożem. I nie ostatni.

To tylko nóż. Zwyczajny nóż. Opuszkami palców dotknęła czystej strony poplamionej torebki, żeby przyzwyczaić się do tego uczucia.

„Opuszki palców są bardzo ważne”, wyłuszczył jej kiedyś specjalista od ekspertyzy sądowej, nie tak długo po tym, jak zaczęła pracę w londyńskiej policji. „Niczym przedłużeniem pięciu zmysłów, możesz dotknąć czegoś opuszkami palców, nawet przez lateks, i *wiedzieć*, że to istotne”. Opowiedział jej wtedy, jak kiedyś spędził niedzielny wieczór na szukaniu noża wyrzuconego do Tamizy, w chwili przyływu. W trakcie odpływu, kiedy sam znalazł się w rzece, poszukiwania były niebezpieczne ze względu na błoto. Brudne, wciągające w swoją otchłań błoto, niemal uniemożliwiające brodzenie w nim, zupełnie nieprzejrzyste. Musiał wtedy polegać wyłącznie na zmyśle dotyku, żeby znaleźć nóż — i znalazł go.

Marnie, przez folię torebki na dowody, zbadała nóż, którym Hope przebiła płuco swojego męża. Zwyczajny nóż.

Zamknęła oczy w akcie samoobrony. Poczwała zapach skórki pomarańczowej — jej ojciec robił

bożonarodzeniowy poncz. Kolejne wspomnienie, zielone, matki krojącej warzywa na sałatkę...

Półówka awokado w dłoni, oliwkowy miąższ wokół kasztanowej pestki. Uderzała mocno nożem, a pestka zatrzymywała go w pół drogi. Jeden ruch nadgarstkiem i owoc uwalniał się z pestki, która wpadała do kosza, gdy trzonek pukał o jego krawędź. Długie lata patrzyła, jak jej matka w ten sposób pozbawia awokado pestki; zawsze przez sekundę zdawało się, że zaraz straci palce.

Pomarańcze i awokado. Kolory kuchennych noży. Nawet teraz Marnie czuła zapach cytrusów, nie krwi. Pamięć to genialny kłamca.

Wysiłkiem woli skoncentrowała się na nożu w foliowej torebce. Nożu, który Hope Proctor zwróciła przeciwko mężowi. Dlaczego? W jaki sposób?

Hope mierzyła metr sześćdziesiąt pięć, dwa i pół centymetra mniej niż Marnie. Prawie trzydzieści centymetrów mniej niż jej mąż, do tego ważyła połowę tego, co on. Wbiła mu ostrze między żebra, szczerbiąc jedno z nich, jak pokazało prześwietlenie. Musiała poczuć siłę uderzenia w nadgarstku. Potem opór się zmniejszył i nóż wbił się gładko w ciało, wchodząc na tyle głęboko, by zaplamić krwią palce Hope i trzonek.

Marnie wygładziła folię palcami. Kiedy ostrze noża ześlizguje się po powierzchni kości, zostawia małe wgłębienie, nawet jeśli nóż jest nowy. Te wgłębienia często służą jako wskazówki.

Nóż, którym jej rodzice obierali pomarańcze i drylowali awokado...

Później to samo ostrze było pełne wskazówek, śmierdziało dowodami. Nie pozwalali Marnie się do niego zbliżyć, a chciała odczytać te wskazówki. Trzymali ją w niewiedzy, tak jak ona trzymała na wodzy wspomnienia. Tylko że one nie chciały się chować, skakały na nią jak podekscytowany szczeniaczek, którego ktoś zbyt długo trzymał w zamknięciu.

Śmierć kładzie się najdłuższym cieniem. Kto to powiedział? Ktoś, kto najwyraźniej nie znał śmierci, nie osobiście. Cienie to miejsca chłodne, dobre na kryjówkę. Śmierć była jak słońce w zenicie, bez śladu cienia. Miejsce, gdzie się spalisz. Odepchnęła torebkę z nożem na odległość wyciągniętej ręki i wstała, tak prędko, że zakreśliło jej się w głowie. Wyciągnęła telefon z kieszeni i wybrała numer Noaha Jake'a.

— Bądź za chwilę w pokoju przesłuchań, dobra?

— Już lecę. — Rozłączył się.

Przekręciła klucz w drzwiach i otworzyła je. Noah z pewnością nie marnowałby czasu, nawet gdyby nie usłyszał jej gorączkowego tonu.

Faktycznie, pojawił się w pokoju, zanim zdążyła policzyć do trzydziestu.

— Co się dzieje?

— Stań pod lampą.

Przeszedł na drugą stronę stołu, wykonując jej polecenie. Zdecydowanie brakowało mu postury Leo Proctora — na jego ciele nie można było znaleźć grama tłuszczu — ale wzrostu niewiele. Marnie podniosła nóż zawinięty w torebkę, przekręcając go, by wygodnie złapać za trzonek. Folia miała specyficzny zapach, jak brudna skóra. Marnie okrążyła stół, zbliżając się do miejsca, gdzie stanął Noah.

— Nie ruszaj się — ostrzegła.

Noah zamarł. Komisarz zgięła rękę w łokciu pod odpowiednim kątem i pchnęła w stronę torsu sierżanta, zatrzymując ostrze tak, że koniuszek ledwo dotykał jego koszuli. Za nisko.

Za nisko, żeby trafić w płuco.

— Cofnij się trochę.

Noah zrobił, co mu kazała, nie odzywając się ani słowem. Lubiła to w nim. Przycisnęła łokieć mocno do pasa. Pchnęła.

Tym razem czubek noża trafił na łuk żebra. Wciąż za nisko, żeby trafić w płuco.

Noah posyłał jej pytające spojrzenie. Pokręciła głową.

— Nie ruszaj się.

Wypróbowała ciosy z różnych kątów. Z nożem położonym horyzontalnie. Wertykalnie. Z ostrzem uniesionym do góry i skierowanym w dół. Gdyby Leo umarł, to zadanie z łatwością wykonałby patolog, jednak w tej sytuacji to ona musiała się męczyć.

Wreszcie trafiła w miejsce między piątym a szóstym żebrem Noaha. Zamarła z wyciągniętą ręką, nadgarstek trzymając płasko. Noah się nie ruszył, czekając, aż komisarz zabierze sztywny koniec foliowej torebki z jego koszuli.

— To nie było łatwe — powiedziała, odkładając nóż z powrotem na stół.

— Nie? — Jego oczy błyszczały. — Ja bym powiedział, że masz do tego dryg. — W tej samej sekundzie jego uśmiech zniknął. — Przepraszam. Co masz na myśli, mówiąc, że nie było łatwe?

— Łatwiej byłoby dźgnąć cię w brzuch. Gorszy rodzaj śmierci, wolniejszy. Więcej czasu, by ktoś spróbował uratować ci życie. — Odeszła od noża. — Chociaż w Finchley i tak nikt by się tego nie podjął. Wszystkie kobiety byłyby zbyt przerażone albo zbyt skupione na tym, że ci się należało...

Noah sięgnął po torebkę.

— Jestem Leo?

— Jesteś Leo. Wniosłeś nóż do ośrodka dla ofiar przemocy. Dlaczego?

Trzymał torebkę z nożem w obu dłoniach, starając się nie złapać za trzonek. Wyglądało to, jakby Noah składał broń w ofierze na rzecz pokoju.

— Żeby cię przestraszyć. To znaczy Hope. Przestraszyć Hope.

— Mógłbyś to zrobić bez noża. Jesteś potężnym kolesiem, z wielkimi łapami. Nie potrzebujesz noża, żeby wzbudzać strach.

— W takim razie... chciałem cię skrzywdzić. — Noah popatrzył na nóż z konsternacją. — Zabić?

— To dlaczego wciąż żyję? Ty taki duży, ja taka mała. Dlaczego to ty leżysz w szpitalu, walcząc o życie?

Noah zamilkł na dłuższą chwilę, a potem powiedział:

— Dałem ci nóż. — Wyciągnął ręce w stronę Marnie. — Musiałem... musiałem dać ci nóż.

— A potem co? Stałeś, czekając, aż przebiję nim twoje płuco?

— Popełniłem błąd. — Noah zmarszczył brwi, jego twarz się wydłużyła. — Sprawdzalem cię i się przeliczyłem. — Spojrzał na nóż i odłożył go na stół. — Zaskoczyłaś mnie. Nigdy bym się nie spodziewał, że będziesz mieć dość odwagi, by zaatakować. Chciałem przypomnieć ci, kto tu jest szefem, chciałem dać ci nauczkę za to, że uciekłaś.

— Nie spodziewałaś się, że to zrobię.

— Byłem przekonany, że się nie ośmielisz.

— Czyli spanikowałam. Właśnie tak uważasz?

Noah przyłożył rękę do przodu koszuli.

— Gdybyś spanikowała, skończyłbym z dziurą w brzuchu. Musiałaś... musiałaś chcieć mnie zabić. — Opuścił ręce. — Ayana miała rację. Chciałaś mnie zabić.

— Ayana?

— Spisałem jej zeznania i zostawiłem u ciebie na biurku. Jej zdaniem atak był celowy: Hope nie mogła w inny sposób powstrzymać męża. Można to chyba nazwać swego rodzaju obroną własną.

— Ale nie paniką. — Marnie wróciła do stołu, dźgnęła palcem torebkę. — Ostrze nie trafiło w płuco przez przypadek.

— A jeśli zrobiła to celowo...

— Miała wszelkie powody do ucieczki.

— Chciała go zabić, żeby powstrzymać maltretowanie. To dobra linia obrony, a mamy przecież obdukcję, która potwierdza jej wersję wydarzeń. Nie musiała uciekać.

— Nie, jeśliby się nad tym zastanowiła na spokojnie. I gdyby jej najbliższa przyjaciółka miała powód, by ufać policji. Szkoda, że nie mieliśmy bladego pojęcia o historii jej najbliższej przyjaciółki.

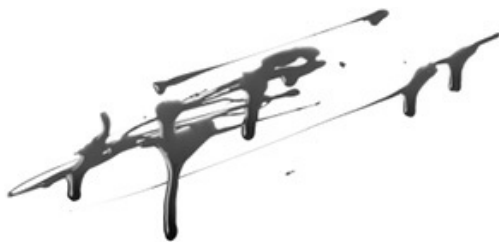
— Oczywiście... jeśli atak był celowy, ktoś by coś powiedział. Ktoś by coś *widział*. Przy tylu świadkach...

— Wszyscy świadkowie to maltretowane kobiety. Zapewne ciągle chowają jeszcze siniaki po ostatnich dniach przed ucieczką od nękających ich mężów, synów, braci. Każda z nich miałaby dobry powód, żeby widzieć w Leo zagrożenie...

Marnie sięgnęła po marynarkę.

— Czas wracać do ośrodka. Dowiedzmy się, co naprawdę zobaczyły. — Zerknęła na Noaha. — Nie gniewaj się, ale chcę przeprowadzić przesłuchanie z Edem. On zna te kobiety, cieszy się ich zaufaniem.

— Rozumiem — odparł Noah. Podniósł nóż. — Zabiorę to do biura dowodów rzeczowych. Tam się spotkamy.



MAB THULE siedziała prosto na krześle, z obiema stopami opartymi o podłogę jej pokoju w ośrodku, z czerwonymi rękawiczkami z bawełny na dłoniach. Krzesło z gładkiego plastiku skrzypiało przy każdym jej ruchu. W jednej ręce trzymała widelec z powykrzywianymi zębami. Rozerwała szew poduszki na krzesło i grzebała w niej obleczonym w rękawiczkę palcem. Poduszka miała wybrzuszenia, jakby Mab zachomikowała tam jakieś przedmioty. Zachowywała się jak sroka w gnieździe pełnym wątpliwej wartości skarbów, z głową przechyloną na bok. Lewa rękawiczka, luźno zwisająca z dłoni, wyglądała na pustą. Mab pochyliła się, przesywając Marnie intensywnym spojrzeniem. Jej usta się poruszały i komisarz przysunęła się bliżej, żeby posłuchać.

— Serce by ci pękło. — Mab opadła ciężko na oparcie, wykończona.

Marnie spojrzała bezradnie na Eda. Wyciągnął rękę do Mab, zabrał jej widelec i odłożył go, a potem złapał ją za dłonie. Do zapadniętej twarzy Mab przykleił się uśmiech.

— Teddy...

— Tak. — Odpowiedział jej uśmiechem. — Potrzebujemy pani pomocy. Musimy ustalić, co tu się wydarzyło w piątek. Z Hope i jej mężem, ale też z Simone. Hope i Simone się przyjaźniły, prawda?

— Serce — powiedziała smutno Mab. — Serce by ci pękło.

Ed złożył jej dłonie z powrotem na kolana.

— Mogę pani coś przynieść, kochana?

Pokręciła głową. Wyciągnęła dłoń w rękawiczkce wnętrzem do góry. Ed oddał jej widelec. Kiwnął do Marnie i wynieśli krzesła na korytarz.

Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od pokoju Mab, Marnie zapytała:

— Jej stan pozwala na mieszkanie w ośrodku?

— Jej stan nie pozwala jej być nigdzie indziej. Pracownicy społeczni regularnie ją oceniają. Jakiś czas temu chcieli wypchnąć ją do domu spokojnej starości, ale kiedy popatrzyli na rachunek, uznali, że taniej będzie ją trzymać tutaj, przynajmniej dopóki nie będzie potrzebować opieki pielęgniarzkiej.

— A teraz jej nie potrzebuje?

— Potrzebuje pomocy przy ubieraniu się i myciu — wyjaśnił Ed — ale pozostałe lokatorki o to dbają. Robią to na zmianę. System działa całkiem przyzwoicie.

Marnie powiodła wzrokiem na koniec korytarza, w stronę pokoju dziennego.

— Co jest nie tak z jej dłońmi? A może nosi rękawiczki, bo jej zimno?

— Odmroziła sobie dwa palce jako dziesięciolatka, musieli je amputować. — Na ściągniętej twarzy

Eda malował się niepokój o losy Hope i Simone. — Kto następny na twojej liście?

— Nie Ayana, bo się uczy. Obiecałam, że to uszanujemy, jeśli nie będzie absolutnie niezbędna. Więc może... Shelley Coates?

Shelley Coates była najmłodszą z pięciu kobiet, które były świadkami zajścia z Leo Proctorem. Miała dwadzieścia trzy lata, ciężki makijaż, oczy małe i brązowe. W prawej dziurce w nosie nosiła srebrny kolczyk. Skierowane w dół kąciaki ust przypominały Marnie szczękę lalki brzuchomówcy.

Pokój Mab Thule nie był w najlepszym stanie, ale miał swój urok. Ten należący do Shelley miał tyle uroku, co motel przy autostradzie. Był jak zaścielone łóżko z wypłowiałym wezgłowiem. Ceramiczna prostownica na szafce nocnej; Marnie czuła zapach spalonych włosów i zobaczyła jeden czy dwa kosmyki przyklejone do urządzenia.

Shelley usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, odgarnęła ciemne włosy na plecy. Jej dres został uszyty z czarnego weluru, a wykończono go kryształkami. Na nogach miała trampki na koturnie, białe, ze złotym łańcuszkiem na jednej kostce. Bluzka z głębokim dekoltem skrywała duży biust, miseczka D, jednak niezbyt skromnie. Shelley wyraźnie celowała biustem w Eda, który chyba tego nie dostrzegał, choć mógł też udawać.

— Cześć, Shelley. Dziękuję, że zgodziłaś się z nami porozmawiać. — Marnie nie podała jej ręki.

Żadna z mieszanek ośrodka nie lubiła być dotykana. — Nie będziemy cię zatrzymywać dłużej, niż to konieczne.

Shelley otaksowała komisarz spojrzeniem od płaskich butów po płaski biust, a jej wzrok mówił krótko: policyjna lesba.

— Dobra. — Przeżuła to słowo jak gumę.

— Musimy wrócić do kilku szczegółów twojego zeznania z piątku.

Marnie i Ed, wciąż żywo pamiętając panikę z tamtego dnia, ustalili, że nie będą zadawać pytań, po których kobiety zaczęłyby się martwić o los Simone i Hope. Zgodzili się nie wspominać w ogóle o ich zaginięciu.

— Byłaś w pokoju dziennym, kiedy pojawił się Leo.

— No, oglądałyśmy *Lorraine*. Wyłączyłyśmy, kiedy on wszedł. — Bawiła się kolczykiem w nosie. Na skórze wokół dziurki pojawiły się strupki, jakby goiła się po infekcji albo po ciosie.

— Wiesz może, jak się tu dostał?

— Minął tę głupią krowę, Jeanette. — Usta Shelley wykrzywiły się w grymasie niezadowolenia. — Wiecznie ma przerwę na papierosa. Albo na żarcie.

— Spokojnie, Shell. To wolontariuszka. Wiesz, co to oznacza — upomniał ją Ed.

— Ta, mamy jej lizać dupę, inaczej mój własny tyłek wylądował na ulicy. — Zmieniła grymas w szeroki uśmiech, pochylając się jeszcze bardziej w stronę Eda, pokazując dokładniej swój dekolt. — A tak w ogóle to Mab znowu grzebała mi w rzeczach.

— Co tym razem?

— Dwa pierścionki. Nic szczególnego, inaczej bym zrobiła aferę. Zresztą i tak je odzyskałam. Ale kazałeś o tym mówić, więc mówię.

— Dobra. — Ed kiwnął głową. — Przykro mi to słyszeć. Porozmawiam z nią jeszcze.

— Czy Leo Proctor był już wcześniej w ośrodku? — zapytała Marnie.

Shelley pokręciła głową.

— Nie.

— A widziałaś, żeby kręcił się w okolicy, może przed budynkiem?

— Gdyby tak było, ktoś by ją ostrzegł. Zadzwoił do ciebie — kiwnęła na Eda — albo na policję.

Marnie została obdarzona kolejnym buńczucznym spojrzeniem.

— Mówił coś? Kiedy wszedł do pokoju?

— Nie.

— Jak zareagowała Hope?

— Skoczyła mu w ramiona, głupia krowa. — Shelley rozejrzała się po pokoju, jakby próbowała przypomnieć sobie dokładnie, co w tym wszystkim było nie tak. — To przez róże. Ona jest z tych, co to dają się nabrać na takie tanie chwytły. — Zaczęła szarpać cienki łańcuszek na kostce. — Ja to przynajmniej trochę oddaję. Mojemu Clarkowi.

Marnie popatrzyła na Eda.

— Clark to chłopak Shelley — powiedział.

— Co mu oddałaś? — zapytała Marnie.

— Nie co, tylko w ogóle — parsknęła Shelley. — Nie leżałam i czekałam, aż przestanie.

— Myślisz, że Hope tak robiła z Leo?

— Ja to wiem. Widziałam jej siniaki, gdy była w łazience. Nie zamykała drzwi na zasuwkę. W domu jej nie pozwalał zamykać, tak powiedziała. Widziałam, jak ją urządził.

— Czy ktoś jeszcze widział jej siniaki? Na przykład Simone?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko to, co widziałam. — Skrzyżowała ręce na piersi, wyprostowała się. — Sama bym go dźgnęła.

— Twoim zdaniem to była... zemsta?

Shelley pokręciła głową.

— Nie, Hope to laska, która nie zrobi nic, choćby nie wiem co się działo. Spanikowała. Simone to od razu zobaczyła. I my też. — Zagryzła dolną wargę, zjadając różowy błyszczek. — Macie ją na oku, prawda? Bo to typ, co się może zabić. Wiecie o tym?

— Myślisz, że Hope może zdecydować się na samobójstwo?

— To zależy. — Jej małe oczka przyglądały się twarzy Marnie. — On już umarł?

— Odzyskał przytomność. Wygląda na to, że z tego wyjdzie.

— Kurwa. — Shelley objęła się w pasie, popatrzyła w dal, a potem wycodziła przez zaciśnięte zęby: — Typowe.

— Co jest typowe?

— Że takie skurwysyny jak on przeżywają. Ona pójdzie do więzienia, a on będzie wolny. Typowe.

— Nie uważasz, by Hope powinna trafić do więzienia.

— Chyba sobie jaja robisz. — Shelley rozplotła ręce i złapała się za kostki. Posłała Marnie kolejne

buńczuczne spojrzenie. — Przecież nie miała innego wyjścia. Gdyby nie dorwała się pierwsza do noża, on by ją ukatrupił.

— A twoim zdaniem, jak dorwała się do noża? Leo to potężny mężczyzna.

— Prawdziwy byk.

— Właśnie. To jak Hope udało się zabrać mu nóż?

Shelley wzruszyła ramionami.

— Musiała go zaskoczyć. Przyzwyczał się, że jest jego podnóżkiem, robi, co jej się każe, nie spodziewał się walki. — Zrobiła wdech, przytrzymała powietrze w policzkach, a potem wypuściła. — Będąc tutaj — spojrzała na Eda, niemal nieśmiało — człowiek zaczyna rozumieć, że jest coś wart, nawet jeśli wszyscy mu wcześniej wmawiali, że jest gównem. Człowiek zaczyna walczyć.

Ed uśmiechnął się do niej.

— Akurat ty nigdy nie bałaś się walczyć.

— No — zgodziła się Shelley. — Ale takie laski jak Hope... — Znowu wzruszyła ramionami. — Trzeba ją było zobaczyć. Tyle. Jak się zobaczyło, to się rozumie, dlaczego to zrobiła. Nie miała wyjścia. Po prostu starała się przeżyć.

Tessa Stebbins była o połowę mniejsza od Shelley Coates, ale równie twarda.

— Sukinsyn dostał to, na co zasłużył, nie?

W jej pokoju nie można było uświadczyc prostownicy czy lakieru do paznokci. Łóżko wyglądało schludnie, gładko zaścielone. Tessa szarpnęła za poduszki, jakby ta schludność ją denerwowała.

— Pojawiałaś się w ośrodku kilka tygodni przed Hope. — Marnie zerknęła do notatek. — Jakie zrobiła na tobie wrażenie, kiedy zobaczyłaś ją po raz pierwszy?

Ciemne włosy Tessy zebrane były w tak ciasny kucyk, że unosiły jej brwi. Ręce trzymała skrzyżowane na piersi, kątem oka patrzyła na Eda.

— Była w opłakanym stanie.

— W jakim sensie?

— Każdym. Siniaki. Płacz. Skakała pod sufit za każdym razem, gdy ktoś zmienił kanał w telewizorze. Płacz. Takie tam. — Rozplotła na moment ręce, żeby wytrzeć nos o welurowy rękaw. Ubrała się jak Shelley, jednak jej dres był różowy jak guma balonowa. Do tego za duży, przez co Marnie przyszło na myśl, że może dziewczyna pożyczyła go od nowej koleżanki. — Shell widziała ją w łazience. Za dnia Hope się kryła, ale Shell wszystko widziała.

— Mówiła coś o mężu? Na przykład Simone?

— Tak. No. — Tessa zamrugała oczami jak u kota, żółto-zielonymi. — Nie tylko Simone zresztą. Kiedy płakała, zaczynała żałować, że od niego odeszła. Martwiła się, kto mu teraz gotuje. Nie ogarniam, ja pierdołę... — Zagryzła dolną wargę po przekleństwie, jakby to słowo było nowym kolczykiem, do którego się jeszcze nie przyzwyczała. Świetnie jej szło udawanie twardej, ale Marnie dostrzegała chowające się za tą fasadą wystraszone dziecko.

Chłopak Tessy, Billy, dzielił się nią z kolegami, zmuszając ją do seksu, żeby móc spłacić długi. W ośrodku Tessa zaczęła małpować manieryzm Shelley Coates, świadomie lub nieświadomie chcąc podporządkować się samicy alfa. Taki trik stosowali skazańcy; Marnie widywała to ciągle

w więzieniach. Zastanawiała się, czy Shelley wykorzystywała to, czy Tessa wciąż pozostawała ofiarą, a zmienił się tylko ciemniejszy.

— Simone twierdzi, że widziała Leo z nożem.

— Tak. To znaczy, no. Też go widziałam.

— Widziałaś Leo z nożem.

— No.

— Ale to on został nim dźgnięty.

Tessa uśmiechnęła się, pokazując koronki na zębach.

— No.

— Jak twoim zdaniem do tego doszło?

Tessa wzruszyła ramionami.

— Chyba miała dosyć. Kurde, nóż to poważna sprawa. Z nożem nie ma żartów. — Wsunęła kciuk do ust, przejechała paznokciem po zębach. — Mój Billy... on nigdy nie tykał noży. I bez nich był straszny, ale nie tykał. Z nożami to dopiero strach.

— Dlaczego, twoim zdaniem, Leo przyniósł do ośrodka nóż?

— To oczywiste. — Tess przewróciła oczami. — Chciał ją wykończyć. Dlatego nie miała innego wyjścia, no nie? Albo on, albo ona. Obrona własna. Koniec.

Tessa nie miała do dodania nic nowego względem zeznań Shelley Coates, więc Marnie pozwoliła jej wrócić do pokoju dziennego. Na korytarzu potarła ze zmęczenia kark.

— Teraz weźmy się za Jeanette. Kończy zmianę o czwartej.

Ed chyba usłyszał niechęć w jej głosie.

— Wolontariusze bywają różni — zauważył. — Lubię myśleć, że większość ludzi nie wzięłaby tego rodzaju pracy dla pieniędzy, które, pomijając wszystko inne, są po prostu niewielkie, ale nie wszyscy mają w sobie powołanie.

Jeanette Conway wypełniała swój dres tak dokładnie, że trudno było sobie wyobrazić, by zostało w nim miejsce na bieliznę. Jej rysy zebrały się markotnie na środku twarzy, a otaczało je blade, okrągłe ciało. Marnie przypomniała sobie krzyk, jaki dobył się z jej ust w piątek. Wargi wydawały się zbyt małe, by mogło się spomiędzy nich wydostać coś podobnego.

— Chcielibyśmy dopytać o szczegóły tego, co wydarzyło się w piątek — powiedziała Marnie.

Jeanette skuliła się i popatrzyła z ukosa na Eda.

— Dobra.

— Drzwi nie były zablokowane. Zazwyczaj tak jest?

— Nie, i w piątek też były zamknięte na klucz.

— Nie zauważyłam tego, gdy przybyliśmy na miejsce — odparła beznamiętnie Marnie. — Nie było też nikogo przy biurku.

— Siedziałam w pokoju dziennym. — Jeanette popatrzyła na Eda. — Próbowałam ogarnąć, co ten sukinsyn kombinuje. Dbałam o ich bezpieczeństwo, tak jak mi każecie.

Ed nie odezwał się. Jego mowa ciała była bierna, jednak nie dawał dziewczynie też nic, co mogłaby zinterpretować jako alibi.

— Jak Leo Proctor dostał się do ośrodka? — zapytała Marnie.

Jeanette poruszyła się na krześle. Zamaskowała smród papierosów gumą owocową i odświeżaczem powietrza.

— Hope go wpuściła — powiedziała ponuro.

— Hope go wpuściła.

— Musiała. Drzwi — złożyła usta w dzióbek — były zamknięte.

— Dlaczego Hope miałyby go wpuścić? Przecież chowała się tutaj właśnie przed nim.

— Wiesz, jakie one są. — Te słowa skierowała do Eda. — Nie mogą się powstrzymać. Złodziejstwo i telefony to nic. Dzieją się o wiele gorsze rzeczy. Nie tylko z Hope. Widziałam koleśia Shelley, jak się tu kręcił, i w ogóle.

— Twierdzisz, że Leo Proctor bywał tu wcześniej — rzuciła Marnie.

— Widziałam koleśia Shelley. — Jeanette prychnęła z obrzydzeniem. — I nie tylko to widziałam.

Marnie czekała, aż dziewczyna powie coś więcej.

Jeanette uśmiechnęła się sztywno.

— Nie mogą się powstrzymać — powtórzyła.

Ed podrapał się po głowie, znowu zwracając na siebie uwagę.

— Co się stało w pokoju dziennym między Hope i Leo?

— Próbował wręczyć jej róże. Z początku nie chciała się do niego zbliżyć, ale potem podeszła. — Dziewczyna zaczęła skubać skórkę przy paznokciu. — Nie wyglądał, jakby miał sprawiać kłopoty. Nie bardziej niż cała reszta. Był cichy.

— Nikt nie kazał mu wyjść? Na przykład Simone?

— Nie. — Jeanette przewróciła oczami. — Dlaczego akurat ona?

— Nie uważasz ich za przyjaciółki? A może więcej niż przyjaciółki?

Jeanette tylko wzruszyła ramionami.

— A Hope też nie kazała mu wyjść? — dopytywała Marnie.

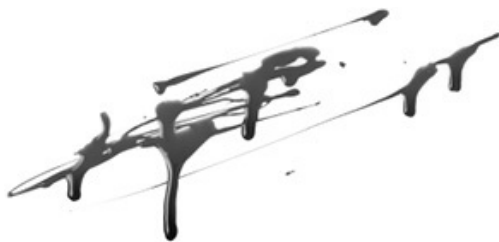
— Nie.

— W ogóle coś do siebie powiedzieli?

— Nie. A przynajmniej ja nic nie słyszałam. Myślałam, że go pocałuje. Tak blisko podeszła. Jakby chciała powąchać kwiaty. A potem on upadł. — Skrzyżowała ręce na piersi i rozejrzała się po pomieszczeniu, a następne słowa wyrecytowała znudzonym, nosowym głosem: — Nóż zobaczyłam dopiero później. Gdybym zauważyła go wcześniej, zadzwoniłabym po policję czy coś. Nie zanosiło się na nic, ale chyba chciał, żeby wróciła z nim do domu, a może był zły, że uciekła tutaj. — Skrzywiła się. — To wielkolud, nie potrzebował noża, mógł ją po prostu wynieść. Dziewczyna waży ze czterdzieści kilo.

— Wbiła mu nóż w pierś.

— No. — Jeanette wróciła wzrokiem do Marnie. — Jak to zrobiła? To znaczy, każda by chciała to zrobić temu, kto ją tu wpędził. A jednak ona nie wyglądała na taką. — Pokręciła głową. — Chyba dlatego potem tak spanikowała.



— CZY KTOŚ JESZCZE ma wrażenie, że to przypadek goryla na boisku?

Jeanette skończyła zmianę. Marnie siedziała w biurze z Edem i Noahem. Szczypały ją kciuki. Nie mieli żadnych wieści o Hope i Simone. Nikt ich nie widział. Zostały im długie godziny nagrań z monitoringu ulicznego, a zdobycie pozwoleń zabierało więcej czasu niż zazwyczaj.

— Simons i Levin — powiedział Noah w odpowiedzi na pytanie Marnie. — Psychologowie z Harvardu. To masz na myśli?

Zobaczyła, jak Ed szybko zerka na Noaha i uśmiecha się.

— Dyplom z wyróżnieniem z psychologii.

Ed mu zasalutował.

— Czyli tak, Simons i Levin proszą ochotników, żeby obejrzeni nagranie z grą w kosza — powiedziała Marnie. — Mają policzyć podania jednej drużyny. W połowie gry wchodzi człowiek przebrany za goryla i macha do kamery. Za każdym razem goryla widzi mniej niż połowa biorących udział w badaniu. Tak to było?

Noah kiwnął głową.

— Niektórzy myśleli, że Simons i Levin podmienili kasety. Nie mogli uwierzyć, że ludzie byli w stanie przegapić goryla. A jednak.

— Połowa w każdym badaniu zwyczajnie go nie widziała.

— Właściwie to jej. Za goryla przebrała się kobieta — poprawił Noah. — Uważasz, że te tutaj przegapiły coś, co powinny były zobaczyć? — Zawahał się. — Takie coś jak na przykład to, że Hope celowo dźgnęła męża?

— Nie da się tego potwierdzić, ale chodzi mi to po głowie.

— Wróć — rzucił Ed. — Hope *chciała* dźgnąć Leo?

— To teoria, nad którą pracujemy. Nie jedyna, ale jeśli chciała go zabić i jeśli Simone o tym wiedziała... Miałyby powód, żeby uciekać, gdy Proctor się obudził.

— Powiedziała Leo, że mieszka w ośrodku — przypomniał Noah. — Dlaczego? Jeśli teraz ucieka... Nie rozumiem.

— Ciągnęło ją do domu — mruknął Ed. — Jestem zdziwiony, że Ayana tak długo wytrzymała bez dzwonięcia do rodziny. Większość kobiet wykonuje ten telefon w ciągu kilku dni.

— Wciąż nie wiemy, czy będzie zeznawać przeciwko Nasifowi — zwrócił mu uwagę Noah.

— To może poczekać — powiedziała Marnie. — Będzie musiało poczekać. Mamy dwie zaginione kobiety, z których jedna być może próbowała zabić męża.

W tle bez ustanku grał telewizor. Czy mieszkanki ośrodka nigdy go nie wyłączyły?

— O co chodziło z Mab i pierścionkami Shelley? — zapytała Eda.

— Mab jest trochę jak sroka. Zostało jej tak chyba po tym, jak musiała grzebać w ruinach podczas bombardowań... Ma zwyczaj zbierania wszystkiego, co inni zostawiają gdzieś na wierzchu. Prosiłem je, żeby uważały, ale... — Pokręcił głową. — Zazwyczaj znajdujemy wszystko w poduszce na krzesło, sama widziałaś. To nic takiego. Wszyscy rozumieją. Właściwie to mają dla niej dużo cierpliwości.

— Jasne. — Marnie przeciągnęła się, masując kark. — Będę z tobą szczerą, Ed. Nie spotkałam jeszcze gorszych świadków, a to coś znaczy. Żadna z tych kobiet nie zna wartości mówienia prawdy. W bolesny sposób nauczyły się posługiwać inną walutą. Kłamstwami, komunałami. Powiedzą wszystko, co chcemy usłyszeć. Dla nich czysta prawda nie istnieje. Zapewne nauczyły się oszukiwać wszystkich: rodzinę i przyjaciół, lekarzy, policjantów. Siebie same. Założę się, że nawet nie zdają sobie z tego sprawy. To instynkt przetrwania. Odruch.

— Nie mogę zaprzeczyć — rzucił Ed.

— Myślałam, że problemem będzie powstrzymanie ich przed rozmawianiem o zajściu przed spisaniem zeznań. Trzymaliśmy je oddzielnie, zadbaliśmy o to. I faktycznie nie rozmawiały ze sobą, dopóki nie skończyliśmy. I mimo to — rozłożyła ręce — dostaliśmy różne wersje tej samej opowieści. Przynajmniej... Shelley myśli, że Leo zaczął lekceważyć Hope, że nie wyobrażał sobie, by spróbowała mu się przeciwstawić.

Noah kiwnął głową.

— Simone powiedziała coś podobnego: że Leo wręczył nóż Hope, żeby naigrawać się z jej bierności. W ten sposób oznaczył swoje terytorium.

— Tessa uważała to za przykład zwykłej obrony własnej — wtrącił Ed.

— Tak. A Jeanette nie potrafiła wskazać, w jaki sposób i dlaczego Hope miałyby przechwycić nóż. — Marnie skrzywiła się, patrząc na plamę atramentu na opuszcze kciuka. — Ayana twierdzi, że Hope zrobiła to celowo. To było jedyne pewne wyjście z sytuacji, ale nawet... Jak by tego nie ująć, mamy pięć wersji tego samego. Obrony własnej, która źle się skończyła. Moim zdaniem one wszystkie rozumują analogicznie. Nie potrzebowały uzgadniania zeznań, wystarczyły podobne doświadczenia.

— Owszem, wystarczyły — potwierdził Ed.

— Czyli co to oznacza? Wszystkie jak jeden mąż wbiłyby nóż w swojego ciemnościelca? — Marnie pokręciła głową. — Nie wierzę w to. Można poradzić sobie z traumą bez uciekania się do przemocy.

— Nie twierdzimy, że każda by to zrobiła — zaprzeczył Noah, nieco zakłopotany. — Tylko tyle, że w takiej sytuacji, ze względu na ich doświadczenia, każda widziałaby obronę własną.

— Obrona własna to jedno, zaś przemoc... — Marnie zamilkła. Zagryzła policzek i sprawdziła na telefonie, czy nie ma żadnych wiadomości z komisariatu. — Martwi mnie to, że chcą nas zadowolić. Jesteśmy dla nich autorytetem. Boją się nas. Nawet mnie, a przecież Bóg jeden wie, że jestem łagodna jak baranek.

— Ayana się nie bała. Mówiłaś, że jej zdaniem Hope chciała zabić Leo — poprawił ją Ed.

— Tak powiedziała Noahowi. Ed... znasz Ayane lepiej niż my. Powinniśmy traktować jej zeznania poważniej niż pozostałe?

— Być może. Mało co umknie jej uwadze. — Ed złączył ręce na karku. — Jest wyjątkowo uważna w towarzystwie kobiet, boi się matki chyba nawet bardziej niż braci. To może oznaczać, że trzyma się z dala od osób swojej płci, raczej instynktownie niż świadomie... Masz rację w kwestii waluty. Te kobiety nie znają wartości mówienia prawdy. Przemoc to nie tylko coś, w czym wyrastały; to sposób komunikacji. Podobnie jak strach i gniew. Nawet w przypadku Ayany. Jej matka wychowywała się w otoczeniu zasad, przemocy. Jedno i drugie przekazała dalej, jako spadek, swojej córce.

Marnie nasłuchiwała głosów kobiet z pokoju dziennego, jednak telewizor działał jak bibuła, chłonąc wszystkie dźwięki prócz tych wydawanych przez siebie.

— Nikt nie miał nic nowego do powiedzenia na temat Simone. Widzieliście ją i Hope w szpitalu, to nie było udawane, prawda? Jej naprawdę zależy na Hope.

Ed przytaknął.

— Jestem tego pewien, jednak skoro Leo odzyskał przytomność i jeśli to nie była zwykła obrona własna... Jeśli Hope faktycznie chciała zabić męża i przyznała to przed Simone... zrozumiałbym, że Simone chciała uciec. Działałaby instynktownie, bez względu na to, czy planowała ucieczkę wcześniej, czy nie. Jej doświadczenia z policją nie należały do najszcześniejszych.

— To gdzie by się udała? Jeśli założymy, że chce ukryć Hope.

— Nie wiem. Przykro mi, ale nie wiem. Jedyne miejsca, jakie zna w Londynie, to dom Bissellów i mieszkanie, w którym przetrzymywał ją Lowell. Nie wróciłaby ani tu, ani tu.

— Dobra, spróbujmy czegoś innego. — Marnie kiwnęła na Eda. — Powinieneś wracać do pracy. My się tym zajmujemy.

— Jesteś pewna?

— Tak, jestem pewna.

— Dobra. Jeśli Simone się ze mną skontaktuje, natychmiast was powiadomię.

— Tak samo my ciebie. Dzięki.

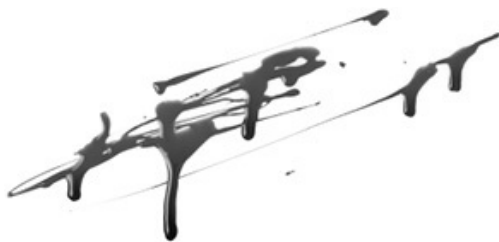
Kiedy Ed wyszedł, Noah zapytał:

— Gdzie teraz?

— Do domu Proctorów.

— Myślałem, że potrzebujemy pozwolenia Leo.

— Potrzebujemy tylko jego kluczy. — Podniosła kilka, przyczepionych do starganego już breloka. — Nie została oficjalnie wypisana ze szpitala. Mamy dobry powód, by niepokoić się o jej bezpieczeństwo. Sprawdźmy, co ciekawego można znaleźć w ich domu.



DOMY WIELE MÓWIĄ o swoich mieszkańcach. Ten należący do Proctorów był nowy, choć udawał stary. Zbudowany z cegieł z odzysku, być może wiktoriańskich, które chowały skorupę z nowoczesnych pustaków. Ściany z pustką powietrzną, jak domyślał się Noah.

Właśnie tutaj mieszkało małżeństwo Proctorów, właśnie stąd uciekła Hope.

Budynek wyglądał tak samo jak wiele innych na tej ulicy; wyróżniał się jednym tylko szczegółem. Wszystkie okna od frontu miały drewniane okiennice z listew. Wszystkie były zamknięte na głucho. Kradły piętnaście centymetrów przestrzeni życiowej, co przy domu tych rozmiarów było ekstrawagancją. Ile kosztowały? I co ukrywali Proctorowie... albo przed czym?

— Nigdy nie wyjeżdżają na weekendy. Ona nigdy nie mówi dzień dobry, przez większość czasu trzyma głowę spuszczoną. On z kolei ciągle pracuje. Teraz to wiele rodzin tak ma. Nie mówię, że się tam coś dziwnego dzieje. — Sąsiad Proctorów, Felix Gill, nasunął pas spodni z powrotem na brzuch. — To całkiem miła para... — Oddał Marnie legitymację policyjną, skończywszy się jej przyglądać. — Teraz nikogo nie ma w domu, tak myślę. Jej nie widziałem już od wielu dni. — Skrzyżował ręce i położył je na brzuchu. — To jej szukacie?

— Przyszliśmy zabrać kilka rzeczy. — Marnie użyła uśmiechu, by rozbroić Gilla.

— Nie mam kluczy — powiedział. — Przykro mi, proponowałem im kiedyś wymianę, ale nie chcieli.

— Nic nie szkodzi. — Marnie uniosła pęk zabrany od Leo w szpitalu. — Mamy wszystko, czego potrzebujemy.

W środku dom wydawał się pusty. Pachniał też pusto. Do tego panował tu chłód charakterystyczny dla budynku, w którym od jakiegoś czasu nikt nie mieszka. Sprawdzili pobieżnie pokoje, a potem wrócili na parter.

Salon wyróżniał się podejrzaną atmosferą pokoju na pokaz: wszystko raczej zostało poukładane tak, by wywoływać wrażenie wygodnego życia, a nie było odzwierciedleniem rzeczywistości. Mała kanapa dobrana do foteli, niska ława z drewna w bladym kolorze, podobnie jak regał na książki. Na ścianach i suficie dekoracyjna tapeta z wiórami, na podłodze szorstki sizal, nieprzyjemny pod stopami, za to pewnie nie było na nim widać oznak brudu i zużycia. Ogólnie kolorystyka oscylowała wokół bieli,

złamanej bieli i guano. Telewizor, mniejszy niż w przeciętnym nowoczesnym domu, został zamontowany na ścianie naprzeciwko kanapy. Płyty DVD leżały na regale zamiast książek. Zasłonięte okiennicami okna nie pozwalały wyjrzeć na ulicę; nie dało się sprawdzić, czy Felix Gill wciąż tam stał, obserwując dom. Żadnych roślin doniczkowych, kwiatów. Żadnych zdjęć czy obrazów.

Pokój na tyłach domu był wyszykowany na uroczystą kolację. Nie dało się tego inaczej opisać. Na stole leżał bieżnik z szarego płótna z lawendowym obszyciem, do tego dobrane kolorystycznie maty i talerze, mniejsze na większych. Szklane diamenty wielkości dziecięcych piąstek leżały artystycznie porozrzucane po bieżniku. Na jednej ze ścian przyklejono fototapetę z fioletowymi kwiatami, która miała wyglądać królewsko, jednak zdecydowanie nie wyszło. Na oparciu każdego krzesła przywiązano satynową kokardę w tym samym kolorze co bieżnik. Pokój nie był do końca campowy, jednak Noah bywał w nocnych klubach z bardziej powściągliwym wystrojem. Nie wierzył, by Proctorowie w ogóle korzystali z tego pomieszczenia, ani do jedzenia posiłków, ani do niczego innego.

Poszli na górę, do sypialni. W pierwszej znaleźli podwójne łóżko, a nad nim bliźniacze fototapety z owocami. Biała pościel ze srebrną narzutą, złożoną w nogach. Łóżko nie wyglądało, jakby ktoś w nim spał, poduszki nie nosiły śladu wgnieceń. Zasłonięte okna wpuszczały tylko paski światła na podłogę z imitacji drewna. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol, którego szklane paciorki puszczały zajaczkę na ścianach.

— Zdejmij buty.

Noah popatrzył na Marnie. Właśnie przyglądała się poduszkom.

— Chcę cię na łóżku.

— Chcesz co...?

— Masz ponad metr osiemdziesiąt. Mniej więcej tyle co Leo. To łóżko wygląda na małe... Lepiej zdejmij buty, zanim je sprawdzisz.

Noah zszedł z butami i położył się na pościeli, z głową na poduszce najbliższej drzwiom. Łóżko okazało się przynajmniej dwadzieścia pięć centymetrów za krótkie, stopy Noaha wystawały poza srebrną narzutę. Spojrzał na żyrandol.

— Może Leo śpi w innym pokoju?

— Wygodnie ci?

Noah poruszył się, sprawdzając obie strony materaca.

— Nie wydaje mi się, by ktoś tu sypiał.

Druga sypialnia okazała się taka sama: zbyt małe łóżko w nienaturalnie wyposażonym pomieszczeniu. Marnie przejechała palcem po drewnianych listewkach okiennic, sprawdzając, czy zebrał się na nich kurz. Nie prosiła Noaha, by położył się na łóżku; był to wyraźnie ten sam model, co poprzednio.

— Meble na pokaz — powiedziała. — Robią je mniejsze, żeby pomieszczenia wydawały się większe niż w rzeczywistości.

W łazience nie było śladu brudu, wszystko błyszczało. Żadnych włosów w odpływach. Czarne i białe ręczniki, mięciutkie jak prosto ze sklepu, poskładane w kostkę na pokrywach dwóch białych wiklinowych koszów na pranie. Wystawowe przybory toaletowe, ceramiczne dozowniki. Marnie otworzyła szafkę zamontowaną na ścianie i znalazła w środku imponującą kolekcję leków w buteleczkach, plastrów, kremów antyseptycznych, wazeliny. Sprawdziła etykiety na lekach na receptę.

— Antydepresanty Hope... Przestała je zażywać, ponieważ ją otumaniały. Zbiła lustro. — Przejechała palcem po lustrzanych drzwiczkach szafki. — Ale nie tutaj.

Noah sprawdził datę na recepcie i zawartość pojemnika.

— Nie wzięła ich zbyt wiele.

— Nie. Leo chyba nie podobała się ta ospałość.

Zeszli na dół, do salonu. Marnie usiadła na kanapie i zawołała Noaha, żeby zajął miejsce obok niej. Sofa była w stanie pomieścić dwoje ludzi, jednak z założeniem, że mieli ochotę się poprzytulać. Wstali, potrącając się łokciami, i rozejrzeli się jeszcze raz po pomieszczeniu.

— Naprawdę tutaj mieszkają? — zastanawiał się Noah. — Czy może cały ten budynek jest tylko na pokaz?

— Małżeństwo to prywatna sprawa. — Marnie podeszła do regału. — Właśnie to powiedziała Hope, kiedy rozmawialiśmy w szpitalu. — Otwierała po kolei pudełka z płytami DVD i zajrzawszy do środka, odkładała je na miejsce.

— Prywatność oznaczałaby... brudne ręczniki w łazience — powiedział Noah — i filmy pornograficzne schowane pod łóżkiem. Tutaj nie ma nic, co należałoby chować za zamkniętymi drzwiami.

— W takim razie gdzie trzymają swoje sekrety? Do tej pory doskonale radzili sobie z ukrywaniem maltretowania. Jak ich podsumował sąsiad? Całkiem miła para... No i Leo nie tracił pracy. Hope nie mówiła nic nikomu o tym, co się tu dzieje, dopóki nie dźgnęła męża nożem. Myślałam, że znajdziemy... coś.

Rozejrzała się po pokoju, kręcąc głową.

— Za zamkniętymi drzwiami... Te sekrety schowano znacznie głębiej. — Spojrzała na drewniane okiennice. — Ktoś tu niedawno sprzątał, ale nie w ciągu ostatnich kilku dni.

— Hope dłużej mieszkała w ośrodku, więc o ile to Leo nie sprząta...

— Wynajmuje kogoś. Albo *wynajął*. Żeby było posprzątane, zanim pójdzie do ośrodka rozprawić się ostatecznie z Hope.

— Czyli być może ktoś inny wie, co ukrywał.

— Być może. — Marnie przeszła do pokoi na tyłach budynku.

Noah ruszył jej śladem. W kuchni stały meble na miarę, a całe pomieszczenie wyglądało jak z katalogu. Gładkie powierzchnie, granit. Żadnych kubków na suszarce. Wypolerowane owoce na paterze na środku stołu. Żadnych magnesów na drzwiach lodówki. Ani śladu życia. Śmierdziało klejem stolarskim, jak na scenie teatralnej.

Nad zlewem przy oknie stał blok z nożami. Noah zastanawiał się, czy noże są prawdziwe; każdy przedmiot w kuchni wydawał się rekwizytem, eksponatem. Ale noże były autentyczne, wiedział o tym. Jednego brakowało. Właśnie nim Hope Proctor dźgnęła męża.

— To, co się stało z Simone — zaczął. — W Ugandzie...

— Dzieje się też tutaj. — Marnie otworzyła lodówkę.

Noah zobaczył puszki piwa i kilka butelek wina, za to niewiele jedzenia.

— Tutaj?

— W Wielkiej Brytanii. W Londynie. — Z wnętrza lodówki popłynął chłód. — W ciągu ostatnich kilku lat mieliśmy grubo ponad setkę telefonów od dziewczyn i kobiet, którym groziło obrzezanie. Ostatnie

badania wskazywały na ponad sto tysięcy takich operacji wykonanych w całym Zjednoczonym Królestwie.

— Ale... to nielegalne.

— Nielegalne jest obrzezanie, nielegalne jest organizowanie obrzezania. — Marnie zamknęła lodówkę. — Sto tysięcy zabiegów. Ani jednego wyroku. Wyobraź sobie, co o tym wszystkim myśli Ed.

Popatrzyli na siebie smutno; czasami ich praca przypominała gaszenie pożaru w domu za pomocą ryżu. Głos Marnie złagodniał, kiedy wspomniała o Edzie. Noah zaczął się zastanawiać, czy tych dwoje ze sobą przypadkiem nie sypia. Właściwie chodziło mu to po głowie od piątku. Ed był nie tylko uroczy, ale też inteligentny i poważny, ciepły i zabawny. Noah wiedział, co rzekłby na to Dan: „Nie rób za swatkę. Nie każdy musi poznać swoją bratnią duszę. Przygodny seks wystarcza większości ludzi”. Kiedy Noah nie zgodził się z tą statystyką, Dan odpowiedział wymijająco.

— Chodź — rzuciła Marnie.

Poszli na korytarz. Schowek pod schodami zamknięty był na zasuwkę. Odciągnęła ją i otworzyła drzwiczki.

Zwyczajny schowek, gdzie ludzie trzymali odkurzacz, niewiele więcej by się w nim zmieściło. Surowa kamienna podłoga i ściany. Zapach wilgoci. I czegoś gorszego.

Noah zacisnął szczęki.

Marnie objęła się ramionami.

— Czujesz to?

Czuł: smród amoniaku, smród wystraszonego zwierzęcia.

— Klasyczny sposób znęcania się nad kimś — mruknęła Marnie. — Odizoluj swoją ofiarę, ogranicz jej kontakt ze światem. *Nigdy nie mówi dzień dobry, przez większość czasu trzyma głowę spuszczoną...* — Zerknęła jeszcze raz na ciasną przestrzeń. — Trzymał ją tutaj.

Oboje to widzieli. Skulona Hope Proctor pod schodami, jej ciało złożone, by zmieścić się w ciasnej przestrzeni. Drzwi zamykane z zewnątrz, a za towarzystwo jedynie spanikowany oddech i siniaki z ręki męża.

— Musimy zadać Leo jeszcze kilka pytań — oznajmiła sztywno Marnie. Nie nawiązała do wcześniejszego przesłuchania ani krytyki ze strony Noaha.

Widząc schowek pod schodami — czując bijący z wewnątrz zapach — Noah był zmuszony się z nią zgodzić. Może nie lubił metod stosowanych przez komisarz Rome, jednak nie mógł zignorować implikacji tej ciasnej przestrzeni, która znajdowała się przed jego oczami.

— Jak twoim zdaniem zareaguje na wieści, że Hope uciekła?

— Ostatnim razem przyniósł do jej kryjówki nóż. To daje nam pewne pojęcie...

Jej telefon zawibrował. Zerknęła na wyświetlacz i odwróciła się, żeby odebrać połączenie.

— Marnie Rome. Słuchała w ciszy, spinając mięśnie ramion i karku.

— Gdzie jest teraz? — zapytała przez ściśnięte gardło. — Nadal w szpitalu?

Noah zamknął drzwi do schowka, zasuwając skobel tak cicho, jak tylko potrafił.

— Rozumiem. Przyjadę jak najszybciej. Dziękuję. — Zamknęła telefon i wepchnęła do kieszeni.

— Leo? — Noah spodziewał się najgorszego; że mąż Hope dowiedział się o ucieczce żony i jakimś cudem udał się jej śladem, a może sam uciekł.

— Nie Leo. — Marnie odwróciła się do niego. Miała bladą twarz i sine worki pod oczami. — Potrzebuję samochodu. Będziesz musiał wrócić metrem. Skontaktuj się z Abby. Sprawdź, jak sobie radzi. Zadzwoń, jeśli pojawią się jakieś wieści. Nie będzie mnie do końca dnia.

— Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała, ruszając przez korytarz w stronę drzwi wyjściowych.

Felix Gill obserwował dom Proctorów ze swojego okna. Zobaczył, jak Marnie idzie do samochodu, wsiada, a potem odjeżdża. Noah upewnił się, że drzwi są zamknięte, a potem zatrzymał się na chodniku i zaczął szukać w kieszeniach karty miejskiej. Jego telefon zawibrował, więc wyjął go ze spodni i zerknął na wyświetlacz: Ron Carling, z komisariatu.

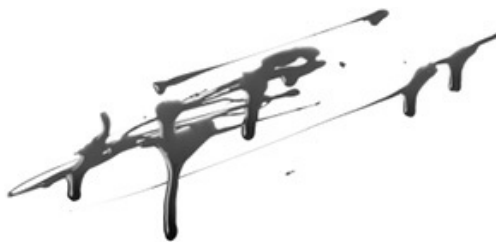
— Znalazłem coś — rzucił Carling. — Na nagraniach z monitoringu. Priusa. Stał przed szpitalem cały ranek, mniej więcej w czasie, który mi podałeś, ale to jeszcze nic. Ten sam samochód był zaparkowany przed budynkiem ośrodka w Finchley tego dnia, kiedy Leo Proctor został dźgnięty nożem.

— Ten sam samochód. Jesteś pewien?

— Tak, przed ośrodkiem. Najpierw na tej samej ulicy, a potem dwie dalej, mniej więcej wtedy, gdy zabrali Proctora do szpitala. W tamtej części miasta jest usiane kamerami gęsto jak wysypką.

— Złapałeś numer rejestracyjny?

— Owszem, właśnie go sprawdzam. Ten palant z priusa — powiedział Carling, a pogarda i poczucie triumfu walczyły o miejsce w jego głosie — obserwował kobiety z ośrodka.



Sześć miesięcy wcześniej

POD CIASNYMI UBRANIAMI z klubu jest w opłakanym stanie. Miedziany zapach pochodzi od krwi, świeżej, na górnej części ud. To szokujące, brutalne, ale i podniecające. Wie, że nie powinno go to ruszać, wie o tym. Tylko że wszystkie granice są płynne, jakby już zrobił ten krok...

To *pomaga*. Pomaga fakt, że nie chodzi jedynie o szybki numerek. Nie potrafi tego nazwać, jednak to coś więcej niż tylko brudny, grzeszny seks. To...

Nikczemne. Poza jego kontrolą. Coś, czego nigdy nie mógłby wyznać Frei, choćby wpadł w panikę albo dręczyły go wyrzuty sumienia. Nigdy nie mógłby się do tego przyznać. Dzięki temu czuje się bezpieczny. Ukryty.

W pokoju hotelowym, na tanim, śliskim łóżku, ona siada na nim okrakiem. Kolana wpychają się pod pachy, ból przyszpila do materaca.

— Kurwa... — syczy. — Nie...

Pochyliła się nad nim, swoje twarde cycki przyciska do jego piersi, sutki wbijają się jak rozgrzane gwoździe. Kciukami łatwo odnajduje ścięgna szyi. Nie pierwszy raz zabawia się w ten sposób. Niczego więcej nie trzeba — tylko kolana, kciuków, ciepłej linii jej rozłożonego ciała — żeby jego jądra zadrżały, próbując wrócić w głąb ciała.

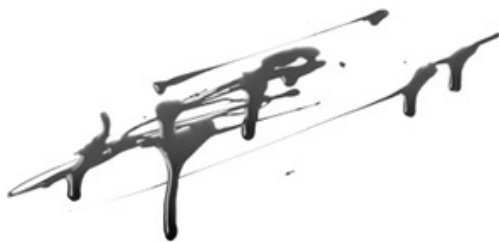
— To boli...

— Chyba żartujesz. — To pierwsze słowa, jakie padają z jej ust. Głos dziewczyny okazuje się słodki, śpiewny. Jej zęby kłują go w szyję. — Jeszcze nie zaczęłam.

Freya i bliźniaki już śpią, kiedy wraca do domu.

Zakrada się do łazienki i zmywa z siebie zapach, wstyd i wdzięczność w równych proporcjach, niczym pies, któremu wreszcie pozwolono się napić po długiej podróży samochodem. Dom wydaje się taki cichy; aż trudno w to uwierzyć. Siada na krawędzi wanny i wsłuchuje się w tę ciszę. Nie tylko w domu. Także w nim. Zupełnie jakby dziewczyna znalazła i wyłączyła w nim hałas, wrzask.

Już wie, że wróci.



Teraz

NAJPIERW NA NIEBIE pojawiła się błyskawica, a potem w dół potoczył się grom, nabierając mocy, zbijając się w rosnącą kulę dźwięku. Marnie skuliła się, maszerując tuż przy ścianie, i poczuła się, jakby wróciła pod schody w domu Proctorów.

Nigdy wcześniej nie odebrała telefonu z poprawczaka w Sommerville. Podała swój numer na wypadek nagłej sytuacji, jednak jeśli już kontaktowała się z administracją, zawsze odbywało się to za pośrednictwem adwokata Stephen, Jeremy'ego Stricklanda. Nie tym razem. Tym razem zadzwonił do niej szef ochrony Sommerville. Kiedy tylko zobaczyła jego numer na wyświetlaczu telefonu, wiedziała, że usłyszy złe wieści.

Paul Bruton powitał ją po drugiej stronie drzwi.

— Dziękuję, że przyjechała pani tak szybko. Przejdźmy do mojego biura. Zaparzę pani kawy.

— Co z nim? — zapytała Marnie.

— Wrócił już do swojego pokoju. — Bruton spojrział na zegarek. Trzymał się lewej strony korytarza, jakby była to zasada, której musiał przestrzegać. — Wypisali go wcześniej ze szpitala.

— Dlaczego nie zadzwonił pan do mnie, kiedy to się stało?

— Nie pozwolił nam. Musieliśmy uszanować jego decyzję.

— Dlaczego? — Świętoszkowaty ton szefa ochrony irytował ją. — Przecież jest tu więźniem, nie gościem.

Bruton posłał jej przymilny uśmiezek.

— Jest pani tutaj jako członek rodziny, nie komisarz policji. Więźniowie mają prawo odmawiać widzenia się z gośćmi.

Omam nie palnęła w odpowiedzi: *Nie jestem członkiem jego rodziny, on nie ma rodziny. Ja też nie mam. On ich zabił.*

Zamiast tego powiedziała:

— Ale teraz już chce mnie widzieć. Skąd ta zmiana?

— Nie jestem pewien. Nawet w najlepszych momentach nie jest zbyt rozmowny. — Bruton przytrzymał otwarte drzwi do biura. — Zapraszam.

Usiadła w fotelu, odmówiła wypicia kawy lub herbaty, zamiast tego prosząc o szklanę wody.

Bruton zlecił zadanie komuś po drugiej stronie słuchawki telefonu, za biurkiem skubiąc nogawkę spodni. Jego twarz była nijaka, jak balon, przy pierwszym spojrzeniu niemal pozbawiona wyrazu. Na nogach miał spodnie od garnituru, a wyżej zieloną bluzę sportową. Był człowiekiem o dwóch obliczach: górna jego połowa miała podobać się zamkniętym w poprawczaku dzieciakom, zaś dolna reprezentowała jego typową garderobę. Miał za dużo włosów, które zaczynały się zbyt daleko na jego głowie. W regularnych odstępach czasu w trakcie rozmowy zbierał je ręką i odsuwał od twarzy, wyobrażając sobie niewątpliwie, że wygląda jak Hugh Grant. Pełne uśmiechów zdjęcia rodzinne porostawiane były po całym biurku.

Dziewczyna w czarnych legginsach i białej bluzie z kapturem przyniosła szklanę wody. Unikała wzroku Brutona i Marnie, skupiając się na powierzonym jej zadaniu z oddaniem kogoś, kto musi zapracować na przywileje. Obgryzała paznokcie; skórki były postrzępione i zakrwawione.

— Dzięki, Lynne, świetnie. Kiedy wyszła, Bruton przeszedł do rzeczy:

— Lepiej opowiem pani, co się stało. To nie będzie przyjemna historia.

— Domyśliłam się po tym, że spędził noc w szpitalu. — Marnie upiła łyk letniej wody. — A jednak go wypuścili, więc zakładam, że nie jest tak źle, jak mogło być.

— Przebywał w szpitalu od soboty. To była... paskudna napaść. — Znowu zagarnął włosy ręką, krzywiąc się. — Przepraszam, powinienem wyraźniej to zaznaczyć w rozmowie telefonicznej.

— Tak, powinien pan. — Odstawiła szklanę, koniuszki jej palców były mokre od potu. — To jak w końcu było?

Pokój Stephena znajdował się na końcu korytarza biegnącego wzdłuż głównego budynku poprawczaka. Czerwone oko kamery ochrony obserwowało Marnie przez całą drogę. Dziwna akustyka; echo odbijało się zbyt wiele razy, trzykrotnie przy każdym kroku. Kiedy chrząknęła, by oczyścić gardło, sufit chwycił ten dźwięk i poniósł go dalej w postaci warknięcia.

Każdy przebywający tu dzieciak miał własny pokój wraz z przyległą łazienką. Na stronie internetowej placówki chwalono się wygodnymi i przytulnymi pokojami „z wykładziną dywanową”, jakby to było niewyobrażalne udogodnienie. Sommerville, jak ekscytowała się witryna, zachęcało swoich podopiecznych do personalizowania pokoi za pomocą plakatów i zdjęć.

W pokoju Stephena nie wisały żadne plakaty. Marnie wiedziała, że nie będzie zdjęć. Wykładzina dywanowa miała kolor i teksturę owsianki, a jej wytrzymała, choć sztuczna wełna skrywała brud w ciasno plecionych włóknach. Ściany wylepiono pomarańczową tapetą. Wiotkie zasłony wpuszczały światło o barwie limfy.

Stephen leżał na plecach na łóżku. Jedną ręką zasłaniał oczy. Miał na sobie biały podkoszulek i szare spodnie dresowe. Pod łokciami rysowały się sine ślady tam, gdzie przytrzymały go dwie pary rąk. Czerwone zadrapania na szczęce i pod brodą, poszarpane nacięcia w miejscach, gdzie paznokcie przebiły powierzchnię skóry.

Najgorsze rany nie były widoczne.

Gdy już wiedziała, co go spotkało, patrzyło jej się na niego z trudnością. Marnie utkwiała wzrok w oknie, a potem rozejrzała się po pokoju. Nigdy wcześniej tu nie była.

Na biurku znajdowało się kilka książek, w tym zbiór opowiadań, który przywiozła w weekend. W pokoju dało się wyczuć gryzący zapach, jakby maści na otarcia. W szpitalu przepisano tramadol. Stephen wyglądał, jakby proszki go otumaniły. Wyciągnęła krzesło spod biurka i usiadła obok łóżka.

— Bruton powiedział, że chciałeś się ze mną zobaczyć.

W dalszym ciągu zasłaniał ręką oczy.

— Zmieniłem zdanie.

Zacisnął dłoń w pięść. Jego łokieć był ostry, kościsty. Przed oczami Marnie błysnęło wspomnienie: podnosiła go ze świeżo postawionej w ogrodzie rodziców drabinki dla dzieci, miał wtedy osiem lat i jego ciało okazało się lżejsze, niż się spodziewała, z drobnymi, wystającymi kośćmi.

— Trzy godziny tu jechałam — powiedziała. — Zostanę na chwilę, jeśli nie masz nic przeciwko.

— Nie chcę rozmawiać. — Jego głos był głuchy, wydrążony.

— Dobra. — Sięgnęła po książkę. — A mogę poczytać?

Nie odpowiedział. Usiadła i zaczęła przewracać strony, nie mogąc rozpoznać słów. Wciąż miała przed oczami obrazy z sobotniej nocy, które Paul Bruton włożył jej do głowy: Stephen przyszpilony do podłogi, paznokcie ryjące po jego twarzy...

— Nie masz żadnego policyjnego zajęcia? — zapytał z naciskiem.

Odczekała sekundę.

— Bruton mówi, że nie chciałeś rozmawiać z policją o tym, co się stało. Powinieneś przynajmniej powiedzieć, kto to zrobił. Trzeba ich ukarać.

— Akurat ty dobrze o tym wiesz — odparł Stephen.

— Mniej, niż sobie wyobrażasz. Wiem natomiast, że masz prawo czuć się tutaj bezpieczny.

Wymamrotał coś na kształt:

— Zrzekłem się tego prawa.

— Co powiedziałaś?

— Możesz się łaskawie odpieprzyć? – Jej współczucie to ostatnie, czego pragnął.

— W szpitalu pobrano próbki. Mogą nas zaprowadzić do osób odpowiedzialnych za napaść.

— Powodzenia. Zrobili to butelką.

— Co proszę?

Podniósł głos.

— Powiedziałem, że zrobili to butelką, nie fiutami.

Napaść trwała dwadzieścia minut, może więcej, sądząc po harmonogramie, według którego pracownicy sprawdzali teren obiektu. Znaleźli Stephena w łazience, nagiego i zakrwawionego, w szoku. Potrzebował szwów i płynów z powodu utraty krwi.

Odłożyła książkę z powrotem na biurko.

— Pobrali próbki z twojej twarzy, ze skaleczeń. Z nich też możemy ustalić DNA.

Nie odpowiedział.

— Skąd wiesz, że nie zrobią tego ponownie?

— Jak będę gadał, to na pewno to zrobią.

Chodziło o coś więcej niż strach. Wstyd. Dało się poznać po tym, jak zakrywał twarz, po zbolalym tonie głosu — przypominał jej Leo Proctora.

— Ilu ich było? Bruton uważa, że przynajmniej trzech.

— Bruton głównie wie — rzucił dziko.

— To ilu? Czterech? Pięciu? Nikt nie miałby szans przy takiej przewadze.

Zacisnął pięść.

— Ty też głównie wiesz. Nie masz pieprzonego pojęcia.

Marnie spojrzała na zadrapania od paznokci na jego szczęce. Zgrabne półksiężycy skaleczeń. Powoli, nie dowierzając, powiedziała:

— To były dziewczyny, prawda? Dziewczyny ci to zrobiły. Gardło Stephena się zacisnęło.

— Pierdol się...

Widziała zarys dziewczęcej dłoni na jego szczęce, zbyt drobnej, by należeć do chłopaka. Chłopak nie miałby na tyle długich paznokci, by mogły przebić skórę. Przyszpiliły go do podłogi i brutalnie zgwałciły szklaną butelką. Nastoletnie dziewczyny.

— Stephen...

Podniósł rękę, w oczach błyszczały łzy.

— Kazałem ci się odpierdolić! Nie chcę cię tutaj. Jesteś ostatnią osobą, którą chcę tu widzieć.

Nie odwróciła wzroku.

— Dlaczego? Nie ma osoby, która byłaby mniej skłonna ci współczuć. Chyba że tego właśnie chcesz, współczucia.

Podniósł się na łokciach, ból pozbawił jego twarz kolorów. Wiedziała, co usłyszy, jeszcze zanim się odezwał choć słowem; odczytała jego potrzebę przekazania jej swojego bólu niczym pałeczki.

— Zajebałem twoich rodziców, suko. Ciebie też zajebię.

— Wcale nie. — Wstała, ale nie odeszła od łóżka. Popatrzyła na niego z góry. — Po pierwsze, nie masz czym.

— Mogę coś znaleźć. — Podniósł brodę, pokazując Marnie poszarpaną ranę na spodzie szczęki. — Jak twoim zdaniem te cipy zdołały mnie przytrzymać?

— Które cipy? Podaj mi ich nazwiska.

Wydał z siebie chrapliwy dźwięk, jak kaszel.

— Myślisz, że jesteś taka odważna, przyjeżdżając tutaj co miesiąc... Wreszcie się opłaciło, prawda? Dlatego poprosiłem o widzenie. Dostałaś to, czego chciałaś, i teraz możesz mnie już zostawić w pieprzonym spokoju.

— Czego twoim zdaniem chcę?

— Mnie. — Wypluł z siebie to słowo. — W tym stanie.

— Dlatego tu przyjeżdżałam? W nadziei, że zobaczę cię pobitego, cierpiącego?

— Tak. *Tak*. Gdybyś nie była taką pierdoloną hipokrytką, cieszyłabyś się.

— Myślisz, że nie wystarczyło mi, że widziałam w takim stanie rodziców? Ja takie rzeczy oglądam codziennie. Jestem z policji. Nie muszę tu przyjeżdżać, żeby patrzeć na dziewiętnastolatka zbyt zawstydzonego, żeby wskazać swoich gwałcicieli. Dla mnie to chleb powszedni.

— Więc wypierdalaj stąd! — Jego gniew był jak mur. Każde wypowiedziane przez nią słowo było cegielką, dzięki której wznosił go wyżej i wyżej.

— Jeszcze jedno, zanim wyjdę. — Wyciągnęła prawą rękę. — Oddaj mi okulary ojca.

Jego ramiona się zatrzęsły, oczy strzelały dzikim, czarnym spojrzeniem.

Marnie stała z wyciągniętą dłonią, celowo przybrawszy beznamiętną minę. Stephen opadł na łóżko, odgradzając się od niej ręką, a światło koloru limfy padało na bok jego twarzy.

— W biurku. — Czknął. — W szufladzie.

Podeszła do biurka. Szufladę niełatwo było otworzyć, okazała się pełna papierów i kart, wśród nich znalazło się także etui na okulary jej ojca. Wyjęła je i odłożyła na bok, żeby przejrzeć resztę zawartości szuflady. Pod etui leżał portfel, który zrobiła kiedyś w szkole i podarowała ojcu, dwa kawałki brązowej skóry zszyte nierówno nicią.

Broszka z mewą, należąca do matki.

Marnie szukała jej w domu rodziców. Mała, zdobiona emalią mewa z białym skrzydłem i gładkim odpryskiem niebieskiego szkła w roli oka. Szpilka z tyłu została oderwana, zapewne przez ludzi Brutona. Położyła broszkę obok okularów ojca.

W szufladzie znalazła jeszcze wyrwaną stronę z „Guardiana”, z krzyżówką wypełnioną pismem matki, z jej notatkami na marginesach. Koperty z bożonarodzeniowymi znaczkami, zaadresowane do Grega i Lisy Rome’ów ręką Marnie; wysyłała im je co roku. Na trzech ostatnich napisała: Greg, Lisa i Stephen. Zdjęcia rodzinne, na jednym Marnie w wieku ośmiu lat, w dżinsach i zielonej podkoszulce, z oczami skrytymi w cieniu. Na rękę miała nową bransoletkę ze srebrnym paciorkiem w kształcie podkowy, na szczęście...

Przetrzepała zawartość szuflady w poszukiwaniu bransoletki, jednak nie znalazła jej. Tylko więcej zdjęć, a na nich Marnie jako dziecko, z rodzicami albo bez. W szkolnym mundurku, w nowym mundurze policyjnym, przeogromnie dumna. Bała się, że znajdzie jeszcze jedną fotografię, z pismem na jej skórze. Takiego rodzaju zdjęcie w takim miejscu jak Sommerville można by sprzedać za paczkę papierosów.

Klatka piersiowa Stephena pozostawała nieruchoma. Wstrzymywał oddech. Chciał, żeby zajrzała do szuflady, by wiedziała, że wciąż może ją zranić. By pokazać jej, że nic się między nimi nie zmieniło.

Żadnych nagich zdjęć. Zdusiła w sobie chęć, by wyciągnąć szufladę i sprawdzić, czy nic nie zostało do niej przyklejone z tyłu. To nie miało sensu, Bruton i jego ludzie pewnie przetrzepywali każdy z pokoi co najmniej raz w tygodniu.

Opuszkami palców dotknęła broszki z mewą, której emaliowana powierzchnia była gładka i zimna jak szkło. Czowała zapach matki, zielony. Krawędzie ręcznie robionego portfela nie były najlepiej wykończone, postrzępione; przypomniała sobie, jak ciężko szło się szkolną grubą igłą, jak piekły pokłute do czerwoności palce. Ojciec w portfelu trzymał klucz do zegara stojącego w salonie. Tamte zegary... Pamiętała, jak przyglądała mu się, gdy je nakręcał, jeden po drugim. Pamiętała dotyk dłoni ojca na ramieniu, poczucie bezpieczeństwa, jakie jej dawał, świadomość ciężaru i treści. Kiedy w szkole uczyli ją o grawitacji, przed oczami miała właśnie ojca.

Stephen był tak milczący i nieruchomy, że trudno było uwierzyć w jego obecność w tym samym pomieszczeniu.

Marnie stała przy wysuniętej szufladzie, dotykając jej zawartości, ostrożnie, delikatnie. Chłodna, ciemna przestrzeń w jej piersi właśnie się rozjaśniła. Może powinna mu podziękować za to, że dzięki niemu jej żal wciąż żyje. Tak wiele godzin — miesięcy, lat — powstrzymała to uczucie. Stephen znowu je przybliżył i odbierała to jako akt dobroci, choć wiedziała, że jest inaczej. Skradała się na obrzeżach

wspomnień jak dziecko w ciemnym domu, bojąc się przebudzić cienie. Stephen...

Stephen zmusił ją do spojrzenia na przeszłość, do dotknięcia jej i posmakowania. Sprawił, że znowu stała się rzeczywista.

Wciągnęła powietrze do płuc i wstrzymała je, aż zaczęły boleć. Zastanawiała się, czy chłopiec na łóżku czuje to samo. Ten ładunek elektrostatyczny między nimi. Cierpła jej od tego skóra. Coś więcej niż cisza, coś więcej niż tajemnice Stephena, niż to, co ukrywał na temat śmierci jej rodziców: jak i dlaczego. To coś było głębsze, bardziej niebezpieczne. Nie groźne, nie do końca, lecz...

Gruz wokół nich się zatrząsł. Cały ból i nieporządek przeszłości. Jeśli Marnie nie będzie ostrożna, wszystko zaraz runie, grzebiąc ich oboje po raz drugi.

Bardzo delikatnie wsunęła z powrotem szufladę, zostawiając w środku okulary ojca. Wzięła za to broszkę z mewą, ściskając ją w dłoni.

Nie patrząc w stronę łóżka, wyszła z pokoju i wróciła długim korytarzem do biura Paula Brutona.

— To były dziewczyny.

— Słucham?

Zamknęła drzwi i podeszła do biurka Brutona.

— Nie chciał mi podać nazwisk, ale to dziewczyny.

Błysk w oku Brutona go wydał.

— Pan wie, o kogo chodzi.

— Nie, nie. Podejrzywałem chłopców, oczywiście, ale Stephen nie chciał współpracować...

— Został zgwałcony. To samo jest dość nieprzyjemne, a fakt, że zrobiły to dziewczyny...

— Czuje się upokorzony. Rozumiem. Psychiatra...

— Zapomnijmy na chwilę o psychiatrach. Chcę wiedzieć, w jaki sposób ustali pan, kto jest za to odpowiedzialny. — Spojrzała mu w oczy. — Z pewnością nie muszę panu tłumaczyć, że policja może rozpocząć dochodzenie także mimo niechęci Stephena do współpracy.

Bruton syknął z zaciśniętymi zębami, pukając kciukiem w blat biurka.

— Jedna z dziewcząt... Julie, dwiętnastolatka. Znalazła się tutaj, ponieważ... skusiła piętnastoletniego chłopca obietnicą seksu, upiła go, a potem przytrzymała na podłodze, kiedy jej szesnastoletni chłopak go gwałcił. Chłopak dostał pięć lat. Julie uznano za prowodyrkę i skazano na siedem.

— Jak długo już tu jest?

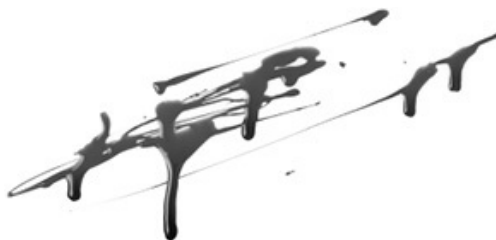
— Osiem miesięcy.

Marnie spojrzała na zdjęcia szczęśliwej rodziny Brutona i optymistyczne plakaty na ścianach, przypominające więźniom o ich prawie do resocjalizacji. Wypełnił swoje biuro fałszywymi obietnicami, przebiegłe uśmiechniętymi i wilczymi, rodem z baśni braci Grimm. Zdjęcia rodzinne były okrutnym, drwiącym wykończeniem — rzucały im prosto w twarz to, co stracili albo czego nigdy nie mieli.

— Została zamknięta razem z nastoletnimi chłopcami.

— Sommerville przyjmuje skazanych obu płci. Odseparowujemy ich, gdzie to konieczne, jednak... — Bruton poprawił włosy. — Przepytam ją i inne dziewczyny. Zapewniam panią, że zachowamy odpowiednie procedury.

— Wcześniej też je pan zachowywał — odparła. — Prawda? Mimo to doszło do gwałtu.



Sześć miesięcy wcześniej

ZA DRUGIM RAZEM było inaczej. Nie jak w nocnym klubie, tanim hotelu. Nie najlepiej wygląda, ale nie krwawi, a przynajmniej nie z początku.

Jest inaczej, ponieważ on się tego spodziewa, wie dokładnie, w co się pakuje, i, *kurwa*, myśli, *nie tego chciałem*. Nie ma nad tym kontroli. Kolejna rzecz, nad którą nie panuje. A przecież on chciał szansy na wyrównanie sił. Chciał zostawić Freyę i bliźniaki na kilka godzin i stać się kimś innym, kogo by nie rozpoznali. Nieznajomym.

Chciał się ukryć przed całą trójką w skórze kogoś innego. Głęboko, jak najgłębiej. Tylko że za drugim razem jest inaczej. Za drugim razem ona naprawdę go krzywdzi. Zębami i paznokciami, i pięściami.

Nie tego chciałem, myśli. To ja miałem panować nad sytuacją.

A potem: Będę musiał wyjaśnić Frei, skąd te siniaki.

I to — myśl o szoku malującym się na twarzy Frei, jej pytaniach — podnieca go. Myśl o czymś na jego skórze, co nie jest wyschniętym mlekiem albo rzygowinami noworodka, albo śmierdzącym potem po nieprzespanej nocy... Podnieca go, więc pozwala jej to robić. Pozwala się krzywdzić. A kiedy przychodzi jego kolej, wie dokładnie, czego ona pragnie.

Dziewczyna chce, żeby ją oznaczył, żeby ją odmienił. Uczynił ją kimś obcym dla tego, do kogo wraca wtedy, gdy on wraca do Frei i bliźniaków. O ile ktoś taki istnieje.

Być może — i jest o tym przekonany — nikogo takiego nie ma.

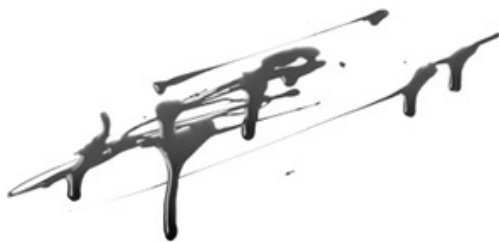
Dziewczyna wraca do pustego domu. Znajduje tam lustro, ale nie ludzi.

Właśnie tam patrzy.

W lustro.

To w nich chce ujrzeć kogoś innego.

Obcego sobie człowieka.



Teraz

— PALANT Z PRIUSA — powiedział Noah Jake. — Jak daleko z nim zaszliśmy?

Ron Carling spojrział nań znad kubka herbaty, pokazując swoje wąsy z ciasta duńskiego.

— Mam nazwisko i adres. Żadnych wykroczeń w papierach. Ledwie parę punktów za mandaty. — Wyglądał na zniesmaczonego. — Możliwe, że nic z tego nie wyjdzie.

— A może wyjdzie. — Noah podszedł do swojego biurka, pytając przez ramię: — Jak się nazywa?

— Henry Stuke. — Carling wstał i podał Noahowi kartkę papieru. — Aktualny przegląd. Pełna historia serwisowa. Punkty dostał za przekroczenie prędkości, ale jakieś żałosne, typu pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę na obszarze z ograniczeniem do pięćdziesięciu. Żaden z niego Schumacher.

Noah uruchomił komputer i wpisał adres mężczyzny.

Henry Charles Stuke mieszkał na West Brompton. Zgodnie z danymi z ubezpieczenia był żonaty i miał dwójkę dzieci. Noah zamówił wydruk danych z wydziału komunikacji, a potem zalogował się do bazy osób zaginionych.

Carling zajrzał mu przez ramię.

— Welland szuka komisarz Rome — ostrzegł. — Prokurator sra w gacie przez ten bułat. To wasza sprawa, prawda?

— Zgadza się.

— To gdzie jest komisarz?

— Pracuje nad dochodzeniem. — Noah przyglądał się uważnie ekranowi, nie dając po sobie poznać, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie się podziała Marnie.

— Brudzi sobie rączki? — Carling skrzyżował ręce na piersi, opierając potężny tyłek o blat biurka, jakby sprawdzał wytrzymałość Noaha. — Chyba ty jesteś od czarnej roboty, prawda?

— Pracujemy nad dwiema sprawami jednocześnie. Bułat i niezwiązana z nim napaść z nożem.

Carling zerknął na ekran.

— Baza zaginionych. Kogo szukasz?

— Simone Bissell i Hope Proctor.

— Która została dźgnięta?

— Żadna. Hope Proctor dźgnęła swojego męża w ośrodku w Finchley.

— A, o to chodzi. Robił z niej worek treningowy, co?

— Na to wygląda.

— Gnoj. — Carling odchylił się do tyłu. — Takim jak ty nieczęsto się to przytrafia, chyba że za zgodą.

— Postukał się w nos. — A ty lubisz czasem smagnąć biczem kolesia w obroży, hę?

Noah nie przerywał przeglądania wyników z bazy.

— Wolę *sounding*.

— A co to za gówno ten *sounding*?

Noah zamknął okno internetowej bazy i wstał.

— Sprawdź sobie w Wikipedii — poradził, klepiąc Carlinga w ramię.

Padało wcześniej, ale teraz wyszło słońce, unosząc parę znad chodników; pękając na szybach samochodów. Noah wyciągnął telefon z kieszeni i wybrał numer Marnie, jednak odpowiedziała mu poczta głosowa.

— Carling mówi, że Welland cię szuka. Pomyślałem, że lepiej ci to przekazać. Prokurator się denerwuje sprawą Nasifa Mirzy. Jadę do ośrodka z Edem, żeby zadać Ayanie kilka pytań. Pewnie spędzę tam trochę czasu.

Po deszczu budynek ośrodka wydaje się jeszcze mniej zachęcający niż wcześniej, z dachem owiniętym czarnym plastikiem. Nie ma śladu po pracownikach budowlanych, ani na górze, ani gdziekolwiek. Noah przekonał się, że główne wejście jest zamknięte, i nacisnął guzik domofonu, pokazując legitymację policyjną do kamery. Może minutę później zamek w drzwiach zabrzączał. Noah poszedł do biura, gdzie Jeanette siedziała z kubkiem czekoladowego napoju horlicks. Spojrzała na niego krzywo i rzuciła:

— Heja.

— Cześć. Ayana jest w pokoju dziennym?

— Tak. — Jej stanowczy ton sprawił, że Noah wątpił, by miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, co robi którakolwiek z lokatorek ośrodka.

W pokoju zobaczył Shelley Coates, która właśnie malowała sobie paznokcie u stóp na neonowy odcień różu. Obok niej na kanapie siedziała Tessa Stebbins, żując gumę i gapiąc się bezmyślnie w telewizor. Mab Thule zajęła miejsce na fotelu i najwyraźniej spała, trzymając obleczone w rękawiczki dłonie na podołku.

— Cześć — rzucił Noah. — Widział ktoś Ayaną?

— W porze lunchu. — Shelley poprawiła piankowy separator. — Od tamtej pory nie.

— Dzięki. Sprawdzę w jej pokoju.

Wrócił do biura i poprosił Jeanette, by wskazała mu pokój Ayany.

— Dziewczyna ma kłopoty? — Pożerała wzrokiem twarz Noaha.

— Nie. Potrzebuję tylko jej pomocy.

Drzwi były zamknięte. Zapukał kostkami dwóch palców.

— Ayana? Tutaj sierżant Jake. Potrzebuję twojej pomocy. — Poczekał, jednak z wnętrza pokoju nie

nadchodziła żadna odpowiedź. — Ayana?

Zawahał się, ale nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

— Chodzi o Hope i Simone. Może moglibyśmy porozmawiać, choć przez kilka minut?

Ani słowa. W ogóle nie słyszał żadnych odgłosów.

Noah był już w drodze powrotnej do biura, kiedy spotkał Eda Belloca idącego w przeciwną stronę. Terapeuta spojrział na twarz detektywa i natychmiast zrobił się nerwowy.

— Co się stało?

— Być może nic. Ayana zamknęła się w pokoju. Nie odpowiada.

Ed obrócił się na pięcie i pobiegł do biura, by po chwili wrócić z pękiem kluczy. Poszukał tego właściwego, pukając do drzwi.

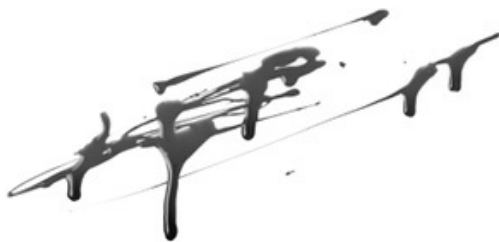
— Ayana? Tutaj Ed. Wszystko w porządku?

Cisza.

— Mam klucz. Wchodzę. Nie masz nic przeciwko? — Odczekał jeszcze kilka sekund, a potem przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Pokój był pusty, łóżko równo zasłane.

Ayana zniknęła.



— LEE HURRAN. — Komisarz Tim Welland brzmiał, jakby połknął osę; jego głos przypominał wściekle bzyczenie tuż przy uchu Marnie, gdy stała w korku w drodze powrotnej do Londynu.

Bułat. Odcięta dłoń. Brat Ayany Mirzy, Nasif.

— Lee Hurran — powtórzyła. — Co z nim?

— Nie żyje.

— *Nie żyje?*

— Gronkowiec, umarł kilka godzin temu. Dlatego mamy teraz nieumyślne spowodowanie śmierci. Może nawet morderstwo. Zdobyliśmy już, co trzeba, żeby przyskrzynić tego Mirzę czy nie?

— Pracujemy nad tym, szefie.

— Naprawdę? Myślałem, że razem z tym młodzikiem gracie na zwłokę, kręcąc się po Finchley i próbując dociec, dlaczego jakaś maltretowana żona dźgnęła swojego mężulka. Trudno to nazwać wyżniami pracy dochodzeniowej. Tymczasem prokuratura sra na mnie rzadkim głównem w sześciu odcieniach, ponieważ nie mamy ani podejrzanego, ani sensownych dowodów, żeby powiązać go z tamtą ciemną alejką, a co dopiero uzbrojonego w bułat.

— Nasif Mirza wygląda nieźle, szefie. Rozmawiamy z jego siostrą, zgodnie z sugestią. Myślę, że uda nam się przekonać ją do zeznawania przeciwko bratu, może nawet oskarżyć go o ten incydent z wybielaczem.

— Nie da się obciąć komuś ręki butelką wybielacza. Musimy połączyć go z bułatem.

— Przecież już to zrobiliśmy, szefie. Jego odciski...

— Musimy mieć coś jeszcze i pani dobrze o tym wie. — Welland cofnął o parę milimetrów pazury w głosie. — A w ogóle to gdzie pani jest?

— Właśnie wjeżdżam na A4. Dosłownie za chwilę powinnam być z powrotem w Londynie.

Powinna odpowiedzieć bardziej ogólnikowo.

— Co się stało? — zapytał z naciskiem Welland.

— Napaść.

— Na Stephena? W jakim jest stanie?

— Wypuścili go już ze szpitala. Dochodzi do siebie. Ale trudno sobie wyobrazić bardziej przykrą historię.

— Przykro mi to słyszeć. W takiej sytuacji doradziłbym trochę wolnego... jednak oboje wiemy, że to niemożliwe. Musi pani wrócić do sprawy z bułatem.

— Zrozumiałam.

— Świetnie. — Welland się rozłączył.

Marnie skręciła w drogę prowadzącą do Finchley. Jej szef miał rację w kwestii napadu z bułatem. Jeśli okaże się, że doszło do niego na tle rasowym, może nawet były to jakieś porachunki między gangami, będzie to miało o wiele większe reperkusje niż przebite płuco Leo Proctora. Potrzebowali zeznań Ayany przeciwko Nasifowi. Zgodnie z zostawioną przez siebie wiadomością, Noah Jake powinien już być w ośrodku. Być może właśnie przekonywał Ayanę, by pomogła im wysłać jej brata tam, gdzie powinien trafić: za kratki.

Noah stał razem z Edem przed biurem, w którym siedziała Jeanette Conway, obserwując ich znad krawędzi kubka. Naczynie, ubrane w czerwony, wełniany kubraczek, wyglądało napastliwie świątecznie. Jeanette miała nowe kolczyki, z kryształami Swarovskiego, niezbyt tanie. Marnie zastanawiała się, czy jej koledzy zauważyli ten błysk.

— Co się dzieje? — zapytała na widok ich twarzy.

— Ayana zniknęła — powiedział Noah.

— Kiedy?

— Jakiś czas po lunchu.

Marnie zamknęła drzwi, zostawiając Jeanette w środku. Odwróciła się plecami do biura, stając przed dwoma mężczyznami.

— Dlaczego? — Spojrzała na Eda. — Nie mówiła przypadkiem, że nie może stąd wyjść pod żadnym pozorem?

— Nie wydaje mi się, żeby miała wybór. — Wyglądał na wstrząśniętego. — Myślę, że została porwana albo wywabiona podstępem.

— Próbowaliśmy się do niej dodzwonić — dodał Noah. — Ma wyłączony telefon. Skontaktowałem się z komisariatem, żeby wysłali kogoś do domu jej rodziców. Nikogo tam nie ma.

Marnie pozwoliła, by te słowa zawisły na moment w powietrzu.

— Jakież wieści o Hope i Simone?

Noah zagryzł wewnętrzną stronę policzka.

— Nikt ich jeszcze nie widział, ale Ron Carling coś zauważył na nagraniach z monitoringu. Ten sam samochód, zaparkowany przed budynkiem ośrodka w piątek, a potem przed szpitalem dzisiaj rano. — Podał jej wydruk z bazy.

— Przypadek? Szpital jest miejscowy, a prius został zaparkowany...

— Nie był po prostu zaparkowany. Na nagraniu widać wycieraczki uruchomione przez dobre dziesięć minut w trakcie tej ulewy z piątku. Co jeśli koleś siedział w samochodzie i obserwował albo próbował obserwować budynek ośrodka?

— Henry Stuke. — Marnie przekazała wydruk Edowi. — Wydaje ci się znajomy?

Ed spojrział na zdjęcie i pokręcił głową.

— Nie.

Marnie włożyła kartkę do kieszeni.

— A co na temat Ayany ma do powiedzenia Jeanette?

— Jeanette była w kuchni — odparł Noah — i pomagała przy zmywaniu. Ayana zjadła z pozostałymi lokatorkami, zachowując się zupełnie normalnie. Jeanette nie zauważyła, kiedy dziewczyna wyszła. Zarzeka się, że nikt nie wchodził do budynku, dopóki ja się tu nie pojawiłem, krótko przed piątą. — Zamilkł na moment. — Tym razem drzwi wejściowe były zamknięte na klucz.

— A co z robotnikami pracującymi na dachu?

— Słusznie. — Otworzył drzwi do biura i wcisnął w szparę głowę. — Był ktoś dzisiaj na dachu?

Jeanette wzruszyła ramionami.

— Tyle, co zawsze.

— Wchodzili do ośrodka?

Otworzyła szerzej oczy, jakby nie mogła uwierzyć w taki pomysł.

— Nie.

— Masz numer telefonu do wykonawcy?

— Mogę załatwić. — Ed wyciągnął telefon, wybrał jakiś numer i odszedł.

— Wszystko w porządku? — zwrócił się Noah do Marnie.

— Pomijając fakt, że co chwilę ginie nam jakiś świadek? Doskonale.

Wziął sobie do serca ton jej głosu i wrócił natychmiast do aktualnego problemu.

— Mam wieści ze szpitala: ktoś wczoraj dzwonił do Hope późnym wieczorem. Siostra oddziałowa twierdzi, że rozmowa trwała dobre dwadzieścia minut. Abby to potwierdziła, mówiąc, że wróciła z przerwy i zobaczyła Hope przy telefonie. Domyślam się, że dzwoniła Simone.

— Czyli uzgadniały plan. Jakie wrażenie sprawiała Hope po tej rozmowie?

— Była bardzo cicha. Siostra oddziałowa zrzuciła to na czas trwania tego telefonu; uznała, że to jakiś nadgorliwy przyjaciel, który może i ma dobre intencje, nie rozumie jednak, że w takiej chwili najważniejszy jest odpoczynek.

— Myślisz, że Hope nie chciała uciekać?

— Możliwe. Z tego, co mówi Ed, Simone potrafi być uparta, a Hope została nauczona wypełniać polecenia. — Noah się zawahał. — Sprawdziłem pokój Simone. Zabrała większość ubrań, zostawiając raptem kilka rzeczy. Pokój Hope wygląda, jakby Simone go ogołociła. Chociaż od początku niewiele tam było... Nie wydaje mi się, by zamierzały wrócić do ośrodka.

Ed znowu stanął z nimi.

— Dachy Calvina. — Podał Marnie skrawek papieru z numerem telefonu. — Pomyślałem, że ty będziesz chciała zadzwonić.

— Dzięki. — Podała karteczkę Noahowi. — Trzeba jeszcze raz sprawdzić monitoring. Na wypadek, gdyby Ayana tamtędy wyszła. Pokażesz mi pozostałe wyjścia?

Ed kiwnął głową i poprowadził ich.

Wyjście ewakuacyjne na końcu korytarza okazało się zablokowane, lecz otwarcie go nie uruchamiało żadnego alarmu.

— Wszystkie okna mają zamki — wyjaśnił Ed — a większość z nich nie jest dość duża, by dało się przez nie przejść.

— W przypadku Ayany nie musiałyby być szczególnie duże.

— Ona nie odeszła sama — powtórzył Ed. — Została wywabiona podstępem albo porwana.

— Kto miałby ją porwać?

— Bracia. Rodzina.

— Powinnam wam powiedzieć... pamiętacie Lee Hurrana, którego zaatakował Nasif? Zmarł dwie godziny temu. Teraz to usiłowanie zabójstwa.

— Myślisz, że Nasif wie o zmianie kwalifikacji? — zapytał Noah.

— Na moje to trochę zbyt duży zbieg okoliczności. Martwi mnie, skąd rodzina wiedziała, gdzie znajdzie Ayaną. Tyle czasu powstrzymywała się od skontaktowania się z nimi. Dlaczego miałyby się teraz złamać?

Ed pokręcił głową.

— Biuro — rzuciła Marnie. — Trzymają w nim szczegółowe dane? Czy ktoś mógłby zakraść się do dokumentów i znaleźć w ten sposób najbliższą rodzinę lokatorki?

— Nie tu — odparł Ed. — Sprawdziłem to natychmiast, gdy przekonałem się, jak... pilnie Jeanette wykonywała swoją pracę. Nic tu nie ma. Korzystamy z centralnego archiwum, dobrze strzeżonego.

— Czyli sama musiała do nich zadzwonić.

— Nie zrobiłaby tego — upierał się Ed. — Niby po co?

— Nie musiała do nikogo dzwonić — powiedział powoli Noah. Przykrył usta dłonią, a potem znowu ją odsunął. — Mogli nas śledzić. Jej bracia. Wiedzieli, że prowadzimy sprawę przeciwko Nasifowi. Wiedzieli, że potrzebujemy dowodów. Mogli domyślić się, gdzie to nas zaprowadzi. Może nawet mieli nadzieję, że popędzimy właśnie tutaj. Do Ayany.

— Twoim zdaniem byliśmy śledzeni — powiedziała Marnie, czując mdłości. — Albo ja byłam.

— Przyjeżdżaliśmy tutaj więcej niż raz po napaści z bułatem. — Noah popatrzył najpierw na Marnie, a potem na Eda. — Może to właśnie my zdradziliśmy Ayaną.

— Gdyby jej bracia tu przyszli, ktoś by ich zauważył. Jeśli nie Jeanette, to jedna z lokatorek. Nie odeszłaby po cichu. Ed?

— Chciałbym myśleć, że nie. Jeśli jednak faktycznie się tu pojawili... musiała być w szoku.

— Gdzie pozostali? — zapytała Marnie. Nadszedł czas, żeby zadać im kilka pytań.

W telewizji jakaś kobieta właśnie gestykulowała przed przyszczatym chłopakiem, wymieniając wszystkie jego wady w obrazowych szczegółach.

— Dajesz, laska. — Shelley pstryknęła palcami.

Tessa siedziała na podłodze u jej stóp. Mab spała na fotelu, z głową zwieszoną na piersi. Marnie przeszła na drugą stronę pokoju, żeby wyłączyć telewizor, a potem stanęła tyłem do niego i posłała trzem kobietom stanowczy uśmiech.

— Potrzebujemy waszej pomocy.

Nagła cisza obudziła Mab. Uniosła głowę i spojrzała na Marnie. Shelley skrzyżowała ręce na piersi i przewróciła oczami. Tessa, siedząc na podłodze, objęła ramionami kolana.

— Ayana zniknęła. Wszystkie widziałyście ją na lunchu, zgadza się? — Trzy kiwnięcia. — Ktoś zobaczył ją też później?

— Siedziała w pokoju — rzuciła Shelley. — A przynajmniej tak myślałyśmy, prawda, Tess?

Tessa kiwnęła głową. Odsunęła się od Shelley. Jej wzrok przeskakiwał z Eda na Noaha i z powrotem na Marnie.

— Dach — powiedziała Mab.

Ed kucnął obok fotela.

— Dach? — powtórzył.

Mab złapała go za rękę i przytrzymała ją w dłoniach.

— Weszła na górę. — Kiwnęła głową na sufit. — Przez dach.

Shelley prychnęła.

— Nie bądź głupia.

Mab się zawahała, ściskając Eda.

— Naprawdę...

— Ayana weszła na dach. Kiedy? Po lunchu?

— On ją wciągnął. — Mab pociągnęła Eda za rękę w ramach demonstracji.

Marnie poczuła, jak jej gardło zaciska się ze strachu.

— Kto ją wciągnął? Ktoś, kogo znała?

— Ktoś nowy — kiwnęła głową, nie rozumiejąc pytania. — Nie widziałam go wcześniej.

— Gdzie? — zapytał Ed. — Możesz nam pokazać? — Pomógł Mab podnieść się z fotela.

Shelley na kanapie wyglądała na wyraźnie niezadowoloną.

— To wariactwo. Ona wszystko zmyśla. Tessa zaczęła się wiercić na podłodze.

Marnie wyszła za Edem i Mab z pokoju, kiwając na Noaha, żeby dotrzymał towarzystwa pozostałej dwójce. Mab ruszyła w stronę wyjścia ewakuacyjnego na końcu korytarza. Ed jej nie pośpieszał, pozwalając jej prowadzić. Przy wyjściu podniosła jego rękę, wciąż trzymając ją w dłoniach, i wskazała na kasetony na suficie.

— Tędy...

Marnie przyniosła krzesło z najbliższej sypialni i weszła na nie, żeby odsunąć kasetony. Łatwo dało się je zdjąć. Z dziury w dachu, gdzie prace porzucono w połowie, popłynęło zimne powietrze. Przerwa była dość wielka, żeby zmieścił się człowiek.

Zeszła z krzesła.

— Pamięta pani, kiedy to się stało?

Mab kiwnęła głową.

— Popołudniowa sztuka na Programie 4 BBC. Chciałam posłuchać, więc wyszłam do łazienki, zanim się zaczęło.

— Druga piętnaście — doprecyzował Ed.

— Tak. — Mab uśmiechnęła się do niego promieniście. — *The Archers* się właśnie skończyło. Nie lubię *The Archers*, zawsze się kłóć, kogo winić za to, że coś poszło nie tak.

— Poszła pani do łazienki — powtórzył Ed — i właśnie wtedy zobaczyła pani, jak ktoś wciąga Ayane na górę.

— Tak. — Jej uśmiech zniknął, a jego miejsce zajął wyraz troski. — Powiedziałam Jeanette. Powiedziałam reszcie, ale one stwierdziły, że zmyślam. Potem chyba przysnęłam. — Zaczęła cicho

popłakiwać.

— Nic się nie stało — uspokajał ją Ed. — Czy ten mężczyzna zszedł na dół, do wnętrza budynku? Tędy? — Pokazał na kasetony na suficie. — Może go pani opisać?

— Ciemny, tak jak ona. — Zaczęła skubać przód swetra. — Następny Hindus.

Marnie oceniła odległość między sufitem a podłogą. Niemożliwe, by jeden mężczyzna podniósł wyrywającą się dziewczynę i wciągnął ją przez tak małą dziurę, nie bez wsparcia. Jeśli założyć, że Ayana faktycznie próbowała się bronić.

— Tylko jeden? — zapytała.

— Ręce. Więcej rąk, tutaj. — Wskazała do góry. — Wciągały ją. — Spojrzała na Eda, wydymając dolną wargę. — Chwył strażacki. Przewiesił ją sobie przez ramię. Włosy jej zwisały...

— Któryś z nich panią widział? — zapytała Marnie.

Mab pokręciła głową.

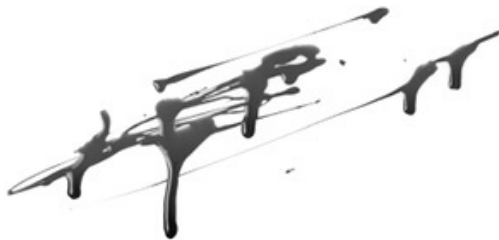
— Trzymałam się z dala. Unikałam kłopotów.

— Mówili coś?

— Nie znam hinduskiego.

— A co z Ayaną? Nie wołała o pomoc?

— Przecież właśnie ją ratowali. Chwył strażacki. Dla bezpieczeństwa. — Mab popatrzyła na korytarz, na jej twarzy pojawił się grymas zdezorientowania. — Musiał być gdzieś pożar. Teraz już ugaszony. Oni go ugasili. Dziewczyna zaraz wróci, skoro się nie pali. — Odwróciła się do Eda. — Prawda?



— MAB POWIEDZIAŁA WAM, co zobaczyła. Dlaczego nikt tego nie zgłosił?

Jeanette Conway skrzyżowała ręce w obronnym geście.

— Serio? Przecież to nie miało w ogóle sensu. Uznałam, że babka zmyśla.

Marnie zwróciła się do dwóch pozostałych kobiet. Shelley Coates wzruszyła ramionami.

— Bo to wariatka, jak moja babka. — Przez chwilę podziwiała własny manicure. — Wiecie, co kiedyś wymyśliła? Że w środku nocy pojedzie autobusem na tańce. Policja przyprowadziła ją z powrotem do domu.

— Czyli nie uwierzyłaś jej. — Marnie zwróciła się do drugiej dziewczyny. — A ty, Tesso? Myślę, że ty jej uwierzyłaś, prawda?

— Nie wiem. — Tessa rzuciła Shelley wystraszone spojrzenie. — Może.

— Nie uwierzyłaś. — Shelley kopnęła poduszkę leżącą na kanapie. — Przecież cię nie posrało.

Ed zabrał Mab do jej pokoju. Z kobiet, które zostały w salonie, Noah nie ufał ani Shelley, ani Tessie, a już Jeanette najmniej. Marnie miała rację: trudno było sobie wyobrazić gorszych świadków.

— A co z Hope i Simone? — zapytała Marnie.

— A co z nimi? — Shelley przeniosła wzrok na Noaha. — Zaczyna mnie to wkurzać. Miałyśmy mieć tutaj spokój. Jakbym chciała takich pieprzonych atrakcji, wróciłabym do swojego Clarka.

— Hope Proctor uciekła dzisiaj ze szpitala. Razem z Simone.

Tessa wyglądała na przygnębioną. Jeanette spojrzała na zegarek. Dobry zegarek, drogi. Noah nie zauważył go wcześniej.

Shelley podrapała się pod nosem.

— Seryjnie? Ale jaja.

— Tak. — Marnie nie rozwijała tematu, czekając, co powiedzą lokatorki ośrodka.

— Czyli waszym zdaniem... co? To lesby? — Shelley posłała Marnie buńczuczne spojrzenie. — Bez urazy.

— Tessa?

— Słucham? — Dziewczyna zdawała się na granicy płaczu.

— Wiedziałaś, że Simone planuje ucieczkę?

Cichym głosem, przygnieciona obecnością Shelley za plecami, Tessa odparła:

— Miała dziwny nastrój poprzedniego wieczora.

Shelley już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Marnie uciszyła ją jednym spojrzeniem.

— Simone miała dziwny nastrój. W jakim sensie?

— Jakby była czymś podekscytowana. Siedziała w pokoju Hope. Słyszałam ją. Brzmiało, jakby coś przesuwała, a potem wyniosła swoje rzeczy z łazienki. Czekałam, żeby wziąć prysznic. Wkładała szampon do kosmetyczki. Pomyślałam, że to dziwne.

— Zapytałaś ją, co robi?

— Nie. Nie chciałam wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Shelley zwała się na kanapę.

— Nie chcę się czepiać, ale tutaj miałyśmy być bezpieczne. A wychodzi na to, że trzy osoby zniknęły.

Przeniesiecie nas czy co?

— Ta decyzja nie należy do mnie.

— Ayana — powiedziała Shelley. — Skąd te skurwysyny wiedziały, gdzie ją znaleźć?

— Nie wiemy.

Dziewczyna popatrzyła na Marnie złośliwie.

— Wszystko było dobrze, dopóki wy się nie pojawiliście. Potem nagle się posypało. Chyba nic dziwnego, że wam nie ufamy.

— Może i nie, ale dziwię się, że zignorowałyście słowa Mab. I że podałaś ten adres swojemu chłopakowi.

Shelley zrobiła się wściekle czerwona.

— Seryjnie? Chyba sobie jaja robisz.

— Podałaś ten adres swojemu chłopakowi, Clarkowi. Zaprzeczasz?

Jeanette prychnęła, wyraźnie triumfując. Bawiła się swoimi nowymi, drogimi kolczykami. Marnie zwróciła się do niej.

— Wiedziałaś, że Clark przychodzi do ośrodka, jednak nie zgłosiłaś tego. Domyślam się, że nakryłaś go w pokoju Shelley, więcej niż raz. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Jeanette patrzyła groźnie na Shelley, która nie pozostała jej dłużna.

— Bo ci płaciła — stwierdziła Marnie — żebyś trzymała język za zębami. I to całkiem sporo, sądząc po nowej biżuterii. Ile razy do tego doszło? Jak wielu ludzi wpuszczono do ośrodka?

Ed po cichu wrócił do pokoju. Stał przy drzwiach, wyraźnie skonsternowany tym, co właśnie usłyszał.

— Mówiłam, że one nie potrafią się powstrzymać. *Ta* — powiedziała, pokazując palcem na Shelley — nie może się powstrzymać. Jest jak suka w rui.

Shelley zeskoczyła z kanapy i rzuciła się z pazurami na twarz Jeanette. Noah stanął między nimi, blokując atak Shelley podniesioną ręką.

— Siadaj! — warknęła Marnie.

Dziewczyna zwała się na kanapę, agresja wykrzywiła jej twarz. Tessa odsunęła się, tworząc dystans między sobą a Shelley.

Jeanette stanęła z założonymi rękami, próbując utrzymać wyraz triumfu.

— Strzelam, że pan Belloc złoży papiery w sprawie poważnego naruszenia przepisów — powiedziała jej Marnie. — Ja zaś poproszę o listę wszystkich osób, które wpuściłaś do tego budynku albo wypuściłaś

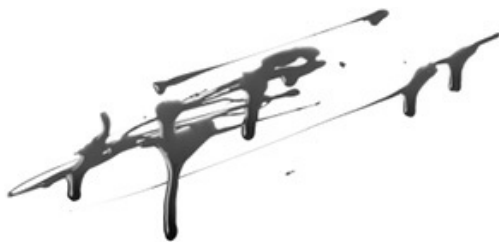
z niego w czasie pełnienia *obowiązków*. Później zdecyduję, czy oskarżyć cię o utrudnianie pracy policji.

Kiwnęła na Tessę, nieco łagodniej.

— A my musimy porozmawiać. W twoim pokoju, jeśli można. Sierżancie Jake, gdybyś mógł spisać zeznania panny Coates odnośnie do jej poczynań w ciągu ostatnich trzech tygodni, byłoby świetnie.

Shelley już zaczęła coś mówić, jednak Marnie przerwała jej spojrzeniem, przy którym poprzednie wyglądało jak uśmiech.

— Seryjnie.



KIEDY WRESZCIE byli gotowi opuścić budynek ośrodka, minęła już dwudziesta. Ed zadzwonił i poprosił o wsparcie. Ubrana na kolorowo Britt, kobieta o szerokich ramionach i bystrym spojrzeniu, posłała im poważny uśmiech. Mab cieszyła się, że ją widzi; poznała Britt w innym ośrodku.

— Będzie trzymać Shelley krótko — powiedział Ed do Marnie i Noaha. — I zajmie się wszystkim do czasu, aż znajdziemy kogoś nowego na miejsce Jeanette. — Schował ręce do kieszeni; ten chłopięcy gest nie pasował do nerwowo zaciśniętych ust. — Będziemy musieli zasłonić dach, upewnić się, że jest tam bezpiecznie.

— Mogę w tym pomóc — zaoferował Noah. — Mamy na komisariacie listę awaryjnych fachowców.

— Dzięki. — Ed popatrzył na Marnie. — Dam radę wyprosić u ciebie podwózkę do domu?

Kiwnęła głową, domyślając się, że nie pytał dla siebie, lecz dla niej. Przestała ukrywać zmęczenie, które teraz wyraźnie malowało się na jej twarzy.

— Żaden problem. Noah, chcesz, żebym zawiozła cię na komisariat?

Noah pokręcił głową.

— Przejdę się. Dzięki.

Obdzwonili wszystkich, którzy mogli im pomóc w odnalezieniu Ayany. Reszta musiała poczekać do rana.

— Ma komórkę — rzucił Noah. — Dałem jej kartę pre-paid. Może będzie miała szansę z niej skorzystać.

— Może — odparła Marnie. Nie podobało jej się, że musi wracać do domu w takiej sytuacji, wiedząc, że młoda dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Miała pewność, że nie zaśnie.

W pokoju Eda panował wybuchowy, choć kontrolowany bałagan złożony z ubrań, książek i płyt CD. Nieporządek pomagał jej poczuć się lepiej, bezpieczniej. Odgrodzić się. Ed odgruzował trochę przestrzeni na kanapie i Marnie usiadła, kładąc głowę na poduszce. Jej ubrania pachniały Sommerville. Kiedy zamknęła oczy, zobaczyła Stephena leżącego na łóżku, z ręką przykrywającą podrapaną twarz. Za jej plecami Ed wszedł do małej kuchni, żeby włączyć czajnik elektryczny.

Zdała sobie sprawę, że mu o tym powie. O popołudniowej wizycie i o tym, co się stało Stephenowi. Myślała, że wróci do pustego łóżka w domu, jednak naprawdę chciała o tym porozmawiać. Z Edem.

Przyniósł kawę z kuchni, postawił dwa kubki na niskim stoliku między niepewnie stojącymi stosami gazet i czasopism. Jeden kubek był żółty, z uśmiechem. Drugi należał do tych nowinek reagujących na ciepło: James Bond właśnie materializował się z czarnego tła, z bronią w zaciśniętej dłoni.

— Herbatnika? — zaproponował. — Mogę też zrobić tosty.

— Nie, dzięki. Wystarczy kawa.

Usiadł obok niej, zostawiając trochę pustego miejsca, szanując jej przestrzeń osobistą.

Objęła dłońmi kubek, obserwując postać Bonda.

— Widziałam się dzisiaj ze Stephenem. Poprosił, żebym przyjechała. Tak mi przynajmniej powiedzieli.

Kiedy jednak dotarłam na miejsce, on nagle zmienił zdanie. — Nie była to najbardziej przejrzysta wypowiedź w jej karierze. Nawet odrobinę nie zbliżyła się do tego, co naprawdę chciała powiedzieć o wydarzeniach z popołudnia. Zamrugła, a potem zaczęła sączyć parzącą herbatę z kubka.

Ed odczekał chwilę, a potem zapytał:

— Zastanawiałaś się, czy on cię przypadkiem nie potrzebuje? Twoich wizyt, tak precyzując. Jesteś jedyną osobą, która okazuje mu jakieś zainteresowanie.

— Może.

— Gdybyś przestała tam jeździć... Ciekawe, jak by zareagował. Czy przestałby pogrywać w te swoje gierki, może zaczął wciągać cię w rozmowę.

— Może. — Czy tego chciała? Nie miała pojęcia. — Coś się wydarzyło — powiedziała w końcu. — W sobotę, po naszym wyjeździe. Stephen został zgwałcony. — Słowa wyschły, jej język stał się spieczony, niezdarny.

Ed wciągnął gwałtownie powietrze, a potem je wypuścił z płuc przekłutych żalem.

— Cholera. Przykro mi.

Kiwnęła głową.

— Mnie też. — Odstawiła kubek. Przyjrzała się swoim dłoniom. — Tylko że... kiedy mi o tym powiedzieli, jeszcze zanim się zdradzili, że to gwałt, kiedy spodziewałam się zwykłego pobicia, cieszyłam się. Przez chwilę. Jakby... jakby dosięgnęła go odpowiednia kara, wreszcie. Zamiast tego prywatnego pokoju, tych książek, własnej łazienki... a przecież *wiem*, że to nie tak. Wiem, na czym polega więzienie, oczywiście, że wiem, ale on zawsze wygląda tak... *dobrze*.

Niecierpliwie odgarnęła włosy z czoła.

— Chryste, Ed. Co jest ze mną nie tak? Jestem komisarzem policji. Powinam wierzyć w resocjalizację. Przecież wierzę. A jednak przy Stephenie... nie wiem, może chodzi tylko o karę. Naprawdę myślę, że chodzi o karę. Z jakiego innego powodu cieszyłabym się z takich wieści?

— To odruchowa reakcja. Sama powiedziałaś, że czułaś radość tylko przez chwilę. U większości ludzi trwałoby to dłużej.

Marnie poczuła piekące łzy w oczach.

— Brzydzę się sobą. Nie powinnam wykonywać swojego zawodu, jeśli cieszę się, gdy dzieciak dostaje łomot. Jakikolwiek dzieciak. Przecież oni chcieli... To mój młodszy brat. Właśnie tak powinnam o nim myśleć. Oni go kochali. — Zaciśnęła powieki, wstrząśnięta nową falą gniewu i uzalania się nad sobą. — Kochali go.

Ed wypowiedział cicho jej imię, zbliżając się, jakby chciał ją objąć. Zatrzymała go spojrzeniem.

— Powiedziałam, że starałam się wybaczyć jemu, ale chodzi o *nich*. To oni go sprowadzili do domu, zrobili dla niego miejsce w rodzinie. *Mojej* rodzinie. Sprawili, że stałam się ofiarą. Tego nie potrafię wybaczyć. Nie jemu. *Im*.

Wtedy wreszcie pozwoliła się przytulić.

Wtedy wreszcie pozwoliła sobie zapłakać.

Nad rodzicami, nad sobą, nad Stephenem. Nad całym tym bałaganem. Niedokończonym szalikiem i książką. Ośmioletnią dziewczynką ze srebrną bransoletką i ośmioletnim chłopcem w pokoju, którego nie chciał zmienić.

— Zrobiły to dziewczyny — powiedziała, gdy skończyła płakać. — Przytrzymały go i zgwałciły butelką, tak brutalnie, że potrzebował szwów. Prowodyrka ma dziewiętnaście lat. Pozostałe mogą być młodsze. — Wytarła łzy wierzchem dłoni, wysuwając się powoli z objęć Eda. Przecież powinna być tą silniejszą, tą panującą nad sytuacją. Kolejna rzecz, którą Stephen jej ukradł. — Psychiatra stwierdził, że zanim trafił do rodziny zastępczej, był zaniedbywany, ale nigdy nie był bity, a przynajmniej nic im o tym nie było wiadomo. Nie mogłam uwierzyć, że tak długo przebywał w systemie i nikt nie zauważył, jak głęboko sięgały rany w jego psychice.

Wstała i poszła do kuchni, żeby nalać wody do szklanki, potem przyniosła ją z powrotem do pokoju, gdzie czekał Ed.

— Miał problemy emocjonalne. Tak oficjalnie to kwalifikowano. Jego rodzice byli narkomanami. Tacy z klasy średniej, którzy na koniec niedzielnego obiadu serwują kreskę koki. Bóg jeden wie, co zobaczył jako dzieciak. Pracownicy socjalni ostrzegali nas, że nie mówi zbyt wiele, ale podkreślili, jaki to dobry chłopak, jaki grzeczny, jak dobrze wychowany. Żadna z poprzednich rodzin zastępczych nie miała z nim problemów.

Usiadła obok Eda na kanapie, pocierając kciukiem o krawędź szklanki; rozległ się nietoperzowy pisk.

— Widziałam go może sześć razy, kiedy przyjeżdżałam do domu na urodziny albo Boże Narodzenie. Był cichy. Czujny. Nie wydawał się nieszczęśliwy albo niebezpieczny. Nie było żadnych znaków, przysięgam... Żadnych. Jedyne dziwactwo to mój pokój, którego w ogóle nie zmienił. — Zmarszczyła brwi, sącząc wodę. — Cały dom taki się wydawał, jakby nie nosił żadnych oznak jego obecności, aż do tego ataku agresji, aż do zabójstwa.

— Psychiatra w Sommerville rozmawiał z nim?

— Ona mówi, on nie odpowiada. Dzisiaj... po raz pierwszy widziałam, żeby okazał jakieś emocje. Po raz pierwszy pozwolił mi zobaczyć, co naprawdę o mnie myśli. — Gdzieś z tyłu głowy kotłowała się jej pewna myśl, tak jak ćma kotłuje się w słabo oświetlonym oknie. Nie potrafiła jej złapać. Miało to coś wspólnego ze Stephenem, dziewczynami, wypowiedzią Eda o wstydzie i ciszy...

— Ma w swoim pokoju taką szufladę, pełną rzeczy należących do mamy i taty. Nie tylko okulary ojca, także kartki pocztowe, zdjęcia... — Stephen chciał, żeby zajrzała do środka, żeby przekonała się na własne oczy, co zabrał. Nie tylko odebrał *im* życie, ale odebrał *jej* dzieciństwo.

— Byłam kiedyś w takim domu. — Nigdy wcześniej nie wspominała o tym Edowi. — Po naprawdę paskudnym pożarze. Wszystko... ciekło. Było czarno i pachniało jakoś tak gorzko, jak po strzale z pistoletu.

Widziała ten dom tak wyraźnie, jak by to było wczoraj. Frontowe drzwi znajdowały się w ogrodzie na tyłach. Ze schodów zostało tylko sześć stopni, prowadzących donikąd. Z korytarza dało się zobaczyć od razu ogródek, a na nim wysokie sterty poczerniałych kamieni. Fragment dachu wciąż się walił, kawałki tynku rozpryskiwały się w kałużach pozostawionych przez strażaków.

— Nic tam nie zostało. Część łóżka spaliła się w takiej... takiej jamie, gdzie kiedyś była podłoga. Ani śladu pokoi na górze. Ani śladu dachu. Tylko ta jama. — Zamoczyła usta w wodzie ze szklanki. — W łóżku dwa ciała. To nie ogień ich zabił, tylko dym. Leżeli... leżeli plecami do siebie na łóżku. Chyba w ogóle się nie obudzili. Z początku myśleliśmy, że to jedno ciało. Dopiero technicy oddzielili jedno od drugiego.

Zamknęła na moment oczy, by zaraz znowu je otworzyć.

— Wciąż się zastanawiam... czy zrobili coś, co go sprowokowało? Mam na myśli Stephena. Nie potrafię w to uwierzyć, ale wtedy przypominam sobie, jak się czułam przed odejściem. Tata bywał czasami taki... niecierpliwy. Mama chciała pomocy, we wszystkim. Czasami myślałam, że przygarnęli dziecko, żeby mieć kogoś, kogo mogą urabiać po swojemu, ponieważ ja im na to nie pozwoliłam. — Zajrzała do szklanki, żałując, że nie napełniła jej winem zamiast wodą.

Kiedy znowu się odezwała, Ed musiał się pochylić, żeby ją usłyszeć.

— Na rękach miała obrażenia obronne. Układ ciał... zapewne oznaczał, że tata próbował ją chronić.

Zamknęła oczy, przytrzymując szklankę przy piersi.

— Radziłam sobie, wtedy. Właśnie tak. Radziłam sobie ze wszystkim. Z pogrzebem, ze spadkiem. Wynajęłam dom, ponieważ nie byłam gotowa do sprzedania go, a nie chciałam, żeby mnie to spowalniało.

Usłyszała, jak jej głos tężeje, pojawia się obronny ton.

— Nie straciłam ani jednego dnia więcej, niż było to konieczne. Welland tylko czekał, aż się rozejdę w szwach. Wytrzymałam z tym jego pieprzeniem o pozytywnej dyskryminacji, gryzłam się w język. I gryzę się wciąż od tamtego czasu. Zupełnie niedawno zaczęłam się czuć... jakbym próbowała wepchnąć takiego zabawkowego węża z powrotem do puszki. Nawet nie wiedziałam, że cokolwiek wypuściłam. Myślałam, że wszystko jest pochowane.

— Zaczął się rozluźniać — powiedział Ed. — Może dałaś w ten sposób szansę emocjonalnej adrenaliny, może wreszcie mogła popłynąć.

— Chyba masz rację. — Dokończyła wodę i odstawiła szklankę na podłogę. — Więc co mi doradzasz? Tylko proszę, nie terapię.

— Nie potrzebujesz terapii. — Wysunął się do przodu, żeby siedzieli ramię w ramię. — Musisz po prostu trochę sobie odpuścić. I rozmawiać, kiedy tylko możesz.

— W twoich ustach to wydaje się takie proste. Dzięki tobie jest proste. Dziękuję.

— Nie ma za co — rzucił lekkim tonem.

— Jest za co. — Przysunęła się na tyle blisko, by pocałować go w policzek. — Dziękuję.

Wtedy między jednym a drugim ciałem zawibrował telefon. Marnie wycofała się, żeby odebrać.

— Tak, Noah. Co masz?

— Firma Dachy Calvina zatrudniła do zlecenia w Finchley tanią siłę roboczą. Dwóch mężczyzn pochodziło z Azji. Podane przez nich nazwiska okazały się należeć do aktorów Bollywood, a adresy nie

istnieją. Zgodnie z tym, co mówi Calvin Johns, obaj tak bardzo chcieli pracować w ośrodku, że zgodzili się na stawkę niższą niż pozostali. Zdziwił się, bo zazwyczaj zatrudnia Polaków. Tych dwóch odezwało się już po rozpoczęciu prac, ale wziął ich, żeby trochę zaoszczędzić.

— Załatwili sobie robotę — powiedziała Marnie.

— Na to wygląda. Poprosili Johnsa o robotę w piątek, po naszej wizycie w ośrodku. — Noah brzmiał, jakby było mu niedobrze. — To bracia Ayany, jestem tego pewien. I przyjechali tutaj za nami...

— Policjant, który pojawił się u nich w domu wcześniej...

— Próbowali dwa razy. Za drugim udało im się porozmawiać z matką Ayany. Powiedziała, że rodzina nie widziała dziewczyny ani nie kontaktowała się z nią od czasu jej odejścia z domu. Musielibyśmy dostać nakaz, żeby mieć pewność, że Ayany nie ma w środku. Jeśli jest... Ed nie może jej stamtąd wyciągnąć?

— Nie, o ile nie zdecyduje się na zeznania. Potem może skorzystać z Programu Ochrony Świadców i moglibyśmy zmienić jej numer ubezpieczenia, nazwisko...

— Co miała do powiedzenia Tessa? — zapytał Noah.

— Niewiele. Tyle tylko, że uwierzyła w historię Mab o mężczyznach porywających Ayanę przez dziurę w dachu. Shelley ją przeraża. Ed obiecał znaleźć jej jakieś nowe miejsce, zanim oficjalnie zezna, że widziała w ośrodku Clarka. A bywał tam, bywał, kiedy tylko stać go było na opłacenie milczenia Jeanette Conway. Jeanette powiedziała: *I nie tylko to widziałam*. Marnie spodziewała się, że dziewczyna powie wprost, co też takiego widziała. Kiedy tak się nie stało, założyła, że brała łapówki za trzymanie języka za zębami.

— Czego nie jestem w stanie zrozumieć — rzekł Noah — to to, czemu Shelley po prostu nie opuściła ośrodka, skoro chciała wrócić do Clarka.

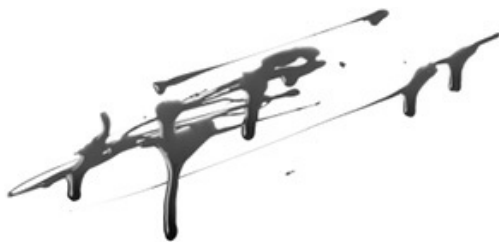
— Tessa twierdzi, że Shelley woli w ten sposób. W ośrodku Clark zna granice, Shelley czuje, że panuje nad sytuacją... Najwyraźniej podnieca ich, gdy śpią tam razem. Sądząc po tym, co Jeanette opowiedziała o tym miejscu... można by pomyśleć, że to farma króliczków dla brutali i drapieżników. Twierdzi, że nie brała pieniędzy od nikogo prócz Clarka, ale nie zdziwiłabym się, gdyby wpuszczała też inne osoby do środka. To by wyjaśniało, jak robotnicy weszli aż do pokoju Ayany i nikt nie podnosił larum.

— Ed ją zwolnił, prawda?

— Jest w trakcie załatwiania formalności. To nie leży w zakresie jego obowiązków, ale tak, dziewczyna przez miesiąc nie będzie mogła usiąść na tyłku, kiedy z nią skończy. — Wstała z kanapy. — Musimy pogadać z Wellandem. Łby nam pourywa, gdy się dowie, że straciliśmy świadka.

— A co z Hope i Simone? I z tym samochodem, który stał przed ośrodkiem i szpitalem?

— Henry Stuke. — Marnie nie zapomniała nazwiska mężczyzny. — Odezwij się do Rona Carlinga w sprawie Stuke'a i reszty nagrań z monitoringu. Nie wierzę, że jeden prius to jedyne, co udało nam się wyciągnąć z tyłu godzin materiału. — Z werwą strzepnęła farfocle z klap marynarki. — Szkoda, że Leo Proctor nie umarł, pracowalibyśmy wtedy nad sprawą morderstwa i mielibyśmy porządne wsparcie...



GŁOS INSPEKTORA Tima Wellanda był jak żwir w melasie. W *gorącej* melasie, dzięki temperaturze panującej w jego biurze.

— O ile dobrze zrozumiałem, zaczęliście od siedmiu kobiet w ośrodku, a teraz zostały wam tylko cztery. Myślałem, że to ośrodek wsparcia ofiar przemocy, a nie ruchome piaski. Ktoś może mi wyjaśnić zawilóści tego równania?

— Simone Bissell i Hope Proctor zniknęły ze szpitala — powiedziała Marnie. — Ayana Mirza została porwana z ośrodka przez ludzi, którzy naszym zdaniem działali w imieniu jej braci.

— Nasifa Mirzy.

— Nie tylko. Mamy świadka, który twierdzi, że widział, jak zabiera ją dwóch Azjatów. Myślę, że porwanie to dobry powód, by uzyskać nakaz przeszukania.

Welland pochylił się do przodu, sprawiając wrażenie zbliżającej się lawiny.

— Cieszę się, że pani komisarz potrafi jeszcze myśleć. Nie spodziewałbym się, sądząc po tej całej gównoburzy. — Odsunął krzesło do tyłu i złożył ręce, wpatrując się w Noaha z nieprzyjemnym wyrazem twarzy. — O co chodzi z tymi niewidzialnymi małpami?

Noah ukrył zaskoczenie; był przekonany, że Marnie nie podzieli się tą teorią z Wellandem, którego tolerancja dla — jak to nazywał — psychopitolonia plasowała się gdzieś poniżej zera.

— To problem, na jaki natrafiliśmy w trakcie przesłuchań w sprawie Leo Proctora. Nie ma nic wspólnego z porwaniem Ayany.

— Ciągłe używanie tego słowa, *porwanie*, ale gdzie jest dowód na to, że się broniła?

— Uważamy, że była w szoku...

— Świadek widział dwóch mężczyzn, którzy *pomagali* jej wyjść przez dziurę w dachu. Dziurę w dachu, do jasnej cholery. A mimo to nie słyszano żadnych krzyków, żadnych wrzasków. W dodatku kobieta nie wszczęła alarmu, co by z pewnością zrobiła, będąc świadkiem *porwania*.

— Wyczone zachowanie — powiedziała Marnie. — Wszystkie te kobiety nauczyły się strachu przed mężczyznami i milczenia. Ich zeznania są odbiciem ich prywatnych doświadczeń. Chodzi o to, co one *spodziewały* się zobaczyć.

— A co z tym, czego wy się spodziewaliście? Wygląda na to, że mieliście nadzieję wyczarować dowody z powietrza. Że nie wspomnę już o przekonaniu jednej z tych kobiet do sprzeciwienia się

szalonemu bratu.

— Tego chciała prokuratura. — Marnie spróbowała uśmiechnąć się zachęcająco. — Ayana Mirza pomogła sierżantowi Jake'owi uratować życie Leo Proctora. Jest silniejsza niż pozostałe.

— Widzę tego waszego cudnego chłopaka — Welland kiwnął głową na Noaha — i podnoszę stawkę o twarde dowody.

— Staramy się wysledzić mężczyzn, którzy pracowali dla firmy budowlanej, a potem połączyć ich z Nasifem. Mamy też powód do przeszukania domu rodziny Mirzów i sprowadzenia tu Nasifa na przesłuchanie.

— Naprawdę? Pozwól, że wyjaśnię kilka kwestii. Prokurator ostrzega, że czekają nas skargi ze strony społeczności islamskiej za nękanie. Za to, że *my* nękamy *ich*. Musimy szanować ich zwyczaje, dopóki ktoś przez nie nie zginie.

— Ayana Mirza już jest na wpół ślepa. A Lee Hurran nie żyje.

— Nie ma dowodów. Nie ma ich dość, by znowu pukać do drzwi Nasifa Mirzy. Chyba że chcemy tylko grzecznie zapytać, czy widział siostrę.

Welland opadł z powrotem na krzesło. Podniósł rękę i w zamyśleniu zaczął pocierać napiętą skórę nad okiem.

— Powiedźcie mi lepiej, dlaczego Hope Proctor nie pilnowała policja. Więcej nawet, dlaczego nie została aresztowana.

— Nie było do końca wiadomo, co się stało. Czekaliśmy na powtórne przesłuchanie świadków i na rozmowę z jej mężem. Nie wyglądało na to, by istniała groźba ucieczki.

— Czyli mamy dwóch zaginionych świadków i jednego zbiega podejrzanego o morderstwo. A to dopiero wtorek rano.

— Hope nie jest podejrzaną w sprawie o morderstwo — odparł cicho Noah. — To była obrona własna, panie inspektorze.

Welland zdołał się uśmiechnąć; wyglądał, jakby ktoś ukradł mu dolną część twarzy.

— Przypomnę moją wcześniejszą uwagę. Twarde. Dowody.

— Obdukcja wykazała ślady długoterminowego maltretowania...

— Nie zanosilo się, że ucieknie — powtórzyła Marnie. W jej głosie dało się słyszeć ostrzeżenie dla Noaha, żeby siedział cicho. Zabolalo. Odchylił się, zagryzając wargę.

— A jednak nam zwiála — rzucił Welland — więc na jedno wychodzi. Ale co z tą Simone Bissell? Skąd ona się wzięła?

Marnie przekazała najgorsze fragmenty z tego, co opowiedział im Ed.

— Uganda — powtórzył Welland, kiedy skończyła, jakby tylko ta część historii się dla niego liczyła. — Czyli mogę liczyć na kolejny liścik od prokuratora. — Posłał Noahowi surowe spojrzenie, jakby oceniał zalety posiadania czarnego policjanta w zespole. — Ta cała Bissell, dlaczego waszym zdaniem uciekla razem z Hope Proctor?

— Nie wiemy — odparła Marnie. — Być może spodziewała się, że aresztujemy Hope, gdy tylko obudzi się Leo. Albo bała się odwetu z jego strony.

— Jest niebezpieczna?

— Simone? Nie pomyślałabym, jeśli jednak przeżyła taką traumę, o jakiej mówił Ed Belloc...

— Mogło jej odbić. — Welland spojrzął na dokumenty przygotowane do tej pory przez Marnie. — Lepiej sprawdźmy tego chłopaka, który ją maltretował, Lowella Patona. Zobaczmy, co ma do powiedzenia, i podpytajmy też jej przybranych rodziców. Ograniczmy zniszczenia. — Złapał dolną wargę między kciuk a palec wskazujący. — A wracając do Ayany... Zakładając, że z Finchley zabrali ją właśnie jej bracia, skąd wiedzieli, gdzie ją znaleźć?

— Nie jesteśmy pewni — odparła ostrożnie, nie patrząc na Noaha.

— Chyba nie myślicie, że do nich zadzwoniła? Wiele z nich tak robi.

— Zdaniem Eda Belloca faktycznie często się tak dzieje. Ja nie uważam, by Ayana ryzykowała i Ed myśli podobnie. Dziewczyna jest zbyt cwana. Wiedziała, co ją czeka po powrocie do domu.

Noah siedział nieruchomo, bardzo wyraźnie czując żrącą żołąć w gardle. Bracia Ayany pojechali jego śladem z komisariatu do ośrodka. Nie miał co do tego wątpliwości. Poprowadził ich prosto do niej. A teraz zniknęła, wróciła do miejsca, gdzie ją na wpół oślepił. Bóg jeden wie, jaką teraz wymyśli karę.

— Lepiej wracajcie już do pracy, sierżancie — powiedział Welland, kiwając na Noaha. — Muszę zamienić słowo z komisarz Rome.

— Kawa — rzuciła Marnie do Noaha po wyjściu z biura inspektora. — Ja stawiam.

Z jej wyrazu twarzy nie dało się odczytać nic na temat tego, co działo się, gdy Noah wyszedł ze spotkania. W zasadzie nie potrzebował wielu znaków; Welland dobitnie pokazał, w jakim jest nastroju. Noah żałował, że Marnie nie pozwoliła mu zdradzić kilku szczegółów z dochodzenia, zamiast ucinać jego wypowiedź w pół zdania.

W pobliskiej kawiarni kupili dwie kawy z mlekiem, obie z dodatkowym espresso.

— Zdobyłam adres Lowella Patona. To niedaleko, przejdźmy się.

Lepiej by im zrobił pięciokilometrowy bieg, lecz w ten sposób przynajmniej mogli pracować. Noah sączył kawę, dotrzymując kroku Marnie.

— Welland wkurzył się o Hope. Upiera się, że w szpitalu powinni byli pilnować jej policjanci. „Usiłowanie morderstwa”, tutaj cytuję, „to nadal przestępstwo z naszego podwórka, z jakiego śpiewnika by pani nie korzystała, komisarz Rome”. Czyli mamy zielone światło na wykorzystanie większych środków do poszukiwań.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś o schowku pod schodami? Albo o wynikach obdukcji?

Usłyszała urazę w jego głosie i uniosła brwi.

— Nie mieliśmy nakazu przeszukania. Twarde dowody muszą być nieskazitelne, nie pamiętasz?

To ty zapomniałaś, pomyślał Noah, kiedy przesłuchiwałaś Leo w szpitalu.

— A co z Ayaną? — zapytał z naciskiem. — Welland da nam nakaz przeszukania?

— Zadzwoniłam do Eda, żeby sprawdzić, co on może zrobić w tej sprawie. Welland uważa, że biuro wsparcia ofiar ma w tej chwili większe szanse wskórać coś u rodziny niż my.

— Ed nie jest policjantem.

— Nie — zgodziła się Marnie. — Nie jest.

— Czyli wysyłamy go tylko dlatego, że prokurator jest nerwowy.

— Nikogo nie wysyłamy, sierżancie. — Jej ton zabolął jak trzepnięcie linijką po rękach. — Wykorzystujemy wszelkie dostępne zasoby. Prowokowanie Marnie Rome do kłótni przypomina próbę

wępcznicia palców w marmur; na koniec bolą cię ręce.

— Idiotyczne.

— Polityka i pragmatyka. Idiotyczne byłoby wbieganie tam na oślep, bo nie chciało nam się przystanąć i chwilę zastanowić. — Kolejny cios, tym razem w policzek. Nie podobało jej się, że krytykuje Eda, to było oczywiste. Maszerowali dalej, już bez słowa.

Londyn wciąż jeszcze się budził, chociaż zbliżała się już dziesiąta. Pracownicy zaszyli się w biurach, bieg do szkoły się skończył. Nastąpiła martwa godzina przed przerwą na lunch. Na niebie dwa samoloty pasażerskie wyrysowały przecinające się białe smugi na jeszcze bielszym tle. Znacznie bliżej para wróbli ćwiczyła wiosenne latanie.

Upiornie było słyszeć śpiew ptaków w centrum Londynu. Jak w chwili, gdy do twoich uszu dociera szum morza, którego jeszcze nie widzisz — przypomnienie o tym, że natura jest wszędzie, nawet w miejscach, gdzie człowiek zrobił wszystko, by ją zniszczyć.

Noah zastanawiał się, czy Ayana słyszała śpiew ptaków albo szum fal. Chciał myśleć, że dziewczyna ma gdzieś blisko telefon albo broń. Zdał sobie sprawę, iż marzy o takim przestępstwie, jakie popełniła Hope Proctor w ośrodku.

Marnie wyprzedziła go o kilka kroków, żeby wyrzucić pusty papierowy kubek do kosza.

— Zgadnij, gdzie teraz mieszka Lowell Paton.

Zobaczył niesmak na jej twarzy.

— Chyba nie w mieszkaniu, w którym przetrzymywał Simone?

— Dość blisko. Nie ma to jak w domu. Oczywiście na koszt ojca. Może Ed miał rację i Paton senior pomógł synkowi posprzątać po ucieczce Simone. Jeśli tatuś jest w domu, lepiej szykujmy się na słuchanie tego samego gówna w stereo. — Poprawiła włosy. — Rodziny zwierające szeregi... Jakaś odmiana od tych, które spuszczają sobie nawzajem łomot.

— Istnieje wiele różnych form znęcania się nad kimś. Nie musi chodzić o fizyczne maltretowanie.

Spojrzała na niego.

— Prawda. Myślisz, że Ron Carling miał szczęśliwe dzieciństwo?

Noah ostrożnie podszedł do tego pytania, zastanawiając się, co usłyszała — albo ile się domyśliła — na temat stosunków między nim a Carlingiem.

— Dlaczego akurat on?

— Bo to bigot i cwaniaczek. — Wyprostowała mankiety koszuli. — I ponieważ podejrzewam, że dręczy cię bardziej, niż jesteś gotowy przede mną przyznać.

— Nie robi nic, z czym nie potrafiłbym sobie poradzić.

— Świetnie, ale i tak muszę wiedzieć, czy mamy zgniłe jabłko w zespole. O ile w ogóle tworzymy zespół. On ma jakiś problem z tobą, prawda? — Patrzyła przed siebie, dzięki czemu było mu nieco łatwiej odpowiedzieć.

— Najwyraźniej. Ale powoli się z tym godzi.

— Ponieważ potrafisz dobrze odpierać ataki czy on uczy się tolerancji?

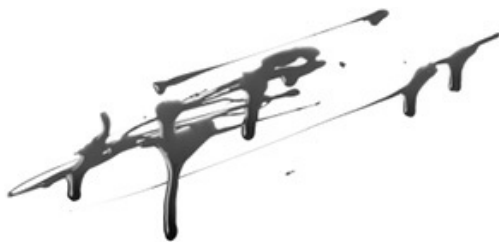
— Chyba... chyba jedno i drugie po trochu.

— Czy będzie z tego problem w zespole?

— Nie ma żadnego problemu. Nic poważnego, tylko głupie żarty. Ron zgrywa po prostu macho,

rozumiesz.

— Nie bardzo — przyznała Marnie. Nagle stanęła, pokazując na falliczny blok mieszkalny przed nimi.
— Sprawdźmy, co ma do powiedzenia Lowell Paton. Może wyjaśni nam, gdzie mogła się udać Simone albo co może się dziać w jej głowie.



LOWELL PATON miał dwadzieścia trzy lata, jednak z tak chudą sylwetką i w szpanerskich ciuchach sportowych mógł uchodzić za osiemnastolatka. Tarł zaspane oczy, zapraszając Marnie i Noaha do swojego apartamentu na samym szczycie bloku. Skończyło się podziemne życie Lowella.

Marnie ostrzegła Noaha, że nie mogą naciskać. Nie mieli ani nakazu, ani oficjalnej skargi. Najlepsze, na co mogli liczyć, to bliższe poznanie psychiki Simone. Lowell prawdopodobnie nie będzie chciał przekazać jakichkolwiek informacji, jednak wyrzuty sumienia robią dziwne rzeczy z człowiekiem. Czasami prowokowały go do nieplanowanych zwierzeń. Potwory nie radzą sobie ze zbyt długim ukrywaniem się, a Lowell Paton był potworem dla Simone Bissell.

W tym logicznym wywodzie istniała pewna wada, z której istnienia Noah zdał sobie sprawę jakieś dziesięć minut po wejściu do mieszkania z krzykliwym wyposażeniem: bliźniaczymi kanapami obitymi krwistoczerwoną skórą, czerwono-białą mozaiką na ścianie oddzielającej aneks kuchenny od pokoju dziennego. Wszędzie lustra, jedno nawet otoczone żarówkami. Trudno to nazwać mieszkaniem kogoś, kto boi się ujrzeć własne odbicie. Białe dywany udające wybielone zwierzęce skóry. Nagłośnienie, które wyglądało, jakby można nim było sprowadzić na ziemię odrzutowiec, z kryształami Swarovskiego wbitymi w czarną obudowę konsoli jak odłamki pocisku artyleryjskiego.

Odpicuj mi apartament.

Lowell Paton poruszał się po mieszkaniu z nonszalancją kogoś, kto nie płacił czynszu ani ubezpieczenia. Noah domyślał się, że Paton senior się tym zajął; z siebie tylko znanych powodów rozpieszczał synalka. Może uważał, że zapewnia mu bezpieczeństwo, trzymając go tutaj, z dala od ulicy, gdzie wcześniej uciekł Lowell, choć na krótko. Funkcjonariusza zabolalo serce, kiedy zobaczył wypieszczonemu, zadowolonego z siebie bachora, który wyrósł pod tym kryształowym kloszem. Lowell Paton nie miał wyrzutów sumienia. Wszystkie demony przeszłości, czy to z pomocą ojca, czy nie, zostały wypędzone, co do jednego.

W aneksie kuchennym — pokryty czarną gumą młynek do pieprzu, wypolerowana granitowa podkładka pod czajnikiem Alessi. — Lowell otworzył lodówkę o gabarytach promu kosmicznego i przyjrzał się jej zawartości.

— Mam colę albo — uśmiechnął się do nich szeroko — buda.

Jego twarz miała w sobie coś z lisa. Szerokie usta, wąskie i ściągnięte wargi. Szerokie oczy pod

jeszcze szerszymi brwiami, jasnobrązowymi jak włosy, jak tęczówki. Lewe ucho przekłute, a w dziurce duży szpon z pleksiglasu. Twarz prosto z ulicy, wizerunek gangstera, ale zbyt wystudiowany, żeby był prawdziwy. I zbyt gładki. Nie miał ani jednej skazy.

— My dziękujemy. — Marnie odpowiedziała Lowellowi identycznym uśmiechem, bez choćby sekundy opóźnienia. W progu pokazała mu swoją odznakę jakby z cieniem wstydu pod wpływem bogactwa, widocznego tutaj w postaci prywatnej ochrony, konsjerża w uniformie i błyszczącej windy, z której mieszkańcy wychodzą na wyłożone dywanem korytarze.

Lowell przyniósł butelkę coli na kanapę, zachęcając Marnie i Noaha, by usiedli po jednej stronie ławy, podczas gdy on rozłożył się po drugiej. W lśniącym białym dresie na czerwonej kanapie wyglądał jak robak w otwartej ranie.

Noah, wspominając słowa Eda Belloca na temat fetyszu krwi tego chłopaka, poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Paton rozsunął nogi, celując kroczem w stronę Marnie. A gdzie się podziewała pani Paton? Jakaż to matczyzna miłość zaowocowała tym zadowolonym z siebie macho? A może tej matczynej miłości w ogóle nie było i na tym polegał problem Lowella?

— To jak mogę pomóc? — Lowell Paton zakołysał butelką między palcami prawej dłoni. Na trzech z nich miał pierścienie: złote suwereny. Gangsterski *bling*. Pierścienie mogły posłużyć za broń, gdyby Lowellowi nagle zachciało się kogoś uderzyć. Nie mężczyzn czy chłopaków. Na ulicy nie przetrwałyby dwóch minut. Paton bił dziewczyny. Złamał Simone nos ręką, której teraz używał do kołysania butelką.

— Chcielibyśmy zadać kilka pytań na temat Simone Bissell — oznajmiła Marnie.

Lowell przesunął językiem po wąskiej górnej wardze. Nie nerwowo, po prostu smakował resztki tego, co zjadł na lunch; w mieszkaniu pachniało kiełbasą chorizo i serem.

— Pewnie — odparł. — Simone, jasne. — Przyłożył butelkę do ust. — Nie ma sprawy.

— Pamięta pan ją.

— Pewnie. Bujaliśmy się razem przez chwilę.

— Więcej nawet. — Marnie się uśmiechnęła.

Lowell rozłożył się jeszcze bardziej na kanapie.

— Jo. — Długi łyk coli pozostawił jego wargi mokre, otwarte. — Mieszkaliśmy razem trochę. Jakoś koło roku. Spoko czasy.

— Mieszkaliście razem przez rok. Kiedy to było?

— Dwa, trzy lata temu.

— A potem co się stało?

— Zniknęła jak duch. — Lowell przyłożył usta do szyjki butelki, wygrał na niej nutę. — Wyparowała. Ale spoko. Żaden problem, nie ma siary.

— Odeszła po roku wspólnego mieszkania. Dlaczego to zrobiła? — Marnie się rozejrzała. — Ma pan tutaj doskonałe miejsce do życia.

— Jo. — Lowell podrapał się po lewym udzie. Zerknął na Noaha spod firanki rżęs.

Ktoś inny mógł uznać to spojrzenie za oznakę strachu albo flirt, jednak Noah wiedział, że Paton zwrócił uwagę na jego kolor skóry; chciał zrobić dobre wrażenie na czarnym, którego próbował udawać. Paton uwielbiałby młodszego brata Noaha, Sola.

— Simone się tutaj nie podobało?

— Nie mieszkaliśmy tutaj. — Kolejny łyk coli z butelki. Ani śladu potu na twarzy czy dłoniach. Żadnych oznak napiętych nerwów. — Wtedy jeszcze apartament nie był wykończony.

— Pański ojciec jest właścicielem całego bloku, prawda?

— Jo.

— To gdzie mieszkał pan z Simone?

— Na dole, w piwnicy. — Zaśmiał się, kiwając głową. — No, wiem, trochę dziura, ale mimo to... — Zmienił uśmiech, ściągając kąciki ust, tworząc karykaturę żalu. — To były dobre czasy.

— Simone była panu bliska.

— Kochałem tę laskę. — Lowell wyprostował się, jego twarz się zmieniła. Jak na człowieka bez warg, wydymanie dolnej szło mu całkiem nieźle. — Skąd te pytania? — Spojrzał na Noaha. — Co jest, brachu?

— Simone zaginęła — wyjaśniła Marnie. — Przepytujemy wszystkich, którzy ją znali, żeby sprawdzić, czy potrafią wskazać miejsce, dokąd mogłaby się udać. Jest pan osobą, która spędziła z nią najwięcej czasu. Pomyśleliśmy, że może coś nam pan zasugeruje.

— Zaginęła. — Lowell opadł znowu na kanapę, przyssał się do butelki. — Seryjnie?

Ojciec Noaha uderzyłby go w twarz, bez wahania: „Trochę szacunku, chłopcze”. Wierzył, że kobiety należy wielbić, nie dostrzegał w tym innej formy tego samego seksizmu.

— Czyli kochał pan Simone — powiedziała Marnie. — Jak się państwo poznali?

— Na ulicy. — Lowell desperacko próbował zasłużyć na uznanie Noaha, czekał na jakiś znak, że zyskiwał jego szacunek.

Noah nie dawał nic po sobie poznać, w nadziei że w ten sposób zachęci go do kolejnych prób, może chłopak zacznie się chwalić, albo zrobi coś innego, byle tylko dało im to podstawę do zabrania go na dalsze przesłuchanie. A najlepiej, gdyby mogli go oskarżyć o napaść i przetrzymywanie wbrew woli, chociaż Noah nie wierzył w cuda. Stało się jasne, że Lowell żył w złotej klatce bogatego tatusia. Właściwie detektyw dziwił się, że chłopak nie zadzwonił do Patona seniora, zanim zaczął odpowiadać na pytania policji. Czyżby naprawdę uważał, że nie zrobił nic złego, przetrzymując Simone przez rok, bijąc ją i gwałcąc? Siedział na kanapie tak wyluzowany, jakby nie miał kręgosłupa.

— Co sądziła Simone o mieszkaniu w piwnicy? — zapytała Marnie.

— Wszędzie jest lepiej niż na ulicy, prawda? — Lowell wzruszył ramionami. Światło zsunęło się z jego ramion i zebrało się na kolanach. Zaczął bawić się butelką. — Nie mam pojęcia, sorki.

— Dlaczego odeszła?

— A bo ja wiem, może dostała lepszą ofertę. — Błysnął zębami, gnijącymi od coli. Tatuś będzie musiał wyłożyć kasę na implanty.

— Lepszą niż to? — Marnie znowu się rozejrzała. — Trudno mi to sobie wyobrazić.

— Mówiłem już, że nie mieszkaliśmy tutaj. Mieliśmy mieszkanie w piwnicy.

— A jednak przecież wszędzie jest lepiej niż na ulicy. A pan ją kochał. Przeprowadzilibyście się tutaj po skończeniu remontu.

— Chyba.

Noah przyglądał się dłoniom Patona na butelce, białym knykciom nad żółtymi pierścieniami.

— Co to znaczy lepsza oferta? — zapytał, po raz pierwszy zabierając głos. Naśladował akcent Sola. — Powiedziałeś, że mogła dostać lepszą ofertę.

— Jo. — Lowell oblizał górną wargę. — Lubiła na ostro, wiesz? — Zerknął szybko na Marnie, a potem znowu wbił wzrok w Noaha. — Lubiła *stabbing*.

Ciszę, która zapadła w apartamencie, przerywał tylko uporczywy głos Lowella:

— *Dagging*, bracie, przecież kumasz, o czym mówię.

— Lubiła ostry seks.

— Jo. — Zaczął podskakiwać na kanapie, przerzucając butelkę z ręki do ręki. — O tak, lubiła.

— Dla pana stało się to męczące.

Lowell wyszczerzył zęby.

— Omal mi kutasa nie złamała. Ty wiesz, o co kaman... Czarnuchy są w tym, kurwa, najlepsze. — Przerwał nagle, jakby usłyszał w głowie głos ojca, upominający go, by nie przeklinał albo pamiętał o manierach.

— Dlatego odeszła? Żeby znaleźć kogoś, kto mógł zaspokoić jej apetyt na ostry seks?

Płaski ton Noaha wreszcie przebił mur obronny Lowella. Chłopak wyprostował się na kanapie i spojrział na telefon, który wcześniej rzucił na stolik. Czyżby myślał o tym, by zadzwonić do ojca?

— Kochałem ją — jęknął. — Próbowałem dać jej wszystko, czego chciała. Kwiaty, bracie. Przynosiłem jej kwiaty, co tydzień. — W jego oczach pojawiły się łzy, łzy żalu nad samym sobą. — Żółte róże. Jej ulubione.

— Jednak odeszła, nie mówiąc, gdzie się wybiera.

— To było dawno temu, bracie. Dawno temu.

— Nie próbowałeś jej odnaleźć?

— Nie chciała, żeby ją odnaleźć. Tyle się domyśliłem po tym, jak odeszła w środku nocy, kiedy spałem. — Potarł nos wierzchem dłoni. — Nawet się nie pożegnała. Nie podziękowała, że znalazłem dla nas tamtą miejscówkę. Nic.

— Uważa pan, że powinna podziękować — powtórzyła Marnie.

— Żyła na ulicy. Ja znalazłem tamto mieszkanie. No, przydałoby się podziękować. — Na jego lisią twarz znowu wróciła nadąsana mina. — Chyba jej dobrze nie znałem. Nie rozumiałem, skąd się wzięła, wiesz? Była spoko, ale trochę powalona. Znaczący, wyglądała jak laska z ulicy, nie? — Popatrzył na Noaha. — Ty wiesz, o czym mówię. Myślałem, że ona łapie ten klimat, ale kiedy się odezwała... to, o czym mówiła... to co innego.

Marnie sięgnęła do torebki.

— Mógłby pan zapisać mi swój numer telefonu, w razie gdybym musiała się jeszcze z panem skontaktować? — Wyciągnęła długopis i notatnik.

Lowell wzruszył ramionami, wstając z kanapy. Nagryzmolił numer i podpisał się pod spodem, jakby poprosiła go o autograf.

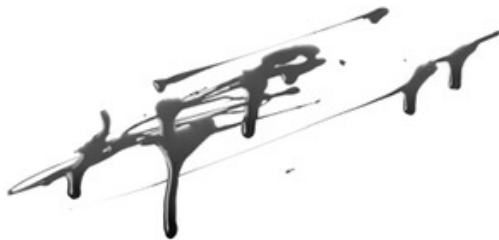
— Dzięki. — Marnie zabrała swoje rzeczy. — A tak przy okazji, czy Simone wyjaśniła panu, dlaczego mieszka na ulicy?

— Jo, rodzice dawali jej w kość, typowe. — Lowell ziewnął, dolna warga zakołysała się, jakby miała zaraz odpaść. — Czaiłem to.

— Sam miewał pan problemy z rodzicami?

Paton spojrział wąskimi oczami na Marnie.

— Ja akurat jestem szczęściarzem — odparł.



- MUSZĘ WZIĄĆ PRYSZNIC — powiedziała Marnie do Noaha, gdy wyszli na ulicę przed blokiem Patona.
- A ja potrzebuję lewatywy. — Noah zapiął płaszcz, wyglądał na wściekłego.
- Co to jest ten *dagging*? — zapytała.
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Mogę się domyślić. Ostry seks, mówiłeś. Ja myślę, że raczej bardzo bolesny i krótki.
- Noah wydał nieartykułowany wyraz obrzydzenia. Obrócił się i spojrział do góry, na okna apartamentu.
- Myślisz, że tatuś będzie go tam trzymał całe życie?
- Z dała od kłopotów? — rzuciła Marnie. — Czemu nie?
- Ktoś musi go sprowadzić na ziemię.
- Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie, ze szczęką zaciśniętą tak mocno, że mogła zaraz trzasnąć. Spróbowała trochę rozładować napięcie.
- Widziałam, że się z tobą zakumplował, brachu. Wyraźnie łapałeś ten klimat, cokolwiek to znaczy.
- To znaczy, że w walce powaliłbym go jedną ręką. — Ostatni raz zerknął na okna apartamentu. — Nie pogniewałbym się, gdyby trafiła się okazja...
- W rozmowie z Patonem użył innego akcentu. Marnie zastanawiała się, skąd go znał, czy właśnie tak mówił w szkole. Istniało wiele rzeczy na temat Noaha Jake'a, o których nie miała bladego pojęcia.
- To on w końcu napisał ten list z pogroźkami czy nie? — Noah kiwnął na notatnik, który Marnie włożyła do torebki.
- Nie. A przynajmniej wątpię. Zaczynam myśleć, że Hope się myliła... — Ruszyli w drogę powrotną na komisariat. — Wiesz, na czym polega problem Lowella?
- Od czego mam zacząć?
- Niewidzialny goryl.
- On jest małpą.
- Właśnie tak. Nie widzi tego, co ma pod nosem. Moim zdaniem on naprawdę uważa, że dał Simone to, co chciała: ciepłe łóżko, seks...
- Złamał jej nos. — Noah zacisnął dłonie w pięści i schował je w kieszeniach płaszcza.
- Nie potrafił usiedzieć w miejscu. Myślisz, że coś brał?
- Narkotyki? Takie dzieciaki jak on najczęściej właśnie w ten sposób udają, że buntują się przeciwko

rodzicom, a jego na to stać.

— Naprawdę go nie polubiłeś.

Noah popatrzył na nią.

— A ty?

— Nie, ale po Leo Proctorze...

Odwrocił wzrok.

— Leo żałował. Paton? To wariat, który sam siebie oszukuje.

Dlaczego tak się wściekał? Przez Patona? A może wystrój apartamentu, te pieniądze i bezpieczeństwo, którymi ojciec Lowella wyłożył całe mieszkanie? Marnie wiedziała, że to dokładne przeciwieństwo środowiska, w jakim wyrósł Noah. Z drugiej strony, o ile jej coś nie umknęło, Noah miał szczęśliwe dzieciństwo. Wątpiła, by Lowell zaznał choć jednej dziesiątej uczuć, jakimi rodzice obdarzyli jej podkomendnego.

— Jedno jest pewne. Simone nie zabrała Hope do mieszkania w piwnicy. Nie zbliżyłaby się do tego miejsca nawet na kilometr.

— Naprawdę myślałaś, że mogłaby to zrobić? — Noah nie dowierzał. — Wrócić do tamtej piwnicy?

— Z tego, co mówił Ed, nie zna zbyt wielu miejsc w Londynie. Ludzie potrafią dokonywać przedziwnych wyborów, kiedy czują się przyparci do muru.

Na przykład potrafią przeprowadzić się do zawilgoconej piwnicy w domu przyjaciół, ponieważ nie mogą dłużej znieść niecierpliwości ojca. Albo wynająć dom, w którym zamordowano rodziców, ponieważ nie mogą go sprzedać, dopóki nie zbliżą się o krok do odpowiedzi na pytanie *dlaczego...*

— Myślisz, że Simone jest niebezpieczna? — zapytał Noah. — Jak to powiedział Ed? Coś o wojnie toczącej się pod skórą...

— Nie wiem, czy jest niebezpieczna, czy nie. Myślałam, że trochę lepiej ją zrozumiem po wizycie u Lowella. — Pokręciła głową. — Do perfekcji opanował sztukę samooszukiwania się, a ona żyła w izolacji, jeszcze zanim go spotkała; miała bardzo słabe pojęcie o świecie... — Wyciągnęła komórkę i wcisnęła guzik szybkiego wybierania, dzwoniąc do Eda. Odpowiedziała jej poczta głosowa. — To ja, miałam nadzieję na nowe wieści o Ayanie. Zadzwoń. — Wrzuciła telefon z powrotem do kieszeni.

— Może powinniśmy skontaktować się z Bissellami. Sprawdzić, czy nie mają dla nas jakiegoś punktu zaczepienia. Ed podał mi ich adres na Putney Hill — powiedziała na głos nazwę ulicy.

— Elegancka okolica — odparł krótko Noah. — Jest na mojej trasie do joggingu. Mogę zrobić pięć kilometrów, biegając po samych podjazdach.

— Bogaci — domyśliła się Marnie. — Chociaż Simone nic to nie pomogło. Wątpię, żeby Bissellowie dali nam coś użytecznego, ale powinniśmy skreślić ich z listy dla Wellanda.

Szukali igły w stogu siana i milczenie Noaha to potwierdzało, musieli jednak przeć do przodu, znaleźć sobie jakieś zajęcie. Jeśli nie mogą namierzyć Ayanę, mogli chociaż wysledzić Hope.

— Będzie nam potrzebny samochód — powiedziała Noahowi, kiedy dotarli na komisariat. — Lepiej zamelduj się u Carlinga, zobacz, co udało mu się ustalić w sprawie tego kierowcy priusa. Stuke, prawda?

Noah kiwnął głową.

— Spotkamy się na parkingu.

Noah pokonywał po dwa stopnie naraz, wyraźnie czując żar w trzewiach. Wiedział, że zdziwił Marnie swoją reakcją na zachowanie Lowella Patona, ale jak miał jej wytłumaczyć, że braterskość Patona była gorsza od wrogości Carlinga? Noah sam tego nie rozumiał. Znalazł Rona przy biurku, z wiadomością dla Marnie:

— Telefon od Feliksa Gilla. To dla komisarz. Chcesz?

Noah sięgnął po kawałek papieru.

— Dzięki.

Felix Gill, sąsiad Proctorów. Dzwonił, żeby przekazać, że widział „jakąś kolorową” przed domem Proctorów „dosłownie przed chwilą”.

Noah zadzwonił pod numer zapisany na kartce.

— Pan Gill? Tutaj Noah Jake. Dziękuję za wiadomość. Czy Hope wciąż znajduje się w domu?

— Była może jakieś dziesięć minut. Zadzwoniłem, jak tylko wyszły. Jakies cztery godziny temu.

Cztery godziny. *Cholera*. Dlaczego Carling albo ktoś inny nie przekazał wiadomości wcześniej?

— Wyszły razem, Hope i ta druga kobieta?

— Kolorowa dziewczyna z żółtymi koralikami we włosach. Wyglądały na bardzo sobie bliskie. — Gill zabarwił ton głosu podejrzliwością. — Zabrały walizkę. Brązową. Zapisalem sobie i zaraz sięgnalem po telefon. Nie mogłem się dodzwonić, chciałem zauważyć, ale nie przestawałem próbować.

— Nie rozmawiał pan z nimi?

— Nie chciałem, wiedząc, że policja się nimi interesuje.

— Odeszły na piechotę? — zapytał Noah. — Czy wezwały taksówkę?

— Na piechotę, a przynajmniej nie widziałem samochodu. W zasadzie taksówka mogła czekać za rogiem.

— I to wszystko wydarzyło się mniej więcej o ósmej rano?

— Raczej o siódmej trzydzięci — poprawił Gill. — Jak już mówiłem, miałem problem, żeby się dodzwonić, ale byłem uparty.

— Dziękuję.

— Przydałem się, prawda?

— Jesteśmy wdzięczni za telefon. Doceniamy starania. — Noah rozłączył się i podszedł do biurka Carlinga. — Koleś zostawił tę wiadomość cztery godziny temu. Kto ją tak długo przetrzymywał?

— Nie ja. Przekazałem ją, gdy tylko cię zobaczyłem. — Carling wydawał się zadowolony, że mu się to udało.

— Byłem tutaj o dziewiątej. Gill dzwonił o ósmej. Wiadomość powinna być na moim biurku, kiedy tu wszedłem.

— Na mnie nie patrz. — Carling podniósł ręce do góry. — Ja ją tylko przekazałem. Recepcja odebrała ten telefon. Jak masz problem, zgłoś się do nich.

Noah wykrzywił usta w uśmiechu, na widok którego Carling aż się wzdrygnął.

— Właśnie spędziłem dwie godziny na przesłuchiowaniu walniętego śmiecia w błyszczącym dresie, ponieważ próbowaliśmy znaleźć jedną z kobiet, których dotyczył ten telefon. Gdybym dostał tę wiadomość wtedy, gdy powinienem był ją dostać, moglibyśmy ją zgarnąć i nie musiałbym znosić tego obrzydliwego posmaku w ustach, który sprawia, że mam ochotę najpierw rzygnąć, a potem trzasnąć kogoś

przez łeb.

— Na mnie nie patrz — powtórzył Carling, ale teraz wyraźnie nerwowo. Zaciśnął szczęki. — Pogadam z recepcją. Powiem im, żeby na drugi raz szybciej przekazywali wiadomości, dobra?

Noah kurczowo trzymał się resztek opanowania.

— Jak daleko zaszedłeś w sprawie Henry’ego Stuke’a?

— Nikt nie odbiera telefonu. Mógłbym podjechać, ale pomyślałem, że też byś chciał...

— To na czym stało z nagraniami z monitoringu?

— Nie mamy nic z okolic szpitala.

— A co z Finchley, z ośrodkiem?

— Ciągłe czekamy. — Carling zaczął szukać telefonu. — Pośpieszę ich. — Wydawał się zupełnie poważny.

— Dzięki. — Noah kiwnął głową. — Musimy objąć poszukiwaniami większy teren, by włączyć także okolice domu, w którym kobiety były widziane dzisiaj rano. — Zanotował adres i podał kartkę Carlingowi. — I ciągle próbuj dodzwonić się do Stuke’a.

— A gdzie ty się wybierasz? — zapytał Ron.

— Gdziekolwiek zechce komisarz Rome.

Marnie czekała już w samochodzie. Przekręciła kluczyk, gdy tylko Noah usiadł na fotelu pasażera.

— Dzwonił Felix Gill. Widział Hope i Simone przed domem Proctorów. Cztery godziny temu. Oddzwoniłem. Jest u siebie — powiedział.

Marnie położyła ręce na kierownicy.

— Cztery godziny temu — powtórzyła.

— Wiem. Już nawrzucałem Carlingowi. Twierdzi, że recepcja odebrała wiadomość, a on ją tylko przekazał.

— A co dokładnie zobaczył Gill?

— Hope i Simone weszły do środka, mniej więcej o siódmej trzydzieści. Wyniosły walizkę, dalej udały się pieszo. Poprosiłem Carlinga, żeby sprawdził nagrania z monitoringu także w pobliżu domu.

— Świetnie. Powinniśmy tam teraz podjechać.

— Tak, to lepszy trop niż dom Bissellów — zgodził się Noah.

Marnie zwolniła hamulec ręczny, marszcząc brwi.

— Wróciły do jej domu? To ryzykowne posunięcie. Jeśli Simone chciała, żeby obie się ukrywały... Dziwi mnie, że dała się Hope namówić na zabranie walizki z ciuchami z domu, który mogliśmy obserwować. — Zerknęła na Noaha. — Gill był pewny, że to Simone pojawiła się razem z Hope?

— Sądząc po opisie, tak. Widział „kolorową dziewczynę z żółtymi koralikami we włosach”. Powiedział, że wyglądały na bardzo sobie bliskie.

— Co myślisz o Gillu? — zapytała Marnie. — Twoim zdaniem to tylko wścibski sąsiad?

— Tak sędzę. Mamy podobnego po drugiej stronie ulicy. Między innymi przez niego zdecydowaliśmy się z Danem na zasłony zamiast żaluzji... Chyba jest po prostu samotny.

— Straż sąsiedzka... Założę się, że Hope wścibski sąsiad nie był w smak. Szkoda, że to my nie mieliśmy na nią oka.

— Nikt nie obserwował domu. — Noah poczuł przypływ świeżego gniewu gdzieś pod żebrami. — Co myśmy sobie myśleli, do cholery?

Marnie posłała mu spojrzenie, w którym dostrzegł żal, cała jej stężała twarz wyrażała zaś palącą potrzebę.

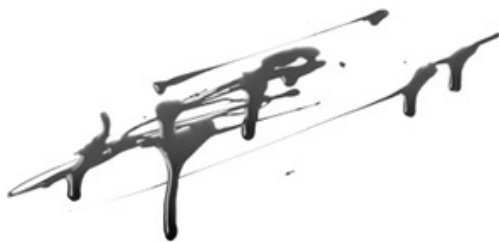
— To pytanie do księgowych...

— Sam bym się tym zajął, gdybyś mnie poprosiła.

— To nie działa w ten sposób. — Żartobliwy ton Marnie gdzieś zniknął. — Dobra, później będziemy się bić w piersi. Teraz musimy działać. Jak dobrze pamiętasz ich dom?

— Proctorów? Całkiem nieźle.

— Świetnie. Sprawdźmy, czy uda nam się domyślić, co takiego zabrały, co warte było podjęcia ryzyka powrotu do domu.



FELIX GILL szybko otworzył im drzwi. Musiał czekać w korytarzu.

— Państwo na pewno chcą wiedzieć, co zabrały — powiedział — w walizce.

— Pan wie? — zapytała Marnie.

— Była ciężka. Ta kolorowa — mówiąc to, zerknął na Noaha — zabrała ją z rąk pani Proctor, kiedy wyszły z domu. Zdziwiła ją waga. Pomyślałem sobie wtedy: „To nie mogą być tylko ubrania”. A potem ruszyły o, tamtędy. — Wskazał na róg, gdzie alejka wpadała w główną ulicę.

Marnie wcześniej zabrała z samochodu latarkę.

— Nie rozmawiał pan z panią Proctor?

— Nie zauważyły mnie. — Gill wydawał się dumny ze swoich zdolności szpiegowskich.

— Jakie sprawiały wrażenie? — zapytał Noah.

— Śpieszyły się. *Ona* trzymała głowę nisko, jak zawsze. To ta druga dowodziła.

— Co ma pan na myśli? — zdziwiła się Marnie.

— Po pierwsze to ona wzięła walizkę, ale też trzymała panią Proctor za łokieć, prowadząc ją za sobą. Z nich dwóch to ta kolorowa nosiła spodnie, tak, tak. — Spojrzał na latarkę w ręku Marnie. — Państwo przyjechali zajrzeć do środka, zobaczyć, co zabrały.

— Tak, tym się właśnie zajmujemy.

— Proszę tylko pamiętać, że to jej własny dom — upomniał ich Felix Gill. — Ma prawo wziąć, co jej się podoba. Prawda?

W domu Proctorów panował ten sam chłód, co wcześniej, i na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, że Hope i Simone były tutaj kilka godzin temu. Noah i Marnie weszli na górę, żeby przeszukać sypialnie pod kątem brakujących ubrań. Niełatwo dało się zauważyć, co zostało zabrane. Żadnych pustych przestrzeni w szafie czy szufladach. Pościel na łóżkach gładka, okiennice zamknięte. Kurz tańczył w rzędach na białych listwach. Wydawało się, że nikt nie wchodził do żadnej z sypialni od czasu ostatniej wizyty Noaha i Marnie. Ktoś za to otwierał szafkę w łazience: na lustrzanych drzwiczkach zostały roztarte odciski palców. Zniknęła butelka z antydepresantami, razem z wazeliną, kremem antyseptycznym i plastrami. Podstawy apteczki pierwszej pomocy. Nic, co by dodało ciężaru walizce, o ile Felix Gill słusznie ocenił sytuację.

Sprawdzili też pokoje na parterze, nie znajdując żadnych zmian. Noah zastanawiał się, czy jego pamięć szwankuje, jednak to Marnie powiedziała:

— Nie widzę, by cokolwiek zniknęło, a ty? — Pokręcił głową w odpowiedzi. — Co w takim razie niosły w walizce?

Poszli do kuchni i spojrzeli na blok z nożami. Żadnego nie brakowało, nie licząc tego jednego, który leżał w foliowej torebce na komisariacie.

— Powinniśmy byli przeprowadzić pełne przeszukanie. Wtedy mielibyśmy pewność, co zabrały.

— Pamiętaj, że nie dostaliśmy nakazu — przypomniał jej Noah. — A te meble na pokaz, nowe łóżka... nie zanosilo się, by dom coś ukrywał.

— Nieprawda — nie zgodziła się, mówiąc powoli. — Wyglądało na to, że ukrywał bardzo wiele.

Wrócili na korytarz i zatrzymali się przed schowkiem pod schodami.

Noah dostał gęziej skórki. Tutaj Proctorowie skrywali przynajmniej jedną ze swoich tajemnic, w tej boleśnie małej przestrzeni. Marnie przesunęła skobel. Poruszył się gładko, bezgłośnie, jakby Leo regularnie go oliwił. Zaświeciła latarką, jej promień powędrował po kamiennych ścianach i podłodze.

— Czy to są ślady drapania paznokciami?

Noah popatrzył.

— Trudno powiedzieć.

— Mógłbyś sprawdzić?

Teraz popatrzył na nią.

— Chcesz, żebym...

Podąła mu latarkę.

— Sprawdź dokładnie, co tam jest. I powiedz, co myślisz.

Noah zdjął marynarkę i powiesił ją na poręczy. Kucnął i pochylił głowę, a potem, żeby się zmieścić, wszedł do środka bokiem. Skos schodów zmuszał go do przyciskania brody do piersi. Jego ramiona zasłaniały światło z korytarza. Miejsca nie wystarczało na swobodną pracę łokciami. W końcu wcisnął latarkę pod brodę i zaczął przyglądać się ścianom, skrupulatnie, centymetr po zimnym chropowatym centymetrze.

Surowy kamień drapał go w palce. Noah starał się nie wdychać nosem drażniącej, amoniakowej woni strachu Hope Proctor. Jak długo tu przesiadywała, kiedy Leo ją zamykał? Kilka minut? Kilka godzin? Kilka dni? Noah nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł wytrzymać tu kwadrans, a co dopiero dłużej.

Ciężar domu był przytłaczający. Bardzo wyraźnie czuł Marnie stojącą za jego plecami, w korytarzu. Dość blisko, by zamknąć drzwi, zasunąć naoliwiony skobel i uwięzić Noaha w schowku. Zacisnął zęby i kontynuował poszukiwania. Nie tylko na podłodze, także na ścianach. Hope mogła walić w ścianę, która łączyła ich dom z sąsiednim. Z pewnością by to usłyszeli. Te nowe budynki miały ściany z pustką powietrzną. A jednak Noah był pewien, że ofiara tego nie robiła. Zamiast tego siedziała z kolanami pod brodą, pochylając głowę, żeby zająć jak najmniej przestrzeni, by schowek nie przywodził na myśl pudła albo trumny.

Skierował światło latarki na miejsce, gdzie Marnie dostrzegła zadrapania, i przejechał po nich palcami. Poszarpane draśnięcia ocierały się o jego skórę, cienkie wyłobienia w kamieniu i zaprawie. Może Hope nie siedziała jednak cały czas bez ruchu...

— Znalazłeś coś? — zapytała Marnie, kiedy już wyczołgał się na zewnątrz.

Koszula przykleiła mu się do ciała.

— Miałaś rację. Ślady drapania na ścianach i podłodze. Albo paznokcie, albo przesuwane pudła. Większość ludzi wykorzystywałaby taki schowek do przetrzymywania kartonów. — Zerknął z powrotem na ciasną przestrzeń. — A jednak mógłbym się założyć, że tutaj mamy do czynienia z paznokciami.

— Paznokcie — powtórzyła Marnie.

— Tak. Drapała po kamieniach, musiała zupełnie połamać sobie paznokcie.

Marnie przez chwilę nic nie mówiła, trudno było też wyczytać coś z jej twarzy. Wydawała się poważna, nawet sroga, ale kryło się tam coś jeszcze.

— O czym myślisz? — zapytał szybko.

— Nie wiem jeszcze. — Zabrała mu latarkę. — Lepiej idź umyć ręce — powiedziała szorstko, beznamiętnie, jakby rozmawiali przez telefon.

Począł czekać sekundę czy dwie, skonsternowany. Aż tak wyraźnie było widać, że się wystraszył? Że aż zaczęła żałować oddelegowania go do tej pracy?

— Nic mi nie jest — oznajmił.

— Świetnie. A teraz umyj ręce.

Udał się do kuchni, skorzystał ze zlewu, a dłonie osuszył papierowym ręcznikiem.

Marnie podała mu marynarke.

— Mówiłeś, że Hope rozmawiała z kimś przez telefon w nocy przed ucieczką ze szpitala. Założyliśmy, że dzwoniła Simone. Ale czy mamy pewność, że to ona wykręciła numer do Hope, a nie na odwrót? — Jej ton był energiczny, jakby odfajkowała kolejne pozycje z listy.

Noah założył marynarke.

— Myślisz, że Hope zadzwoniła do Simone?

— Hope miała powód, żeby uciec ze szpitala, bo wiedziała, że Leo się obudzi. Nie jestem pewna, czym kierowała się Simone.

— Welland uważa, że jest szalona...

— Miejmy nadzieję, że się myli.

— W szpitalu powinni wiedzieć, czy połączenie było przychodzące czy wychodzące. — Noah odszukał w komórce numer telefonu do recepcji, wybrał go, a potem poprosił o rozmowę z dyżurną pielęgniarką.

W domu Proctorów był słaby zasięg, więc wyszli na ulicę. Marnie zamknęła drzwi frontowe i schowała do kieszeni klucze, które wzięła od Leo w szpitalu, a potem poczekała, aż Noah skończy rozmawiać przez telefon.

— Dziękuję. — Rozłączył się i spojrzał na komisarz Rome. — Połączenie było wychodzące. Hope zadzwoniła do Simone, a nie na odwrót.

— Zadzwoniła do kogoś — poprawiła go Marnie. — Nie wiemy, czy to była Simone.

— Na kogo innego mogła liczyć Hope?

— Słuszna uwaga. — Popatrzyła w niebo. Odwróciła się po krótkiej chwili. Napięcie ściągnęło jej rysy, czyniąc jej profil złowrogim.

O czym myślała? Noah poczuł, jak swędzą go nadgarstki.

— To wciąż możliwe, że Simone zainicjowała ucieczkę — odezwała się w końcu Marnie. — Musiała

— podać Hope swój numer, mówiąc, by dzwoniła, jeśli będzie czegoś potrzebować. — Zmarszczyła brwi. — Powinniśmy byli obserwować dom. Gdybyśmy mieli więcej ludzi...

— Żałuję, że mnie tu nie było.

— Musisz mieć czas na sen, ja zresztą też. — Popatrzyła w górę ulicy. — Trzeba znowu porozmawiać z Leo. — Posłała Noahowi znaczące spojrzenie. — Inaczej niż ostatnio. Musimy się dowiedzieć, gdzie mogła się udać Hope. Zakładając, że to był jej plan, a nie Simone.

Spojrzała na schowane za okiennicami szyby domu Proctorów.

— Ryzykowałam, wracając tutaj po walizkę. Wie, że jej sąsiad obserwuje okolicę. Dlaczego nie przyjechały z Simone nocą, kiedy istniały mniejsze szanse, że zostaną zauważone?

— Albo większe. — Noah kiwnął głową na latarnię, ustawioną niczym reflektor dokładnie naprzeciw domu Proctorów. — Gdzie twoim zdaniem się udały?

— Ed mówił, że Simone nie zna zbyt wielu ludzi w Londynie. To powinno nam ułatwić sprawę. — Wpatrując się z niechęcią w dom Proctorów, nie brzmiała, jakby w to wierzyła.

— Może Simone upierała się do powrotu tutaj? — zasugerował Noah. — Gill wspominał, że to ona dowodziła, prowadziła Hope za łokieć, przejęła walizkę...

— Dlaczego? Co takiego kryło się w środku?

— Nie wiem. Może Leo wie. Masz rację. Trzeba wrócić do szpitala.

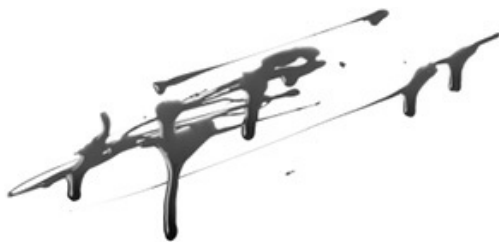
— Ty musisz wrócić na komisariat. Sprawdź, co Ron Carling ustalił w sprawie Henry'ego Stuke'a. Pytania do Leo będziesz musiał zostawić mnie. — Zauważyła, że się waha. — Nie martw się. Nie będę go dręczyć. Ani o walizkę, ani o nic innego. Po pierwsze dlatego, że potrzebujemy jego pomocy.

— Niech ci będzie. — Noah był sfrustrowany i nie ukrywał tego. — A co z Ayaną? Nie możemy po prostu...

— Ed zadzwoni, gdy tylko będą jakieś wieści. Przestań się obwiniać, że ktoś cię śledził. Nie mamy pewności, jak ją odnaleźli. Skupmy się na tym, jak ją odzyskać. Odezwę się, gdy tylko się czegoś dowiem.

Kiwnęła na niego.

— Idź. Daj znać, jak wam poszło ze Stuke'em.



Sześć miesięcy wcześniej

PIERWSZY RAZ widzi ją na ulicy i jest to dla niego szok. Wygląda tak... *czysto*, a włosy ma jak lalka, proste, do ramion. Ubrała się w czerń, w schludną sukienkę do kolan, a na nią narzuciła płaszcz. Eleganckie buty, drogie, jakich spodziewałby się u prawniczki. W klubie nocnym, w hotelu, zawsze ma na sobie te same, obcisłe stroje. Z tanich, rozciągliwych materiałów, które łatwo się dra, a do tego szpilki, kabaretki. We włosach ma pełno żelu z twardymi okruchami; musi go potem ścierać gąbką, żeby Freya nie zauważyła brokatu na jego skórze.

Siniaki to co innego. Freya wreszcie na niego naprawdę patrzy, wydaje ciche odgłosy współczucia, zazwyczaj zarezerwowane dla bliźniaków, smaruje go maścią, którą trzyma na ich poodparzane dupcie. Jest jej wdzięczny, załóżnie wdzięczny, że w ogóle go dotyka. Freya myśli, że mąż pomaga koledze z pracy w czasie przerwy obiadowej, a siniaki i zadrapania powstają w trakcie podnoszenia kartonów, przykręcania półek. Próbuje sobie żartować, że niedługo potknie się o własne nogi, ale wypada blado. Ostatnio trudno ją czymkolwiek rozbawić.

Jeśli chodzi o *tamtą*, ona śmiała się, nabijając mu siniaki. Powiedziała, że będzie potrzebował lepszych wymówek, kiedy wreszcie zajmie się nim porządnie. Wciąż nie poznał jej imienia. Zna tuzin sposobów, by zaczęła się tarzać z bólu, ale nie jej imię.

Na ulicy, bez szpilek, jest dziesięć centymetrów niższa. Wygląda na taką, co nie mogłaby skrzywdzić muchy, a co dopiero człowieka. Nic się nie zgadza. Nie poznałby jej, gdyby nie to, że jego skóra zaczęła się napinać i rozgrzewać, wyczuwając coś znajomego — może wąskie nadgarstki, chociaż nie ma na nich tanich błyskotek, które zazwyczaj nosi, grzechoczące jak zabawki dla dzieci. Jego ciało ją poznaje.

Teraz wie, gdzie mieszka. Zupełnie przypadkowo, bo jest w drodze na drugą stronę miasta, wysłany przez szefa. Nigdy wcześniej nie widział jej za dnia, a co dopiero na podjeździe domu, który wygląda zupełnie tak, jak wszystkie pozostałe na ulicy.

Zamyka drzwi frontowe na klucz, wrzuca go do eleganckiej torebki na ramieniu. Takiej, jaką Freya nazywa inwestycją. Idzie w jego stronę. On szybko wyciąga telefon, schyla głowę i udaje, że odczytuje wiadomość.

Jest ubrana jak na pogrzeb albo rozprawę sądową. Twarz drobna, usta zaciśnięte. Wygląda jak mała

dziewczynka, schludna i rozpuszczona, oczko w głowie rodziców. Nie wydaje się osobą, która wie, jak pachnie nocny klub, nie wspominając już o reszcie.

Gniew przyprawia go o ból brzucha.

Okłamywała go. Za każdym razem, kiedy się pieprzyli, kiedy pozwalała mu krępować swoje nadgarstki, przyszpilać do podłogi... Aż do czasu, gdy nadchodziła jego kolej i to ona była na górze, pot błyszczał jej na twarzy, krew zbierała się w kącikach ust...

Okłamywała go. Przez cały ten czas. Udając kogoś, kto nie odnajduje się w świecie, kto się ukrywa, tak jak on. Kogoś, kto jest *lepszy* od niego, bo nie kamufluje się za dnia, nie ma domu, do którego musi wracać. Nagle zdaje sobie sprawę, że wymyślił dla niej całe życie — brudne, inne, *odważne* — a to wszystko nieprawda. To wszystko kłamstwa.

Maszeruje ulicą w jego stronę, ale nie patrzy na niego. Jest skupiona na swoich kłamstwach, na udawaniu schludnej laleczki w czerni, w drogiej sukience, w drodze do pracy.

— Hej — rzuca, kiedy znajdzie się dość blisko, by wystarczył szept.

Podnosi gwałtownie głowę. Ani grama makijażu, ale pachnie jak ona, mimo przebrania. Nie może się przed nim ukryć.

— Hej — powtarza. — Chciałabyś gdzie wyjść?

Kręci głową, jak dziecko, które odmawia przyjęcia cukierków od zbrojeńcy.

— Przepraszam — mówi i nawet jej głos jest kłamstwem, ale słyszy w nim śpiewność i nutę czegoś jeszcze. Czyżby ostrzeżenia? — Śpieszę się.

Jakby próbował wcisnąć jej ubezpieczenie albo wyłudzić datek niczym żebrak, a ona przechodzi nad nim, przytrzymując suknię w filigranowej dłoni.

Zna każdy centymetr jej ciała. Otarcia za kolanami, siniaki pod prawą piersią.

— Daj spokój — mówi, ale przemawia przez niego kutas, oczywiście, tylko że to jej wina, właśnie tego go nauczyła. — Mam godzinę wolnego.

Patrzy prosto na niego, lodowatym wzrokiem.

— Ja nie.

— W takim razie do później. — Nie będzie chciała sceny, myśli sobie. Nie tutaj, na progu domu. Nie srasz tam, gdzie śpisz.

Aby się go pozbyć, kobieta mówi:

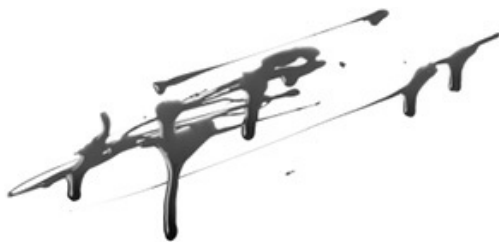
— Może. Tak. Później. — Pachnie czymś droгим, jednak on wie, że pod spodem jest rdzawa, miedziana.

Jej spojrzenie...

Tym wzrokiem mogłaby zamrozić zapalone fajerwerki.

Ból pojawia się u podstawy krocza.

Myśli sobie: *następny raz będzie najlepszy.*



Teraz

LEO PROCTOR na widok Marnie zaczął wić się na łóżku.

— Panie Proctor. — Przysunęła krzesło i usiadła obok pacjenta. — Dzień dobry.

Mężczyzna miał na sobie szpitalną piżamę, praną tyle razy, że jej niebieski kolor przypominał barwę wodę. Zaciskał palce na prześcieradle, tak jak jego żona tamtej nocy, gdy Marnie wypytywała ją o incydent w ośrodku, o maltretowanie.

W pokoju Leo czuć było zapach choroby. Kwaśną woń strachu.

— Proszę mi opowiedzieć o złamanej ręce — powiedziała.

Leo wydawał się mieć na baczności, jakby nie ufał łagodnemu tonowi jej głosu. Zupełnie innemu niż ostatnio, kiedy zadawała niewygodne pytania. Kiedy go oskarżała.

— Co... co proszę?

— Lekarz wspomniał, że miał pan złamane dwie kości w prawej dłoni, osiem miesięcy temu.

Spojrzał na rzezoną dłoń. Z pewnym wysiłkiem rozluźnił zaciśniętą na pościeli pięść.

— Wypadek w pracy. — Mówił przez suche gardło, jego głos wydawał się zbyt cichy, jak na tak potężnego mężczyznę. Opuszki palców miał pozdzierane, paznokcie poszarpane i połamane.

Marnie nalała wody z plastikowego dzbanka stojącego na szafce, wyciągnęła szklankę do Leo. Przyjął ją.

— Dziękuję. — Zaczął pić, unikając wzroku komisarz.

— Wiem, że to się nie wydarzyło w pracy. Inaczej zostałyby ślady w papierach. Tego wymaga prawo.

Drgnęły mu mięśnie twarzy.

— Starali się to ukryć, nie chcieli problemów. Były też inne wypadki na budowie...

— Panie Proctor. Leo... Ja wiem, że to się nie wydarzyło w pracy.

— Wcale pani nie wie. Niby skąd?

— Małżeństwo to prywatna sprawa.

Poruszył ustami, nad górną wargą zebrał się pot.

— To usłyszałam od Hope. Małżeństwo to prywatna sprawa. Co się dzieje za zamkniętymi drzwiami, nie powinno nikogo interesować. Ty też tak uważasz?

Jego dłonie poruszyły się nerwowo. Marnie usłyszała szuranie nierównych paznokci po pościeli, a przed oczami stanął jej perłowy manicure Hope, z tamtej pierwszej nocy w szpitalu. Przypomniła sobie podrapaną twarz Stephena, podłużną ranę w miejscu, gdzie dziewczyna trzymała mu nóż na gardle.

To jest to, pomyślała, widząc przeblysłk prawdy o wydarzeniach w Finchley. Droga stamtąd tutaj trwała zbyt długo. O wiele zbyt długo.

— Wierzysz, że małżeństwo to prywatna sprawa?

Nie odzywał się, zaciskając szczękę. Marnie zerknęła na wykresy pomiarów na monitorze. Od poprzedniej wizyty miał czas, żeby wymyślić całą górę wymówek na połamane kości i wszystko inne. Miał czas, żeby przyjąć postawę obronną. Żeby się rozgniewać.

Hope nie podobały się pytania Marnie, w jej oczach dało się zobaczyć chłód ucieczki. Uznała to za efekt naruszenia intymnej sfery, utraty godności. Komisarz nie wiedziała, że musi szukać głębiej.

Leo Proctor nie czuł gniewu. Jego ciało mówiło o klęsce. Ramiona opuszczone. Głowa nisko. Jak pobity olbrzym.

— Schowek pod schodami — powiedziała łagodnie Marnie. — Co się tam wydarzyło?

Skulił się w sobie, mięśnie skróciły całe jego ciało. Musiała być ostrożna, uważnie śledzić oznaki podniesionego ciśnienia, przyspieszonego pulsu. Ta rozmowa mogła się skończyć źle na zbyt wiele sposobów, tak jak w ośrodku, kiedy Hope wbiła mu nóż w płuco.

— Leo?

— Nie wiem, co ma pani na myśli.

— Byłam w twoim domu. — Złożyła dłonie na kolanach. — Bardzo ładny. Elegancki. Razem zajęłicie się wystrojem? Ty i Hope.

Pokręcił głową, ale potem kiwnął.

— Tak. — Zaryzykował spojrzenie na Marnie, ale szybko odwrócił wzrok. Myślał, że go podpuszcza, że szykuje się na kolejny atak.

Posłała mu uśmiech.

— Spokojnie. Przepraszam.

— Za... za co?

— Za naszą poprzednią rozmowę. Zachowałam się źle. Teraz będzie inaczej.

— Co się stało? — Wydawał się wystraszony. — Czy Hope...?

— Uciekła. Z kobietą z ośrodka. Wczoraj wyszły ze szpitala. Nie wiemy, gdzie są, ale ich szukamy. Naprawdę przydałaby się twoja pomoc.

Podniósł się, opierając plecy o poduszki i krzywiąc się.

— Jaką kobietą?

— Spokojnie — ostrzegła Marnie. — Zaraz mnie stąd wygonią, jeśli lekarze uznają, że jesteś zestresowany. A wtedy nigdy nie dotrzemy do sedna tej sprawy.

— Jaką kobietą? — powtórzył.

— Simone Bissell.

To nazwisko nic mu nie mówiło. Patrzył pustym wzrokiem.

— Nie rozumiem.

— Hope nie wspominała ci o Simone, kiedy dzwoniła z ośrodka?

Pokręcił głową.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— A co mówiła? — zapytała Marnie.

— Gdzie... gdzie jest.

— I co jeszcze, Leo?

Odsunął głowę, uciekając przed pytaniem, wciąż nieufny.

Nie dziwiła się, zważywszy na cięgi, jakie zebrał podczas ich poprzedniej rozmowy.

— Kazała ci przynieść nóż?

Pobladł, otworzył szeroko usta, dłonie zacisnął w pięści.

Marnie przez chwilę popatrzyła na własne ręce, a potem wróciła wzrokiem do twarzy Leo.

— Kiedy poczułam zapach w schowku pod schodami, wiedziałam, że ktoś był tam więziony. Myślałam, że Hope. Ale to nie ona, prawda?

Nie odezwał się, nie odwrócił wzroku.

— Wróciłam tam dzisiaj. Z sierżantem Jake'em. Pewnie go nie pamiętasz, ale sierżant Jake uratował ci życie w ośrodku. Nie jest tak duży jak ty, ale dość wysoki. Ponad metr osiemdziesiąt. Poprosiłam, żeby wszedł do środka. Chciałam zobaczyć, czy się zmieści. Powiedział, że widział ślady drapania na ścianach i podłodze. Ślady po paznokciach.

Mówiła bardzo cicho.

— Widziałam dłonie Hope w szpitalu. Bardzo ładne. To nie ona drapała ścianę, ale ktoś musiał. Inaczej nie byłoby czuć tego zapachu. Sierżant Jake wyskoczył stamtąd jak oparzony. Nie potrafię sobie tego wyobrazić, bycia uwięzionym w tak małej przestrzeni. I to jak długo? Przez kilka godzin?

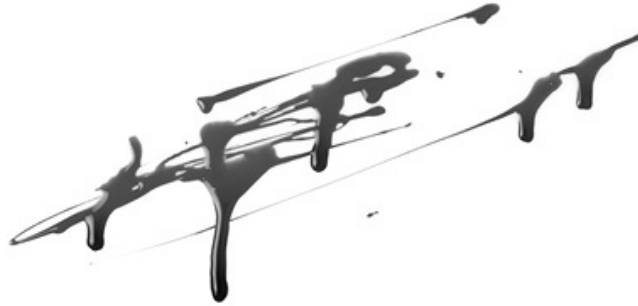
Odczekała chwilę.

— Jak długo cię tam trzymała?

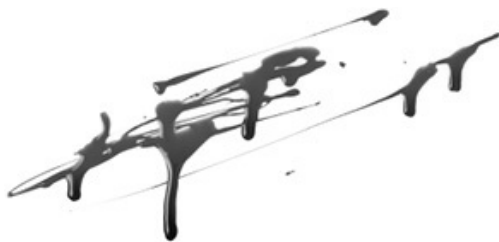
Leo pokręcił głową, wciągając drżąco powietrze do płuc. W oczach paliły nieprzelane łzy.

— Hope — powiedziała Marnie. — Na jak długo Hope zamykała cię pod schodami i jak często? Bo to ty byłeś więźniem, prawda? Leo? To ty byłeś więźniem pod schodami. Nie ona.

Część 2



1



Wtedy

LOWELL właśnie remontuje łazienkę. Ma młotek, którym rozbija kafelki, pracuje w rytmie, macha, uderza, macha, uderza.

Simone podoba się ten powtarzający się wzór, to pulsowanie. Odgłos życia.

Kiedy jego nie ma, ona szaleje. Chodzi w kółko, wyłamuje sobie palce, liczy cegły od jednego końca pokoju do drugiego. Nowy rząd kafelków nie jest równy. Nauczyła się szukać wszędzie poziomu, na ościeży drzwi, na podłodze, na półkach. Staje na palcach i trzyma poziomcę na opuszkach palców, przystawiając do sufitu, wpatrując się w zielony bąbelek. W tej piwnicy wszystko jest krzywe.

Martwi się, że jedzenia nie starczy do jego powrotu. Ustawia poziomcę na drzwiczkach zamrażarki, potem w środku, gdzie lód osadził się w formie półki. Zielone oczko ucieka, migocze, mruga do niej z polietylenowego lodowca wieprzowych kotletów. *A co, jeśli podłoga nie jest podłogą, lecz sufitem? Co, jeśli żyję na boku?*

Przystawia ucho do ściany, wypełniając głowę gorącym dudnieniem krwi.

Bąbelek jest dziwny, ale piękny, jak ściśnięte serce, bulgoczące serce. Gotujące się serce. Rozpłaszczające się gładko, gdy znajdzie poziom.

Mogłaby patrzeć na nie godzinami.

Pomyśl, by rozbić poziomcę ucieka i wraca, podniecając ją.

W nocy śpi z poziomcą na mostku, czując, jak jej płuca napełniają się i opróżniają, goniąc za bąbelkiem. Śni jej się, że rozbija szybkę, lecz bąbel zachowuje swój kształt, wypełnia złożone dłonie: zielony glob.

Rankiem — kolejnym rankiem; ile jeszcze — myśli o tym, by upaść na poziomcę, jak samuraj. Myśli o wbiciu jej w ciało. Chodziłaby sztywno, ale nigdy nie traciłaby równowagi.

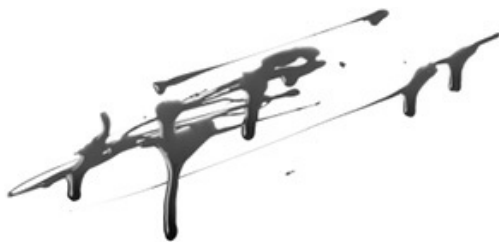
On wraca. On zawsze wraca. Tym razem przywleka ze sobą ostry zapach zewnętrznego świata, bituminu i palonych liści. To już jesień? Jest cały brązowy, ma piasek między palcami u stóp.

Był na wakacjach. Przynosi jej duży bukiet róż, żółtych.

— Hej, skarbie — mówi.

Nienawidzi go bardzo długo, boi się go jeszcze dłużej, jednak kiedy wraca, pachnąc światem

zewnątrznym, tupiąc znajomo po podłodze piwnicy, Simone wita go czymś na kształt miłości.



Teraz

— POSTAWIĘ WALIZKĘ TUTAJ, dobrze? — Simone zwróciła się do Hope, wycierając dłonie o materiał spódnicy. Pociła się, skóra na głowie łaskotała od wrażenia, że odkąd wróciły do domu jej przyjaciółki, ktoś ją obserwuje. — Wszystko w porządku?

Hope kiwnęła głową, nie patrząc na Simone. Zachowywała się w ten sposób od czasu wyjścia ze szpitala. Simone bała się, że towarzyszka zmieniła zdanie, ale wreszcie dotarły na miejsce i były bezpieczne. Z dala od Leo, z dala od policji. Z dala od wszystkich. Rozejrzała się po znajomym pomieszczeniu i zadrżała. Nie spodziewała się, że kiedyś tu wróci. Klucz nadal leżał w starym miejscu, w podściółce w donicy z pomidorami, zawinięty w folię aluminiową jak skarb. Pocierała przedramiona, gdzie swędziała ją tkanka bliznowata, jak zawsze, gdy robiła się zmęczona albo nerwowa.

— Pokaż mi — powiedziała Hope.

Simone odwróciła się, żeby na nią spojrzeć.

— Co mam ci pokazać?

— Ręce. — Wzrok Hope był gorący, przeszywał jak laser.

— Wszystko w porządku? — Niepokój szturchał Simone w zębra. Czyżby źle postąpiła, wracając tutaj, przyprowadzając ze sobą Hope?

— Pokaż — powtórzyła jej towarzyszka.

Simone posłusznie podwinęła rękawy swetra. Najpierw prawy, który skrywał mniej imponujące blizny. Była praworęczna i narobiła bałaganu, zanim nauczyła się sklejać palce plastrem, żeby żyłtka się nie wyslizgiwała. Smarowała wazeliną brzegi przestrzeni przeznaczonej na blizny, by skóra pozostała czysta. W ośrodku widziała, jak Ayana stosowała ten sam trik przy malowaniu paznokci. Lakier odpryskiwał, lecz blizny Simone były wieczne. Te na jej lewej ręce wyglądały cudownie, jak plemienne oznaczenia. Skopiowała wzór z książki wypożyczonej w bibliotece. Zwoje i kropki, każde symetryczne, przez wewnętrzną część łokcia. Kiedy tylko ogarniał ją niepokój, czytała swoje blizny, znajdując w nich ukojenie lub gniew, w zależności od potrzeby.

Hope gapiała się na blizny, podchodząc bliżej. Wyciągnęła palec i przewędrowała opuszką po zwojach i kropkach. Jej dotyk był precyzyjny, pełen szacunku.

— Sama to sobie zrobiłaś?

— Tak. — Simone stała nieruchomo, bojąc się przerwać czar, który przywiązał do niej Hope. Jej pierś napełniła się po brzegi miłością, tęsknotą.

Dotyk Hope był jedynym źródłem ciepła w całym pomieszczeniu.

Promienie słońca kurczyły się, uciekając w czerwieni po kuchennej terakocie. Simone znowu zadrżała, jednak tym razem nie próbowała naciągnąć z powrotem rękawów, zamiast tego stała z wyciągniętymi obiema rękami, jak dziecko czekające, by ktoś je ubrał albo przytulił.

— Inne blizny — powiedziała wtedy Hope.

Mówiła tak cicho, że Simone nie dowierzała w to, co dotarło do jej uszu.

— Inne?

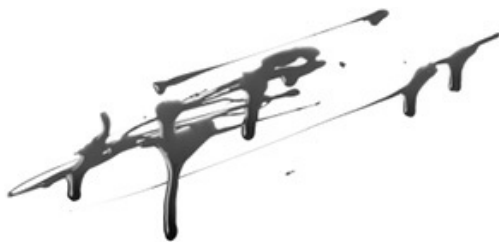
Hope podniosła wreszcie wzrok, znajdując twarz Simone.

— Inne blizny. Te po ranach, których nie zrobiłaś sama. — Poczekała sekundę, by zaraz dodać: — Te, które zrobiła ci matka.

Simone wzdrygnęła się, dreszcz strachu wspiął się po jej kręgosłupie, nagły jak atak węża.

Błękitne oczy Hope wyglądały jak u lalki, nieruchome i skupione. Dzikie.

— Pokaż — rozkazała. — Chcę je zobaczyć.



LEO PROCTOR szlochał. Zanosił się potwornym płaczem człowieka, który się poddał. Jego głowa podnosiła się i opadała jak u szmacianej lalki; Marnie zdała sobie sprawę, że mężczyzna potakuje.

— Hope zamykała cię pod schodami. Złamała ci też rękę? — Kolejne kiwnięcie, jak u robota. — Co jeszcze ci zrobiła?

— Wszy... wszystko. Biła. Ko... kopała. — Każde słowo wyszarpane siłą z ust, zakrwawione. — Liną. Biła mnie liną. Parzyła. — Zaczął łapać gwałtownie powietrze. — Uderzała cegłami, ciężarkami. Wszystkim, co jej wpadło w ręce.

Marnie czekała, aż odzyska nieco panowanie nad sobą.

— A co z jej obrażeniami? Widziałam wyniki obdukcji. Znaleźli na jej ciele blizny, otarcia.

— Zmu... zmusiła mnie. Tylko w ten sposób lubiła... seks. Kontakt. Wszystko. Właśnie tego chciała. Mnie się to nie podobało. Ja wolałem... Nienawidziłem zadawania jej bólu. *Nienawidziłem*. Powiedziała, że tak robią mężczyźni. Że tacy jesteśmy. Że powinienem zachowywać się jak mężczyzna. Tego chciała, tylko tego chciała. Oboje musieliśmy cierpieć, cały czas. — Trząsał się, łóżko pod nim skrzypiało. — Nie... nie jej wina. Tak naprawdę to nie jej wina. Jej ojciec... jej matka i ojciec... powiedziała mi...

— Miała wymówkę? Nie ma żadnej wymówki, Leo. Czegoś takiego nie można usprawiedliwiać.

— Ona mnie *potrzebuje* — załkał. — Potrzebuje!

— Leo. — Marnie wyciągnęła rękę i chwyciła go za dłoń. — Już dobrze. Uspokój się.

Jego skóra była mokra od potu. Czują zapach stresu, wypływającego z niego razem z płynami i środkami przeciwbólowymi. Po minucie czy dwóch nieco się opanował.

— Dlaczego uciekła do ośrodka?

— Poprosiłem, żeby przestała. Błagałem. Zrobiło się naprawdę źle. Piłem... — Schował twarz w ramię, wycierając łzy w materiał piżamy. — Cały czas było mi niedobrze, głównie przez alkohol. Bałem się, co się stanie, gdy mnie zabraknie. Nie wiedziałem, jak ona sobie poradzi.

Uwolnił rękę z jej uścisku i wbił kciuki w oczy, na co Marnie aż się skrzywiła.

— Nigdy nie wychodziła, naprawdę nigdy. Cały czas spędzała w domu, ale nie była szczęśliwa. Nie pozwalała, żeby było nam wygodnie. Tylko czysto. Cały czas sprzątałem albo ona sprzątała. Potrzebowała ładnych pokoi. Najładniejszych, mówiła. Nie chciała, żebym dawał jej szczęście albo

choć wygoda. Mogłbym jej zrobić łóżko, jakie tylko by zechciała. Przecież wie, że potrafię. Ale ona tylko... Dotykać mogłem jej tylko wtedy... — Ucinał każde zdanie, jakby i tak powiedział już za dużo. — Cztery miesiące temu zrobiło się gorzej. Bałem się, co będzie dalej.

— Błagałeś, żeby przestała. — Marnie powtórzyła słowa, których użył Leo.

— I przestała. — Podniósł głowę i wytarł łzy z oczu, a wydawał się przy tym zagubiony. — Przestała mnie bić, ale nie chciała rzucić też reszty. Nie chciała, żebym ja przestał bić ją.

— Kiedy to było?

— Cztery, pięć miesięcy temu. Po pogrzebie jej mamy.

Pięć miesięcy, żeby wygoiły się ślady na ciele Leo. Hope potrzebowała siniaków u siebie, jako alibi. Sądząc po słowach Leo, chodziło o coś więcej. O zaspokojenie potrzeby bycia ukaraną?

— Jak mogła cię zmusić, żebyś ją bił? Nie rozumiem.

— Kiedy odmawiałem, ona... wychodziła i podrywała facetów. W barach. Pozwalała im... dawała się im krzywdzić. Wracała pogryziona i posiniaczona. Pytałem, skąd wie, że jej nie zabiją. A ona tylko... śmiała się. Mówiła, że znowu to zrobi. Mówiła, że tym razem jej nie poznam. I wtedy się zgodziłem. Żeby była bezpieczna.

— Znasz nazwiska tych mężczyzn?

— Nie, nie chciałem ich poznać.

— Dlaczego potrzebowała bicia? Wyjaśniła ci to?

Pokręcił głową.

— Pytałem. *Ciągle* pytałem, ale ona się tylko wściekała. A kiedy się wścieka... mam nauczkę, żeby siedzieć cicho.

— Co się stało, kiedy przestała cię bić?

— Zrobiło się gorzej, znacznie gorzej. Zrobiło się tak źle, że chciałem, żeby się skończyło. To jej nie mogłem znieść, jej krzywdy. Zagroziłem... policję. Że pójdę na policję.

— Zagroziłeś, że pójdziesz na policję — powtórzyła Marnie. — I wtedy uciekła do ośrodka?

— Tak...

— I zadzwoniła do ciebie, żeby powiedzieć, gdzie jest.

— Tak.

— Kazała ci przynieść do ośrodka nóż.

Leo kiwnął głową, z nosa i oczu płynęły strumienie.

— I róże. Żółte róże.

— A po co te róże?

Wyrzucił ręce w powietrze.

— Nie wiem! Ona nienawidzi kwiatów, mówi, że tylko bałagan się z nimi robi. Tylko bałagan, a potem zdychają. Nienawidzi kwiatów, nawet róż.

— A nóż? Do czego twoim zdaniem był jej potrzebny?

— Nie wiem. Nie myślałem. Po prostu powiedziała, że go chce, a ja nie pomyślałem. — Jego twarz wykrzywiały emocje, trudno było na to patrzeć.

— Domyślałeś się, co zamierza zrobić? — zapytała Marnie. — Z nożem?

— Nie. Nie...

— Ale i tak go przyniosłeś.

Słabo pokiwał głową. Marnie zastanawiała się, co jeszcze Leo byłby gotów zrobić na polecenie Hope. Popełnić morderstwo? Samobójstwo? Nie, samobójstwo nie, inaczej Hope nie musiałyby go zabijać albo próbować zabić.

— Nie martwiłeś się o inne kobiety z ośrodka? Wiedząc, do czego ona jest zdolna?

Nie odpowiedział. Marnie wątpiła, by Leo potrafił wziąć pod uwagę bezpieczeństwo osób trzecich, nie po latach mieszkania z Hope.

— Jak dostałeś się do budynku ośrodka?

— Ona otworzyła drzwi. Powiedziała, kiedy będę mógł wejść... Kiedy pilnująca ich kobieta pójdzie na papierosa.

Niedbałość Jeanette Conway była zbawieniem dla Hope. Nie mogła się wcześniej domyślać, że pokonanie ochrony będzie takie banalne.

— Dzisiaj rano Hope zabrała z waszego domu walizkę. Wiesz, co mogłoby się w niej znajdować?

Leo nerwowo podniósł ręce do twarzy.

— Słucham?

— Brązową walizkę. Z tego, co mówił wasz sąsiad, była ciężka.

— Ciężka. — Jego oczy przesłoniła mgła. Wydawał się wykończony, poszarzała skóra świadczyła o chorobie.

Marnie zagryzła policzek. Lekarz bardzo wyraźnie wskazał jej, jak długo może przesłuchiwać Leo. Zdrowy rozsądek i empatia podpowiadały, że mężczyzna miał już dosyć. Gdyby Hope uciekła sama, byłoby inaczej. Jednak w tej sytuacji Marnie musiała brać pod uwagę bezpieczeństwo Simone Bissell.

— Leo. Mam jeszcze kilka pytań, ponieważ Hope zaginęła razem z Simone Bissell. Jeśli jednak musisz odpocząć, albo jeśli chcesz, żebym zawołała lekarza...

— Nie. — Wydawał się przestraszony. — Nikt więcej. Żadnych mężczyzn.

Rozumiała. Wystarczyło, że ona poznała jego sekrety.

— Nic mi nie jest — stwierdził, przełykając ślinę. — Jeśli zostaniesz tylko ty... nic mi nie jest.

Nalała znowu wody do szklanki, włożyła mu ją w dłoń, przez chwilę dotykając ich swoimi.

— Powiedziałaś, że Hope nie wspominała o Simone Bissell.

— Nie. — Napił się wody. — Kto to jest?

— Jedna z lokatorek ośrodka. Zaprzyjaźniły się z Hope.

— Nie — odparł mechanicznie Leo. — Hope nie ma przyjaciół. Zwłaszcza przyjaciółek. Zwłaszcza takich. Słabych. Będących ofiarami.

— Zbliżyła się do Simone. Wszystkie kobiety z ośrodka to zauważyły.

Leo tylko pokręcił głową, jakby nieco otumaniony.

— Może być niebezpieczna dla kogoś takiego jak Simone? Dla innych ludzi? Z pewnością była niebezpieczna dla ciebie.

— Nie wiem. Nigdy jej z nikim nie widziałem.

— A co z jej rodzicami? Powiedziała mi, że nie żyją.

Znowu zaprzeczył ruchem głowy.

— Jej mama tak, umarła w październiku. Ale ojciec wciąż żyje.

Kolejne kłamstwo Hope.

— Wspominałaś, że miała problem z rodzicami. Co się stało?

Leo zaczerpnął powietrza i przytrzymał je przez chwilę w płucach, by potem powoli je wypuścić.

— Hope nic się nie stało. Chodziło o jej mamę. Chodziło o to, co działo się jej mamie, Gayle, na oczach Hope. Jej ojciec bił Gayle, ale córki palcem nie tknął. Myślałam, że będzie go nienawidzić, ale było zupełnie na odwrót. Nienawidziła *Gayle* za to, że nigdy nie sprzeciwiła się ojcu. Za utratę kontroli, jak to ujęła Hope. To jej mama straciła kontrolę, nie ojciec.

— Jak on się nazywa?

— Kenneth Reece. — Leo znowu napił się wody, płuczac nią usta przed połknięciem, jakby to imię miało nieprzyjemny smak.

— Nigdy nie skrzywdził Hope?

— Nigdy. Nauczyła się sobie z nim radzić, tak powiedziała. Od małości. Kochał swoją córeczkę, więc na zawsze nią została. Grzeczną córeczką. Nie rozumiała, dlaczego jej matka nie potrafiła tego samego. Nie potrafiła nad nim zapanować. Ten jej ojciec nie był zbyt bystry. Zawsze to powtarzała. Typowy mężczyzna, zwierzę. *Ona* była bystra. Powiedziała mi, że była cwana już w wieku sześciu lat, ale nauczyła się tego nie pokazywać, bo ojcu by się nie spodobało. On chciał tylko ładnej, grzecznej córeczki. Lalki. I właśnie to mu dała. — Skrzywił się, mówiąc o tym. — Kiedy pierwszy raz mi o nim opowiedziała, nazwałam go potworem, bestią. Rozgniewała się wtedy. Niczym się nie różnił, mówiła. Niczym się nie różnił od innych mężczyzn. Nie chciałam, żeby miała z nim cokolwiek wspólnego. Powiedziałem, że cieszę się, że ją od niego zabrałem. A ona na to, że nie potrzebowała ratunku, żebym nie myślał sobie, że jestem bohaterem. Bo jestem taki sam jak on, jak wszyscy inni mężczyźni. To ona była inna, bo wiedziała, jak sobie z nimi radzić. Nami, mężczyznami.

— Ale wyszła za ciebie. Musiała tego chcieć. Czego się spodziewała?

— Może nie знаła innego sposobu, żeby uciec z tamtego domu, od ojca...

A może chciała udowodnić, że może osiągnąć sukces tam, gdzie jej matka poniosła porażkę. Czy małżeństwo było dla niej ćwiczeniem kontroli, władzy? Mnóstwo małżeństw działało w ten sposób.

— A co się stało z jej matką? Hope nie martwiła się jej losem?

— Uważała, że jej matka na wszystko pozwalała. Nie rozumiała, dlaczego dawała się bić. „Byłam tylko dzieckiem, a sobie z nim poradziłam”, tak mi powiedziała. Uważała matkę za pierdołę. Gayle raz zbiła lustro. Siedem lat nieszczęścia. „Sama to na siebie sprowadza”, Hope nauczyła się tak mówić. Myślę, że tak właśnie tłumaczył to jej ojciec.

To nie Hope zbiła lustro, tylko jej matka, Gayle. Co jeszcze w jej występie w szpitalu było wzorowane na matce, żeby zagrać Marnie na nosie? A może to coś więcej niż tylko udawanie? Może niekontrolowany impuls? Empatia, choć pokręcona i wyparta, wobec cierpienia matki?

— Była przekonana, że Gayle mogła go powstrzymać — rzekł Leo. — Gdyby tylko chciała. „Może to lubiła”, tak powtarzała ciągle Hope.

— Powiedziałaś, że *Hope* to lubiła. Lubiła ból.

— Tego chciała. Tego potrzebowała. — Znowu przełknął łyk wody ze szklanki, którą włożyła mu do rąk. — Tatuaze... Postanowiła, że zrobimy sobie tatuaze.

— Serca przebite strzałami.

Leo przyglądał się chwilę jej twarzy.

— Tak. Przez... przez chwilę myślałem, że to miłość, ale nie. Jej ojciec miał identyczny. — Przycisnęła szklanę do piersi. — To boli, gdy ktoś cię tatuuje na żebrach.

— Naprawdę boli — zgodziła się Marnie.

Nie zwrócił na to uwagi.

— Potrzebowała tego. Tego bólu. Właśnie bólu chciała.

— Ale wolała wywoływać ból u ciebie.

— Byłem zwierzęciem. — Jego głos opadł nisko, w otchłań gardła. — Chciała, żebym zachowywał się jak zwierzę, bo byłem zwierzęciem. A potem mnie za to karała. — Skrzywił się, jakby nie mógł znieść tyle prawdy naraz. — Ale czasami była kochana, łagodna, a ja rozumiałem, że dużo przeszła w domu, że widziała, co się działo z jej mamą. Myślała, że to nie miało na nią wpływu, ale musiało. *Musiało*.

— Tak.

Najpierw dawała mu siłę, czyniła go męskim, zmuszała do współudziału w maltretowaniu. Żądała, by zachowywał się jak jej ojciec, a potem go za to karała. Zmuszała go, by ją bił. To więcej niż rozdwojenie jaźni, połączenie uległości matki i agresji ojca. Marnie nie wiedziała dokładnie, z czym ma do czynienia. Rozgryzienie Hope to zadanie dla profesjonalisty. Marnie przynajmniej wiedziała już, skąd brała się ta niechęć w czasie przesłuchania w szpitalu, skąd ta huśtawka emocjonalna między płaczem a zaciętością.

— Przepisano jej antydepresanty. Jej lekarz nie zauważył, w jak poważnym stanie jest Hope?

— Dobrze to ukrywała. — Leo, wyraźnie zmęczony, położył głowę na poduszki. — Ukryła to przed wami.

Prawda. Marnie dała się nabrać na pozę zagubionej dziewczynki. Hope wyuczyła się tej roli już jako dziecko i wykorzystywała ją jako narzędzie obrony przed ojcem. Pomagał też wygląd filigranowej blondynki, z dużymi oczami jak u lalki i drobnymi dłońmi. Nawet teraz trudno było sobie wyobrazić, że terroryzowała Leo Proctora, mężczyznę dwukrotnie wyższego i cięższego. Marnie chciała zapytać, jak zdołała zmusić go do wejścia pod schody, jakich słów używała, by jej posłuchał. Zachowania warunkowe są skomplikowane, tworzą płataninę miłości i kłamstw, gróźb i obietnic. Ile razy Leo musiał wczołgiwać się pod schody, drapać kamienne ściany i podłogę? Ile razy jej wybaczał, by za chwilę znowu zostać pobitym, jeszcze dotkliwiej? Zachował pracę, co oznaczało, że wychodził z domu pięć dni w tygodniu, zawsze wracając po więcej. Na co liczył — na odpowiednie wytłumaczenie tego okrucieństwa? Pojednanie? Szansę na odkupienie dla nich obojga?

— Twoim zdaniem Hope planuje skrzywdzić Simone Bissell?

— Nie wiem — odparł Leo.

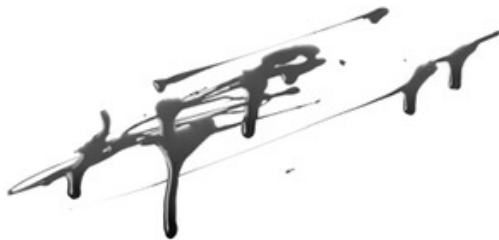
— Ale mówiłeś, że ona nienawidzi słabych kobiet. Ofiar. Jeśli właśnie w ten sposób odbiera Simone...

— Może. Nie wiem. — Podniósł na nią wzrok; zmęczenie znaczyło jego twarz.

— Leo... a co z walizką? Jesteś pewien, że nie wiesz, co może się znajdować w walizce, którą zabrała z domu?

Odpowiedź znalazła w jego oczach.

Nic dobrego.



DWÓCH MĘŻCZYŹN — jeden biały, drugi czarny — stanęło w progu, czekając, aż Henry Stuke otworzy im drzwi. W pierwszej chwili pomyślał o świadkach Jehowy, jednak oni zawsze mieli przy sobie ulotki, a poza tym ten biały wyglądał na brudnego, zmęczonego, jego skóra przypominała skórę słonia.

Policja. Przed jego domem stała policja. Detektywi ubrani po cywilnemu.

Fala paniki przyniosła ze sobą posmak żółci. Przełknął ślinę, słysząc po raz drugi przeszywający dźwięk dzwonka. Jeśli sobie zaraz nie pójda, obudzą bliźniaki.

Wyszedł na korytarz, mijając lustro, które Freya uparła się tu powiesić, by mogła sprawdzić, jak wygląda, przed otwarciem drzwi. Wtedy jeszcze przejmowała się tym, jak wita obcych ludzi. W lustrze Frei wyglądał blado, jak winny. Przyglądał włosy i schował lewą dłoń w kieszeń, a potem otworzył drzwi.

— Pan Henry Stuke? — zapytał policjant ze skórą słonicy, pokazując swoją legitymację; podniósł ją jak ksiądz Biblię, rozczapierzonymi palcami.

Henry nie mógł w zasadzie nic odczytać, ponieważ promienie słońca odbijały się od plastikowej folii, ale kiwnął głową.

— O co chodzi?

— Nazywam się sierżant Carling, a to jest sierżant Jake. Jest pan właścicielem priusa. — Przeczytał numer rejestracyjny. — Zgadza się?

— Tak, zgadza się.

— Co robił pan w piątek wieczorem, panie Stuke?

— W piątek... Zaraz, zaraz. W piątek pracowałem. Tak, przez większość dnia pracowałem.

— A gdzie pan pracuje? Właściwie — sierżant Carling popatrzył na ulicę, najpierw w jedną, potem w drugą stronę — wie pan co, może wejdziemy do środka na małą pogawędkę?

To znaczyło, że nie mają nakazu. Może nie było tak źle, jak się obawiał.

— Dobrze, ale mogą panowie zachować ciszę? — Przybrał przeproszający wyraz twarzy. — Na górze mam śpiące maluchy.

— Maluchy? — Sierżant Carling odpowiedział podobną miną, dodając nieco współczucia. — Dużo śpią?

— Nie tak dużo, jak bym chciał. — Obaj się uśmiechnęli. Naprawdę nie było tak źle, jak się obawiał.

Ten młodszy — sierżant Jake — jeszcze się nie odezwał. Miał telewizyjną urodę. Henry już go wcześniej widział, w nieoznakowanym mondeo pod ośrodkiem, a potem przed szpitalem, do którego zabrali tamtą.

— Usiądźcie. To znaczy, proszę. — Nadal nie wyjmował lewej dłoni na wierzch.

— Ile mają? — Carling spojrzął na sufit.

— W przyszłym tygodniu skończą dziewięć miesięcy. — Henry próbował mówić jak człowiek szczęśliwy, bo powinien być szczęśliwy. Modlił się, żeby się nie obudziły. Jeśli zaczną beczeć, chyba nie zdoła udawać kochającego tatusia. — Bliźniaki.

— Dziewięć miesięcy. To ładny wiek — powiedział Carling. — Chodzą już?

— Nie. Jeszcze nie. Dużo raczkują, wie pan. Po całej chałupie.

Carling kiwnął głową. Usiadł na kanapie, podnosząc plastikową zabawkę: czerwoną ciężarówkę z paciorkami, które grzechotały, kiedy suwało się samochodem po podłodze. Henry nie pamiętał, czy stał z niego wymiociny. W salonie nie pachniało najlepiej, czuć było woń pieluszek i kurzu. Bóg jeden wie, kiedy ostatni raz tu sprząтали. Wszędzie wałały się rzeczy bliźniaków. Nawilżane chusteczki w zielonych pudełkach, plastikowe kubeczki z uszami, książeczki dla dzieci z obgryzionymi rogami.

Henry zajął miejsce obok Carlinga, trzymając rękę w kieszeni, palce miał mokre od potu. Sierżant Jake nadal stał, rozglądając się po pokoju.

— A więc... o co chodzi? Mówił pan coś o piątku.

— Pracował pan. — Carling trzymał czerwoną ciężarówkę z uczuciem. Ile lat minęło, od kiedy sam wycierał dziecięce rzygi i gówno? Tak długo, że już zapomniał i uśmiechał się, jakby wszystkie wspomnienia były dobre, jakby ojcostwo było jednym długim śmiechem.

Henry zacisnął pięść w kieszeni.

— Jestem hydraulikiem, czasami zajmuję się też stolarstwem, wstawiam meble do kuchni. — Zaśmiał się. — To zabawne, gdy się widzi stan naszej własnej. Będę tam musiał trochę posprzątać, zanim zaczną chodzić.

— Wystarczy zamontować płotek, spokojnie. — Carling odstawił zabawkę na bok. — W takim razie nie było pana w piątek w Finchley?

— Finchley... Właściwie to tak, byłem. Cholera. — Popatrzył na Carlinga, potem na Jake'a i z powrotem. — Nie chodzi o mandat za parkowanie, prawda? Zadzwonili do mnie z awarią. Ten przeklęty deszcz załatwił rynny...

— Nie chodzi o parkowanie — odezwał się sierżant Jake.

Henry na niego popatrzył. Nie spodobał mu się. Nie podobało mu się, jak stał, jakby nic nie było w stanie zmiąć jego wyprasowanego garnituru, jakby nic nie mogło wywołać zmarszczki na jego gładkim czole. I mówił cicho, jakby miał jakieś pojęcie o śpiących dzieciach, a co on, kurwa, może w tym wieku wiedzieć o czymkolwiek?

Sierżant Carling musiał myśleć podobnie, ponieważ powiedział:

— Proszę nie zwracać uwagi na sierżanta Jake'a. On ma nadzieję, że życie mu nic takiego nie zaserwuje. — Mrugnął do Henry'ego w poufałym geście, który on nie do końca rozumiał.

— Czyli o co chodzi? — zapytał Henry. — Wspominał pan coś o samochodzie.

— Był pan w piątek w Finchley, a wczoraj w North Middlesex. — Carling pochylił się do przodu, jego

łokcie spoczęły na kolanach. — Badamy pewną sprawę, która wydarzyła się w tych dwóch miejscach w tych dwóch dniach.

— Co się wydarzyło?

— Nie możemy w tej chwili podawać szczegółów. — Przepraszający uśmiech. — Musimy tylko wiedzieć, dlaczego stanął pan wczoraj przed szpitalem. W piątek pan pracował.

— Prawda. — Obliznął górną wargę. Poczłł nieprzyjemny smak. — A wczoraj zabrałem bliźniaki do szpitala. Kaszlały i spanikowałem. Wie pan, jak to jest.

Carling kiwnął głową. Spojrzał na rodzinne fotografie rozstawione na półce z książkami.

— Pańskiej żony nie ma w domu?

— Pojechała do siostry, której dopiero co urodziło się dziecko. — Było mu niedobrze od przyklejonego do twarzy uśmiechu. — Więcej noworodków. Powiedziałem, że zajmę się naszą dwójką, ale wie pan, jak to jest. Nerwy, jak to za pierwszym razem. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby tak kaszlały.

— Ale nic im nie było. To znaczy, nie wszedł pan do budynku szpitala. — Carling wydawał się nieco zawstydzony. — Na nagraniu z kamery widać, jak siedzi pan w samochodzie. Nie wchodził pan do środka.

— Uspokoili się. Zasnęły. — Henry'emu udało się roześmiać. — Poczłłem się jak głupek.

Carling kiwnął głową. Zaczynał wyglądać na znudzonego, jakby ta rozmowa była stratą czasu. To powinno ucieszyć Henry'ego, lecz w rzeczywistości go wkurzyło. Jakby posiadanie dwójki maluchów oznaczało, że nie można go traktować jako podejrzanego, jako potencjalnie groźnego. Carling powinien był widzieć Henry'ego z tamtą suką. Nie ostatniej nocy, nie w noc pogrzebu, ale wcześniej. Gdyby zobaczył, co Henry zrobił tej dziwce, nie wyglądałby teraz na znudzonego, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie i zajmie się poważniejszym zadaniem. *To było poważne zadanie, pomyślał dziko Henry. Trzeba było widzieć, co dla niej zaplanowałem.*

Carling poruszył się na kanapie i czerwony plastikowy samochód spadł, omal nie rozbijając się o podłogę, jednak Henry złapał go w porę. Ten refleks go zaskoczył; bał się hałasu, jaki narobiłby samochodzik uderzający o parkiet; bliźniaki znały i lubiły ten dźwięk. Bał się, że je obudzi.

— Co się panu stało w rękę, panie Stuke? — zapytał sierżant Jake.

— Henry... proszę mi mówić Henry.

— Co ci się stało w rękę, Henry?

Obrócił dłoń, żeby obaj mogli jej się przyjrzeć. Była wykręcona jak u staruszka, palce ściśnięte, skóra zablizniona i wywinięta, jakby ktoś ją rozciął i zszył z powrotem, krzywo.

— Sześć miesięcy temu... naprawiałem zlew — skłamał. — Stare rury się załamały, uwięziły mnie.

Był uwięziony, tyle się zgadzało w opowieści. Suka go przyszpiliła do podłogi i siedziała mu na piersi długo, jakby kilka godzin. Myślał, że umrze pod jej ciężarem, na hotelowej podłodze.

— Musieli cięć, żeby mnie uwolnić. — Zwrócił dłoń ku światłu, wstydząc się jej wyglądu. Musiał ukrywać ją przed ludźmi w autobusach, na ulicy. Inaczej się gapili. Może gdyby od razu zgłosił się na pogotowie, lepiej by go pozszywali, lecz on chował się w hotelu, bojąc się, że ona wciąż się gdzieś czai.

Powinien był się domyślić, co go czeka, kiedy zobaczył ją w takim stroju. Jakby wróciła z pogrzebu. Powinien był się domyślić, kiedy zobaczył dziki gniew w jej oczach. Myślał, że dobrze się zabawi —

lepiej niż dotychczas — ale był głupi, niezdarny.

Odwrócił się do niej plecami, kiedy mu kazała, myśląc — co właściwie sobie myślał? Że zaskoczy go seksowną bielizną, może nowym tatuażem. Nie spodziewał się niczego, dopóki nie uderzyła w niego tym cholerstwem, łamiąc mu żebra jak pordzewiałe rury.

— Wygląda, jakby cudem ją odratowali — stwierdził sierżant Carling. Miał na myśli dłoń Henry’ego.

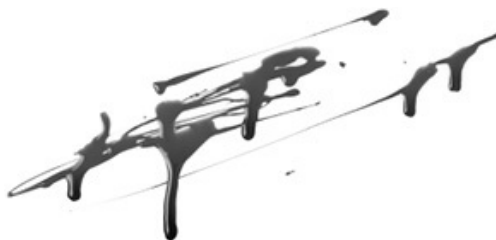
— Tak. Tak, miałem farta.

Niski ostrzegawczy dźwięk z góry, jak uruchamiający się silnik: bliźniaki się budziły.

Wszyscy trzej spojrzeli w tamtym kierunku.

— Przepraszam — powiedział Henry. — Muszę do nich iść.

— Nic nie szkodzi. — Carling wstał z kanapy. — To już chyba wszystko.



— MÓJ OJCIEC miał szofera — powiedziała Simone. — Nigdy nie poznałam jego imienia. Jeśli chciałam z nim porozmawiać, musiałam nacisnąć przycisk interkomu zamontowanego z tyłu samochodu. Mogłam z tego korzystać tylko w nagłych przypadkach, gdy chciałam, żeby się zatrzymał, bo źle się czułam. Nie mogłam korzystać z interkomu, bo chciałam opowiedzieć, co było w szkole, albo gdy czułam się samotna na tylnej kanapie.

Hope właśnie obierała jabłko, używając do tego noża. Skórka owocu oplatała jej nadgarstek jak cienka, czerwona bransoletka. Kiedy Simone przestała mówić, Hope podniosła wzrok, ostry jak brzytwa. Simone przełknęła ślinę, gardło miała suche.

— Szofer mojego ojca nosił czapkę z daszkiem. Czasami łapałam jego wzrok w lusterku. Zawsze pierwszy go odwracał. Było mu do twarzy w uniformie, lepiej niż mnie w trykocie. Czarny i różowy nie pasują do siebie, co by nie myślał mój ojciec. Mężczyzna, który tytułował się moim ojcem — ściszyła głos do szeptu. — Charles Bissell.

Hope zlizła sok z dłoni.

— Miał tatuaż na karku. Ten kierowca. Granatowego sokoła. Pamiętam, jak myślałam, że na mojej skórze nie byłoby go widać. — Simone rozczapierzyła palce, różowe i puste.

— Co zrobił? — zapytała Hope.

Simone odchyliła głowę, próbując pochwycić wspomnienie.

— Nauczycielka baletu zawsze szturchała mnie w ramię kijem. „Toczysz się. Nie jesteśmy kulami, nie toczymy się”. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Kiedy spojrzałam w lustro i skoncentrowałam się, widziałam swoją matkę. — Zakryła oczy dłońmi. — W całym pomieszczeniu tylko moja twarz była czarna. Wszędzie ten róż. Trykoty i rajstopy, i satynowe buty. I ja.

Przyklejała się do skórzanej kanapy w samochodzie ojca. Auto było czarne, ale w środku miało kolor bitej śmietany. Simone musiała odklejać nagie ramiona, wydając przy tym dźwięk jakby pocałunku. Czasami kopała w fotel pasażera i wtedy kierowca na nią patrzył. Nie gniewał się. Nie wolno mu było. Kiedy odwracał wzrok, wytykała język. Nie wszystkie wspomnienia przynosiły ból, ale Hope chciała poznać tylko takie.

— Opowiedz mi o żołnierzach — powiedziała. — W wiosce. Zanim trafiłaś do Bissellów.

— Pojawiali się o zmierzchu, o wschodzie. Najbardziej niebezpieczne pory dnia. Pamiętam... ich ręce.

— Simone wyciągnęła własne, nie spodziewając się już, że Hope ją przytuli. — Ich mięśnie wiły się jak... jak liny.

Jakiś odgłos dochodzący z zewnątrz sprawił, że zamilkła z sercem walącym w piersi. Hope zerknęła w tamtą stronę, a potem znowu wbiła wzrok w Simone. To tylko samochód, nic więcej. Tylko samochód.

— Twój ojciec — rzekła później Hope. Jej głos brzmiał tak, jak zawsze. Łagodnie, słodko, wyciągał z Simone wyznania jak plaster drzazgi z kciuka.

W ośrodku wyglądało to inaczej. Wtedy zbliżyła je cisza. Cisza i coś na kształt spokoju. Może przez cały ten czas Hope powstrzymywała się od pytań, powstrzymywała swoją chęć poznania całej przeszłości Simone. Nie rozumiała tej chęci poznania; wiedziała tylko, że gdy mówi, jej jest jakby mniej, a Hope — więcej, jakby kobieta czerpała siłę ze słów Simone. Nie z samych słów — z jej bólu. Hope chciała słuchać o cierpieniu Simone, o jej najbardziej bolesnych wspomnieniach.

Dopóki nie przestanie mówić — dopóty będzie robić dokładnie to, o co poprosiła Hope, ani mniej, ani więcej — wszystko będzie dobrze.

— Kiedy... kiedy zapytał o lekcje baletu, powiedziałam mu, że ich nie znoszę. Wydawał się wtedy smutny, ale potem się uśmiechał, jakbym tylko żartowała. Kładł mi ręce na głowie.

Pamiętała jego cienkie palce między rzędami warkoczyków, cienkie palce nieznanego, który ją ukradł. Charles Bissell; twarz jego żony była pomarszczona jak dno rzeki po długiej suszy.

— Był moim ojcem tylko na papierze. Powiedział, że to jedno i to samo, ale wiedziałam swoje. Zabrał mnie z wioski. Moje rodzeństwo... Żołnierze ich zabrali, wcielili do Armii Bożego Oporu. Wszystkie dzieci z wioski zostały ukradzione, w ten czy inny sposób.

Ból w głowie dokuczał niesamowicie, ale wiedziała, że to nic.

— Każdego ranka przed lekcjami przypinał mi do trykotu orchideę. Na szczęście. W samochodzie wrywałam płatki i rzucałam na dywanik. W środku pachniało... rozkładem. Bissellowie bali się, gdy zaczęłam dorastać, bali się zadawanych przeze mnie pytań. Bali się, że dowiem się o kradzieży. Jedynym plusem było to, że nie zostałam kolejnym rekrutem LRA.

Dostrzegała swój dawny gniew, odległy jak ptak krążący po niebie.

— Kiedyś myślałam, że nawet to byłoby lepsze od Bissellów. Ich zasad. Ich ciszy. Kłamstw.

Hope zjadła plaster jabłka, przesuwając językiem po wargach.

— W wiosce, pamiętam, pewnej nocy chowałam się przed rebeliantami. Tak się bałam, starałam się nie ruszać, nie krzyczeć. — Podniosła rękę, by obronić się przed wspomnieniem.

Nietoperze. Pamiętała nietoperze sfruwające z drzew, ciepłe, trzepoczące, jak niebo rozpadające się na strzępy. Jej gniew był niczym, zupełnie jak zimny fajerwerk po nocy szalonego świętowania. Mówiąc w ten sposób, wracała do wioski. Znowu miała osiem lat, uważała na śmierć czającą się w każdym kącie, żar przyciskał do ziemi. Czerwony smród umierania. Ludzie ściskający w ramionach własne wnętrza jak noworodki.

— Niektórzy żołnierze wciąż byli dziećmi, zabrano ich z sąsiednich wiosek. Mali ludzie w mundurach moro, skróconych na wymiar. Z flagą rebeliantów przyszytą na piersi. Czerwono-czarno-niebieską. Moje dłonie... — Rozłożyła je znowu, szukając różowego wnętrza. — Moje dłonie splamione... mokre od strachu.

— Bałaś się — zauważyła Hope.

— Tak.

— Czego?

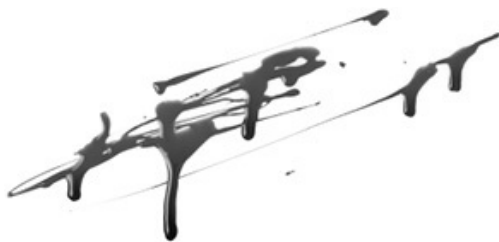
— Że porwą mnie żołnierze. Że zabiją mnie. Że zginę tam, w tym piachu.

Jej matka rozłożyła na piachu koc, kiedy Simone miała osiem lat. Koc był zielono-złoty. Miał ciemne łaty, jak cienie. W domu nie było słońca. Łaty okazały się plamami. Krew siostry, krew matki. Krew matki matki. Krew ciotki i ciotki ciotki. Przyszpiliły ją do ziemi, wszystkie te kobiety, na kocyku z plamami, które rozlały na zielen i złoto. Jej krew utworzyła nowy cień, czerwony. Przemoczyła kocyk, wsiąkła w piach.

— Bałam się, że umrę w tym piachu.

Łzy moczyły jej spódnicę jak krople deszczu. Nie wiedziała, jak przestać. Wiedziała tylko, że musi wciąż robić to, co poleciła jej Hope.

— A teraz — rzekła Hope — opowiedz mi o Lowellu.



— ROME? — Dzwonił Ed Belloc. — Chciałaś, żebym się odezwał.

— Są jakieś wieści o Ayanie?

— Niestety nie. Gdzie jesteś?

— Właśnie wyjeżdżam z North Middlesex. Muszę wpaść na komisariat, a potem możemy się spotkać, jeśli jesteś wolny.

— Co się stało? — zapytał Ed, słysząc niepokojący ton jej głosu.

— Nic dobrego.

Na komisariacie unosił się zapach kawy i markerów do białych tablic. Ktoś włączył wiatrak, zmieniając powietrze w zupę. Marnie podeszła do biurka Noaha.

— Gdzie się podział sierżant Jake?

Z sąsiedniego biurka odezwała się Abby Pike:

— Pojechał z Ronem Carlingiem na West Brompton. Ron dzwonił i powiedział, że to była strata czasu. Są już w drodze powrotnej.

— Strata czasu — powtórzyła Marnie. — Byli na spotkaniu z Henrym Stuke'em, mężczyzną, który obserwował ośrodek?

— Podobno nie obserwował. — Abby się skrzywiła. — Ron mówił, że facet jest nieprzytomny, opiekuje się bliźniakami i sam nie wie, gdzie idzie i co robi. Jeździł w kółko, próbując uspokoić dzieci. Zdaniem Rona facet nie kłamał.

— A co uważa Noah?

— Nie rozmawiałam z nim. Ron wspominał, że Noah wraca na piechotę. Jego zdaniem sierżant Jake źle zniósł pobyt w domu pełnym zabawek i pieluch, ale ja myślę, że po prostu brakowało mu świeżego powietrza. — Abby spojrzała na Marnie, jej pełna twarz była gładka i ufna. — Jakieś wieści na temat Hope i reszty?

— Będziesz musiała zmienić status w bazie osób zaginionych — powiedziała jej Marnie. — Hope Proctor jest teraz podejrzana o napaść, porwanie i usiłowanie zabójstwa.

— Hope? — Oczy Abby przybrały rozmiar spodków.

— Potrzebuję listy adresów domów komunalnych w Dulwich. Możesz taką dla mnie zdobyć?

Most Milenijny wisiał nieprawdopodobnie nad Tamizą, niczym most linowy w dżungli. Na rzece płynęły liczne łodzie, ich słona woń niosła też wyraźny zapach rdzy. Nie dało się nie spojrzeć na London Eye; potężna stalowo-szklana konstrukcja zżerała niebo żywcem, tworząc półksiężyc orbitujący nad miastem. Konstrukcja mostu została wzmocniona po tym, jak przechodnie zaczęli odczuwać jej chybotość. Nawet teraz, kiedy wiatr przybierał na sile, Marnie czuła jego ruch. Mimo to ludzie nie przestali po nim chodzić. Spodziewali się tego ruchu. Tego rodzaju oczekiwania były w całym Londynie, kształtowały miasto.

Ed stał na moście, jego twarz marszczyło zmartwienie.

— Opowiedz mi, co z Ayaną — powiedziała pierwsza.

— Dzwoniłem do domu jej rodziców. Wyłącznie w roli urzędnika z biura wsparcia ofiar przemocy. Odebrał jeden z braci. Turhan. Co Ayana mówiła o znaczeniu jego imienia? *Litościwy*. — Jeden kącik ust Eda się wykrzywił. — Twierdził, że nie wie, gdzie może się znajdować dziewczyna. Poprosiłem o rozmowę z rodzicami, ale powiedział, że nikogo innego nie ma w domu.

— Myślisz, że tam ją ukrywają? W domu rodzinnym?

— Nie. Turhan był zbyt rozluźniony, żeby mogła tam przebywać, lecz z pewnością wie, gdzie jest jego siostra. Wiedział, że nie ma jej w ośrodku, jeszcze zanim wyjaśniłem mu, dlaczego dzwonię. — Ed odwrócił się i chwycił za stalową wargę mostu, patrząc w dół, na wodę. — Uśmiechał się. Słyszałem to w jego głosie. Łódź patrolowa płynęła w górę rzeki. Z megafonu dochodziły trzaski, przecięta fala znosiła ciekłą smugę śmieci w stronę brzegu. Z miejsca, w którym stali, dało się czuć woń mulistego koryta rzeki.

— On wie, gdzie jest Ayana. — Ed potarł twarz przedramieniem. Miał na sobie wczorajsze ciuchy, musiał w nich spać. O ile w ogóle spał. — Jestem tego pewien.

— A co z matką? Uwierzyłeś Turhanowi, kiedy powiedział, że nie ma jej w domu?

— Trudno orzec.

— Ayana nas ostrzegała — zauważyła Marnie. — Przed przemocą kobiet. Pomyśl o tym, co zrobiły te dziewczyny w Sommerville. Popatrz na Simone, co zrobiła jej matka. Cały czas miałam przed oczami dowody na to, do czego zdolne są kobiety, a jednak nadal stałam po ich stronie. Instynktownie. Męska agresja to chleb powszedni w tym zawodzie. Widzę ją wszędzie. Nie tylko seksizm czy dominację. Chłopaki pokroju Lowella Patona... Przez nich oślepiam. Zbyt wiele goryli na boisku.

Ed obrócił się do niej twarzą, opierając się plecami o stalową belkę.

— Co się stało?

Nie wiedziała, od czego zacząć. Musiała najpierw sprawdzić, czy to w ogóle ma sens, czy jej teoria jest do obrony. Oczywiście nie wierzyła, by Leo Proctor kłamał, ale już teraz słyszała prokuratora, który czepia się dowodów.

— W szpitalu, tamtej nocy, gdy dźgnęła męża, rozmawiałam z Hope i lekarzem, który ją badał. Sprawa wyglądała na... czarno-białą, ale nie tylko. Chodziło o sposób, w jaki odpowiadała na moje pytania, o rzeczy, o których wiedziała. O wszystkich najgorszych krzywdach, jakie można wyrządzić drugiemu człowiekowi. Jak można kupić milczenie nie tylko groźbami i przemocą, lecz także obietnicami. Tajemnicami. Uznałam to za dowód jej cierpienia. Wiedziała wszystko, co można było wiedzieć na temat

malretowania. — Ruch na rzece malował na niej linie. Srebrne blizny na brązowej skórze wody. — Jediną osobą, która wiedziałaby tyle na ten temat, jest sam oprawca. — Zamilkła na moment, imię kobiety uwięzło jej w gardle. — Hope Proctor.

— Hope? — zapytał Ed powoli, nie dowierzając.

Marnie kiwnęła głową.

— Hope. To ona biła męża, nie na odwrót. On był ofiarą.

— Mylisz się. — W głosie Eda zabrzmiała nuta gniewu. — Musisz się mylić.

Popatrzyła na niego spokojnie.

— Nie myślę się.

— Skąd to wiesz? Od Leo? Gówno prawda. Każdy damski bokser na świecie zaprzecza temu na takim czy innym etapie sprawy. Nie on pierwszy przeinacza fakty, żeby wyjść na ofiarę.

— Ed... to naprawdę była Hope. Jestem przekonana. Złamała mu dłoń, żebra.

— A co z jej obrażeniami? — zapytał z naciskiem Ed. — Jak to wyjaśnił?

— Zmuszała go, by ją bił. Na tym opierało się ich małżeństwo.

Ed jęknął ze zniecierpliwienia.

— Chryste, Rome... Nie wierzę, że dałaś się na to nabrać.

Jego zdaniem się pomyliła. Z zaskoczeniem odkryła, jak bardzo ją to boli, jak wiele to dla niej znaczy. Schowała ręce do kieszeni, wbijając paznokcie w skórę.

— Leo z początku odmawiał, więc chodziła po barach i podrywała nieznajomych, a potem wracała do domu i pokazywała mu siniaki. Kontakt. Czy tego właśnie brakowało Hope? Nie chciała czuć się obco we własnej skórze.

— Leo był przerażony, że ktoś ją w końcu zabije. Nie chciała mu wyjaśnić, dlaczego tego potrzebuje. Domyślałam się, że chodziło o swego rodzaju karę.

Ed odwrócił się, zacisnął szczęki, drgały mu mięśnie w policzku. Przyjrzała się jego profilowi, szukając czegoś, co utraciła.

— Wiem, jak to brzmi. Też nie chciałam w to uwierzyć. Kobieta, która prosi o takie traktowanie, która sama traktuje w taki sposób męża? Cieszyłam się na myśl, że w ośrodku mu się wreszcie przeciwstawiła. Że dźgnęła wcale nie z paniki, że chciała go zabić, bo ją gwałcił i bił przez lata. Bo to się zgadzało z moimi osobistymi oczekiwaniami. Pamiętasz, co mi powiedziałeś w Sommerville? Myślałam, że Hope to „ofiara, taka jak ja”. Taka, która walczy. Do głowy mi nie przyszło, że to Hope mogłaby być źródłem przemocy, ale tym właśnie jest. Myślisz, że próbowałabym cię przekonać, gdyby było inaczej? Ed... naprawdę musisz tego wysłuchać. I dopiero potem powiedz mi, że się myślę.

Wyprostował się, by stanąć twarzą do niej, a potem kiwnął głową.

— Jak się o tym dowiedziałaś?

— Leo się przyznał, kiedy zadałam mu kilka trudnych pytań. Myślę, że dalej by to ukrywał, gdyby tylko mógł. Zaczęłam mieć pewne podejrzenia po tym, co się wydarzyło w Sommerville. Sposób, w jaki Stephen się bronił... przypominał mi zachowanie Leo w czasie naszego pierwszego przesłuchania. — Miała ochotę złapać Eda za rękę, lecz nie mogła. — Nie traktowałam tego zbyt poważnie, dopóki nie dowiedziałam się, że Hope wróciła do domu, razem z Simone. Po walizkę. Nie wyobrażam sobie, by Simone ryzykowała taką wyprawę. Zaczęłam się zastanawiać, kto naprawdę stał za ucieczką ze szpitala.

Nie twierdzę, że Simone została zmuszona, ale nie potrafiłam określić jej motywacji. Za to Hope miała wszelkie powody do ucieczki, zwłaszcza gdy Leo odzyskał przytomność.

Ed zrobił krótki wdech. Widziała, jak jego twarz się zmienia, jak tworzy się na niej miejsce na nową, przerażającą prawdę. Żałowała tych cieni, które pojawiły się pod jego oczami z jej powodu, tych zmarszczek wokół ust.

— W takim razie... w takim razie mamy do czynienia z usiłowaniem zabójstwa — powiedział. — Potrafisz to udowodnić?

— Nie wiem. Nie wiem nawet, czy zdołam przekonać Leo do zeznawania w sądzie. Nie jest w najlepszym stanie. — Wiatr potargał jej włosy. Związała je na nowo. — Jeśli Hope się upieczę, to dlatego, że udało się zwieść Simone, Shelley, ich wszystkich. Chwyliła ich strach, ich cierpienie, i wycisnęła z nich idealne alibi. Musimy udowodnić, co się naprawdę stało, a nie to, co chciała, żeby zobaczyły. Jeśli nie...

Ed milczał.

— Tak — mruknęła smutno Marnie. — Bałam się, że to powiesz.

Spojrzała w dal, gdzie słońce zachodziło za budynkiem Parlamentu, tworząc z krajobrazu miasta widokówkę, Londyn w różu i pomarańczy. Resztki białego światła padały na olbrzymie koło chłodnej stali.

— Przysięgam, że ten most ciągle się rusza — rzekł Ed. — Czuję się, jakbym stał na węź. — Pokręcił głową. — Powinienem cię wysłuchać, zamiast ci przerywać. Przepraszam.

Uśmiechnęła się do niego.

— Hope... Nadzieja jako ostatnia wyskoczyła z puszek Pandory. Po całym tym złu, plagach i tak dalej. Niby znam ten mit, ale nigdy nie wiedziałam, czy nadzieja[2] miała służyć jako nagroda pocieszenia czy najgorsze zło ze wszystkich.

— Myślę, że nadzieja Pandory dawała nam coś, czego mogliśmy się uczepić. — Ed stał ramię w ramię z Marnie. — Wyniki obdukcji... — zaczął.

— Lekarz powiedział, że wyglądają jak u prostytutki. Innymi słowy, mogła wyrazić na nie zgodę. To ja uznałam zgodę za niemożliwą. Podobnie jak nerwowość Leo za dowód jego winy. — Przygryzła wnętrze policzka, poczuła smak krwi. — Schowek pod schodami był dość duży, by pomieścić rosnącego mężczyznę. Jego złamana ręka i zebra... Wszystko to dodaliśmy, ja wszystko to dodałam i podwoiłam, ponieważ odpowiadało to moim przekonaniom na temat kobiet i mężczyzn. Pasowało do moich *oczekiwań*.

Marnie zrobiła krótką pauzę i kontynuowała:

— W ośrodku Hope zadbała o to, by Shelley zobaczyła jej siniaki. Powiedziała pozostałym kobietom o Leo, pokazała im swój strach, swoją desperację. Nadużyła ich zaufania, wykorzystwała jako świadków ataku, wiedząc, jakie są kruche. Może nawet czerpała z tego przyjemność. Upajała się swoją władzą. Zmusiła ich, by dały alibi osobie odpowiedzialnej za przemoc... Wyobrażasz sobie, co poczuje Simone, kiedy się dowie, że ochraniała kogoś takiego?

— Zakładasz, że Hope ją wypuści — zauważył krótko Ed.

— Niczego nie zakładam. *Niczego*.

Odsunął się od niej, obserwując wodę. Marnie podeszła do niego. Most oddychał pod ich stopami.

— Simone opowie Hope, co się z nią stało, co zrobił jej Lowell. — Ed złapał się za kark. — Skoro

powiedziała mnie... powie też Hope. Podaruje jej w prezencie swój najgorszy koszmar, kobiecie, która czerpie przyjemność z manipulacji, tortur...

— Jeśli Hope ma resztki zdrowego rozsądku, nie tknie Simone. Wciąż może walczyć o uznanie jej ataku na Leo za działanie w obronie własnej. Dowody...

— Dlaczego próbowała go zabić? — zapytał Ed. — Tylko dla podniety z władzy, jaką nad nim posiada?

— Zbierał się powoli na odwagę, by iść na policję. Wiedziała, że więcej go już nie przyciśnie i potrzebowała alibi na wypadek, gdyby faktycznie zgłosił przemoc. Miał na to zbyt wiele dowodów, nie mogła wszystkiego ukryć.

Popatrzyli w górę rzeki, na bezładne skupisko miasta.

— Chciała go zabić. Jestem tego pewna. Kiedy zdała sobie sprawę z porażki, ogarnął ją strach. To prawdopodobnie jedyna szczerza emocja, jaką nam pokazała.

Być może istniał jeszcze inny powód. Może Hope chciała zabić jedyną osobę, która wiedziała o niej wszystko. Jedyne go świadka prawdziwej Hope. Czy Stephen zabił rodziców Marnie z tego samego powodu? By zmieścić prawdę z powierzchni ziemi?

— Wtedy w ośrodku — powiedział Ed — kiedy mówiłaś o niewidzialnym gorylu... Wspomniałaś wtedy, że Ayana nie wierzyła, by Hope działała w obronie własnej. Jej zdaniem zamierzała go zabić, chociaż nie podejrzewała, że to Leo był ofiarą maltretowania.

— Nikt z nas wtedy tego nie podejrzewał. Niechętnie odpowiadała na moje pytania w szpitalu, ale myślałam wtedy, że próbuje w ten sposób bronić resztek godności. Na Boga, przecież płakała. To podobno najtrudniejsze do podrobienia. Łzy zabierają ostrość widzenia, są niekorzystne dla przetrwania, czy nie tak mówią badacze?

Popełniła więcej błędów, niż była w stanie policzyć. Popatrzyła na Eda, mówiąc:

— Widziałeś ją w szpitalu. Odebrałeś jakieś niepokojące sygnały?

Pokręcił głową.

— Nic a nic.

— Hope lubi udawać zagubioną dziewczynkę. Założę się, że mężczyźni ciągle dają się na to nabrać. — Przyjrzała się jego twarzy. — Władza ją podnieca, ale Hope nienawidzi mężczyzn. Widzi w nich zwierzęta. Założę się, że byłeś dla niej wyzwaniem, kimś o wyższej pozycji w łańcuchu pokarmowym... Chciała świadków. *Potrzebowała* świadków. Nie tylko dla alibi. Raczej... usprawiedliwienia. Świadcowie oznaczają sprawiedliwość. W pewnym, nawet mocno wypaczonym sensie. Świadcowie dali poczucie realności.

— Naprawdę uważasz, że nie skrzywdzi Simone?

— Nie mam pewności — przyznała Marnie. Myślała o kwiatach. Różach, które Hope kazała mężowi przynieść do ośrodka, chociaż sama nienawidzi kwiatów.

Robią bałagan, a potem zdychają.

Róże miały coś wywołać. Hope chciała za ich pomocą związać z sobą przynajmniej jedną z kobiet; tak mocno, żeby mieć pewnego sprzymierzeńca, na wypadek gdyby sprawy potoczyły się w złym kierunku, albo gdyby miał jej się przydać oddany stronnik.

— Możliwe, że Hope została choreografem nie tylko sceny dźgnięcia nożem. Powiedziała Leo, żeby

przyniósł ze sobą bukiet żółtych róż, ale on przysięga, że Hope nienawidzi kwiatów.

— Myślałem, że miały przykryć nóż — odparł Ed.

— Może, ale dlaczego konkretnie żółte róże? Właśnie przy takich się upierała. Dlatego zastanawiam się, czy przypadkiem nie miały być dla kogoś innego.

— Dla kogoś innego? — powtórzył Ed.

— Wspominałeś, że Lowell Paton przynosił Simone kwiaty, co tydzień.

— Tak...

— Lowell to potwierdził. Powiedział, że przynosił jej żółte róże. Co, jeśli Hope wiedziała dokładnie, jaki efekt wywoła widok tych konkretnych kwiatów? W ten sposób mogła mieć pewność, jak na pojawienie się Leo zareaguje przynajmniej jedna osoba w ośrodku. Zupełny szok. Przerazenie. Simone bez zastanowienia zobaczyłaby w Leo gwałciciela, potencjalnego zabójcę. Żółte róże przypomniałyby jej o Lowellu.

— Hope kazała Leo przynieść żółte róże?

— Tak. Nalegała, by zabrał bukiet i nóż. Skupiłam się na nożu, jak my wszyscy, a tymczasem kwiaty też służyły za broń. Sposób na to, by Simone przypomniała sobie przeszłość i zareagowała. Sposób na uczynienie jej głównym świadkiem i planem awaryjnym na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Ed podniósł rękę i złączył je za głową.

— Chryste... — jęknął.

Marnie odwróciła się plecami do wiatru, myśląc o walizce, którą Hope zabrała z domu. Leo nie chciał jej zdradzić, co znajdowało się w środku, jednak w końcu jej powiedział, tak jak całą resztę. Nie, nie całą resztę, nie wszystko. Wątpiła, by pokazał jej więcej niż ledwie wierzchołek góry lodowej. Każda para chroniła swoje prywatne życie w większym lub mniejszym stopniu, a Proctorowie mieli do ukrycia więcej niż przeciętne małżeństwo.

— Jak mogę pomóc? — zapytał Ed.

— Postaraj się uspokoić sytuację w ośrodku. Będziemy musieli jeszcze raz wszystkich przesłuchać. Jak sobie radzi Britt? Ustawiała Shelley do pionu?

— Mam nadzieję. — Ed się skrzywił. — Nie jestem pewien, czy nadzieja to dobre słowo, zważywszy na okoliczności. Aż trudno nie zastanawiać się, co mieli w głowie jej rodzice, kiedy nadawali jej to imię.

Marnie szybko naszkicowała obraz dzieciństwa Hope. Ed słuchał w milczeniu, a potem westchnął.

— Jak to o mnie świadczy, że nie jestem zdziwiony? Słyszałem już gorsze rzeczy...

— Psychopatów się nie wychowuje. Rodzice nie zawsze pomagają, ale spójrz na Ayanę, na Simone. One nie pozwoliły, by wczesne doświadczenia zmieniły je w potwory.

— A gdzie są teraz rodzice Hope?

— Matka zmarła pół roku temu. Nowotwór. Zastanawiam się, czy to było zarzewie przewrotu, właściwa przyczyna wydarzeń w Finchley. Daty się zgadzają. Jej ojciec ma dom komunalny w Dulwich. Leo nie wchodził w szczegóły. Nie uważał, by śmierć matki Hope szczególnie na nią wpłynęła, jednak z jego opowieści wynika, że to musiał być katalizator. Po pogrzebie Hope zachowywała się coraz gorzej.

— Chyba nie uważasz, że mogłaby spróbować odegrać się na ojcu?

— Nazywa się Kenneth Reece. Próbuję go namierzyć, ale Leo mówił, że Hope nigdy nic do niego nie miała. Za wszystko winiła matkę, za jej uległość.

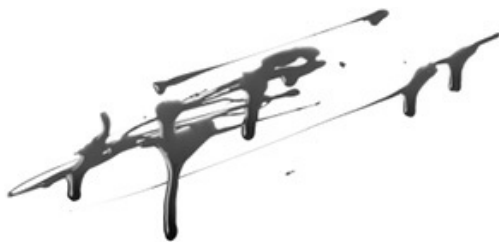
— To źle wróży Simone.

— Simone jest silna — odparła Marnie.

Ed kiwnął głową, nie wyglądał jednak na szczęśliwego.

— Miejmy nadzieję, że nadarzy się szansa, by mogła to udowodnić.

[2] Gra słów. W języku angielskim *hope* znaczy nadzieja.



ABBY PIKE pracowała po godzinach.

— Mam tę listę domów komunalnych w Dulwich. Chcesz, żebym zaczęła wydzwaniać?

— Dzięki. — Marnie przejrzała szybko listę i oddała ją policjantce. — Szukamy Kennetha Reece'a, przed sześćdziesiątką, wdowiec. Jego żona nazywała się Gayle Reece. Zmarła w październiku. Nie znam dokładnej daty.

Abby wszystko zanotowała. Na jej biurku panował chaos, ale był to chaos zorganizowany. Marnie mogła się założyć, że Abby w trymiga znalazłaby wszystko, co było jej akurat potrzebne.

— Powiedz, co wyszło z monitoringiem.

— Nie mamy nic z okolic szpitala z wczoraj. Mam za to nagrania z Finchley, ale żadna kamera nie była wycelowana w dach, a właśnie tamtędy ją wyprowadzili, prawda? Znaczący: Ayanę.

— A co z materiałem sprzed domu Proctorów?

— Najbliższa kamera znajduje się dwie ulice dalej, przy stacji metra. — Abby kiwnęła głową na stojący na biurku monitor. — Tutaj.

Marnie kucnęła, żeby lepiej widzieć. Jakość niska, jak zwykle. Ziarnisty obraz, brak płynności. W niczym to nie przypominało krystalicznie czystych materiałów z seriali telewizyjnych, gdzie w każdej sali sądowej prezentowano niezbite dowody uchwycone przez kamery w idealnie oświetlonych pomieszczeniach, wybranych przez kryminalistów specjalnie po to, by nagrać swoje poczynania. Monitoring przed stacją Woodside Park działał w żółtawym świetle lamp ulicznych, najgorszym z możliwych. Oczywiście. Co powiedziała Marnie Noahowi na samym początku tej sprawy? *Nikt nas tak bardzo nie kocha.*

Spojrzała w monitor Abby. Hope Proctor i Simone Bissell weszły na stację metra o 8:11. Prawie dwanaście godzin temu. Simone niosła walizkę. Hope trzymała głowę nisko.

— Woodside Park — powiedziała Abby. — Północna Linia prowadzi aż do Elephant and Castle. Potem, jeśli chcesz się dostać do Dulwich, musisz jechać autobusem. Poprosiłam o nagrania z Brytyjskiej Policji Transportowej. Jak dotąd nie udało mi się ich znaleźć, jak wychodziły z Elephant and Castle, więc może wcale nie wybierały się do Dulwich, ale uznałam to za sensowny początek, skoro tam mieszka jej ojciec.

Marnie wstała.

— Dobrze pomyślane. Szukaj dalej.

— Uderzamy do mediów w sprawie zaginionych osób? To znaczy z aktualizacją statusu.

— Jeszcze nie. Muszę mieć pewność, że Hope nie spanikuje i nie zrobi nic głupiego... Zgrasz mi to nagranie? Chciałabym, żeby Ed Belloc je obejrzał.

— Oczywiście. — Abby wyjęła płytę CD z napędu i włożyła do plastikowej koperty. — Proszę bardzo.

— Dzięki. I lepiej zadzwoń do Noaha i Carlinga. Czeka nas długa noc.

Ed czekał w jej biurze. Zaparzył kawę.

— Mam nagrania — powiedziała.

— Świetnie — odparł i przysunął krzesło.

Marnie miała już dosyć oglądania niekończącego się potoku ludzi przelewającego się przez londyńską ulicę w jaskrawym technikolorze z gry video, gdzie każdy wyglądał na podejrzanego. Zaczynała ślepnąć za każdym razem, gdy musiała przeglądać nagrania z monitoringu. Ale nie tym razem. Materiał z Hope i Simone na stacji metra obejrżeli z Edem trzy razy. Nie mogła się napatrzeć.

— Wygląda, jakby to Simone dowodziła — rzekła Marnie. — Prawda?

— Tak, tak wygląda.

Marnie dotknęła obraz kciukiem.

— Simone nic nie wie. Jeszcze. Myśli, że pomaga Hope. Myśli, że kontroluje sytuację. — Poczła gęsią skórę na karku na myśl o chwili, gdy Hope ostatecznie zniszczy tę iluzję po dotarciu do celu ich podróży, jakikolwiek by był. Sięgnęła po kawę, przytrzymała gorący kubek przy twarzy w nadziei, że ból w policzku nie zwiastuje zbliżającej się migreny.

— Woodside Park... — Ed wciąż wpatrywał się w monitor. — Wspominałaś, że ojciec Hope mieszka w Dulwich, prawda? Woodside Park jest po drodze. — Wyciągnął ten sam wniosek, co Abby Pike.

— Tak. Niedługo powinnam mieć jego dokładny adres. — Zerknęła na zegarek. — Mogę cię poprosić o przysługę?

— Pewnie. O ile ja też mogę.

Wiedziała, czego chciał.

— Szukamy Ayany. Przyrzekam.

— Dom jej rodziców jest po drodze do Dulwich — zauważył.

— Dobra. Zróbmy to w takiej kolejności.

Rodzina Ayany mieszkała w domu szeregowym, z którego wychodziło się bezpośrednio na chodnik. Ulica była rozkopana, plac budowy porzucono już na noc. Wzdłuż jednego brzegu biegł głęboki wykop, w którym widać było rurę tak zardzewiałą, że wyglądała jak drzewo rosnące horyzontalnie pod asfaltem.

W oknach domu rodziny Mirzów wisały grube zasłony, zaś w drzwiach zamontowano mleczne szkło, przez które nie dało się zajrzeć do środka. Marnie nacisnęła przycisk dzwonka i odsunęła się, żeby to Eda jako pierwszego zauważyła osoba, która otworzy im drzwi.

Dopiero za trzecim razem doczekali się odpowiedzi, a i wtedy drzwi się tylko uchyliły, zablokowane łańcuchem. Młody chłopak w świeżo wyprasowanej koszuli wyjrzał przez szparę. Wyglądał jak stażysta

z biura, bardzo elegancki i zadbane.

— Tak?

— Hatim? — Ed uśmiechnął się do niego. — Możemy wejść?

— Nie znam pana — odparł chłopak, marszcząc brwi.

— Nazywam się Ed Belloc, pracuję dla biura wsparcia ofiar przemocy. A to jest komisarz Rome.

Wzrok Hatima czmychnął w stronę Marnie. Nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat. Młodszy brat. Jaką rolę odegrał w oślepieniu siostry wybielaczem? Marnie czuła zapach garam masali i przed oczami stanął jej woreczek Ayany, który opisał Noah; stanowił dla dziewczyny źródło ciepłych wspomnień, ale też ostrzeżenie.

— Proszę pana. — Hatim odezwał się do Eda, nadal nie otwierając szerzej drzwi — o co chodzi?

— Rozmawiałem wcześniej z Turhanem. Nie wspominał?

— Nie, proszę pana, nie wspominał.

— Rodzice są w domu?

A może Nasif? Turhan? Był wcześniej.

Hatim kręcił głową za każdym razem. Marnie domyślała się, że bracia kazali mu odpowiadać w ten sposób i zostawili go w domu samego na wypadek wizyty policjantów.

— Możemy wejść do środka, Hatim? — poprosiła.

Zawahał się, lecz zaraz kiwnął głową, zwolnił łańcuch i otworzył szeroko drzwi. Stał jak wartownik, gdy weszli do kwadratowego salonu. Wszędzie panował porządek, w powietrzu unosił się zapach odświeżacza, maskujący zimną już woń gotowania. Na stole leżały podręczniki szkolne, na kanapie ładnie ułożone, wzorzyste poduszki. Fotografie na ścianach, sami chłopcy. Ani jednego z Ayaną. Marnie od razu doszła do wniosku, że jej tutaj nie znajdują.

— Zastanawiamy się, gdzie może się podziewać twoja siostra.

Hatim został przy drzwiach, ramiona ściągnął do tyłu.

— Już dawno nie widziałem mojej siostry — odparł.

Właśnie to kazali mu powiedzieć, zgadywała, ale brzmiało szczerze. Hatim był chudzielcem z typowymi dla okresu dojrzewania zbyt dużymi dłońmi i stopami. Nagle w jej głowie pojawiło się przerażające przekonanie, że to właśnie Hatim polał wybielaczem oczy siostry. Nie miał dość siły i ciężaru, żeby kogokolwiek przytrzymać. Starsi bracia musieli się tym zająć, jemu zostawiając pozornie łatwiejsze zadanie.

Marnie podniosła jeden z podręczników leżących na stole.

— Martwimy się o nią. Obawiamy się, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

Hatim zerkał zaborczo na książkę w jej dłoni.

— Powinna była tu zostać. My byśmy ją obronili.

— Wydaje mi się, że nie wiedziała o tym. — Marnie otworzyła podręcznik, zaczęła przerzucać strony.

— Moim zdaniem bała się tu wracać.

Chłopak zacisnął wargi.

— Nie bała się. Po prostu było jej trudno, to wszystko.

— Co było dla niej trudne?

— Szkoła. Dom. — Skrzywił się. — Chłopcy. Tu nie jest łatwo być dziewczyną.

— Tutaj? — Marnie pokazała ręką na idealnie wysprzątany pokój.

Podniósł brodę.

— W Anglii — poprawił. — W Londynie.

— Hatim... gdzie twoim zdaniem jest Ayana? — zadał pytanie Ed, odwracając uwagę chłopca od Marnie i trzymanej przez nią książki.

— W hostelu — odparł szybko. Zbyt szybko. — W ośrodku. — Poprawił włosy jedną ręką. — Pan wie, co mam na myśli.

— W ośrodku dla kobiet.

— Tak.

— A wiesz, gdzie dokładnie?

Hatim wzruszył ramionami, zerkając w stronę stołu. Dobry uczeń, chętny do nauki. Nie podobało mu się, że Marnie dotyka jego książek. Chciał wracać do pracy. Była już prawie dwudziesta pierwsza. Chłopiec uczył się do późna; niezwykle, zwłaszcza dla nastolatka, który został sam w domu.

— Finchley — odpowiedziała Marnie.

— Tak. Nie. Nie wiem. — Rozgniewał się, że tak głupio się wygadał. Patrzył oskarżycielsko na Marnie, jakby go skłoniła do tego podstępem.

— Wiedziałaś, że jest w Finchley. — Zamknęła książkę i odłożyła na stół. — Skąd?

— Nie wiedziałem. Już mówiłem, proszę pana — zwrócił się do Eda — nie wiem, gdzie ona jest.

Ed kiwnął głową.

— A gdzie twoja mama, Hatim? O tej porze nie powinna już być w domu?

— Pojechała do cioci. Ciocia jest chora. — Wrócił do scenariusza. — Mama się nią opiekuje.

— To miłe z jej strony. A gdzie mieszka twoja ciocia?

— Ciocia Nada mieszka w Leicesterze.

— Mógłbyś zapisać mi adres i numer telefonu?

Hatim się zawahał, lecz zaraz podszedł do stołu, przy którym stała Marnie.

— Przepraszam. — Sięgnął za jej plecami po długopis i notes, postawił okrągłe litery, a potem wyrwał kartkę i podał Edowi.

— Dziękuję. — Ed przeczytał notatkę, potem złożył ją i wsunął do kieszeni.

— Mogę zobaczyć pokój Ayany? — zapytała Marnie.

Hatim kiwnął głową; jej prośba znalazła się w scenariuszu.

— Na górze. Pokój obok łazienki. — W jego oczach pojawiły się duchy.

Żołądek podjechał Marnie do gardła. Łazienka, w której doszło do oślepienia Ayany. Prawda była wypisana na twarzy Hatima. Nie tylko odrażająca napaść. Także krzywda wyrządzona chłopcu i całej rodzinie.

W pokoju Ayany panował taki sam porządek, jak w salonie na dole. Regał z książkami, stolik z pudełkiem na biżuterię. Szkolne podręczniki, nic szczególnie ambitnego intelektualnie czy politycznie. Ładne, skromne ubrania w szafie. Kilka chust, niektóre z jedwabiu w jaskrawych kolorach, wyszywane cekinami.

„Zaczynaj od lewej ściany”. Przypomniały jej się słowa przełożonego, który pokazywał jej, jak

zachowywać się na miejscu zbrodni. „Zaczynaj od lewej ściany i podążaj w stronę środka. Jak w labiryncie”.

Zatrzymała się i podniosła z dywanu złoty cekin, przytrzymując go na opuszcze palca. Chciała wierzyć, że jeśli przeszuka pokój, jeśli zacznie od lewej ściany i podąży do środka, znajdzie wskazówki, które zaprowadzą ją do Ayany. Ukryta przegródka w pudełku na biżuterię, na przykład, którą jej bystre palce detektywa szybko otworzą.

Ayana niczego tu nie ukrywała. Ten pokój nigdy nie należał do niej, nie w prawdziwym sensie tego słowa. Najpierw trzeba poczuć się bezpiecznie w danej przestrzeni, by powierzyć jej swoje sekrety. Dla Ayany jej pokój nigdy nie był miejscem bezpiecznym.

Marnie znalazła wolne wieszaki w szafie, kilka sztuk bielizny ubyto z równiutkich stosików w szufladzie. Ktoś zabrał tygodniowy zapas ubrań Ayany, i to niedawno, sądząc po śladach w warstwie kurzu na wieszakach. Gdziekolwiek teraz była, znowu wyglądała jak ich córka. Skończyły się czerwone sukienki dla Ayany.

Hatim trzymał się z tyłu, kiedy Marnie przeszukiwała pokój dziewczyny. Pilnował łazienki, tak jak wcześniej pilnował drzwi wejściowych.

— Przepraszam. — Marnie wyminęła go, wchodząc do pomieszczenia.

Wanna, umywalka, sedes. Jutowa mata w paski, rozłożona na kawałku podłogi przed wanną. Miejsca akurat wystarczyłoby dla trzech osób przytrzymujących czwartą, jeśli założyć, że ta czwarta jest szczupła i nie może się szarpać. Na niskiej półce przy sedesie butelka wybielacza.

Butelka z grubego czarnego plastiku. Czerwona nakrętka, zabezpieczenie przed dziećmi.

Marnie spuściła powieki i przed oczami wyrosły jej stopy walczącej Ayany. Usłyszała krzyki odbijające się echem w ciasnej przestrzeni. Mężczyźni przekazujący sobie czarną butelkę. Dwóch klęczy, dysząc, na jej piersi i kolanach. Chłopiec, Hatim, drżącymi rękami próbuje odkręcić korek. Czy on też krzyczy? Była pewna, że słyszy jego wrzaski, cały chór wrzasków. Rodzina rozdierana na strzępy. Niewiele brakowało, żeby odrętwiała. Zbyt wiele gniewu, zbyt wiele agonii. Nie miała z czym tego porównać, by zrozumieć to, co się tu wydarzyło.

Marnie nie chciała odrętwieć. *Za nic*. Gniew był jedyną właściwą odpowiedzią. Wbiła paznokcie w dłonie, poczuła piekący ból.

Powinna *zmusić* Hatima do powiedzenia prawdy. Do wydania kryjówki braci, adresu, pod który zabrali Ayaną. Mogła to zrobić. Gdyby zaciągnęła chłopca do łazienki, tak jak oni zaciągnęli Ayaną, i powaliła go na podłogę, zawołała Eda do pomocy...

Przebłysk, zbyt nagły, by zdążyła go zablokować — Hatima leżącego na podłodze, jej kolan przyszpilających jego ramiona, silnych rąk Eda odkręcających korek butelki z wybielaczem, sama groźba wystarczyłaby do zdobycia adresu potrzebnego do uwolnienia Ayany. To byłoby takie proste. Hatim już się bał. Gdyby poczuł dotyk grubego plastiku na policzku...

Obraz był tak sugestywny, że jej skóra zdawała się napiętnowana potem przerażonego chłopca.

Nie mogłaby tego zrobić. A Ed...

Nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie na przekroczenie tej granicy. Już prosząc go o to, zniszczyłaby łączącą ich przyjaźń. Ani Ed, ani Marnie nie należeli do takich ludzi.

Ed nie należał do takich ludzi.

Hatim czekał przed łazienką, w oczach miał pełno duchów, które przed chwilą widziała.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytała.

Wiedział, czego dotyczy pytanie. Nie mogło dojść do nieporozumienia.

— Ona popatrzyła... — Zamilkł i za chwilę zaczął od początku. — Ona *popatrzyła*...

Nie potrafił dokończyć zdania. Nie rozumiał, dlaczego to zrobili.

Marnie odsunęła się od niego. Chłopiec poszedł za nią na dół, gdzie czekał Ed. Gdy wychodzili, zatrzymała się i spojrzała chłopcu prosto w oczy.

— Jeśli wiesz, gdzie jest Ayana, Hatim, możesz naprawić wyrządzone przez siebie szkody, mówiąc nam o tym. Nikomu nie powiemy. A ty wiedziałbyś, że tym razem postąpiłeś słusznie.

Pokręcił na ślepo głową, ignorując ją i mówiąc wprost do Eda:

— Do widzenia, proszę pana.

— To prawda, Hatim. — Ed złapał chłopca za łokieć. — Masz szansę, żeby wszystko naprawić. Masz w rękach władzę, by to zrobić. I odwagę.

W oczach Hatima stanęły łzy. Odsunął się od Eda.

— Do widzenia, proszę pana.

Ed wyciągnął z kieszeni wizytówkę i położył ją na stole obok książek.

— Trzymaj się, Hatim.

— Cóż, przynajmniej wiemy, że nie ma jej w Leicesterze. — Na zewnątrz zapadł już zmierzch, lampy uliczne brzęczały rytmicznie, włączając się i wyłączając; gdzieś musiało dojść do awarii.

— Może Hatim zadzwoni. — Ed sam w to nie wierzył. — Powinnaś obdzwonić lotniska. Złożyć ostrzeżenie na numer paszportu Ayany. Jeśli wywiozą ją z kraju...

— Abby Pike już się tym zajęła. Poprosiłam ją od razu, gdy dowiedzieliśmy się o zaginięciu dziewczyny.

Marnie wyciągnęła telefon, by sprawdzić, czy nie ma żadnych wiadomości od Abby albo Tima Wellanda.

Nieodebrane połączenie od Noaha sprzed godziny. Był wtedy w domu, więc to nie mogły być wieści z komisariatu.

— Zabrali tygodniowy zapas ubrań — powiedziała Edowi. — To już coś.

Obrazy, jakie przywołała w łazience, przyśpieszyły jej puls. Ile naprawdę brakowało, żeby zrealizowała swoją wizję grożenia przemocą Hatimowi? Dłonie lepiły jej się od potu. Mogła przysiąc, że jej ubrania przesiąkły zapachem wybielacza. Faktycznie potrafiłaby poprosić o to Eda? Poprosić, by pomógł jej przytrzymać chłopca siłą i przerazić go tak, by zaczął mówić? Ed by temu zapobiegł, lecz od tej chwili już zawsze patrzyłby na nią inaczej. Pokazałaby mu, jaki gatunek gniewu bytował pod jej skórą.

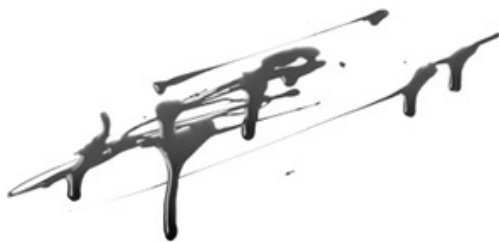
— Naprawdę chciałabym iść jej szukać, ale bez żadnych konkretnych tropów...

Ed kiwnął głową.

— Rozumiem. Musisz wrócić do Hope.

— To też. — Wydobyła listę, którą przygotowała dla niej Abby. — Nadszedł czas, żeby odwiedzić jej

ojca w Dulwich. — Ominęła wykop na ulicy. — Nie będziesz mógł narzekać, że nie zabieram cię w żadne ładne miejsca.



Z ZEWNĄTRZ budynek wyglądał jak zwyczajny dom z tej części miasta, gdzie mieszka biała klasa średnia, wiele kilometrów od najbliższych domów komunalnych. Dom jednorodzinny z zadbanym ogródkiem i kwiatami rosnącymi wzdłuż ścieżki prowadzącej do drzwi frontowych. Światło na ganku oświetlało różę. Wewnątrz stały gumowce, a na nich rękawice ogrodowe, przywołujące duchy gospodarzy.

Noah Jake zapukał do drzwi, zastanawiając się, czy nie marnuje tutaj czasu.

Po wizycie u Henry'ego Stuke'a wrócił do domu, przebrał się w dresy i wypocił zły humor w czasie pięciokilometrowej przebieżki. Nienawidził bezczynności, nie przestawał się obwiniać, że zaprowadził braci Ayany do ośrodka. Chciał pracować, badać tropy, które razem z Marnie porzucili wcześniej, kiedy komisarz wróciła do szpitala raz jeszcze przesłuchać Leo Proctora. Wycieczka do West Brompton z Carlingiem przypieczętowała jego paskudny nastrój; porozumiewawcze mrugnięcia Carlinga do Stuke'a, żarciki z orientacji Noaha, kumple od pierwszego wejrzenia. Wybrał zwyczajową trasę, niestety nie udało mu się prześcignąć ani złego humoru, ani poczucia winy, które krążyło po jego żyłach, paląc je jak kwas.

Pomidory w donicach na ganku. Egzotycznie wyglądające strączki na wąskiej półce. Nie widywał podobnych w tej części przedmieść Londynu. Nacisnął klamkę i okazało się, że drzwi są otwarte. Wszedł do środka, pukając raz jeszcze, tym razem w drzwi prowadzące do wnętrza domu.

— Halo? Tutaj sierżant Jake. Gdyby mogli mi państwo poświęcić chwilkę...

Czyjeś kroki za ścianą. Odsunął się od drzwi, zawstydzony, że wprosił się na ganek, między donice i buty. Wytarł pot z twarzy, żałując wybieganych kilometrów. Więcej potu, w kształcie litery V, plamiło jego koszulkę i górną część spodni. Miał nadzieję, że nie śmierdział.

Drzwi otworzyła mu Hope Proctor, patrząc szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

Nie przyszło mu do głowy, że mógłby ją tu spotkać.

— Hope? Jest z tobą Simone?

Przez chwilę tylko się na niego gapiła. Potem wyciągnęła rękę i złapała go za rękaw.

— Pomocy. Proszę.

— Co się stało?

Nie odpowiedziała, tylko ciągnęła go do środka.

Wszedł za próg, zamknęły się za nim drzwi.

Dom wydawał się pusty. Czuć było, że ktoś tu mieszka, nie jak u Proctorów, ale jednak było pusto.

Hope poprowadziła go przez salon — kanapy obite tkaniną dekoracyjną, dywaniki na kamiennej podłodze, okrągły stół z mahoniu z zegarem, który wskazywał późną godzinę, było już po dwudziestej drugiej — do przestronnej kuchni na tyłach domu.

Simone Bissell stała za ustawioną centralnie wyspą z blatem z gładkiego kamienia, pod wiszącą półką z przyborami kuchennymi. Wyglądała jak Hope, miała przerażenie w oczach.

Czy ktoś tu jeszcze był? Oczywiście nie w kuchni, ale to duży dom i nie należał ani do Hope, ani do Simone. Noah popatrzył to na jedną kobietę, to na drugą, zastanawiając się, co mogło je tak wystraszyć.

— Hope? — zapytał, ostrożnie postępując do przodu.

Pokręciła głową bez słowa. Popatrzył na Simone. Odpowiedziała tym samym, zwracając ku niemu oczy błyszczące niczym wypolerowany blat wyspy, niczym wiszące wyżej patelnie i garnki ze stali nierdzewnej. Wyglądała na naćpaną. Za jej plecami dostrzegał drzwi prowadzące do oranżerii ze szklanym dachem, na którym rozlała się teraz noc. Czy ktoś tu z nimi był, ukrywał się przed policją?

— Co się dzieje? — zapytał. — Wszystko w porządku?

Hope wciąż trzymała go za rękaw, obserwując Simone.

— To wariatka. — Szept, gorączkowy. Ścisnęła go za ramię.

Simone trzymała głowę wysoko, ramiona ściągnęła do tyłu, wyprostowała się jak na zajęciach z baletu. Wyspa zakrywała dolną część jej ciała.

Noah nie widział jej dłoni. Coś w tych błyszczących oczach czmychnęło poza strach, w nieznane mu miejsce.

Spojrzał w dół, na ręce Hope, drobne palce na jego rękawie, paznokcie pomalowane na różowo, o idealnym kształcie.

O idealnym kształcie.

To nie ona, zdał sobie nagle sprawę, zszokowany. To nie Hope orała paznokciami kamienne ściany pod schodami w domu Proctorów, próbując się wydostać.

Jeśli nie ona, mogła to być tylko jedna osoba. Nie potrafił ukryć tej myśli, wylała się na jego twarz. Hope ją dostrzegła, jej źrenice się zwężyły, wolna ręka powędrowała na wyspę, po broń.

Gdyby miał do czynienia tylko z Hope, mógłby ją powstrzymać.

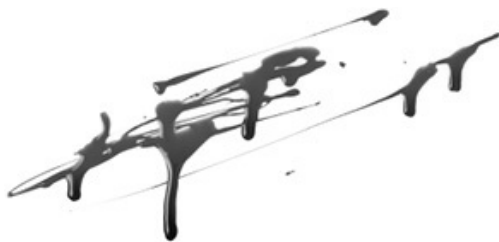
Ale w domu była nie tylko Hope.

Była też Simone.

To Simone rzuciła się na niego z młotkiem.

Zamachnęła się na jego lewą nogę, uderzyła nisko.

Zwaliła go z nóg, ból wypchnął z płuc całe powietrze. Noah upadł na podłogę.



EXCALIBUR HOUSE we wschodnim Dulwich okazał się wiktoriańską willą ubraną w taką ilość betonu, że trudno było dostrzec jej niegdyś imponującą fasadę spod brutalnych dodatków: kolorowego tynku, okien burzowych i talerzy telewizji satelitarnej. Wejście zalało światło z lamp uruchamianych czujnikiem ruchu; włączyły się, gdy Ed i Marnie podeszli do głównych drzwi.

Rada miasta Southwark podzieliła willę na kilka samodzielnych mieszkań dla ludzi po sześćdziesiątce albo niepełnosprawnych. Ojciec Hope Proctor miał pięćdziesiąt siedem lat, czyli poniżej progu. Marnie zastanawiała się, jakiego argumentu użył, by zdobyć tutaj miejsce. Przestała się nad tym głowić, gdy otworzyły się drzwi.

Kenneth Reece kulił się, jakby jego ciało zapadło się do środka. Chodzący szkielet. Żółte białka oczu, popękane naczynka na nosie, wargi skurczone do postaci żalostnego dzióbka podstarzałej gwiazdki.

— Tak? — Miał wysoki, ale zachrypnięty głos. Jedną ręką próbował ściągnąć łańcuch, drugą trzymał poły zielonego szlafroka, przykrywającego jego mizerną pierś.

— Pan Kenneth Reece? — Marnie pokazała odznakę. — Komisarz Marnie Rome. Jest ze mną Ed Belloc. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

— Już późno — zaprotestował.

— Mimo to chcielibyśmy wejść na chwilę.

— A po co? — Jego wzrok powędrował ponad jej ramię, na Eda; brwi się podniosły.

— Chcielibyśmy porozmawiać na temat Hope.

Jego oczy natychmiast napełniły się łzami. Oparł rozczapierzone palce o drzwi.

— Co się stało?

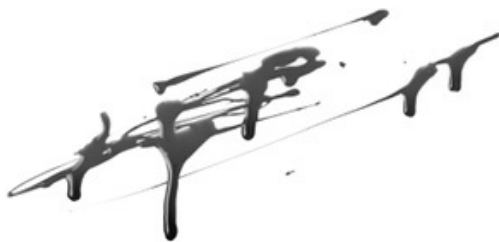
— Możemy wejść?

— Moja córeczka. — Głos mu się łamał. — To moja córeczka, mam prawo wiedzieć, co się stało.

— Porozmawiajmy o pańskich prawach w środku — rzuciła Marnie.

Kenneth Reece odsunął się z progu, machając ręką na wąski korytarz.

— Tędy, tędy.



NOAH miał szczęście. Gdyby to Hope użyła młotka, roztrzaskałaby mu kostkę. Simone nie uderzyła z całej siły, ale i tak dość mocno. Leżał na plecach, na podłodze w kuchni. Hope usiadła mu na nogach, w zaciśniętej dłoni miała białe, ostre światło. Nóż. Przystawiła czubek ostrza do jego piersi.

— Ostrożnie — ostrzegęła — ta suka z kartą telefoniczną tym razem ci nie pomoże.

Wtedy ją zobaczył taką, jaka jest naprawdę. Pierwszy raz. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca, obraz skryształizował się w obliczu stalowej groźby przystawionej do jego koszuli. Wiedział już, kim była Hope i co zrobiła.

Co zamierzała zrobić.

W Hope czaił się gniew, jednak długo pozostawał ukryty pod grubą warstwą pewności siebie. Właśnie tym się zajmowała, w tym osiągnęła perfekcję; Hope robiła to, co dawało jej szczęście.

— Tutaj jest za dużo broni — oceniła, rozglądając się po kuchni. — Musimy go przenieść. Weź linkę.

Simone wzdrygnęła się, porzucając młotek i ruszając w stronę oranżerii.

— Simone... — Noah chciał ją zatrzymać, skłonić do zastanowienia się nad tym, co robi, do przeciwstawienia się Hope, jakichkolwiek by użyła taktyk, by zmienić ją w robota, wykonującego polecenia nawet w obliczu ryzyka czyjejś śmierci. Nigdy nie widział kogoś równie przerażonego; w oczach Simone nie starczało miejsca na nic innego prócz groźby, jaką Hope skłoniła ją do posłuszeństwa.

— Zamknij się. — Hope znacząco poruszyła nożem. — Simone nie musi już słuchać ani ciebie, ani nikogo innego.

Noah próbował zapanować nad oddechem, żeby głos mu nie drżał.

— Oprócz ciebie...

Uśmiechnęła się, mroząc mu krew w żyłach.

— Oprócz mnie.

Simone przyniosła linkę z oranżerii. Niebieską, obleczoną plastikiem linkę.

— Gdzie są twoi przybrani rodzice? Simone...

Hope uderzyła go gumową rączką noża prosto w tchawicę.

Wszystko dokoła przybrało kolory czerni i czerwieni. Noah zakrztusił się, odruchowo wierzgnął nogami.

Hope jeszcze mocniej przygniotła go swoim ciężarem.

— Ty. Nie możesz do niej mówić. — Sekunda. — Zwiąż mu ręce, nad głową. — Przystawiła czubek noża do miejsca, gdzie go uderzyła. — Przydad się do czegoś.

Zmusił oczy, by skupiły się na jej twarzy. Zrobiłaby to. Poderżnęłaby mu gardło. Wtedy nie byłoby nikogo, kto mógłby wydostać stąd Simone. Poddał się, kładąc ręce na podłodze nad głową. Simone oplótła mu nadgarstki linką, ściągnęła, zawiązała.

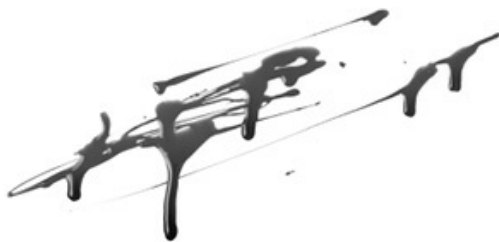
Hope sprawdziła, czy dość mocno.

— Świetnie, tak będzie idealnie. Widzisz? — Posłała Simone promienny uśmiech. — Poradzisz sobie. A teraz stopy. Zdejmij mu buty.

Noah zacisnął zęby, gdy zraniona kostka zaczęła wysyłać mu sygnały alarmowe. Hope przyglądała się jego twarzy z chłodnym zainteresowaniem, które przyprawiało go o gęsią skórkę. Była sadystką, czego domyślił się w chwili, gdy zdał sobie sprawę, czyje paznokcie orały kamienne ściany pod schodami. Czego jeszcze — czego gorszego — o niej nie wiedział? Tak naprawdę zupełnie nie znał Hope Proctor. Nie wiedział nawet, jakie nazwisko widniało na jej akcie urodzenia. Poznał za to dość faktów z przeszłości Simone, żeby rozumieć, dlaczego tak szybko i łatwo przyszło jej ślepo poddać się woli Hope. Wykonywanie poleceń, czy to ze strachu, czy aby przetrwać, było dla Simone czymś naturalnym.

Simone przez rok była zdana na łaskę Lowella Patona. Wcześniej przez wiele lat próbowała zadowolić przybranych rodziców, dopasować się do ich życia w Anglii. Życia pełnego ogrodów, gumowców, róż.

Jak wyglądało dzieciństwo Hope? Na pewno nie było szczęśliwe, jeśli tak wyglądały konsekwencje: próba zabójstwa męża, Noah z ostrzem noża przy szyi, czekający, by zobaczyć, jaki kształt przybierze jej zemsta. Nie wspominając o krzywdzie, jaką zdążyła wyrządzić Bissellom w ich bezpiecznym, eleganckim domu.



NA PODŁODZE w pokoju dziennym mieszkania Kennetha Reece'a leżał czarny dywan, który zasysał całe światło i wykaszliwał je w postaci żałosnych plam. Przerośnięta kanapa i fotel, przykryte poprzecieranym kocem, zajmowały większość miejsca. Brązowy kurz pokrywał zasłony i lampy. Ściana przy oknie nosiła ślady grzyba; gęsta, zielona woń wilgoci wypełniała całe pomieszczenie. Stojący grzejnik z wiatrakami, służący dodatkowo za nawilżacz powietrza, stał po lewej stronie kanapy, wtyczka tkwiła w wyrwanym ze ściany kontakcie.

Marnie widziała już dziesiątki takich mieszkań. Tymczasowe schrony dla tych, którzy wypadli albo zostali wypchnięci na margines. Nauczyła się szukać rzeczy osobistych, elementów charakterystycznych dla lokatora. Mieszkanie przyznawane przez miasto było bezpłciowe, wszędzie wyglądało tak samo.

Trzy z czterech ścian pokoju dziennego miały przykręcone poręcze. Albo poprzednio mieszkał tu jakiś staruszek, albo Marnie i Ed odwiedzili Kennetha Reece'a w jego dobry dzień, kiedy miał dość siły, by bez pomocy utrzymywać pionową postawę.

Na stoliku przy kanapie stała lampa z abażurem owiniętym celofanem, a obok szklanka mętna od śladów po palcach i cztery małe butelki po ginie, w tym trzy puste, jedna z różową plastikową różą w szyjce. Marnie zastanawiała się, czy potrzebuje jeszcze jakichś detali na temat życia, jakie prowadził tutaj Reece. Spojrzała na kanapę — poplamioną, zapadniętą — i postanowiła, że jednak postoi. Ed dyskretnie spoczął na oparciu fotela.

Reece, poruszając się z przesadną ostrożnością pijaka, podszedł do kanapy. Usiadł i założył nogę na nogę, przytrzymując poły szlafroka obiema rękami. Szlafrok pasował do grzyba na ścianie, miał podobny kolor i nierówną teksturę, podobnie też się rozłaził w kilku miejscach. Reece doprowadził się do porządku, patrząc na gości.

Oto i ona.

Hope Proctor.

W tej jego fałszywej skromności. W ściągniętych w grymasie niechęci ustach.

Marnie identyfikowała dziwny ból gdzieś w trzewiach. Stephen Keele choć tyle jej oszczędził: widoku własnej starości w twarzach rodziców. Nie każda strata łączyła się z żalem. Czasem traciliśmy strach albo konsekwencje. Czasem stracić znaczyło uwolnić się.

Czy śmierć matki wyzwoliła Hope Proctor? Jeśli tak, to jakie były konsekwencje tej świeżo zdobytej

wolności?

— O co chodzi? — zapytał Reece.

— O Hope. Przyszliśmy porozmawiać o Hope.

Nie wiedziała właściwie, czego się spodziewała, jednak z pewnością nie tego wyniosłego, apatycznego mężczyzny. Jego golenie były białe, bezwłose. Pożółkłych paznokci u stóp nie obcinał już tak długo, że stwardniały niemal na kość. Ten szczegół bardziej niż cokolwiek innego utwierdził ją w przekonaniu, że każde okropieństwo, jakie słyszała na temat Hope, było prawdziwe. W tym osądzie nie było logiki. Jedynie instynkt.

Podniosła wzrok na ścianę za kanapą, gdzie w ramce z błyszczącego, pomarańczowego drewna mężczyzna powiesił wiązaną, przywodzącą na myśl pogrzeb. Fioletowe kwiaty ułożone w kształt krzyża, dla ochrony spryskane plastikiem. Czyżby z trumny żony? Marnie odwróciła wzrok i spojrzała na butelki po ginie.

— Co się stało z moją córeczką? — Jęk ślizgał się po jego głosie jak surfer po grzbiecie fali. Kenneth Reece był pijakiem, z całym tym przekonaniem o żalości własnego losu, jakie się z tym faktem łączyło. Zapewne uważał się za ofiarę, zupełnie jak Lowell Paton. Kiedy spoglądał w lustro — o ile w ogóle to robił; w jego pokoju nie widać było żadnego — nigdy nie dostrzegał w sobie damskiego boksera.

— Zastanawialiśmy się — powiedziała Marnie — czy może Hope nie kontaktowała się z panem w ostatnim czasie.

— Nie w tym stuleciu. Ten jej mąż... — Reece przyglądał się przeredzające się włosy. Na jego dłoniach odznaczały się mięśnie, teraz już zwiędłe, jednak przywiodły Marnie na myśl ręce jego córki, w których zładnie dostrzegała siłę wypracowaną w czasie prac domowych. Myliła się. Ta tężyzna powstała od podnoszenia cegieł i innych pocisków, którymi Hope łamała mężowi kości.

— Mamy pewne obawy co do jej bezpieczeństwa. Wczoraj wyszła ze szpitala bez wypisu.

— Ze szpitala? — Reece oblizwał wargi, zerkając w stronę butelki ginu.

— Mieliśmy nadzieję, że podpowie nam pan, gdzie jej szukać. Wydaje nam się, że przebywa w centrum Londynu. Domyśla się pan, gdzie mogła się udać?

— A co jest nie tak z jej domem?

— Wiemy, że jej tam nie ma.

— A ten jej mąż nie wie, gdzie się podziała?

— Leo Proctor leży w szpitalu.

Identyczna reakcja. Jego wzrok uciekł do butelki, uwaga się rozpraszała.

— A dlaczego niby?

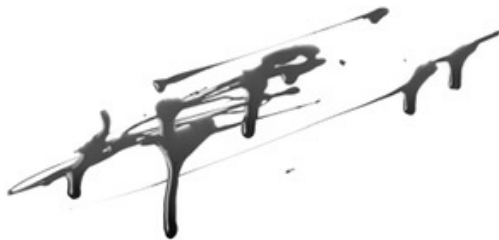
— Hope dźgnęła go nożem.

To zdołało go zainteresować.

— Nożem? Dźgnęła?

— Zgadza się. Czy to pana dziwi?

— Zuch dziewczucha. — Wykrzywił spragnione usta w uśmiechu. — Moja córeczka.



W ŁAZIENCIE Hope przeszukała kieszenie Noaha i zabrała mu portfel, legitymację policyjną oraz telefon. Tymczasem Simone — gdy już pomogła Hope zaciągnąć tam Noaha, związać mu kostki i przymocować linką ręce do rur pod umywalką — wróciła do kuchni. Detektyw nie mógł przeszkodzić Hope w zabraniu wszystkiego, czego tylko chciała.

Zostawiła nóż w kuchni, ale przyniosła ze sobą młotek oraz brązową walizkę; właśnie taką opisywał Felix Gill. Noah przypomniał sobie ich bezowocne poszukiwania rzeczy, które mogła zabrać Hope. Teraz nie chciał już wiedzieć, co się znajdowało w walizce.

Hope przejrzała zawartość jego komórki. Noah modlił się, by z niej skorzystała. Nawet gdyby nie wykonała żadnego telefonu, wystarczyłoby, żeby zostawiła ją włączoną, a komisariat mógł go wysledzić.

— Gdzie jest Simone? — zapytał. — I Pauline?

Hope spojrzała na niego pytająco.

— Tak się nazywa jej matka, prawda? A jej ojciec, Charles, jest gdzieś tutaj?

Pauline i Charles Bissellowie. Miał nadzieję, że się nie pomylił; próbował przypomnieć sobie szczegóły rozmowy z Edem Bellokiem w szpitalu.

Hope podniosła komórkę.

— Dziwny z ciebie policjant.

Noah uniósł głowę, żeby zobaczyć, co Hope znalazła w telefonie. Stara wiadomość od Dana, z uśmiechem w roli podpisu. Noah zachowywał tylko zabawne albo sprośne SMS-y, bo takie przypominały mu, że istniało życie poza pracą.

Dziwny z ciebie policjant...

— Bo istnieją ludzie, którym na mnie zależy? Są też tacy, którym zależy na tobie, Hope. I Simone, i jej rodzicach.

— Pauline i Charles. — Usiadła na podłodze, jakieś półtora metra od niego. — Domyślam się, że tego was uczył. Powtarzaj imiona, żeby przypominać porywaczowi, że to ludzie. A może to porywacz powinien sobie przypomnieć, że jest człowiekiem? — Podciągnęła nogi i skrzyżowała, jej drobne ciało ginęło w obszernym dresie. Jasne włosy zebrała w kucyk. Twarz miała w kształcie serca, bez grama makijażu na bladej skórze.

— Jesteś człowiekiem — powiedział.

Pokazała palcem na telefon.

— A ty jesteś gejem.

Co to miało znaczyć? Chciała go obrazić? Oskarżyć? Szukała usprawiedliwienia na to, co zamierzała z nim zrobić? Bez względu na to, skąd się wzięło to stwierdzenie, odpowiedź mogła być tylko jedna:

— Tak, jestem gejem.

— Co, jeśli nienawidzę gejów?

— Co, jeśli nienawidzisz Jamajczyków? Na ten temat też mam kłamać?

A co z mężczyznami? Pomyślał. Co, jeśli nienawidzisz mężczyzn?

Bawiła się komórką, krzywiąc nos na kolejną wiadomość od Dana.

— Nie pytałaś mnie o życie. Byłaś ciekawa, czy jestem gejem, a ja powiedziałem ci prawdę. —
Począł sekundę i dodał: — I tak byś wiedziała, gdybym skłamał.

Spodobało jej się to. Kiwnęła na niego głową.

— Dlaczego?

— Bo sama jesteś w tym taka dobra. W ukrywaniu się. Udawaniu, że jesteś kimś innym.

— Ty też udajesz. Udajesz, że jesteś detektywem, ale wcale na niego nie wyglądasz, leżąc tutaj.

Prawda. Przeciętny detektyw nie spędza wieczorów przywiązany do rury pod umywalką w łazience obcych ludzi. A przynajmniej Noah nigdy o tym nie słyszał. Może powinien poprosić Wellanda, żeby przedstawił go wyżej postawionym śledczym...

Zamrugał, żeby się skupić. Ból w rękach powoli nabierał intensywności, a kostka raz piekła, raz rwała. A jednak Hope jeszcze go nie skrzywdziła, nie poważnie, jeszcze nie.

— Gdzie jest Simone? — zapytał znowu.

— Szykuje kolację. — Hope kopnęła w drzwi łazienki. Otworzyły się szerzej, wpuszczając do środka zapach smażonej ryby. — Jesteś głodny?

— Spragniony — przyznał Noah. — I muszę skorzystać z toalety.

Wyprostowała nogi i podniosła się.

— Na podłodze jest terakota, łatwo ją zmyć.

Po raz pierwszy Noah poczuł płomień rozpaczy między zębami.

— Hope...

Znowu podniosła jego telefon.

— Mogą go namierzyć? — Zauważyła, że zastanawia się nad odpowiedzią. — Lepiej powiedz prawdę, poznam się na kłamstwie.

— I tak już zdążyli ją wyśledzić.

— W takim wypadku — odparła — położymy na stole więcej talerzy.

Wariatka. A może nie?

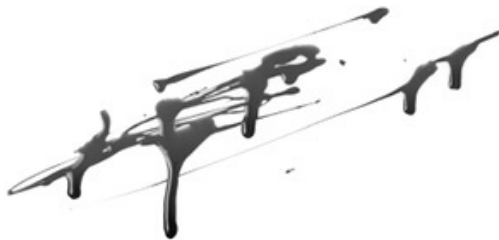
— Hope, nie odchodź. Porozmawiajmy. Ktoś musi cię wysłuchać.

Wykrzywiła usta w uśmiechu.

— Tego też was uczą. Porywacze chcą zostać wysłuchani. W takim razie chyba nie mogę być porywaczką, bo nie mam nic do powiedzenia, ani tobie, ani nikomu innemu.

Zamknęła telefon, zaciskając go w pięści.

— A teraz ty też nie.



W BUDYNKU KOMUNALNYM sąsiad Kennetha Reece'a lał wodę z kranu. Napełniał zlew albo wannę. Dźwięk rozchodził się po rurach, bulgocząc i dudniąc.

— Nie martwi pana, że Hope zaginęła? — zapytała Marnie. — Że oskarża się ją o usiłowanie zabójstwa?

Reece nie musiał wiedzieć, że nie zdążyli jeszcze postawić jej żadnych zarzutów.

— Jestem pewien, że miała swoje powody. — Reece leniwie obrzucił wzrokiem pokój.

— Do zabicia męża.

— Do czegokolwiek. To zuch dziewczyna, jak już mówiłem. — Pochylił się do przodu. Poły płaszcza rozchyliły się na zmizerniałych udach, nakrapiane fioletem niczym kwiaty na ścianie. Posłał jej niewprawy uśmiech. — Moi mili goście może czegoś się napiją?

— Nie, dziękuję. Nie pierwszy raz zaatakowała Leo. Ustaliliśmy, że regularnie go biła.

— Naprawdę? — Reece słuchał jej jednym uchem. Jeśli zaraz nie dostanie alkoholu, Marnie nic z niego nie wydobędzie.

— Nie martwi pana, że pańska córka biła i omal nie zamordowała własnego męża? Że policja ściga ją za porwanie niezrównoważonej emocjonalnie kobiety?

— Nic o tym pani nie wspominała.

— Wspominam o tym teraz. Panie Reece, musimy odnaleźć pańską córkę.

— Chciałbym pomóc. — Udał entuzjazm, żeby wykorzystać go jako wymówkę do sięgnięcia po butelkę i wylania resztek alkoholu do szklanki. — Ale, jak już mówiłem, nie odzywała się do mnie od wieków. Odkąd zmarła jej matka. — Zdołał zebrać w sobie dość samokontroli, żeby nie przyssać się do szklanki i zamiast tego odczekać sekundę przed podniesieniem jej do ust.

— Jej matka zmarła w październiku, prawda?

Kiwnął głową, w oczach znowu miał łzy. Marnie zdała sobie sprawę, że mężczyzna czeka na kondolencje. I się nie doczeka.

— Hope przyjechała do pana po śmierci matki?

— Tak. — Kolejny łyk z brudnej szklanki. Zapomniał o szlafroku, który wisiał rozchylony aż do pasa, pokazując wychudzoną klatkę piersiową nad brzuchem wielkości piłki do rugby. Był tam, pod lewym sutkiem. Tatuaż z wzorem serca przebitego strzałą. Taki sam, jaki Hope zrobiła sobie i wymusiła na

mężu. Na skórze Kennetha Reece'a wyglądał jak jątrząca się rana.

— Bardzo ją to przygnębiło?

— Hope? Nie, skąd. — Przycisnął usta do krawędzi szklanki. — Hope to moja kochana wojowniczką.

Moja zuch dziewczyna.

— A z czym musiała walczyć, panie Reece? Z tym, z czym jej matka nie potrafiła?

— Protestuję. — Kiwnął na Eda. — Niech pan zapisze, że ja protestuję. Zakładam, że pan tutaj robi notatki, bo ani razu się pan nie odezwał.

Ed uśmiechnął się do niego neutralnie. Jego obecność irytowała Reece'a i właśnie dlatego Marnie chciała go ze sobą zabrać.

— Przeciwno czemu pan protestuje? — zapytała.

— Tym insynuacjom o mojej żonie. — Pokazał na nią szklanką, a potem zazdrośnie przystawił ją z powrotem do ust.

— Co takiego pańskim zdaniem insynuuję?

Pokręcił głową, żeby móc dłużej potrzymać gin w ustach. Gin, alkohol żałobników. Jego łyzy pewnie miały osiemdziesiąt procent.

— Pozbądźmy się wszelkich wątpliwości, dobrze? — powiedziała Marnie. — Insynuuję, że regularnie bił pan żonę, panie Reece, na oczach córki. Że Hope wychowała się w domu pełnym przemocy. Każdego dnia oglądała pańską pięść w akcji.

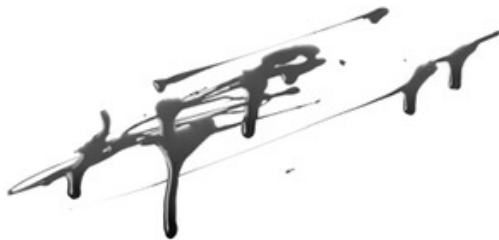
Kenneth Reece strzepnął powycierany mankiet szlafroka.

— Proszę wybaczyć, pani komisarz, ale co pani może wiedzieć o mojej rodzinie? Nasłuchiwała się pani tego budowlańca, za którego wyszła moja córka, cóż... Ostrzegłem ją, gdy tylko przyprowadziła go do domu. „Będziesz musiała wziąć go w obroty”, powiedziałem. Jaki facet — spojrzał na Eda — siedzi bez słowa, gdy kobieta gada za niego? Jeśli to *jego* się pani nasłuchiwała...

— Przeczytałam kartę medyczną pańskiej żony — odparła Marnie. Nie do końca była to prawda; poprosiła o kopię karty po spotkaniu z Leo w szpitalu, ale wcześniej rozmawiała, choć krótko, z pracownikami hospicjum, w którym umarła Gayle Reece. — A dokładniej wpisy sprzed choroby nowotworowej. Ale tak, skoro już pan o tym wspomina, Leo Proctor przekazał nam, co mówiła Hope na temat tego, jak traktował pan żonę.

Kenneth Reece machnął tylko ręką.

— Hope nigdy nie miała problemu — odparł — z niczym.



ŚWIATŁO rykoszetowało od kafelków i chromowanych elementów. Hope wróciła do kuchni, zostawiając Noaha samego. Mechanicznie ruszał palcami, żeby wróciło mu krążenie.

Gdzie się podziewała Marnie Rome? Dlaczego nie ostrzegła go, nie wspomniała o tym, że Hope jest psychopatką, kiedy zaczęła ją podejrzewać? Musiało jej to już chodzić po głowie, gdy poprosiła go o wciśnięcie się pod schody w domu Proctorów. Te pytania o rozmowę telefoniczną Hope w szpitalu... Zdał sobie teraz sprawę, że Marnie się czegoś domyślała. Podejrzewała Hope i nie powiedziała o tym ani słowa.

Noah nie miał przy sobie broni, nie miał słów, które by mu się na coś zdały. Została już tylko nadzieja na ratunek.

Nadzieja to nie jest odpowiednie słowo. Nadzieja zabija.

Hope zabija. Co do tego nie miał wątpliwości. Wbiła nóż w Leo Proctora, prosto w płuco. Co zrobiła z Bissellami? Chociaż to ich dom, Noah nie widział ani nie słyszał nic, co by świadczyło o tym, że wciąż żyją.

Wołał, ponieważ pomagało mu to rozładować strach. Wołał Simone, wołał Hope. Wierzgał związanymi nogami, kopał w podłogę i bok wanny.

Dźwięk odbijał się od ścian jak piłka.

Oplótł palcami stalową rurę, do której przywiązała mu ręce. Pociągnął, modląc się, by oderwała się od ściany. Szarpnął, aż mięśnie wrzasnęły, by przestał.

Dobra, uspokój się.

Przestań. Przestań.

Widział małe kuleczki kurzu pod umywalką, ciemne włosy z jasnymi odrostami. Włosy Pauline Bissell? Podniósł wzrok na szafki wiszące na ścianie, wyobrażając sobie różnego rodzaju broń, poza zasięgiem. Żyletki i dezodorant zamiast gazu pieprzowego. Wszystko zbyt daleko. Potrzebował czegoś, co znajdowało się bliżej.

Brązowa walizka; niestety z drugiej strony wanny, do tego wciąż nie miał ochoty przeglądać jej zawartości. Zmrużył oczy i dostrzegł niewyraźny czerwony punkt na przodzie koszulki, jak celownik snajpera.

Krew. Drasnęła go czubkiem noża. To nic nie znaczyło, ale wolałby, żeby Hope miała pewniejszą rękę.

Ile można jeść pieprzoną rybę?

Znowu kopnął w wannę, która wydała ten sam głuchy odgłos.

— Hej! Hope. Simone!

Wszystko było lepsze od czekania. Właśnie to mu chodziło po głowie. Wszystko było lepsze od czekania.

Nieprawda.

Czekanie nie mogło równać się z Hope.

Otworzyła drzwi do łazienki, pchając je młotkiem. Nawet nie spojrzała na Noaha. Machnęła młotkiem, łapiąc główkę w dłoń, cień narzędzia wydłużał się i kurczył w świetle lampy. Strach utknął Noahowi w gardle.

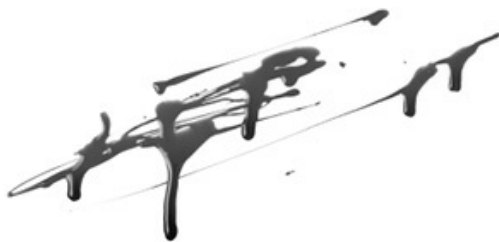
— Hope...

Podeszła do brązowej walizki. Widział ją tylko z boku, jej dziecinnie miękką linię szczęki. Oparła młotek o wannę — z dala od jego stóp — i sięgnęła do wnętrza walizki. Chwyła coś i podniosła.

Coś ciężkiego. Czarnego. Postawiła to na podłodze.

Rosyjski odważnik kulowy.

Kamień z rączką.



ZAPACH GINU był przytłaczający, tłusty, jakby Kenneth Reece się w nim kąpał. On go wypaca, zdała sobie sprawę Marnie, alkohol ulatnia się z niego przez pory.

— Podnosił pan kiedyś ciężary — powiedziała. — To prawda?

Ojciec Hope uśmiechnął się, fałszywa skromność pełną gębą, naznaczona psującymi się zębami.

— Pani też jest w dobrej formie, pani komisarz.

— Po jakie ciężary pan sięgał? Hantle? Sztanga?

— Kettle, odważniki kulowe. — Reece trzymał szklanekę w wyciągniętej dłoni, światło wpadało do środka i lśniło na białą. — Rosyjskie.

— Ile potrafił pan podnieść?

— Dwadzieścia, trzydzieści kilogramów. — Spojrzał leniwie na Eda, jakby z pogardą.

— To trochę dużo, jak na hobby — stwierdziła Marnie.

— Hobby jest dla dzieci. — Reece poprawił szlafrok. Trudno było go sobie wyobrazić z dużymi, jędrnymi mięśniami. A jednak.

— Hope miała jakieś hobby jako dziecko?

— Lubiła patrzeć, jak ćwiczyć. — Znowu przystawił usta do szklanki. — Ale nie była rozbrykanym dzieckiem, jeśli o to pani chodziło.

— Zastanawiam się, czy ona w ogóle była dzieckiem, czy miała coś, co choć przypominało dzieciństwo.

Reece wzruszył ramionami, tak wyraźnie, jakby fizycznie zrzucił z ramion jej obiekcje.

— Tylko dlatego, że nie była rozpieszczona...

— Lubiła patrzeć, jak pan ćwiczy. Z kulami?

— Tak.

Sączył gin. Cóż za godna podziwu powściągliwość.

Marnie przypominała sobie niechęć, z jaką Leo Proctor przedstawił jej zawartość walizki, którą jego żona zabrała z domu. Cóż za przeciwieństwo Kennetha Reece'a, który z lubością chwalił się swoją bronią.

— Pozwolił pan Hope zabrać jeden z odważników, kiedy odeszła z domu. Tak powiedział mi jej mąż. To prawda?

— Poprosiła, więc jej pozwoliłem.

— Do czego, pana zdaniem, był jej potrzebny?

Przytknął wargi do brzegu szklanki.

— Świetnie przytrzymują drzwi.

— Do tego ich pan używał? Do przytrzymywania drzwi?

— Ja je podnosiłem. Mówiłem przecież. — Reece znowu wyciągnął rękę, znajdując najwyraźniej coś godnego podziwu w cienkim nadgarstku, kościstym łokciu. — Trzydzieści, czterdzieści kilogramów, jak profesjoniści.

Szkoda, że bicie żon nie należało do dyscyplin olimpijskich; ten psychopata mógłby wtedy zdobyć tyle medali, że przyćmiłby obwieszono złotymi łańcuchami Lowella Patona. Zastanawiała się, krótko, czy nie mogłaby aresztować Reece'a za podburzanie Hope do przemocy i zapewnienie jej broni.

— I tylko do tego służyły panu kule? Do ćwiczeń?

— A co niby miałbym jeszcze z nimi robić?

No nie wiem, panie Reece, łamać żonie kości? Miażdżyć jej klatkę piersiową, kruszyć czaszkę? I co tam jeszcze mogło zrodzić się w tej chorej, pokręconej głowie.

— Wie pan, co robiła Hope z podarowanym jej odważnikiem?

Kenneth Reece odstawił szklankę, by znowu ją napełnić. Pstryknięcie metalowej zakrętki przyprawiało Marnie o ciarki.

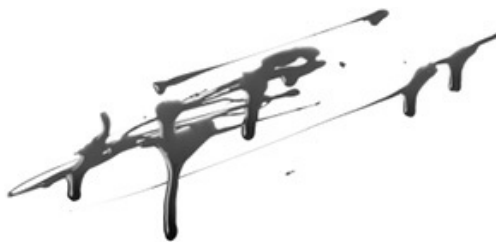
— A dokładniej, co robiła swojemu mężowi, Leo. Człowiekowi, którego radził jej pan wziąć w obroty.

— Przestałem być odpowiedzialny za postępowanie mojego dziecka — oświadczył świętoszkowato Reece — kiedy skończyła osiemnaście lat.

— A mimo to jestem pewna, że chciałby pan wiedzieć. Założę się, że poczuje pan dumę. Jaki ojciec, taka córka.

— Doceniam pani troskę o mój instynkt rodzicielski, pani komisarz, jednak...

— Instynkt rodzicielski? — powtórzyła Marnie. — Ma pan na myśli to, jak pokazał córce, ile szkód można wyrządzić dwudziestoma kilogramami rosyjskiego żeliwa?



NOAH próbował odgadnąć wagę żeliwnej kuli wyjętej przez Hope z brązowej walizki, która teraz leżała na podłodze. Sądząc po wysiłku, jaki kosztował ją ten manewr, spodziewał się dwudziestu kilogramów. On sam nie ćwiczył z więcej niż ośmiokilogramowym odważnikiem.

Simone niosła walizkę po wyjściu z domu Proctorów. Jest silniejsza, niż się wydaje. Podobnie Hope, jeśli faktycznie zamierzała zrobić to, czego obawiał się Noah.

— Hope. Nie musisz tego robić. Ja tylko... martwiłem się o ciebie i Simone...

Schyliła się, łapiąc gruby uchwyt kettle'a obiema rękami. Odważnik należał do tradycyjnych, nie tych błyszczących, które widzi się w modnych siłowniach. Do siłaczy z pokolenia jej ojca. Kettle był ważny; ryzykowała dla niego powrót do domu. Dlaczego? Co sobą reprezentował?

Symbol męskości. Siły. A może czegoś więcej...

Spójrz, jak ciągnie ją do ziemi.

Dobra, starczy tych rozmyślań. Zaczynij gadać.

— Hope. Proszę, zastanów się. Proszę. Zatrzymaj się na moment i pomyśl. Nie chcesz tego robić.

— Ty — odparła — nie masz pojęcia, czego chcę.

Prawda, ale mógł snuć domysły. Leo Proctor miał popękane zębra i złamaną dłoń. Zupełnie jak ktoś, kogo niedawno widział... Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach, goniąc za wspomnieniem zapachu brudnych pieluch, skwaśniałego mleka. Jak...

Jak u Henry'ego Stuke'a.

O cholera, *Stuke*. Stuke obserwował ośrodek. Zmiażdżona dłoń, jak twierdził, w wyniku wypadku przy pracy — czyżby to robota Hope?

Noah zacisnął własne dłonie w pięści, osłonił twarz przedramionami, zdając sobie sprawę, jak kruche miał kości w łokciach i nadgarstkach. Ciało ludzkie składa się z ponad dwustu różnych kości. Hope mogła połamać go w ponad dwustu miejscach. Podciągnął kolana do piersi i przekręcił się na bok. Pozycja płodowa sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej bezbronny wobec ataku. Spod ręki służącej za tarczę zobaczył, jak Hope podnosi kettle'a, jak jej mięśnie się napinają. Wzięła zamach i stanęła nad nim w rozkroku.

— Na plecy — rozkazała. — Nie chcę wołać Simone do pomocy.

Noah zaklął w myślach. Też nie chciał widzieć tutaj Simone, nie w tej sytuacji, nie w roli pomocnicy

Hope w jej chorej grze. Musiał siłą opanować odruchy obronne. Najpierw kolana, wyprostował nogi, a potem przewrócił się na plecy i nic już nie chroniło jego klatki piersiowej przed żeliwną kulą. Nie potrafił odsłonić twarzy ani rozprostować palców u rąk. Próbował, lecz nie zdołał, jego ciało się zablokowało.

Nie miało to dla Hope znaczenia. Dostała to, czego chciała — jego pierś. Ustawiła kettle'a nad sercem Noaha.

Puściła.

Uderzenie było potworne, żeliwny ciężar przygniótł go do terakoty. Ból wystrzelił z żeber i zadławił go wrzaskiem. Noah walczył o oddech, próbując pozbyć się kuli, przekręcając się na bok, chcąc zrzucić ją z siebie. Potrzebował powietrza. Zwierzęcy instynkt, żadnej prawdziwej myśli. *Zabierz to... ze mnie...*

Kula zachybotwała i spadała. Potoczyła się i uderzyła z hukiem w bok wanny. Hope zgięła się w pół. Podniosła go z powrotem, wołając:

— Simone!

Noah nie chciał, by Simone brała w tym udział. Nie mógł na to pozwolić.

— Nie...

Hope zmrużyła oczy.

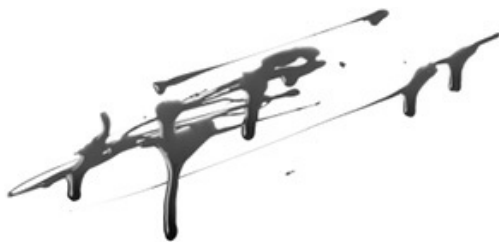
— Na plecy, już — syknęła.

Zrobił, jak mu kazała, a ona znowu upuściła na niego żeliwną kulę, prosto na serce.

Jego zęby poszatkowały wrzask, lecz niewiele.

Wciąż krzyczał, kiedy jej cień się wydłużył, sięgała po coś, a potem pojawił się znowu, większy, z inną końcówką.

Wtedy użyła młotka po raz pierwszy.



KTOŚ WĘDROWAŁ po mieszkaniu na górze. Na jedną stronę pokoju i z powrotem. I tak w kółko. Jak zwierzę w klatce. Marnie starała się zignorować te odgłosy, skupić się na ojcu Hope.

— Nigdy nie miała problemu z tym, że bił pan żonę na jej oczach.

— Nigdy nawet palcem córki nie tknąłem, jeśli do tego zmierza ta rozmowa. — Reece obrzucił wzrokiem fotel, na którym przysiadł Ed. — Nawet po to, by ją zdyscyplinować. Nie musiałem.

— Znęcał się pan nad jej matką, więc trudno się dziwić, że Hope za wszelką cenę starała się być grzeczna. Bądźmy jednak szczerzy, znęcał się pan nad jedną i drugą.

— Nie wie pani, o czym mówi. — Posłał jej protekcyjny uśmiech. — Małżeństwo to prywatna sprawa. Nawet słowa skargi by pani nie usłyszała od mojej żony. A jeśli chodzi o Hope, nigdy nie miała problemu z tym, co robię. — Podniósł szklankę jakby do toastu. — Nie pozwoliła matce zrujnować jej swoją słabością, chociaż, Bóg mi świadkiem, Gayle próbowała. Całe życie cierpiała przez swoje emocje. Wszystko potrafiło wycisnąć z niej łzy. Telewizja, dzieci na ulicy, książki... Nie miała nad tym żadnej kontroli, niestety.

Wszystko potrafiło wycisnąć z niej łzy. Ciekawe. Największe łzy z pewnością wyciskał z niej jej mąż, seryjny oprawca.

— Ale *pan* miał — powiedziała Marnie. — Pan miał kontrolę. Hope mówiła o tym mężowi.

Reece sięgnął po nową butelkę i nalał sobie starannie odmierzoną porcję trunku do szklanki. Trzęsły mu się tylko same koniuszki palców i usta, jak w oczekiwaniu na alkohol.

— O czym rozmawiał pan z Hope podczas jej ostatniej wizyty?

— Bóg jeden wie. O jej matce, jak sądzę, skoro dopiero co umarła.

— Nie mieszkali państwo razem przez jej ostatni rok życia.

— Była w hospicjum, więc nie, nie mieszkaliśmy.

— Do hospicjum trafiła na ostatnie miesiące, a wcześniej przebywała w ośrodku dla kobiet, które padły ofiarą przemocy. Prawda?

— Skoro pani tak mówi, to pewnie prawda. — Reece pił z zamkniętymi oczami i Marnie po raz pierwszy zauważyła, że nie miał rzęs. — Straciliśmy kontakt.

— A czy Hope miała kontakt z matką po tym, jak postawiono diagnozę?

— To pytanie do samej Hope. Osobiście nie wyobrażam sobie, żeby jej stopa powstała w takim miejscu,

siedlisku nerwicy.

— Mówi pan o ośrodku wsparcia dla kobiet, gdzie Gayle uciekła przed panem.

Reece ją zignorował.

— Hope nie wspominała o spotkaniu z matką, kiedy się widzieliśmy.

— Na pogrzebie Gayle. Czy tam się państwo widzieli?

— Myślałem, że to oczywiste. Ostatni raz rozmawiałem z córką na pogrzebie jej matki. Ładnie wyglądała w czarnej garsonce. Jej budowlańiec się nie przejął. Założył te swoje buciory. Uwierzy pani? Buciory budowlańca. Nigdy nie rozumiałem, co Hope w nim widzi.

— Pańskim zdaniem go nie kochała?

Reece prychnął.

— Oczywiście, że nie.

— To dlaczego za niego wyszła?

— Chyba uznała, że jeszcze robi z niego człowieka.

Marnie czekała na dalszy ciąg, ale Reece zamilkł.

— Powiedział pan, że na pogrzebie była spokojna. Jak to możliwe, skoro dopiero co umarła jej matka?

— Nie okazywała tego, to wszystko. Przeciwnieństwo amatorskich dramatów Gayle. — Reece spojrział na Eda i Marnie, w oczach błyszczała mu duma. — Nawet raz nie widziałem, żeby Hope płakała. Nawet raz.

— A nie wydaje się panu, że akurat na pogrzebie matki powinna zapłakać?

Ty nie płakałaś, wtrąciło złośliwie sumienie Marnie. Na pogrzebie rodziców znajdowała się w głębokim szoku, była zupełnie odrętwiała. Czy tak właśnie czuła się Hope na pogrzebie matki? Odrętwiała. Zbyt duża dawka przemocy może dać taki efekt, jak zbyt dużo wina. Tępi wszystkie krawędzie, nawet z tych rzeczy, które miały znaczenie. Czasami ból bywa zbawieniem. Budzi cię, pomaga ci *czuć*.

— Czy zdawał sobie pan sprawę, że pańska córka spotyka się z brutalnymi mężczyznami? Takimi, którzy ją krzywdzą fizycznie.

Ojciec Hope w milczeniu zaaplikował sobie kolejny łyk płynnego środka znieczulającego.

— Lekarz mówił, że pańska córka ma obrażenia, jakie widuje się u prostytutek. Zwłaszcza tych, które obsługują klientów ze skłonnościami do sadyzmu.

I kolejny łyk. Pójdzie w nogi, tak jak poszło w serce, pozbawiając je czucia.

— Leo nie chciał się nad nią znęcać — powiedziała Marnie. — Nienawidził tego. Kiedy odmawiał, podrywała nieznanym w barach i dawała im się bić. Miała szczęście, że nie skończyło się tragicznie.

Nieszczęśliwie dla Simone Bissell.

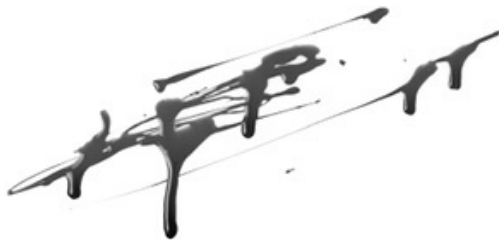
Reece przytulił szklankę do piersi, jak niemowlę.

— Pańska córka potrzebuje, by ktoś zadawał jej ból. Myśli pan, że to czyni ją silną? — Marnie chciała zobaczyć, jak drży mu ręka, nawet jeśli powodem byłby tylko gin. Chciała zobaczyć jakiś znak, że Reece rozumiał, do czego doprowadziły jego czyny. — Ja uważam, że to czyni ją smutną i chorą. A także niebezpieczną. Tak dla siebie, jak i dla innych.

— Przestałem odpowiadać za nią — powtórzył Reece — kiedy skończyła osiemnaście lat.

— Ależ jest pan odpowiedzialny. Zawsze będzie pan odpowiedzialny. Jeśli pan tego nie rozumie, żal

mi pana. To żalosne. Leo Proctor jest pięć razy takim mężczyzną, jakim pan kiedykolwiek mógłby być.
Kenneth Reece popatrzył na nią znad krawędzi szklanki, zza alkoholowej mgły.
Znajdował się zbyt daleko, by mogła go dotknąć. Tuż za zasięgiem.
Zupełnie jak jego córka.



W KUCHENNYM ZLEWIE Bissellów leżały brudne naczynia. Simone wyrzuciła swoją porcję ryby do kosza. Ten kawałek, który zdążyła włożyć do ust, okazał się pełen ości, poranił jej delikatne podniebienie.

W domu panowała cisza, z łazienki nie dobiegały żadne dźwięki. Simone bała się patrzeć w tamtym kierunku, by nie sprowokować tym Hope do powrotu. Zostawiła policjanta, gdy krzyczał. Przyniosła do kuchni młotek i odważnik i ustawiła je obok krzesła, kiedy usiadła do posiłku. Sierżant Jake był teraz cicho. Simone nie miała żadnego dowodu na to, że wciąż żyje. Bała się o to zapytać, bo nie wiedziała, co usłyszy.

Po zjedzeniu obiadu Hope zajęła miejsce na podłodze, obok odważnika i młotka, kiwając na Simone, żeby do niej dołączyła. Simone zrobiła, co chciała Hope. Na podłodze było zimno. Nogi Simone wydawały się sztywne jak u staruszki.

— Odważnik ojca był ciepły — powiedziała Hope. Dotknęła czarnej żeliwnej kuli jak krucyfiks albo zwierzaka. — Rączka pachniała jego skórą. Patrzyłam, jak ćwiczy. Pochylał się i kołysał kulą, najpierw do pasa, a potem wyżej, nad głową.

Simone chciała zatkać uszy, ale nie zrobiła tego. Siedziała i słuchała, z całych sił próbując powstrzymać łzy. Hope nie zadawała już więcej pytań o jej dzieciństwo i za to Simone była wdzięczna. Teraz Hope chciała, żeby to jej posłuchać. Nie było łatwo, gdy Simone czuła taki strach, taki chłód. To było niemal gorsze od mówienia. Nie wiedziała, co Hope ma jej do powiedzenia. Domyślała się jedynie, że musiało się wydarzyć coś potwornego, co wpłynęło na nią w ten sposób. Simone bała się tej potwornej rzeczy, bała się obrazów, które umieści w jej myślach.

— Podnosił kulę nad głowę, za wysoko, żebym mogła sięgnąć. — Oczy Hope zaszyły mgłą wspomnień. — Nawet wtedy, gdy stanęłam na palcach i wyciągałam rękę, próbując dosięgnąć, próbując dotknąć. — Złapała Simone za rękę i nie puszczała. Najwyraźniej nie zauważyła, jak zimne były jej palce ani jak bardzo się trzęsły. — Przy ćwiczeniach zamykał oczy. — Hope naśladowała ten gest, a Simone wydała zduszone westchnięcie ulgi, że choć na moment została uwolniona od przeszywającego spojrzenia tej kobiety. — Jego mięśnie... wyglądały, jakby pod skórą chodziły mu myszy.

Hope znowu otworzyła oczy.

— Nie patrzył na mnie. Chciałam, żeby popatrzył. Chciałam, żeby mnie tak podniósł, najpierw do pasa, a potem ponad głowę. Wysoko, wysoko ponad głowę.

Splotła ich palce i powiodła je w stronę odważnika. Był taki twardy i ciężki.

Simone wzdrygnęła się.

— Ciii — powiedziała Hope. — Cicho, popatrz na mnie.

Simone posłuchała i zobaczyła ją przez łyzy.

— Nigdy wcześniej o tym nie mówiłam — powiedziała i przez sekundę wydawała się wściekła.

Simone wiała się, próbując uwolnić rękę, ale wiedziała, że nic z tego. Ona to zrobiła. Przeprowadziła tutaj tę kobietę i teraz musiała wysłuchać wszystkiego, co Hope chciała powiedzieć. Musiała powstrzymać ją przed zabranie kuli i młotka z powrotem do łazienki.

Hope głaskała żeliwo ich splecionymi dłońmi.

— Kiedy kończył, przystawiałam do kuli głowę i słyszałam, jak dzwoni, jak *drży* przy moich ustach, ale szybko stygła. Była też ciężka, zbyt ciężka, żebym mogła ją unieść, nawet kiedy naprawdę się starałam. Zupełnie jakby ktoś przykleił ją do ziemi. — Roześmiała się.

Simone po raz pierwszy słyszała jej śmiech.

— Chciałam być tak silna, by móc ją podnieść — powiedziała Hope — i podać ojcu, kiedy poprosił. Ale kula zawsze była taka ciężka... Zimna jak kran, chyba że przed chwilą z nią ćwiczył. Wtedy rączka była ciepła. Śliska. — Schyliła się i przyłożyła policzek do uchwytu odważnika.

Nieprzyzwoicie. Simone nie wiedziała dlaczego, ale cała scena wyglądała nieprzyzwoicie.

— Spałam, zwinięta w kłębek naokoło kuli. Czasami — znowu śmiech — oplatałam rączkę palcami i trzymałam, błagając ojca, by podniósł i mnie, kiedy ćwiczył.

Jej oczy błyszczały na tle ciemnego żeliwa.

— Zupełnie jakbym latała, cała krew odpływała mi do pięt i palców, w głowie robiło się lekko. *Pusto...* Uwielbiałam to. Czasami tata mnie całował przed odstawieniem z powrotem na ziemię.

Wtedy zrobiła coś potwornego. Gorszego niż wszystko, co Simone zobaczyła oczami wyobraźni, znacznie gorszego, ponieważ tak niezrozumiałego.

Położyła się na podłodze i przycisnęła usta do grubego, czarnego odważnika.

A ponieważ nadal trzymała dłoń Simone, ona też musiała się położyć. Obok Hope. Obok żeliwnej kuli, oplatając palcami rączkę.

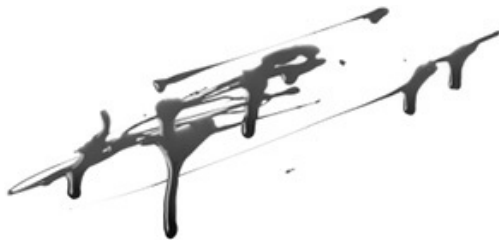
— Nic innego nie było w stanie mnie poruszyć — szepnęła Hope. — Prócz niego. *Ona* nie miała dość siły, nawet kiedy nie była chora. — W jej głosie brzmiało obrzydzenie; Simone rozpoznała jego gorzki posmak. — Tylko *on* mógł mnie podnieść. Nikt inny.

Z ust Simone coś się wyslizgnęło; szloch, którego nie potrafiła już dłużej wstrzymać.

— Cicho — ostrzegała Hope. — Cicho.

Podniosła głowę, jej oczy miały szalony odcień błękitu, jak letnie niebo.

— Nigdy o tym nie mówiłam. Nikomu. Jesteś pierwsza.



NA ZEWNĄTRZ, przed domem komunalnym, świecił niespokojny księżyc. Marnie spojrzała na zasłonięte okno Kennetha Reece'a.

— On nie ma pojęcia, prawda? Nie rozumie, że zrobił z Hope potwora.

— Córka służyła mu za alibi. — Ed oparł ręce na otwartych drzwiach samochodu. W jego głosie pobrzmiwało zmęczenie. — To ona mówiła mu, że jest dobrym ojcem, może nawet dobrym mężem.

— Ale nie mogła w to naprawdę wierzyć?

— Trudno powiedzieć. Musiała w coś wierzyć, żeby znaleźć jakiś sens w tym, co się działo w domu. W ten sposób Reece zmusił córkę do współdziałania, uczynił ją częścią kręgu przemocy, a także milczenia. To ogromny ciężar dla dziecka. Miałaś rację na temat śmierci jej matki. Hope musiała nagle zdać sobie sprawę z tego, co zrobiła w dzieciństwie, i co nadal robiła Leo. Podejrzewam, że to była kropla, która przelała czarę.

Marnie odczekała jeszcze chwilę, żeby zobaczyć, czy zasłony w oknie Kennetha Reece'a zafalują, jednak mężczyzna skupiał swoją uwagę na czymś innym. Na butelce. Marnie otworzyła drzwi i wsiadła do samochodu. Ed zaraz zrobił to samo.

— Nie tego się spodziewałam — zauważyła. — Po ojcu Hope.

— Tacy jak on przybierają różną postać. — Ed potarł dłońmi oczy. — Chryste, ależ jestem zmęczony. Będziesz mi musiała wybaczyć te frazesy.

— Myślisz, że wybrała Leo, ponieważ fizycznie w niczym nie przypominał jej ojca? Czy może raczej kogoś bez tej jego przebiegłości, bez tych wymówek...

— Możliwe. Sądząc po tym, co mi o niej mówiłaś, w przypadku Hope wszystko kręci się wokół kontroli. Zobaczyła, co się stało, kiedy jej ojciec stracił panowanie nad sytuacją, a matkę zawsze uważała za uległą. Te skłonności do manipulacji to sztuczka, której się szybko nauczyła w dzieciństwie. Kontrolowanie to już inna para kaloszy. Była jej spragniona. Uzależniła się.

Marnie w pierwszej chwili nic nie odpowiedziała. Ed miał rację, oczywiście; chęć sprawowania kontroli mogła stać się uzależnieniem. Hope od wczesnych lat dziecięcych była świadkiem przemocy — siły niszczącej jej rodzinę; naturalną reakcją była potrzeba bycia silną, panowania nad sytuacją. Złożenia sobie obietnicy, że nigdy nie będzie ofiarą. Z tym Marnie mogła się identyfikować — ale tylko z tym.

— Znęcanie się nie jest jednostronne — przypomniła Edowi. — Hope lubi też czuć ból, co oznacza,

że w tym wszystkim tkwi jeszcze element kary. Naprawdę myślałam, że Reece zareaguje, lecz on najwyraźniej ma to wszystko gdzieś.

— To jego strategia obronna. Jeśli zacznie się przejmować, załamie się.

— O ile w ogóle jest zdolny do przejmowania się czymkolwiek. Myślisz, że jest? Ja nie.

— Zależy, kiedy zaczął pić — odparł Ed. — I dlaczego. Sądząc po żółtym zabarwieniu skóry, jego wątroba długo nie pociągnie.

— Z tego względu dostał mieszkanie? Zakładam, że zazwyczaj miasto nie oferuje kwaterek damskim bokserom.

— Bez wyroku... bez śladu znęcania się nad Hope i Gayle w papierach...

— Mamy przerąbane. — Marnie dołączyła do długiego szeregu samochodów jadących w stronę centrum. — Wciąż nie wiemy, gdzie się podziała Hope. — Zerknęła na zegarek. — Wiesz, czego nas uczą na temat poszukiwania osób zaginionych? „Jeśli masz wątpliwości, myśl o morderstwie”. Miałam nadzieję usłyszeć od Kennetha Reece’a coś, co odwiedzie mnie od myśli, że Hope może uciec się do zabicia Simone Bissell. Niestety nie dał mi żadnego powodu, by w to nie wierzyć.

Ed nic nie mówił, opierając głowę o okno po stronie pasażera. W końcu stwierdził:

— Zakładamy, że Hope uciekła ze szpitala, ponieważ Leo odzyskał przytomność albo miał duże szanse ją odzyskać, a wtedy nie mogłaby dłużej tłumaczyć się działaniem w obronie własnej. To jednak w żaden sposób nie wyjaśnia, dlaczego zabrała ze sobą Simone. Przecież lepiej byłoby jej uciekać w pojedynkę. Z tego, co słyszeliśmy, nie potrzebuje wsparcia ani współczucia. Rozumiem, że Hope potrzebowała Simone jako świadka w ośrodku; kogoś, kto przysięgłby w ciemno, że to ona jest ofiarą. Jednak Simone jako towarzysza ucieczki nie ma sensu.

Miał rację. Sytuacja była bardziej skomplikowana niż zwykłe porwanie czy chęć zemsty. Między Hope i Simone musiała istnieć więź.

— Może potrzebowała innego rodzaju świadka — oznajmiła Marnie.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem dokładnie. Próbuję to właśnie zrozumieć.

Znowu zatrzymała ich sygnalizacja świetlna.

Przez ulicę przeszły uczestniczki wieczoru panieńskiego, prowadząc jedną z koleżanek. Różowe królicze uszka i ogonki, różowy welon dla przyszłej panny młodej. Ani jedna z nich nie była trzeźwa.

— Teraz na pewno już wie. — Marnie zdjęła ręce z kierownicy, rozprostowała palce. — Simone. Teraz na pewno już wie, jaka naprawdę jest Hope. Jak ją wykorzystała, co chciała osiągnąć.

Ed nic nie mówił, bez słowa patrząc na chwiejące się kobiety.

— A co miał do powiedzenia Tim Welland? Wspominałaś, że odbyłaś z nim rozmowę, kiedy ja siedziałem w ośrodku.

— Zrobił mi wykład o negocjacjach z porywaczem — odparła sucho Marnie. — Cytował Arystotelesa.

— *Ethos, pathos, logos*. — Ed wyraźnie jej współczuł. — Wspominał też Polybiusa?

— Nie słyszałam, ale mogłam się wyłączyć na chwilę. Kim był Polybius?

— Synem greckiego zarządcy, przez długie lata był przetrzymywany jako zakładnik. Ostatecznie zabił większość swoich porywaczy podczas plądrowania Kartaginy. Kiedyś usłyszałem ten sam wykład, od człowieka, który chciał udowodnić, że nie każdy zakładnik cierpi na syndrom sztokholmski.

— Simone Bissell była taką zakładniczką.

— Może na pierwszy rzut oka — zgodził się Ed — ale Paton więził ją przez rok. To musiało odcisnąć na niej swoje piętno pod względem emocjonalnym.

— Simone jest silna. — Marnie zdała sobie sprawę, że powtarza te słowa jak mantrę. Oboje je powtarzali.

— Być może będzie potrzebowała czegoś więcej — rzekł Ed. — Siła potrafi być niebezpieczna. Popatrz na Hope. Przetrwiała dzieciństwo, udało jej się uniknąć losu matki, jednak ta siła zostawiła na niej więcej niż ślad, wykoślawiła całą jej psychikę.

— Dobra, czyli Simone jest więcej niż silna. Jest też waleczna.

Przyszła panna młoda i jej koleżanki zniknęły z ich pola widzenia, jednak zostało po nich stukanie obcasów o bruk.

Marnie jechała w stronę mieszkania Eda. Piętnaście minut zajęło jej dotarcie na miejsce i tuż przed północą Ed wysiadł z samochodu.

— Leo nie ma jakiegoś pomysłu, gdzie mogła się udać Hope? — zapytał na odchodne.

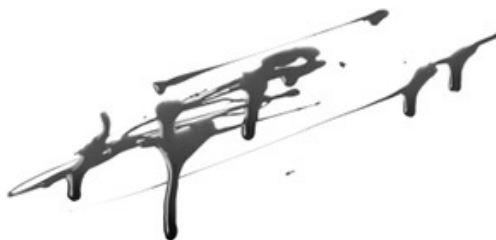
— Mówi, że nie, ale może powinnam mu zadawać lepsze pytania. Zabrałabym cię ze sobą, jednak...

— Nie mam nic lepszego do roboty. — Ed nie zabrał jeszcze ręki z otwartych drzwi. — Więc jeśli się na coś przydam...

— Przydasz się, ale to zadanie muszę wykonać sama. Jemu nie odpowiada towarzystwo innych mężczyzn.

— Nie dziwi mnie to. — Pokiwał głową. — Cóż, jeśli byłbym potrzebny, wiesz, gdzie mnie szukać.

— Nie *jeśli*, tylko *kiedy*. Dzięki, Ed. Wyśpij się porządnie.



KSIĘZYC rzucał swoje surowe światło na kuchenną podłogę, gdzie siedziała Simone Bissell, cała się trzęsąc.

Przez ponad pół godziny z łazienki nie docierały żadne dźwięki. Simone nie miała dość odwagi, by choćby spojrzeć w tamtą stronę, żeby nie sprowokować Hope. Przy Lowellu trzymała głowę nisko i robiła, co jej kazał, tak jak to było na początku u Bissellów. Całe życie musiała spuszczać głowę, z wyjątkiem zajęć z baletu, gdzie musiała podnosić ją wysoko, wyżej, czując pieczenie na karku z nerwów, martwiąc się, że nauczycielka zacznie ją dyscyplinować na oczach wszystkich. Sama zaczęła się dyscyplinować, żeby zawsze robić wszystko tak, jak inni sobie życzą; głos w głowie karcił ją, jeszcze zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.

Nie wchodź na trawę, trzymaj się ścieżki. Nie szuraj nogami. Nie guzdraj się. Nie włączaj światła po dwudziestej drugiej. Trzymaj się z dala od innych. Cicho. Bądź cicho. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Milcz.

Nie teraz. Wyjdź. Odejdź. Twój ojciec teraz śpi. Twoja matka potrzebuje odpoczynku. Wyprostuj się.

Nie patrz tak na mnie.

Pukaj przed wejściem, poczekaj na zaproszenie, to nie jest twój pokój. Nie podchodź.

Nie teraz! Wyjdź!

Nie dotykaj. To nie jest zabawka. Nie patrz tak na mnie.

Posprzątaj tu. Masz brudne ręce. Popatrz, jak się umazałaś! Kolorowe ubrania pierz oddzielnie. Używaj szczoteczki do paznokci. Odstawiaj rzeczy tam, skąd je wzięłaś. Idź do swojego pokoju.

Dobra dziewczynka.

Hope nazwała ją dobrą dziewczynką.

Simone nie wiedziała, czego chce Hope. Gdyby wiedziała, zrobiłaby to. Ale nie miała pojęcia; nie miała zielonego pojęcia, co siedzi w głowie tej kobiety.

Łącząca je cisza, którą pomyliła z silną więzią, była tylko ciszą. Simone wrzuciła kamyk zaufania do tej studni — i nigdy, przenigdy nie usłyszy, jak ląduje na dnie.

Hope kazała jej się rozebrać. Kazała jej pokazać blizny pozostawione przez noże matki. Simone trzęsła się, czekając na dotyk, spodziewając się — czego właściwie?

Błogosławieństwo — tego słowa używały kobiety w kościele w Apac. Simone nie wydawało się, by

Hope pragnęła błogosławieństwa. Przeczył temu sposób, w jaki obejmowała odważnik, *całowała* odważnik.

Hope pragnęła jej bólu. W pewnym sensie... karmiła się nim.

Kiedy siedziały razem w ciemności, w ośrodku, to nie ręce Simone trzymała Hope, lecz jej blizny. Jej przeszłość. Wszystko, co kiedykolwiek sprawiło jej ból. Wszystko, co się w niej zagoiło.

Hope sięgnęła po to, zakradła się pod jej skórę i zabrała Simone całą siłę, zostawiając ją z niczym.

Jeszcze jej nie skrzywdziła, ale skrzywdziła *jego*; Simone знаła ten zapach. Zaczęła drapać swoje przedramiona, przestraszona.

Wtedy z łazienki dobiegły odgłosy kopania.

Detektyw znowu próbował się wydostać. Simone zamarła, wstrzymując oddech, bez ruchu. Gdyby mogła, zatrzymałaby bicie własnego serca.

Hope nie krzyknęła, nie westchnęła. Podniosła się bez słowa i ruszyła do łazienki. Ubrania podarowane przez Simone były zbyt duże, szare rękawy skrywały dłonie kobiety, gdy podniosła odważnik i młotek.

To nie jest zabawka. Młotek to nie zabawka...

Hope dotarła do drzwi łazienki i zatrzymała się przed nimi, by obejrzeć się przez ramię na Simone.

— Zajmie mi to tylko chwilę — powiedziała z uśmiechem. Zupełnie jakby szła przemyć twarz albo poprawić fryzurę.

Simone chciała się pomodlić, lecz nie przychodziły jej do głowy żadne słowa prócz tych, których nauczyli ją Bissellowie, a nawet z tych pamiętała tylko kilka wersów: *Wszystko, co duże, niech chwali Pana. Wszystko, co małe, niech chwali Pana.*

Ale co było małe? Mrówki i... pchły. Co jeszcze?

Kijanki i larwy komarów. Pyłek kwiatowy i muchy tse-tse.

Szarańcza i krople wody.

Nasiche. Nazywała się Nasiche Auma. *Urodzona w sezonie szarańczy.*

Hope pchnęła drzwi do łazienki główką młotka.

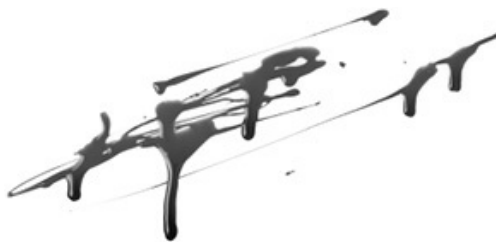
Weszła do środka.

Kopanie ustało. Żelazo zadzwoniło o żelazo.

Krzyk.

Simone zatkała uszy i zaczęła kołysać się w przód i w tył.

— Wszystko, co małe — recytowała, żeby zagłuszyć odgłosy z łazienki. — Wszystko, co małe, malutkie...



LEO PROCTOR jeszcze nie spał, mimo późnej godziny.

— Gdyby już zasnął — oznajmiła pielęgniarka — odprawiłabym was z kwitkiem, policjanci czy nie.

— Wyjdę — obiecała Marnie — jak tylko zauważę, że jest zmęczony.

Leo powitał ją z ulgą, kiedy zdał sobie sprawę, że jest sama.

— Rozmawiałam z Kennethem Reece'em — powiedziała mu. — Niestety niewiele nam pomógł.

Leo popatrzył uważnie na jej twarz.

— Jeszcze jej nie znaleźliście.

— Obawiam się, że nie. — Przysunęła krzesło do łóżka. — Martwimy się o Simone. O Hope też.

— Simone to ta kobieta, z którą się zaprzyjaźniła w ośrodku? — Leo podniósł się nieco, krzywiąc się.

— Tak. — Pomogła mu z kocem. — Spokojnie.

— Nic mi nie jest.

— Świetnie, ale i tak się nie forsuj. — Posłała mu uśmiech. — Nie chcę, żeby mnie stąd wykopano za nękanie pacjenta. — Odwzajemnił uśmiech, a potem zamrugał i odwrócił wzrok. Domyśliła się, że minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz uśmiechał się w ten sposób.

— Hope nie potrafi jeździć samochodem, prawda?

Kiwnięcie głową w odpowiedzi.

— A telefon? Używa komórki?

— Nie, nigdy nie używała.

— No dobrze... — Następne pytanie było trudne. — Wspomniałeś, że czasami podrywała mężczyzn w barach. Istnieje szansa, że mogłaby się udać do któregoś z nich?

Wzdrygnął się pod wpływem tego pytania.

— Przepraszam — powiedziała Marnie — ale musimy to wykluczyć.

— Nie wiem, jak się nazywali. Nie wiem, czy *ona* wie, jak się nazywali. — Spuścił wzrok na swoje dłonie, powoli je obracając. — Nie wyobrażam sobie, żeby któryś mógł ją przyjąć. Ich nie obchodziło jej *bezpieczeństwo*, to jest pewne. — Znowu na nią popatrzył i Marnie po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach gniew, sprzeciw. Przebłysk człowieka, jakim się stanie, kiedy to wszystko się skończy. — Sierżant... nie pamiętam jego nazwiska.

— Sierżant Noah Jake.

— Powiedziałaś, że uratował mi życie. W ośrodku.

— To prawda. Z pomocą jednej z kobiet.

— Simone? — zapytał z naciskiem Leo.

— Nie, innej. — Marnie zamilkła na chwilę. — Ona też zaginęła.

Leo rozejrzał się po szpitalnej sali, jakby szukał czegoś, co pomogłoby mu zrozumieć sens przedziwnej sytuacji, w której się znaleźli.

— Jeśli Hope chciała mnie zabić, a on uratował mi życie... teraz on stanie się jej celem. Za to, że stanął jej na drodze. Na pewno go za to nienawidzi.

Marnie poczuła ukłucie bólu w prawym boku.

— Myślisz, że chowa urazę do sierżanta Jake'a?

— To dotyczy wszystkich, którzy jej przeszkadzają. Ona musi mieć ciągle kontrolę, ze względu na to, co się stało z jej mamą, co się stało, kiedy *ona* straciła kontrolę.

Leo na nią popatrzył.

— Trzeba go ostrzec. Tego policjanta. Jeśli jeszcze nie wie, jaka ona jest... trzeba go ostrzec.

Przed szpitalem było chłodno, chmury kładły się na nocnym niebie jak kamuflaż. Marnie zadzwoniła do Noaha, jednak odpowiedziała jej poczta głosowa, więc wybrała numer na komisariat.

— Abby? Masz gdzieś pod ręką Noaha?

— Jeszcze nie, szefowo. Zostawiłam mu wiadomość. Pewnie jest już w drodze.

— A sierżant Carling jest u was?

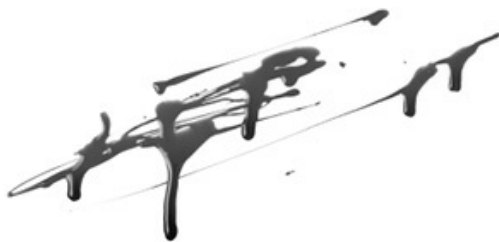
— Tak.

— Daj mi go, dobrze? — Poczekała, bardzo wyraźnie słysząc brzęczenie szpitalnych lamp za plecami.

— Byłeś z Noahem — powiedziała, kiedy po drugiej stronie odezwał się Carling — dziś po południu, prawda? Dlaczego właściwie nie wróciliście razem?

— Ja pojechałem metrem, szefowo. On stwierdził, że się przejdzie. Coś się stało?

— Oby nie. — Rozłączyła się i jeszcze raz wybrała numer Noaha. — Mam nadzieję, że jesteś w domu — powiedziała do jego poczty — bo zaraz przyjadę.



KIEDY DOTARŁA na Westbourne Grove, była już pierwsza w nocy.

— Słucham? — zapytał zupełnie rozbudzony Dan Noys, kiedy nacisnęła przycisk domofonu.

— Tutaj Marnie Rome. Przepraszam, że przychodzę tak późno. Mogę wejść?

Zdążyła doliczyć do trzech, zanim Dan wpuścił ją do budynku.

Ich mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, a Dan czekał na klatce, w dżinsach i czerwonej koszulce, trzymając bosą stopę w progu, by nie zamknęły się drzwi. Gdy tylko Marnie zobaczyła jego twarz, zdała sobie sprawę, że Noah nie wrócił do domu. Ścisnęło ją w żołądku, zmroziło.

— Co się stało? — Głos Dana był ostry, w oczach miał czyste przerażenie. — Nic mu nie jest?

Musiała być szczerą.

— Nie mogę się z nim skontaktować. A ty?

— Nie.

— Mogę wejść?

Dan cofnął się, żeby wpuścić ją do mieszkania. Zdenerwowanie postarzało go o dekadę, pozbawiło twarz wszelkiej chłopięcości. Partner Noaha dorównywał mu urodą, choć należał do blondynów o niebieskich oczach. Tego rodzaju wygląd pozwala płynąć gładko przez życie, z urokiem jako sprzymierzeńcem. Marnie nie miała jeszcze okazji zobaczyć zbyt wiele tego uroku. Strach zmienił jego oczy w czarny lód. Nie usiadła, zamiast tego stała w bezruchu, celowo nie rozglądając się po pokoju, skupiając wzrok na Danie.

— Kiedy ostatni raz się z tobą kontaktował?

— Po południu. Mężczyzna włożył ręce do kieszeni, kuląc ramiona. Potem znowu je wyjął, oplótł palcami prawy nadgarstek i zacisnął mocno.

— O której dokładnie? — dopytywała Marnie.

— Koło siedemnastej. Powiedział, że będzie pracował do późna.

— Dzwoniłeś do niego po tej godzinie?

— Nie — odparł chłodno. — Myślałem, że jest w pracy.

— A mówił, czym dokładnie się zajmuje?

Dan pokręcił głową.

— Oczywiście, że nie. — Puścił trzymany wcześniej nadgarstek, zostawiając na nim brzydkie, białe

ślady. — Ale jesteście zespołem śledczym do spraw morderstw, więc zakładam, że chodzi o morderstwo. — W jego oczach płonęły nieprzelane łzy.

Marnie chciała powiedzieć coś, co podniosłoby go na duchu. Chciała też wyjść, natychmiast, żeby rozpocząć poszukiwania Noaha.

— Co mogło mu się stać? — Głos Dana załamał się na ostatniej sylabie. — Musicie coś podejrzewać.

— Możliwe, że... odebrał telefon od zaginionej osoby.

— Nie informując cię o tym?

— Możliwe. Martwił się o tę osobę i mógł zareagować impulsywnie.

— Nie mówiąc o tym *nikomu* — powtórzył Dan. Odchodził od zmysłów. Starał się tego nie okazywać, ale odchodził od zmysłów.

— Zgodzę się, że to mało prawdopodobne. Namierzmy jego telefon... — Zamilkła, rozkładając ręce w przeproszającym geście. — Przepraszam. Wiem, że nie chcesz słyszeć komunałów, ale zrobimy wszystko, żeby go odnaleźć.

W jego oczach zalęgła się pustka, twarz wykrzywiła się. Nie powinna była tego mówić. Nie był to komunał, lecz jej słowa nie podziałały wcale lepiej. Znalazło się w nich widmo bezowocnych poszukiwań i najgorszych możliwych wieści na ich zakończenie. Dan zacisnął szczęki.

— Śmiało, powiedz to — zachęciła go.

— Co mam powiedzieć?

Starła się zachować lekki, bezosobowy ton. Tyle mogła mu dać: szansę na spuszczenie pary jej kosztem.

— Że nie rozumiesz, jak mogło do tego dojść. Gdzie jego wsparcie? Czy nie mamy jakichś procedur, które zapobiegałyby tego rodzaju sytuacjom? I co tam jeszcze chciałbyś dodać.

— Najwyraźniej pomyślałaś o wszystkim. — Jego lodowaty wzrok nieco stopniał.

— Będę cię informować na bieżąco o wszystkim.

Popatrzył jej prosto w oczy.

— Dzięki. Za to, że nie wciskałaś mi kitu.

Kiwnęła głową. Po tych słowach nie dało się zakończyć rozmowy w żaden z tradycyjnych sposobów: pewnym uściskiem dłoni, nieuzasadnioną obietnicą „znajdziemy go”. Marnie nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

Lowell Paton przetrzymywał Simone Bissell przez rok. Wątpliwe, by Hope czekała tak długo z dokonaniem zemsty na człowieku, który przeszkodził jej w morderstwie męża.

Kiedy wracała już na komisariat, zadzwonił do niej Ed.

— Mówiłam, żebyś się wyspał — skarciła go.

— Pracuję nad tym. Jak poszła rozmowa z Leo?

— Jego zdaniem Hope ma Noahowi za złe uratowanie mu życia.

Usłyszała, jak Ed się krzywi.

— Powiedziałaś, że pomogła mu też Ayana.

— Tak, ale Ayany nie ma.

Poczuła ukłucie strachu: to Hope zadzwoniła do braci Ayany. Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Hope

nie mogłaby zdobyć ich numeru telefonu. Jak niby miałyby to zrobić?

— Czyli uważasz, że... Noah jest następnym celem Hope — rzucił Ed.

— Nie wiem, ale wolalabym wiedzieć, gdzie teraz jest.

— A nie wiesz? — zapytał z niepokojem.

— Nie odbiera telefonu. Ostatni raz widziano go wczoraj o siedemnastej.

Wczoraj o siedemnastej Noah pojechał z Ronem Carlingiem na West Brompton. Później nikt już się z nim nie kontaktował ani go nie widział.

— Noah wie o Hope? — zapytał Ed.

— Nie — przyznała Marnie. — Powinna była go ostrzec w domu Proctorów, kiedy sprawdzałam swoją teorię na temat schowka pod schodami, ale przy pierwszym przesłuchaniu Leo narobiłam takiego bigosu, że wołałam mieć pewność...

— Noah jest dość bystry, żeby szybko podłapać twój tok myślenia. W każdym razie nie byłby tak beztrojski, prawda? Nie pojechałby nigdzie bez uprzedzenia?

Noah chciał się pozbyć Rona Carlinga, nie miała co do tego wątpliwości. Bóg jeden wie, w jakim był nastroju.

— Zazwyczaj nie, jednak wciąż dręczyły go wyrzuty sumienia po porwaniu Ayany. Jeśli dostrzegł szansę, żeby to naprawić... — Powinna była poświęcić czas na rozmowę z nim na temat poczucia winy. Widziała, jak się z tym męczy, a mimo to przełożyła wykład na później. Błąd. Powinna była to przegadać, wytłumaczyć mu, dlaczego poczucie winy to nic złego, że nie ma nic wspólnego z żalem. Poczucie winy pomaga się skupić. Napędza. — Lepiej się rozłączę — powiedziała Edowi. — Wchodzę na komisariat. Dam ci znać, jeśli będą jakieś wieści.

— Dobra. Trzymaj się — rzucił Ed na koniec rozmowy.

Londyn nigdy wcześniej nie wydawał się taki ogromny, taki nieprzenikniony. O czym rozmawiali z Noahem, kiedy to wszystko się zaczęło, jeszcze w Finchley?

„Wyobraź sobie takie życie, bez śladu. Ja bym chyba nie dała rady. A ty?” Odparł wtedy: „Gdybym znalazł się w dramatycznej sytuacji, może. Gdybym nie miał innego wyjścia”.

Oczy ją piekły. Zamrugła, koncentrując się na ruchu ulicznym. Tym razem żadnych przyszłych panien młodych. Widziała tylko pojedynczych ludzi, samotnie robiących zakupy w otwartych do późna sklepach albo pilnujących wejść do klubów.

Dwie ulice dalej odezwał się jej telefon.

— Szefowo? — Dzwonił Ron Carling. — Sprawdziłem te nagrania. Hope i Simone nie wysiadły na Elephant and Castle, tylko na Kentish Town. Przejechały siedem stacji.

Marnie zerknęła w lusterka, szukając miejsca, żeby skręcić.

Kentish Town. Mieszkanie Lowella Patona znajdowało się w Kentish Town. Tak wyglądał plan Hope? Chciała pokazać Simone, jak należało się rozprawić z Patonem?

— Musisz coś dla mnie zrobić — powiedziała Carlingowi. — Namierz telefon Noaha.

Minęła sekunda, zanim Carling zapytał:

— Dlaczego?

— Nie mogę go znaleźć. Możliwe, że grozi mu niebezpieczeństwo.

— Ze strony Hope Proctor?

— Tak. Porozmawiaj z Wellandem. Zapytaj, czy mógłby coś wskórać w Tandemie.

Tandem to firma dostarczająca policji oprogramowanie szpiegowskie. Oprogramowanie, które doprowadzało do białej gorączki wszystkie organizacje na rzecz praw obywatelskich, ale od czasu do czasu pozwalało śledczym znaleźć coś lub kogoś, zanim było za późno dla wszystkich prócz techników zakładu medycyny sądowej.

— Już się robi — obiecał Carling.

— Kentish Town. Mamy jakieś patrole w okolicy?

— Ktoś tam powinien być... Mam to zgłosić?

Miał? Czy Marnie chciała, żeby patrol staranował drzwi Lowella Patona, ponieważ istniała niewielka szansa, że znajdą tam Hope i Simone? Oczami wyobraźni widziała uniesione pytająco brwi Tima Wellanda.

— Daj mi szansę, żebym zdążyła tam dojechać i pogadała z konsjerżem. Ale sprawdź, kto jest w okolicy, na wypadek gdybyśmy potrzebowali wsparcia.

— Chcesz, żebym pojechał na miejsce? — zapytał Carling.

— Nie, ty szukaj Noaha. Zostań tam, gdzie jesteś.

Znowu próbowała się do niego dodzwonić, jadąc z Notting Hill do Kentish Town. Telefon Noaha wciąż był wyłączony. Zostawiła kolejną wiadomość, nie maskując paniki w głosie: „Gdzie jesteś? Oddzwoń, jak tylko odsłuchasz”.

Hope Proctor, uciekając, zabrała ze sobą odważnik kulowy ojca. Czy to źle świadczyło o Marnie, że miała nadzieję znaleźć przyszpilonego nim Lowella Patona? I Noaha, jeśli tam był, zajętego negocjacjami? Mógł wyłączyć telefon, żeby udobruchać Hope, a poza tym może mieć się zupełnie dobrze. Hope karała Lowella Patona. Istniała sprawiedliwość na świecie i pokój między narodami, a do tego darmowe francuskie tosty do każdej kawy z ulubionej knajpy Marnie.

— Nikt — przypomniała sobie Marnie — nie kocha mnie tak bardzo.

Perłowe światło spowijało blok mieszkalny Patona, jakby budynek założył gigantyczną prezerwatywę. Na recepcji było wściekle jasno, drzwi frontowe zamknięto na głucho. Marnie pokazała swoją legitymację konsjerżowi przez hartowane szkło. Nie był to ten sam mężczyzna, którego spotkali z Noahem rankiem poprzedniego dnia. Ten był młodszy, mniej przejęty obecnością policji. Wpuścił Marnie do środka, ledwie zerknąwszy na odznakę.

— Kiedy przyszedł pan do pracy? — zapytała.

— O szóstej. Zaczynam o szóstej.

Pochodził z Europy Wschodniej.

W foyer pachniało nową wykładziną, gumową podkładką i jakimś środkiem, którego używali do polerowania luster w drzwiach od windy. Ta ostatnia mruczała, sunąc gładko w górę i w dół.

— Lowell Paton, mieszkanie na ostatnim piętrze. Czy miał dzisiaj jakichś gości? — Wzrok konsjerża uciekł w bok. Widziała, że próbował przypomnieć sobie odpowiedni zapis z instrukcji. — Jestem pewna, że nie przekazujecie żadnych informacji na temat mieszkańców, jednak mamy do czynienia z policyjnym śledztwem. Czy pan Paton miał gości, odkąd przyszedł pan do pracy?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Uśmiechnął się.

— Dwie kobiety.

— Dwie kobiety. — Żałowała, że nie zabrała ze sobą zdjęć Hope i Simone. — Potrafi je pan opisać?

— Jedna czarna. — Gestem pokazał długie włosy. — Druga... blondynka. — Powtórzył gest.

Winda dała sygnał, drzwi się otworzyły i w środku pojawiła się bardzo zmęczona kobieta z odkurzaczem.

— Miały coś ze sobą? — zapytała Marnie.

Konsjerż pokręcił głową.

— Nie przypominam sobie.

— I pan Paton je wpuścił?

— Pewnie. — Znowu się uśmiechnął. Wyraźnie założył, że kobiety to prostytutki.

Marnie zastanawiała się, czy Lowell często zapraszał do siebie panienki na telefon.

— Nie wychodziły jeszcze?

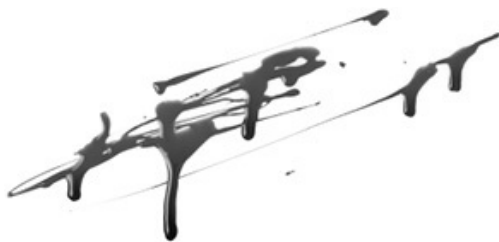
— Tak, zostają dłużej.

— I nikt więcej? Znaczących gości? Żadnych mężczyzn?

Pokręcił gwałtownie głową.

— Żadnych mężczyzn.

— Dzięki. — Marnie odeszła kilka kroków i zadzwoniła do Carlinga. — Dobra, mam dość, żeby wezwać wsparcie. Zgłoś to.



WSPARCIE zajechało przed blok Patona tuż przed trzecią w nocy.

Marnie ucieszyła się na widok Reksa Cartera na czele zespołu. Carter był flegmatyczny, a swoich ludzi trzymał na krótkiej smyczy. Na jego zmianie nie trafiały się wypadki i swawola, chociaż Marnie dobrze wiedziała, że kiedy wkraczały tarcze i pałki, lepiej było mieć się na baczności.

— Z czym mamy do czynienia? — Carter niedawno przerzucił się z marlboro na gumy nikotynowe, a jedną z nich obracał w ustach z miną kogoś, komu zabrakło drobnych w sklepiku.

— Raczej nie ma broni palnej. — Jak podsumować to, co jej zdaniem mogło się dziać w mieszkaniu Lowella Patona? — Wzięła zakładników, ale wątpię, żeby dało się negocjować. Dwoje, może troje zakładników. Hope Proctor uciekła ze szpitala, gdzie trafiła z powodu szoku, jakiego doznała po próbie zabicia swojego męża.

— Musieli ją przyjąć do szpitala z powodu szoku? To co jemu musieli podawać?

— Kilka litrów krwi. Dźgnęła go nożem.

Carter pstryknął balonik z gumy. Rozglądał się po całym budynku.

— Nożem? Czyli żadnej broni. Jesteś pewna?

Marnie pomyślała o udawanej gangsterce Lowella i jego bogatym ojcu.

— Nie mam pewności — przyznała.

Przez szybę widzieli, jak korsjerz pochyła się nad ladą recepcji i patrzy na kobietę odkurzającą nową wykładzinę.

— Dlaczego uważasz, że negocjacje odpadają?

— Nie wydaje mi się, by ona czegoś chciała. — Poza ukaraniem Lowella Patona. I Noaha Jake'a, jeśli był w środku.

— Każdy czegoś chce — oznajmił Carter. — Ja w tej chwili mógłbym zabić za pizzę i porządne, mocne papierosy. — Wyszczrzył zęby w pozbawionym radości uśmiechu. — Ta kobieta cię zna?

— Zna, ale nie wiem, czy mnie lubi. Za to z pewnością mi nie ufa.

— Szalona, bezwzględna czy zrozpaczona? — zapytał Carter. Standardowe pytanie w przypadku zakładników.

Marnie chciałaby mieć odpowiedzieć, nawet nie ze względu na Cartera, a na siebie.

— Wszystkiego po trochu — odparła wymijająco. — Ale gdybym mogła wybrać tylko jedno? Szalona.

— Nie do końca w to wierzyła, ale musiała dać coś Carterowi na początek.

— Szalona — powtórzył Carter. — Świetnie. Takie lubię najbardziej.

— Moglibyśmy poczekać na Wellanda — zaproponowała Marnie.

Na twarzy Cartera pokazał się grymas, który dobitnie podsumowywał jego stosunek do biurokracji.

— *Powinniśmy* poczekać na Wellanda. — Nienawidził przepisów tak samo jak Marnie, zwłaszcza w takich chwilach.

— Noah Jake może być jednym z zakładników. — Po raz pierwszy powiedziała to na głos, chociaż te słowa huczały jej w głowie, odkąd Leo Proctor zasugerował, do czego może się posunąć jego żona.

Carter kiwnął głową, w jego oczach pojawiło się współczucie.

— Twój człowiek, twoja decyzja. — Przyłożył rękę do policyjnej pałki przyczepionej do paska. — Nie jestem z jednostki specjalnej. Nie trzeba budzić nikogo z Marsham Street. Oczywiście nie sugeruję, że centrala w ogóle sypia. — Stali obok siebie na chodniku, wpatrując się w blok mieszkalny przed nimi.

— Jak ci idzie szkolenie z broni palnej? — zapytała Marnie. — Spuszczalesz się ostatnio po jakichś wysokich budynkach?

Carter popatrzył na perłowe światło okalające blok.

— Ten wygląda, jakby był żłobiony i wysmarowany wazeliną...

— Są na najwyższym piętrze, w penthousie.

— Bogaty przygłup... — Carter odwrócił się, by zrobić odprawę. — A oni się dziwią, że chcę mieć broń.

Wjechali windą na piętro pod mieszkaniem Patona, a potem weszli po schodach. W oknach w kształcie pastylek do ssania widać było księżyc i gwiazdy nad Londynem. Zza drzwi apartamentu dało się słyszeć dudnienie bezmyślnego elektronicznego popu. W przerwach między jednym a drugim refrenem dało się słyszeć innego rodzaju uderzenia: pięści o ciało. Ból. Płacz. Elektroniczny pop. Te inne dźwięki miały rytm, jakby zostały zsynchronizowane z muzyką, jakby sprawca chciał je zagłuszyć albo zwyczajnie nie potrafił przestać.

Rex Carter przesunął gumę w kąt szczęki.

— Chcesz najpierw zapukać?

Marnie kiwnęła na taran.

— Owszem, ale tym.

Adrenalina sprawiała, że jej palce podrygiwały. W ustach jej zaschło. Carter upierał się, że Marnie musi założyć kamizelkę chroniącą przed ranami kłutymi, inaczej zostawi ją na dole. Woląta kamizelkę. Była ciężka, ciągnęła ją w dół. Czowała, jak wykładzina drży pod wpływem głośnej muzyki z mieszkania Patona. Sąsiedzi z dołu najwyraźniej przyzwyczaili się już do jego sprzętu muzycznego, bo nikt nie zgłosił naruszenia ciszy nocnej. Ten hałas służył jako kamuflaż do tego, co działo się właśnie za drzwiami.

Rex Carter kiwnął na policjantów z taranem. Przypomniał Marnie to, co mówił jej już na dole:

— Trzymaj się z tyłu, dopóki nie dam ci znaku.

Jego zespół wbił stalowy nos taranu w drzwi.

Drewno potrzaskało się w miejscu uderzenia, wpuszczając do środka policjantów przy akompaniamencie głośnych ostrzeżeń wykrzykiwanych przez Cartera.

Kiedy Marnie usłyszała, jak Rex przeklina z zaskoczenia, przeszła nad resztkami drzwi do mieszkania. Płatanina ciał na czerwonych skórzanych kanapach.

Trzy osoby. Dwie kobiety. Jeden mężczyzna. Wszyscy nadzy.

Lowell Paton założył swoje gangsterskie łańcuchy, ale nic więcej. Jednym z nich oplótł prawą pięść i właśnie nią bił dwie leżące na czerwonej skórze dziewczyny. Marnie widziała kształt połączonych ogniw odbity na udach i piersiach.

Jednak nie Simone Bissell i Hope Proctor. Marnie nigdy wcześniej ich nie widziała. Obie miały ciemną skórę i dredy. Jedna rozjaśniła swoje do blondu. Na drugiej kanapie leżały buty na szpilkach i kurtki ze sztucznego futra. Na podłodze stała duża otwarta torba weekendowa z popękanego czarnego plastiku, udającego lakierowaną skórę. W środku znajdowały się tanie gadzety S&M, w tym bicz i kajdanki. Lowell jednak wolał złoty łańcuch.

Rex Carter schylił się i wyłączył muzykę pilotem.

W ciszy, która wtedy zapadła, płacz dziewczyn brzmiał jak lament, a w obecności świadków nabrał mocy.

Carter i jego zespół rutynowo sprawdzili mieszkanie, ale nikogo więcej w nim nie znaleźli. A już z pewnością nie było tam Noaha Jake'a.

Marnie wyciągnęła odznakę.

— Lowell Paton? Jesteś aresztowany pod zarzutem uszkodzenia ciała i naruszenia nietykalności cielesnej.

— Nie ma, kurwa, mowy! — Lowell złapał się za krocze, patrząc spode łba na Cartera, na innych policjantów, na Marnie. — Te dziwki błagały mnie, żebym je zerznął!

Dziewczyny siedziały skulone na kanapie, wycierając krew, łzy i inne wydzieliny z twarzy. Nie były dużo starsze od nastolatków, które napadły na Stephena w Sommerville.

— Uszkodzenie ciała i naruszenie nietykalności cielesnej — powtórzyła Marnie do Patona. — Możesz dostać za to nawet dożywocie. Mam nadzieję, że twój tatuś jest hojny, bo będziesz potrzebował drogiego adwokata.



OCZY W BIAŁYCH KAFELKACH obok głowy. Oczy i usta, bez uśmiechu, ukruszone na krawędziach. Noah Jake leżał i patrzył na odpryski tworzące twarz. Pomagało mu to w bólu. Bólu oddychania. Bólu życia. Chociaż nie spodziewał się, by to potrwało jeszcze długo. Lewa noga wierzgała wbrew jego woli. Modlił się, żeby przestała. Jeśli Hope pomyśli, że znowu kopie...

Skup się.

Na twarzy na podłodze obok jego głowy. Przyjaznej twarzy. Nie uśmiechała się, lecz także nie krzyczała, nie szeptała gróźb i obietnic. Zwykła twarz. Stworzona z krótkiego pęknięcia i dwóch odłamków: ust i pary oczu.

Tak właśnie działał zmysł wzroku. Tak dokonywało się widzenie. Oczy przesyłały obraz, a mózg odnajdywał najbliższy pasujący koncept. System nie był idealny ani godny zaufania, a jednak w większości przypadków bardzo się nie mylił. Jesteśmy stworzeni do szybkiego rozpoznawania przyjaciół i wrogów. Mózg widzi twarze w ceglanych ścianach i chmurach, plamach atramentu i gniazdkach elektrycznych, popękanych kafelkach.

Podstawy psychologii, wykład pierwszy. Wszystkie kobiety w ośrodku widziały męża brutala i żonę ofiarę. Noah patrzył podobnie. Wiedział, że Marnie też.

Boże, jak to boli...

Oddychaj. Skup się. Ignoruj miażdżącą agonię w płucach i strach, że złamane żebro spowoduje krwotok wewnętrzny albo gorzej, przebije płuco...

Powolna śmierć przez uduszenie.

Leo Proctor milczał. Przeżył to, co teraz przeżywał Noah, a nawet więcej, a jednak milczał. Dał się oskarżyć o gwałt i znęcanie się nad żoną, podczas gdy to on cierpiał, nie Hope. I to z rąk żony właśnie.

Noah rozumiał ciężar kultury macho. Rozumiał, dlaczego Leo Proctor starał się utrzymać bicie w tajemnicy, dla przyjaźni, przez wzgląd na relacje zawodowe. Z powodu dumy.

A jednak doszło do momentu, w którym sekrety musiały ujrzeć światło dzienne.

Jego klatka piersiowa gwałtownie wznosiła się i opadała, spanikowana, że dostaje za mało powietrza. Noah łkał, błagając swoje ciało o spokój. Nerwy tylko wszystko pogarszały.

Za każdym razem, kiedy wyswobadzał się spod ciężaru odważnika, ona stawiała go z powrotem. Za każdym razem uderzała w żeliwną kulę młotkiem tak długo, aż nabierał pewności, że jego klatka zaraz

ekspłoduje.

Szybki kurs warunkowania.

Zabrała odważnik na dwadzieścia minut, może więcej. W tym czasie zjadła kolację. Kiedy Noah zaczął już wierzyć w trwałą ulgę, ona wróciła — a z nią kula. I młotek.

Nauczył się trwać w bezruchu. Znosił miazdzący ciężar żeliwnej kuli na piersi. W całym swoim życiu nie spotkał się z trudniejszym zadaniem. Nie wiedział, ile jeszcze zdoła tak wytrzymać.

Mógłby zrzucić z siebie kulę. Starczyłoby mu jeszcze sił. Niestety narobiłby przy tym hałasu. Hope, słysząc to, wróciłaby zaraz z młotkiem. Lepiej leżeć spokojnie i pozwalać odważnikowi miazdżyć sobie klatkę piersiową, niż ruszyć się i sprawić, by ona się tym zajęła.

Zamrugął, patrząc na sufit. Tam też dostrzegał twarze, nieprzyjazne. Ghul w plamie wilgoci nad wanną. Łzy ciekły sierżantowi z oczu i wlewały się do uszu. Nie czuł już dłoni, przywiązanych nad głową do rury pod umywalką. Nie czuł dłoni, nie czuł palców.

Skup się.

Czego go nauczyli na kursie w college'u? Mechanizmy radzenia sobie z traumą. Zdusił śmiech w gardle, bojąc się go wypuścić. Chciałby zobaczyć któregoś ze swoich wykładowców, jak leży tutaj, obok niego, na podłodze, z żeliwną kulą na piersi. Jak zadaje pytania o dzieciństwo, niechby zobaczył, ile któremuś z nich dwóch przyjdzie z tego dobrego, bo Noah zaraz umrze.

Dan, pomyślał. Cholera, Dan, przepraszam.

W te rejony lepiej się nie zapuszczać. Tylko pogorszą sprawę, jak młotek. Zamiast tego uśmiechnął się, żeby rozruszać mięśnie twarzy. Potrzebował tego uśmiechu. Potrzebował go do pracy, kiedy już wydostanie się stąd i żartobliwym tonem będzie opowiadał chłopakom z komisariatu, Ronowi Carlingowi i reszcie: „Miałem wielki odważnik na piersi. Nie musiałem nawet płacić karnetu na siłownię...”.

Kości z tyłu czaszki znalazły twarde kafelki. Fala ciepła świadczyła o ogrzewaniu podłogowym. Ktoś powinien powiedzieć o tym jego kręgosłupowi, gdyż jego zdaniem Noah leżał na lodowym bloku.

Powinien był walczyć, kiedy miał jeszcze szanse, kiedy ciągnęła go tu z kuchni, ale wtedy postawiła nad nim Simone z młotkiem w ręku. Simone by go użyła. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz i wiedział, że użyłaby go. Bóg jeden wie, czym zagroziła jej Hope, żeby zdobyć tak bezwarunkowe posłuszeństwo.

Simone, pomyślał, przepraszam.

Znajdował się w domu obcych ludzi, zdany na łaskę wariatki, która uważała wszystkich mężczyzn za mały i która jednego próbowała zabić; gdyby tylko patrzył dość uważnie, dojrzałby jej szaleństwo już wtedy.

Dan. Dan, kocham cię.

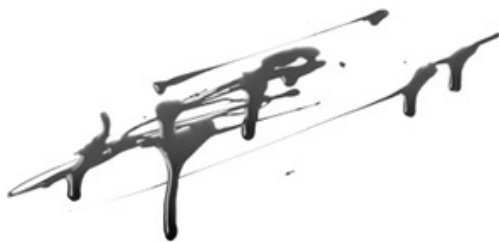
Boże, jak to boli.

Marnie Rome domyśli się, gdzie go szukać. Musiała podejrzewać Hope, inaczej nie kazałaby mu wejść do schowka pod schodami w domu Proctorów. Chciała sprawdzić, czy zmieściłby się tam rosły mężczyzna. Byli tak blisko, on i Marnie. Tak blisko rozwiązania tej zagadki. Gdyby nie telefon Feliksa Gilla, po którym zawrócili z drogi do Bissellów...

Marnie to rozgryzie, mimo wszystko. Była w tym dobra, była zimna i niewzruszona, jak gład. Za to

w środku rozgrzana do czerwoności. Jeśli dobrze się wsłuchasz, usłyszysz, jak tyka.

Marnie wezwie wsparcie, uzbrojone w broń palną, tarcze, i przybędzie mu na ratunek. Musi. Wierzyć, że może się stać inaczej, to stracić wszelką nadzieję.



— CO WIEMY o tej kobiecie? O Hope Proctor?

Toby Graves miał dość niefortunne nazwisko jak na negocjatora^[3], jednak Marnie podobało się jego podejście: był cichy, przywiązywał wagę do szczegółów tego, co ona i Ed Belloc mieli mu do powiedzenia. Zadzwoiła po Eda, kiedy zaprowadziła już Lowella Patona do celi. Nie miała jeszcze czasu, żeby opisać mu aresztowanie Patona. Graves był negocjatorem na dyżurze i przyjechał na komisariat po naglącej prośbie Tima Wellanda.

Były wczesne godziny poranka, jednak nikt nie kładł się spać. Przynajmniej dopóki nie znajdą Noaha Jake'a.

Na komisariacie ogłoszono czerwony alarm, a Abby Pike i Ron Carling czekali w gotowości na rezultaty namierzania telefonu komórkowego Noaha. Toby Graves, w ciemnym swetrze i dżinsach, pił właśnie kawę z Marnie i Edem.

— Hope dźgnęła swojego męża na oczach specjalnie do tego wybranych świadków, wiedząc, że z miejsca uznają to za działanie w obronie własnej. — Marnie położyła na stoliku kartę medyczną, razem z zeznaniem Leo. — A tutaj ślady po tym, co ona zrobiła jemu i co on zrobił jej, zmuszony szantażem.

Toby Graves odczytał dokumenty w milczeniu.

— Nie widziano Hope, odkąd wysiadła na stacji Kentish Town wczoraj po południu — powiedział w końcu. — Zgadza się?

— Tak. Myśleliśmy, że wezwała taksówkę, jednak do tej pory nikt niczego nam nie zgłosił.

— Dlaczego akurat Kentish Town?

— Wydawało nam się, że może chce zrobić pokaz dominacji dla Simone, demonstrację przejęcia kontroli nad sytuacją.

Graves przyłożył kciuk do wydruku z nagrania Hope i Simone w Kentish Town.

— Może właśnie to jest takim pokazem. Przedstawieniem dla was, nie dla Simone.

Marnie przyjrzała się zdjęciu obu kobiet, żałując, że jej umysł nie działa szybciej. Przegapiła coś i dobrze o tym wiedziała, jednak nie potrafiła tego rozpracować.

— Twoim zdaniem chciała, żebyśmy wierzyli, że kieruje się do mieszkania Patona?

— Może. — Graves zwrócił się do Eda: — Ty wiesz o tym więcej niż ja, ale te kobiety potrafią się ukrywać, prawda? Mam na myśli takie osoby jak Simone Bissell.

Ed kiwnął głową.

— Nie tylko Simone, Hope też.

— Umieściłbyś ją w tej samej kategorii?

— Konkretnie na potrzeby twojego pytania, tak. Chyba żadne z nas nie ma wątpliwości, że miała za sobą trudne dzieciństwo.

Graves się z tym zgodził, kiwając głową.

— Powiedźcie mi teraz, co z tą walizką.

— Leo mówił, że trzymała w niej odważnik kulowy ojca i młotek. Nazwał to jej „przyborami”. — Na tę myśl Marnie zrobiło się niedobrze; zemdliło ją, tak niepokoiła się o losy Noaha.

— Czyli jest uzbrojona. Za broń wybrała sobie odważnik kulowy... — Graves znowu dotknął zdjęcia kciukiem. — Skoro ucieka, to dlaczego spowalnia się, zabierając walizkę i Simone?

— Chce mieć świadka — odparł Ed.

— Po to jej był potrzebny ośrodek — poparła go Marnie. — Szukała w nim publiczności. Świadków. Ludzi, którzy będą popierać jej czyny. Którzy oczyszczą ją z zarzutów.

— Dobra. — Graves kiwnął głową. — Rozumiem, dlaczego waszym zdaniem mogła pojechać do Lowella Patona. Chciała pokazać Simone, jak to się robi, jak należy obchodzić się z brutalami. Założmy, że zdawała sobie sprawę, że jest poszukiwana przez policję, i dlatego udała się do Kentish Town. Dała się kilka razy złapać kamerom monitoringu, a na nagraniach pozuje na zakładnika Simone, a nie jej porywaczkę. A co potem? Znika. Z Simone u boku. — Milczał chwilę, żeby okazać szacunek w trudnej sytuacji, a potem zapytał: — Gdzie w tym wszystkim swoje miejsce ma Noah Jake?

— Uratował życie męża Hope po ataku. Leo uważa, że ona może chcieć się zemścić.

— Leo myśli także — Graves odnosił się do zeznań — że Hope go kocha. Nawet kiedy miażdży jego żebra cegłą.

— Noah zaginął. Nie bardzo wiem, gdzie mógłby się teraz znajdować, jeśli wykluczymy, że odpowiedział na prośbę Hope o pomoc. W końcu myślał, że to jej grozi niebezpieczeństwo ze strony Simone, a nie na odwrót.

— Skąd wiedział, gdzie się udać?

— Hope mogła do niego zadzwonić. Może najpierw próbowała skontaktować się z nim na komisariacie.

— Mogła, może... — Gravesowi nie podobało się to. — A co wiemy na pewno? Jej ojciec mieszka w domu komunalnym. Tam nie pojechała. Kto jeszcze mógłby jej pomóc?

— Nikt. Nie znamy nikogo takiego.

Hope nie miała więcej rodziny ani przyjaciół. Może Marnie powinno być jej żal z tego powodu. Nie było. Żałowała tylko Simone Bissell i Noaha Jake'a. Bardzo dużo ludzi, bliskich Noaha, będzie cierpiało, jeśli Marnie nie odnajdzie go na czas. Jego rodzice. Młodszy brat. Daniel Noys.

Graves słyszał frustrację i zmęczenie w jej głosie. Patrzył to na nią, to na Eda.

— Jeśli nie wybiera się do ojca, czy może chodzić wyłącznie o zemstę na Noahu? Za uratowanie życia Leo?

— Nie może — stwierdził Ed. — Zabrała ze sobą Simone. Simone była jej przyjaciółką, jeszcze w ośrodku. Zrobiłaby dla Hope wszystko, a tak przynajmniej twierdzą pozostałe lokatorki. Hope zabrała

ją po ucieczce ze szpitala. To musi coś znaczyć.

— Może Simone przejęła wodze, przynajmniej na jakiś czas. — Graves skrzyżował ręce na piersi i zmarszczył brwi, zamyślony. — Hope jej na to pozwoliła, żeby udawać tę słabszą, żeby to Simone podejmowała ryzyko. Chciała, byśmy myśleli, że to Simone wpadła na pomysł ucieczki. W ten sposób zyskała alibi, gdyby było jej potrzebne. Musiałaby być bardzo pewna tego, że potrafi zapanować nad Simone w razie komplikacji. Na przykład wtedy, gdy policja zacznie rozgłaszać wieści o Hope; o tym, kim jest i co zrobiła.

— Zdołała przekonać Leo, że to ona jest ofiarą — przypomniał Ed — nawet mimo wszystkiego, co przez nią wycierpiał. Typowe manipulacje osoby znęcającej się nad kimś, czyli dzielenie się winą, żeby zapewnić sobie milczenie ofiary. Wmawianie jej współudziału. Właśnie to zrobił ojciec Hope.

— Tu chodzi o więzi rodzinne. — Marnie myślała na głos. — Tworzone przez nie sieci... Trójkąty... Rodzina Hope i rodzina Simone.

I moja, pomyślała.

Marnie wiedziała, jak to jest dorastać jako jedynaczka. Trzyosobowa rodzina tworzyła trójkąt z ostrymi kątami. Czasami brakowało jej rodzeństwa, które wygładziłoby rogi do kształtu koła. Kiedy odeszła, jej rodzice przygarnęli Stephena, żeby przywrócić ten kolczasty, znajomy kształt.

— Hope służyła za alibi Kennethowi Reece'owi — powtórzyła słowa Eda sprzed kilku godzin. — Mówiła mu, że jest dobrym ojcem, więc on mógł okłamywać się w ocenie ich małżeństwa. Brutalność ojca, uległość matki. Wojna między nimi toczyła się za zamkniętymi drzwiami... — Marnie nie zdawała sobie sprawy z problemów w domu, problemów w małżeństwie rodziców, ale dość wcześnie zrozumiała, że była amortyzatorem. Musieli ją kimś zastąpić, gdy się wyprowadziła.

Hope była jedynaczką.

Nasiche Auma miała braci i siostry, jednak Simone Bissell też była jedynaczką, suwenirem przywiezionym przez Charlesa i Pauline z Ugandy, idealną pamiątką z wyjazdu.

— Tu chodzi o rodziny — powtórzył Graves, zachęcając ją spojrzeniem do kontynuowania wątku.

— Wybieraliśmy się do Bissellów — oznajmiła Marnie. — Zanim otrzymaliśmy wiadomość od Feliksa Gilla. Tam udałby się Noah, żeby pociągnąć dalej sprawę.

Już zdążyła wstać od stolika. Nie mogła uwierzyć, że potrzebowała tak dużo czasu, żeby do tego dojść. Gdyby tak uparcie nie unikała myślenia o przeszłości, o rodzinie...

— Noah pojechał do Bissellów, żeby zapytać o Simone. Ich dom znajdował się na jego trasie biegowej, tak mi powiedział. Właśnie tam byśmy pojechali, gdyby Felix Gill nie odwrócił naszej uwagi. Założę się, że to do tego domu Hope zabrała Simone. Żeby pokazać jej, jak to się robi, jak poradzić sobie z rodziną, która próbuje cię zniszczyć.

— To rodzice Simone? — zapytał Graves.

— Przybrani rodzice — powiedział Ed. — Charles i Pauline Bissellowie.

Hałas zza drzwi sprawił, że wszyscy popatrzyli w tamtą stronę.

— Szefowo? — W progu pojawił się Ron Carling, oczy błyszczały mu od najnowszych wieści. — Mamy wyniki namierzania.

— Znaleźliście telefon Noaha. — Marnie spojrzała na Eda. — Pamiętasz adres Bissellów?

— Putney Hill? — zaryzykował Ed. — SW15, o ile dobrze pamiętam.

— To wam pokazał GPS? — zapytała Carlinga.

— Nie. To znaczy tak, tam go namierzeli. Ale mamy coś lepszego. — Carling podniósł telefon. —

Wysłał nam SMS-a. Noah. Mamy od niego wiadomość.

— Napisał SMS-a na numer komórkowy komisariatu? — zapytała zdziwiona Marnie. Dlaczego nie do niej? Sięgnęła po telefon i przytrzymała go tak, by Graves i Ed mogli odczytać wiadomość.

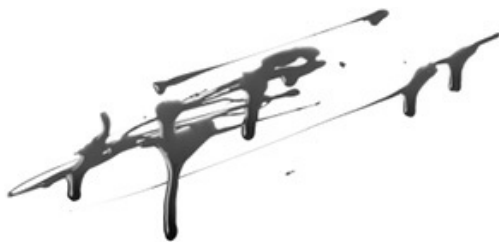
Noah — albo ktoś inny — napisał: *Nasicheauma*.

Graves zmarszczył brwi, gapiąc się na wyświetlacz.

— Jakiś nonsens.

— To prawdziwe imię Simone. — Ed spojrzał Marnie w oczy. — Nasiche Auma.

[3] *Grave* w języku angielskim znaczy „grób”.



W ŁAZIENCIE panowały egipskie ciemności. Hope wyłączyła światło. Z początku Noah był jej za to wdzięczny; mrok pochłonął część jego bólu, ułatwił myślenie. Nasłuchiwał odgłosów dochodzących z domu, próbował odgadnąć, co robi Hope, jednak słyszał tylko echo własnego pulsu, łupiącego w ciemności.

Gdzie się podziała? Gdzie się podziała Simone?

Wiedział, że kobieta się boi. Widział strach na jej twarzy, kiedy zamachnęła się na niego młotkiem. Wróciła do tego miejsca, w którym umieścił ją wcześniej Paton, uruchomił się w niej tryb przetrwania. Noah nie winił jej za zadany mu ból ani za nic innego.

Może nie powinien też winić Hope. Prawdopodobnie w jej życiu również znalazł się ktoś taki jak Lowell Paton. Ktoś, kto sprawił, że bała się żyć inaczej niż w ten właśnie sposób: krzywdząc najbliższych, narzucając swoją wolę...

Marnie Rome powiedziała mu o wynikach obdukcji, o dowodach na bicie. Hope była ofiarą, głęboko poranioną. Tego powinien się trzymać. Dzięki temu może coś zdziałać.

Drzwi do łazienki otworzyły się powoli.

Noah wstrzymał oddech, otwierając szeroko oczy w ciemności. Z drugiego pomieszczenia nie wpadało żadne światło. Dom był pogrążony w mroku, w martwej ciszy. Poczuł na nogach delikatny powiew powietrza, wędrujący w górę ciała, do twarzy. Noah zacisnął szczęki, żeby nie zacząć błagać o litość. Nie miał pewności, czy ostatnim razem błagania nie pogorszyły sprawy.

Tykanie, jak w zegarze, ale na wysokości głowy. Uderzające o siebie koraliki?

— Simone? — wyszeptał jej imię. Jego głos, przyciśnięty ciężarem połamanych żeber, był chrapliwy i rwany.

Drzwi się zatrzasnęły. Cisza. Simone siedziała z nim w łazience; czuł kształt, jaki tworzyła w mroku.

— Simone... — Słowa bolały, ale to mogła być jedyna szansa, żeby z nią porozmawiać. — Wszystko w porządku?

Przez długi czas się nie ruszała. Noah zaczynał podejrzewać u siebie halucynacje; widocznie bardzo chciał, żeby tu z nim była.

Gdzieś nad nim poruszyło się powietrze. Korale stukały, warkoczyki kołysały się. Wytężał wzrok, szukając jej twarzy w ciemności, białek oczu.

— Simone?

Uklękła u jego boku. Jej ubrania niosły ze sobą zapach smażonej ryby i wilgotną woń strachu. Teraz ją widział. Nie oczami, lecz zakończeniami nerwów, w sposób, w jaki uczą się widzieć zranieni żołnierze.

Wyciągnęła rękę i dotknęła rączki odważnika. Drzenie jej dłoni przebiegło przez żeliwo jak prąd, prosto do jego piersi. Przez zaciśnięte szczęki przedostały się resztki powietrza z płuc.

Gdzie się podziała Hope? To ona wysłała tutaj Simone, żeby zadawała mu ból? Nie, Hope włączyłaby do tego światło. Chciałaby na to patrzeć.

— Simone...

Pochyliła się do przodu. Poczuł jej warkoczyki na policzku i wzdrygnął się, ponieważ, niech Bóg ma go w swojej opiece, nie wierzył już w ratunek.

Obie dłonie Simone wylądowały na żeliwnej kuli. Szok zmienił się w tępe dudnienie, jak serce dzwonu bijące wewnątrz jego klatki piersiowej. Wyprostowała się, poczuł na boku materiał jej spódnicy, powietrze wróciło mu do płuc, gdy wstała, trzymając za odważnik, zabierając go z dala od niego, z dala od złamanego żebra, które wbijało mu się w serce, z dala od piekących ran, które bolały bardziej, niż potrafił sobie wyobrazić.

Zapłakał silnym, rwanym szlochem.

Simone kucnęła i przyłożyła wilgotną dłoń do policzka Noaha. Zdał sobie wtedy sprawę, że dziewczyna świetnie widziała w ciemności. Poczuł się nagi, ale nie miało to już żadnego znaczenia, ponieważ odważnik — ten pieprzony odważnik — zniknął. Nic innego go już nie obchodziło. Ani linka wiążąca go do rury, ani lodowata obecność Hope, gdzieś w czeluściach domu, z młotkiem, nożami...

— Dziękuję... *Boże*... dziękuję.

— Ona chce, żebym ją pocięła.

Zbyt wiele endorfin tańczyło mu w głowie. Tańczyło i piło shoty z tequili... Co takiego właśnie usłyszał?

— Hope chce... czego?

Simone położyła się obok niego na podłodze. Wyciągnęła ręce nad głowę, do jego związanych dłoni. Znalazła palce Noaha i przesunęła opuszkami po swojej skórze. Poczuł guzek nadgarstka. Pulsujące szybko tętnice. A wyżej, przedramię. Wybrzuszenia blizn, kropki i zawijasy, czytane jak alfabet Braille'a.

Noah nie znał tego alfabetu. Nie musiał. Historia Simone była zapisana bardzo czytelnie, w głębokich nacięciach na skórze, wykonanych jej własną ręką.

— Chce, żebym ją pocięła — wydyszała Simone. — W ten sposób. I... i gorzej.

— Gdzie... gdzie jest Hope?

— Śpi. — W szepcie Simone brzmiało zdziwienie. — Na podłodze. Hope śpi na podłodze.

Noahowi przypomniał się dom urządzony na pokaz, łóżko Proctorów z wykrochmalonymi poduszkami i sztywnym materacem, na którym nikt jeszcze nie spał.

— Simone. Musisz... rozwiązać mnie. — Musiał robić przerwy między poszczególnymi słowami, żeby zebrać powietrze. — Musimy... jej pomóc. Hope... potrzebuje... pomocy.

— Boję się.

— Ja też. — Złapał ją za rękę. — Ja też. — Poczekał, aż jego pierś przestanie się trząść. — Gdzie są

twoi rodzice?

— Nigdzie.

— Nie rozumiem.

— Wyjechali.

Zauważył, że Simone zaczyna się rozpraszać; stres i zmęczenie zbierało swoje żniwo.

— Kto jeszcze jest w domu?

— Nikt. Tylko ona. — Westchnęła z ustami przy jego policzku, jej oddech był kwaśny.

— Weź nóż z kuchni i uwolnij mnie.

Nie odpowiedziała.

— Simone? Weź nóż. Szybko. Dopóki Hope śpi.

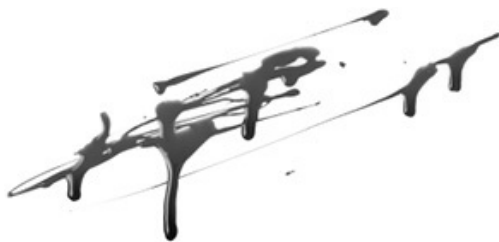
Żadnej reakcji.

Musiał spróbować czegoś innego.

— Nasiche.

Cała zeszywniała, odruchowo.

— Nasiche. Weź nóż. Teraz.



DANIEL NOYS czekał w recepcji, kiedy Marnie wychodziła z komisariatu z Edem Bellokiem i Tobym Gravesem.

— Dostałem wiadomość od Noaha. — Stres wybielił mu skórę pod oczami. — Co się dzieje?

— Co było w wiadomości? — Marnie zakładała kurtkę, kiwając na Eda i Gravesa, żeby poszli przodem na parking, na którym czekał samochód.

— Nic. — Dan pokazał jej wyświetlacz telefonu. — Tylko tyle.

Uśmiezek. Żadnego podpisu, komentarza.

Skrzywiła się na widok emotikonki.

— Kiedy to dostałeś?

— Czterdzieści minut temu. Próbowałem do niego zadzwonić, ale nie odbierał. Próbowałem dodzwonić się też do was, jednak nie chcieli mnie przełączyć, więc przyszedłem osobiście. — Dan ścisnął telefon tak mocno, że Marnie spodziewała się usłyszeć trzask łamanych knykci. — Muszę... wiedzieć, co się dzieje.

Kiwnęła głową.

— Rozumiem, ale w tej chwili muszę jechać. Wiemy, gdzie on jest.

Natychmiast wbił w nią wzrok.

— Rozmawialiście z nim?

— Jeszcze nie.

Próbowali dodzwonić się do Noaha od chwili, gdy przyszła wiadomość, jednak bez powodzenia. Graves miał nadzieję negocjować w ten sposób, ale skoro nikt nie odbierał, nie było szans.

— Bądź przy telefonie — powiedziała Danowi. — Mam twój numer. Odezwę się, gdy tylko będziemy mieli jakieś wieści.

Dan opuścił głowę, patrząc na trzymaną w dłoni komórkę.

— On tego nie wysłał. — Znowu podniósł wzrok na Marnie, w jego oczach lśniły łzy. — Prawda?

Toby Graves czekał przy samochodzie marki Mercedes Sprinter, z Edem i grupą policjantów. Marnie przywitała się z nimi skinieniem głowy, a potem usiadła obok Eda i zapięła pasy.

— Ktoś wezwał pogotowie ratunkowe?

— Już się tym zajęliśmy — odparł Graves.

— Świetnie. — Miała ze sobą dwa telefony, jeden wyłącznie po to, by odbierać wszelkie wiadomości od Noaha albo kogoś, kto przejął jego komórkę. Dan Noys niemal na pewno miał rację. To nie Noah wysłał emotikonkę.

„Nasiche Auma” brzmiało jak ostrzeżenie.

Uśmiezek był okrutny, osobisty. Marnie podejrzewała, że wysłała go Hope, ale dlaczego miałyby ostrzegać ich przed Simone? Chyba że próbowała ją zrobić...

Odezwał się ten drugi telefon, którego nie zachowywała do odbierania wiadomości. Sprinter pędził ulicami Londynu w stronę Putney Hill, gdy Marnie nacisnęła zieloną słuchawkę.

— Pani Rome? Z tej strony Paul Bruton z Sommerville.

Jej usta, i tak już suche, teraz wyschły na wiór. Był środek nocy. Dlaczego Paul Bruton dzwonił o tej porze?

— Czy to pilne? — Nie chciała słyszeć tego, co miał jej do powiedzenia. Nie zostało w jej głowie, w jej piersi, już ani trochę miejsca na kolejną dawkę niepokoju. — Mamy w tej chwili nagły wypadek.

Krótką przerwa, a potem:

— W takim przypadku mogę poczekać.

— Coś się stało Stephenowi?

— Nie, nic — zabrzmiało szczerze.

— Świetnie. Oddzwonię, gdy tylko będę mogła. — Rozłączyła się, wycierając odcisk palca na wyświetlaczu.

Ed złapał ją delikatnie za łokieć.

— Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową.

— Chodzi o Stephena, ale chyba nic się nie stało. Może dzwonili tylko z nowymi ustaleniami w sprawie napaści. — Miała ochotę zamknąć oczy. Schować się na moment przed gąszczem twarzy w sprinterze. Cieszyła ją troska Eda, jego niewypowiedziane wsparcie. Znajdował się tutaj na prośbę Toby’ego Gravesa, z uwagi na jego relację z Simone, ale Marnie cieszyła się z jego obecności z osobistych powodów. Nie miała pewności, czy będzie w stanie to zrobić — zmierzyć się z tym, co ich czekało u Bissellów — bez Eda.

Pewnego dnia, i to bardzo niedługo, odwdzięczę mu się, pomyślała.

Graves rozmawiał przez telefon. Rozłączył się i kiwnął na Marnie.

— Dzwonił Tim Welland. Góra zgodziła się na broń palną, jeśli będzie konieczna.

— Wolałabym poczekać i zobaczyć, co znajdziemy na miejscu. — Nie chciała w to wszystko wplątywać jeszcze broni, jeśli tylko dało się jej uniknąć.

Ulice były niemal puste, jednak nadal nie jechali tak szybko, jak by tego chciała. Liczyła się każda chwila. Mogli się spóźnić sekundę, która dla Noaha Jake’a będzie sprawą życia i śmierci.

Następny zadzwonił Ron Carling, z wieściami o Bissellach.

— Polecieli do Marrakeszu, tydzień temu. Mają wracać dopiero w następny wtorek.

— Czyli dom stoi pusty.

— Sąsiedzi o niczym nie donoszą. Zgodnie z dokumentacją policyjną budynek jest pod alarmem, ale nic

nie sugeruje włamania.

Marnie odwróciła się do Eda.

— Simone mogłaby zachować klucz?

— Wątpię.

— Ale zna ten dom... — Marnie mówiła do telefonu. — Dużo ludzi na nas czeka na miejscu?

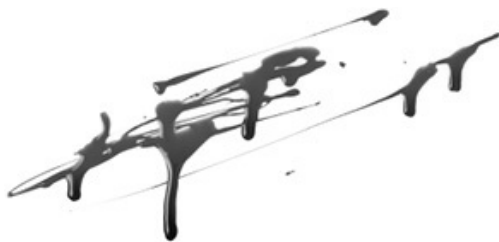
Carling wiedział, że ma na myśli sąsiadów.

— Nie wydaje mi się — odparł. — Dom jednorodzinny. Wysłałam zdjęcia z mapy Google, żebyście zobaczyli, jak to wygląda.

— Dzięki. — Rozłączyła się i zwróciła się do Eda: — Bissellowie są w Marrakeszu. Domyślam się, że porzucili pracę wolontariuszy.

— Zrobili to po adoptowaniu Simone. — Ed patrzył na światła uliczne przez okna sprintera. — Nie przyszłoby im do głowy, że mogłaby wrócić do ich domu. A teraz ona tam jest, a ich nie ma. — Spojrzał Marnie w oczy, uśmiechnął się lekko, próbując okazać optymizm.

Żadne z nich nie zapytało głośno o to, co czekało na nich w Putney pod nieobecność Bissellów.



PODŁOGA W ŁAZIENCIE nie była już ciepła. Noah powoli dochodził do wniosku, że nigdy nie grzała, że wyobraził sobie bijące z niej ciepło. Jeśli Bissellowie wyjechali, nie zostawialiby włączonego ogrzewania. Pod wpływem tej myśli zaczął się zastanawiać, co jeszcze mogło mu się wydawać.

Gdzie się podziała Simone? To znaczy Nasiche. Nie widział jej, odkąd poszła do kuchni, żeby wziąć nóż. Kiedy to było? Z pewnością raptem kilka sekund temu. Najwyżej minutę. W ciemności łatwo przychodziło zapomnieć, jak wyglądało to pomieszczenie, wyobrazać sobie, że znajdował się w innej łazience i przywiązywały go do tego miejsca jedynie ciekawość i strach.

Rosa, jego mama, właśnie sprząta. Noah chowa się w szafce do suszenia bielizny, wygląda przez szparę w drzwiczkach. Ramię mamy zatacza koła, szorując i wycierając. Brud jest wszędzie. Zarazki. Sprzątałyby je cały dzień, gdyby tylko mogła. W szafce pachnie świeżym praniem, ręcznikami i pościelą. Bojler z ciepłą wodą szumi, kiedy mama odkręca kurek, by opłukać umywalkę i wannę. Noah boi się wyjść, żeby nie zagoniła go do pracy, do szorowania i wycierania. Ma dopiero sześć lat i jest jedynakiem. Sol urodzi się dopiero za rok. Noah wie, że powinien pomóc mamie. Nie tylko przy sprzątaniu; także z tym, co ją do tego sprzątania ciągnie, co każe jej wszędzie widzieć zagrożenie, co napełnia jej wzrok strachem, gdy na niego patrzy. Później mama zabierze go do szpitala, opowie lekarzom o nocnych lękach i moczeniu się albo dziwnej wysypce na skórze, której nie ma, ale przecież widać ją, widać. Noah widywał w szpitalu policjantów przyprawiających pijaków, imprezowiczów. Powinien poprosić ich o pomoc; może ktoś mógłby się dowiedzieć, co tak bardzo przeraża jego mamę. Nie prosi. Nie pomaga. Chowa się jak tchórz między czystymi ręcznikami, aż mama skończy.

Wrzaski z salonu Bissellów szybko przywracają go rzeczywistości.

— Simone! — Pociągnął za linkę, która krępowwała mu ręce. Ból rozdzierał mu pierś. — Simone!

To nie była Simone, a przynajmniej nie tylko Simone.

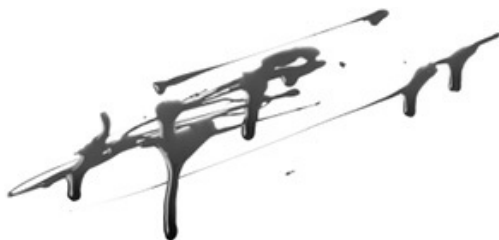
Hope też krzyczała. Obie wrzeszczały ze strachu, z wściekłości.

Cały dom trząsł się od tych dźwięków, powietrze odkształcało się jak pod wpływem gorąca.

Wrzask. Szał.

Nie mógł do nich iść, nie mógł zobaczyć, co tak trzęsie domem.

Odgłosy narastały, nie przypominały już nic ludzkiego, raczej lisy walczące lub parzące się w mroku nocy, z której nadejścia nie zdawał sobie sprawy.



BUDYNEK POCHODZIŁ z lat trzydziestych. Dom jednorodzinny z podjazdem, oświetlonym dla bezpieczeństwa na ostatnim, dwumetrowym odcinku. Róże, znowu. Szeregi czarnych, uzbrojonych w kolce krzewów. Z przodu altanka, nietypowa, bo z dwiema parami drzwi. Wszystkie okna ciemne.

— Z tyłu łatwiej będzie podejść — ocenił Graves. — Ile waszym zdaniem może być pokoi na dole?

— Cztery — odparła Marnie. Znała ten typ domów. — Duża kuchnia na tyłach. Salon i przedpokój, do tego łazienka.

— Łazienka na parterze?

— Tak. — Pokazała na rury wychodzące z jednej ze ścian, a także okratowanie na otworze wentylacyjnym. Tak samo wyglądał dom jej rodziców. Cztery pomieszczenia na dole, cztery na górze.

Wspomnienia walczyły o jej uwagę — rdzawe odciski dłoni na kuchennej ścianie, coś grubego przyklejającego jej buty do podłogi — ale wszystko zepchnęła w kąt umysłu.

Musiała myślami być tu i teraz.

Policjanci ze wsparcia ruszyli przyjrzeć się lokacji, trzymając się poniżej poziomu okien. Graves chciał wejść tylnymi drzwiami. Pierwsze promienie słońca przysiadły na ich ramionach, odbijając żółte światło od czarnych kurtek. Marnie popatrzyła na zdjęcia satelitarne, które podesłał jej Ron Carling.

— Z tyłu jest oranżeria — zaraportował jeden z policjantów. — W kuchni pusto. W pozostałych oknach wiszą zasłony, ale ktoś tam jest. Słyszeliśmy ruchy.

— Co myślisz? — pytał Graves. — Czekamy na uzbrojone wsparcie?

— Nie mamy powodu, by myśleć, że napastnicy mają broń palną. — Policjanci czekali, aż Marnie to potwierdzi. Kiwnęła głową. Wzruszyli ramionami, patrząc na Gravesa. — Twoja decyzja.

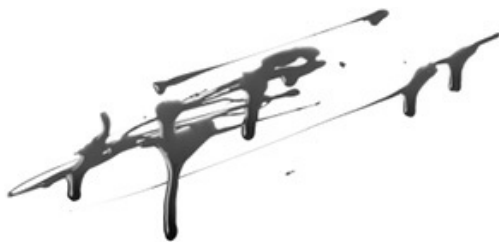
— Moglibyśmy najpierw porozmawiać z Hope — odparł Graves. — Przez telefon Noaha.

— Próbowaliśmy tego przez ostatnie pół godziny. Nie odbiera. — Marnie skrzyżowała ręce na kamizelce kuloodpornej; miała ją na sobie już drugi raz tego dnia.

Ed Belloc też się wyszykował, chociaż Graves chciał, żeby został w samochodzie. Miał być pod ręką, gdyby jego pomoc okazała się potrzebna ze względu na Simone, ale poza tym powinien się trzymać z dala od akcji policjantów.

Marnie nie chciała rozmawiać z Hope Proctor. Chciała dostać się do środka, do Simone i Noaha.

— Wchodzimy — rzucił Graves. — I tak to już za długo trwało.



ZNAŁA TEN DOM. Kształt okien, rozkład pomieszczeń. Tylko dobudówka z tyłu była inna. Bissellowie wypełnili oranżerię książkami podróżniczymi, zdjęciami, pamiątkami. Dywanik w azteckie wzory, ręcznie robione dzbanki i coś, co wyglądało jak kołyska upleciona z trzciny. Marnie miała wyostrzone zmysły, zauważała każdy detal, jaki ujawnił promień światła latarki. Spalone końcówki liści trzciny, ziarenka piasku i ziemi na kamiennej podłodze, zmarszczki na grzbietach książek. Posypana pieprzem łąka pod lewym uchem Toby'ego Gravesa, gdzie niedokładnie się ogolił.

Policjanci ostrożnie wymijali różne przedmioty porozkładane na podłodze oranżerii, kierując się w stronę kuchni. Widmo drugiego domu otaczało Marnie ze wszystkich stron. Domu zniszczonego przez Stephena Keele'a tak doszczętnie, że równie dobrze mógłby podłożyć w nim ogień lub bombę.

W przestronnej kuchni na tyłach domu Bissellów światło z żarówek wpuszczonych w sufit tworzyło konstelację białych punktów. Promienie latarek powędrowały w stronę każdej z nich po kolei. Kąty wydawały się znajome, mimo ekstrawaganckiej wyspy na środku, efekciarskiego wieszaka z przyborami kuchennymi i półek na przyprawy, zajmujących dwie ściany. W pomieszczeniu śmierdziało rybą w panierce. Latarki szukały w nim oznak życia.

Marnie trzymała się z tyłu, idąc za policjantami, za Tobym Gravesem. Starła się nie patrzeć na otaczającą ją znajomą przestrzeń, zamiast tego wpatrując się w drzwi do salonu. Bała się upiorów, powidoków jej zmarłych rodziców. Obrażeń obronnych na dłoniach matki. Krwi ojca zebranej w kałużę na podłodze wyłożonej jasnym drewnem. Nie potrafiła trzymać wspomnień na wodzy, dlatego postawiła je w szeregu: tępy ból oślepiającego światła w oczach w dniu pogrzebu, kiedy czekała, aż ostatni żałobnicy opuszczą cmentarz. Następnego ranka jest już w pracy, pijana, nakręcona, czeka, by Welland rzucił ją na głęboką wodę, bo to lepsze niż opłakiwanie zmarłych i daje jej zajęcie; nie pozwala się zatrzymać i pomyśleć o pustce, jaką wniosła w jej życie ich śmierć.

W bloku kuchennym Bissellów brakowało noża. Kolejny nóż gdzieś zaginął. Kamizelka ciążyła jej na ramionach, jakby z przodu wisiało na niej jakieś dziecko. Było inaczej niż ostatnio, w Kentish Town. Tutaj nie było taranu, nie rozległy się ostrzeżenia wykrzykiwane dość głośno, by dało się je słyszeć mimo dudniącej muzyki. W tym domu cisza była wręcz namacalna.

Spóźniłaś się.

Myśl była zbyt szybka, zbyt przebiegła, żeby jej uniknąć. Za późno. Znowu.

Podniosły jej się włoski na karku. Uparcie szukała w pamięci czegoś, co pozwoli jej przetrwać kilka następnych minut. Znalazła matkę z wyciągniętymi rękami, jak składa pościel. Marnie mogłaby się prześlizgnąć pod pachnącą, słodką bawełnę i ukradkiem uściskać rodzicielkę. Nie robi tego, ale mogłaby.

Przez cały ten czas modli się.

Modlitwą agnostyka, o Noaha Jake'a.

O inne zakończenie dla tego znajomego domu.

Przed nią ktoś zapala światło i czmychają cienie.

Znaleźli kobiety. Toby Graves mówił coś w salonie. Niskim, profesjonalnym głosem. Łagodnie.

Marnie podeszła do drzwi, zajrzała do pokoju.

Hope Proctor i Simone Bissell leżały przytulone na podłodze, tak blisko, że trudno było powiedzieć, gdzie kończyła się jedna, a zaczynała druga. Była też krew, ale nie tak dużo, jak się obawiała Marnie. Została wystarczająco długo, żeby upewnić się, że obie żyją, a potem ruszyła za pozostałymi policjantami na przód budynku.

— Simone... — Echo rwanego krzyku, docierającego z łazienki na parterze.

Marnie pobiegła przed wszystkimi, uderzyła we włącznik światła przed drzwiami, potknęła się o walizkę przy wannie i wylądowała na kolanach obok Noaha Jake'a.

— Noah... — Nie wiedziała, co ma począć ze swoimi rękami.

Z kolei jego były przywiązane niebieską linką do rury pod umywalką. Obtarł sobie skórę na nadgarstkach, próbując się uwolnić. Kolejne zwoje linki krępowały mu nogi. Stopy miał gołe. Pot lśnił mu na twarzy, a oddychanie wyraźnie sprawiało mu ból. Odwróciła głowę i wrzasnęła w stronę korytarza:

— Pomoc! Potrzebna pomoc!

Noah zadrżał, mrugnięciem przeganiając łzy z oczu, próbując skupić się na twarzy Marnie. Była dość blisko, by poczuć falę ulgi, jaka się przetoczyła przez jego ciało.

— Gdzie jesteś ranny i jak poważnie?

— Simone... — mówił z przerwami. — Gdzie... Simone?

— Jest bezpieczna. — Puls miał nieregularny, niespokojny pod jej palcami. Jego skóra była lepka, zimna. — Powiedz mi, co ci zrobiła.

— Żebra... złamane.

Spojrzała w dół, na jego pierś, kątem oka zauważając słaby poblask żeliwnej kuli, która leżała niecały metr od niego na wyłożonej kafelkami podłodze. Zdjęła kurtkę i okryła go, chwyciła kilka ręczników z wieszaka i też na niego rzuciła, a potem przyłożyła ostrożnie dłoń do policzka Noaha.

— Wszystko będzie dobrze. Ratownicy są na miejscu. Już będzie dobrze.

— Hope...

Czekała na resztę zdania, lecz słowa utknęły gdzieś w jego gardle.

— Noah, nie możesz zasypiać. *Noah*.

— Tak... — Posłusznie podniósł powieki i zamrugał, patrząc w sufit.

W korytarzu zrobiło się głośno. Marnie przesunęła się, ustępując miejsca ratownicze.

— Połamane żebra i odwodnienie.

Kobieta kiwnęła głową, kucając u boku Noaha, by sprawdzić jego puls.

Marnie usiadła na krawędzi wanny, czując się jak piąte koło u wozu. Co się działo w sąsiednim pokoju, z Simone i Hope? Mimo ciekawości nie podniosła się z wanny; chciała móc powiedzieć później Danowi Noysowi, że została z Noahem do samego końca.

— Jak powstało złamanie żeber? — zapytała ratowniczką.

— Odważnikiem... — Noah wzdrygnął się pod wpływem jej dotyku, wypowiedź została ucięta.

— Przepraszam. — Ratowniczka teraz ostrożniej badała jego klatkę piersiową.

Kiwnął nieznacznie głową i zamknął oczy, lecz za chwilę przypomniał sobie, że miał tego nie robić.

Jego wzrok przesuwiał się gorączkowo po suficie.

Drugi ratownik stanął w progu. W łazience brakowało miejsca dla kolejnej osoby. Marnie wstała, zakręciło jej się w głowie. Wyszła na korytarz, żeby wpuścić ludzi, którzy mogli pomóc Noahowi.

Stojąc tuż za drzwiami, na czatach, usłyszała znowu głosy dochodzące z salonu. Toby Graves zadawał komuś pytania.

Ratownicy rozdzielili Simone i Hope; Marnie słyszała nakładające się na siebie słowa medyków. Właśnie opatrywali obrażenia, których ona jeszcze nie widziała. Nawet z tej odległości milczenie Eda przynosiło jej otuchę. Marnie wsłuchiwała się w tę ciszę, zastanawiając się, czy któraś z kobiet z sąsiedniego pokoju robiła to samo.

Na zewnątrz, na wysypanym żwirem podjeździe, wybrała numer do Westbourne Grove.

— Z tej strony Marnie Rome. Znaleźliśmy Noaha. Powinien się z tego wylizać. Zabieramy go do Szpitala św. Jerzego w Tooting.

— Zaraz tam przyjadę. — Ulga w głosie Dana Noysa była ostra, zdumiewająca. — Dzięki.

Karetka zabrała Noaha Jake'a do szpitala. Ratownicy mieli zawieźć tam również Hope i Simone, w oddzielnych autach. Ed postanowił towarzyszyć Simone. Marnie i Toby Graves zamierzali jechać z Hope.

Ratownik przytrzymał w górze lewą rękę Hope, na której miała obrażenia obronne kłute. Na prawej miała podobną ranę, nie tak głęboką, lecz nadal poważną. Kobieta potrzebowała szwów, a może nawet przetoczenia krwi.

Bissellowie będą potrzebować nowego dywanu w salonie.

Ratownicy wciąż zmywali krew z ciała Simone, jednak do tej pory nie znaleźli żadnych ran. Jeden z policjantów zabezpieczył znaleziony na miejscu zbrodni nóż kuchenny. Tuż po tym, jak wyjął go z ręki Simone.

Hope ciągle powtarzała:

— To nie jej wina. To nie jej wina.

I cały czas płakała.

Simone nie mówiła nic, oczy miała suche i wzrok zapatrzonej w dal. Co się nie wydarzyło, czego nie przeżyła, nie potrafiła o tym powiedzieć.

Za późno, pomyślała znowu Marnie.

W obecności Gravesa i całej reszty powiedziała to, co powinna była powiedzieć wiele dni temu,

w ośrodku dla kobiet w Finchley:

— Hope Proctor, aresztuję cię za napaść i usiłowanie zabójstwa Leo Proctora. — Zamilkła na moment, patrząc wprost w mokre, niebieskie oczy kobiety. — A także za spowodowanie ciężkiego uszkodzenia ciała Noaha Jake’a.

Hope zanosila się płaczem, aż trzęsły jej się ramiona. Do Simone Marnie powiedziała łagodnie:

— Muszę pouczyć cię o twoich prawach, zanim ustalimy, co się stało. — Policjanci przyglądali jej się z uwagą. Słyszała w głowie głos Wellanda, wspominającego błędy z przeszłości. — Rozumiesz? — zapytała.

Simone omijała ją wzrokiem, patrząc wprost na ścianę za jej plecami.

Marnie wyrecytowała pouczenie, a potem zwróciła się do Eda:

— Zostaniesz z nią?

Kiwnął głową.

— Tak.

Sierżant Abby Pike dołączyła do nich w szpitalu. Marnie przekazała jej informacje o zarzutach wobec Hope.

— Tym razem nie opuszczaj jej nawet na chwilę. I przypnij ją kajdankami do łóżka, kiedy tylko lekarze dadzą na to przyzwolenie.

Abby kiwnęła głową.

— A jak się ma Noah?

— Zabrali go na chirurgię. O ile nie znajdą krwotoku wewnętrznego, ma duże szanse. Nawet bardzo duże.

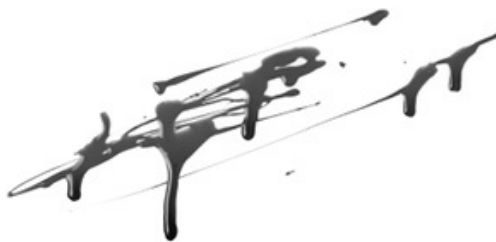
Marnie zostawiła Abby z Hope i przeszła przez recepcję do wejścia głównego, żeby poczekać tam na Dana Noysa.

Słońce wspinało się mozolnie po niebie, odbijając się w dachach i w oknach samochodów. W nocy musiało padać; na plandece utworzyły się cienkie kieszonki błyszczącej wody. Było jeszcze zbyt wcześnie, żeby słońce dawało jakieś ciepło, jednak Marnie i tak zwróciła się twarzą ku pomarańczowej łunie na horyzoncie.

Bawiła się włosami w zamyśleniu, zastanawiając się, czy ekscytujące wydarzenia z nocy wyryły się na jej twarzy, tak jak kamizelka zostawiła zmarszczki na froncie koszuli.

Nasłuchiwała odgłosów szpitala, dochodzących zza jej pleców, bzyczenia chodzących ludzi, dźwiękowego konfetti zamykanych i otwieranych drzwi.

Po minucie wyjęła telefon i zadzwoniła do Paula Brutona z Sommerville, żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia. Miała zamiar trzymać jego słowa z dala od jej nowego nastroju.



OSTRA PLAMA ŚWIATŁA padała na Noaha Jake'a. Zdawał sobie sprawę z jej blasku i ciepła na twarzy, jednak nie mógł otworzyć oczu, żeby poznać ich źródło. Jakiś ciężar spoczywał na jego powiekach jak opaska. Leki? Leki.

Bolał go każdy skrawek klatki piersiowej. Czuł każdy szew oddzielnie, jak ciągnął za skórę na żebrach. Jego skronie płonęły. Starał się nie ruszać, oddychać przez nos; bał się głębszych oddechów, pamiętając o połamanych kościach. Lepiej, żeby się obudził, dla komisarz Rome. Potrzebowała jego zeznań.

— Hej.

Dan? Dan.

Noah miał nadzieję, że jego uśmiech przedostał się przez chmurę leków przeciwbólowych i dotarł na twarz.

— Hej...

Dan dotknął czołem czoła Noaha i został tak przez chwilę, aż Noah mógł poczuć bicie jego serca na ramieniu. Nie usłyszał następnych słów. Poczuł je w oddechu na nosie, w muśnięciu ust.

— Co? Dan. Nie sły...

Pocałunek Dana smakował gorzką kawą, nieprzespaną nocą i niepokojem.

— Przepraszam... Zepsułem ci... plany. Na piątek wieczór.

— Raczej cały miesiąc piątkowych wieczorów — odparł Dan. — Chyba że lekarz może polecić jakąś dobrą pozycję na złamane żebra.

— Nie... nie ten z państwowej opieki.

Dan przycisnął kciuk do łuku brwiowego Noaha.

— Cholera... Muszę ci powiedzieć, że omal mnie nie wykończyłeś.

— Mówiłem... przepraszam. — Chciał podnieść rękę i przeczesać palcami grzywkę Dana, przyciągnąć go bliżej. Zamiast tego obrócił głowę na bok i pocałował wewnątrz jego dłoni. Zostali w tej pozycji na bardzo długo.

— Czas minął — powiedział w końcu Dan.

— Słucham?

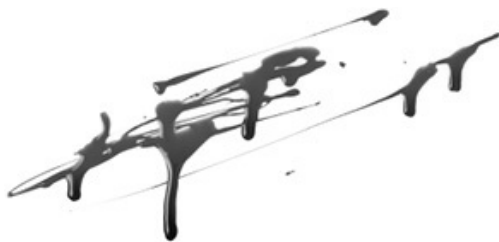
— Dali mi pięć minut. Właśnie minęły. Teraz potrzeba ci odpoczynku, dużo odpoczynku.

— Chyba raczej... kilka shotów tequili.

— Przypomnę ci to później.

— A ja tobie...

Noah chciał złapać Dana za rękę, ale zdał sobie sprawę, że zrobił to wcześniej. Trzymał ją, pozbawioną ciężaru, o tej samej temperaturze co jego własna.



HOPE PROCTOR siedziała za lustrem weneckim, jej usta zamarły w milczeniu. Ciało kobiety, teraz z tymi głębokimi ranami na przedramionach, wystarczało za alibi.

Ofiara, całe jej ciało krzyczało: ofiara.

Okłamała Toby'ego Gravesa i Eda Belloca. Za chwilę zacznie okłamywać także Marnie Rome. Kłamała biegle, całą sobą. Jej twarz w kształcie serca kłamała, jej niebieskie oczy też. Zakrwawione, obandażowane ręce i lekko zgarbiona postawa też kłamały. Łzy wzywała na pomoc wedle woli, jakby strumień żalu lał się po odkręceniu kurka.

Kenneth Reece byłby dumny ze swojej córeczki.

Zuch dziewczyna.

Ed czekał na Marnie. Miał na sobie te same ubrania, które nosił jeszcze w szpitalu, mankiety koszuli zabarwiły się rdzawo od krwi z rąk Simone. Marnie zastanawiała się, czy też wyglądała na tak zmęczoną jak on. Weszli do pokoju dziennego Eda, w przytulny chaos książek i płyt CD, który zaczęła kojarzyć z ciszą i spokojem.

— Kawy? — zaproponował Ed. — A jak nie, to mam peroni.

— Niech będzie peroni.

Ed przyniósł dwie butelki i otwieracz, po czym zdjął kapsle i podał Marnie piwo. Stuknęła szyjką o butelkę Eda.

— Na zdrowie.

— Na zdrowie. — Mężczyzna przysiadł na oparciu kanapy, dobre półtora metra od Marnie.

— Poważnie? — powiedziała, pokazując na dzielący ich dystans. — Dzisiaj przydałby mi się przyjaciel. Nie, żeby wypłakać mu się w rękaw, ale... po prostu, żeby był.

Ed przysunął się bliżej.

— Tak lepiej. — Przytuliła się do niego, wdzięczna.

Pili piwo w ciszy, aż w końcu Marnie się odezwała:

— No, pamiętasz tę dziewczynę, która zgwałciła Stephena? Podcięła sobie żyły. Nic jej nie jest, znaleźli ją na czas, ale teraz muszą jej pilnować. Bruton mówi, że Stephen nie zbliżał się do niej od czasu napaści. — Pociągnęła kolejny łyk piwa, czując rześki smak lagera na języku. — Nie wydawał się jednak

przekonany.

— A ty? Co o tym myślisz?

— Nie mam dość informacji, by dokonać rzetelnego osądu. — Znowu stuknęła butelką o butelkę. — Tekst godny prawdziwego detektywa, co? Wciąż to potrafię, kiedy muszę.

— Pojedziesz się z nim zobaczyć?

— Może za kilka dni. — Stephen przestał być już dręczącą pilną sprawą. — Nie ma pośpiechu. Nigdzie się nie wybiera. I ja też nie.

Ed podparł głowę ręką.

— Mogę zapytać, co się stanie z Simone?

— W tej chwili jeszcze nie wiem. Nie chce z nami współpracować, podobnie jak Hope. — Marnie muskała kciukiem szyjkę peroni. — Spóźniliśmy się, Ed. *Ja się spóźniłam.* Znowu.

— Nie było za późno dla Noaha.

— Za późno, żeby się dowiedzieć, co się tam stało. Między Hope a Simone.

— Simone dojdzie do siebie — odparł Ed. — Może zajmie jej to chwilę, ale dojdzie do siebie. Powie ci, co się stało. Nie spóźniłaś się. Noah żyje. Simone też.

Marnie położyła głowę na jego ramieniu. Może faktycznie nie było jeszcze za późno dla Stephena. Rodzice chcieli go uratować. Może tego powinna była próbować — uszanować pamięć po nich, szanując ich nadzieję. Ich optymizm.

— Rome...

— Mmm?

— Możesz zostać, wiesz. Mam łóżko.

— Myślałam, że już jesteśmy na łóżku.

— Inne — powiedział Ed. — Czystsze. Większe.

— W takim razie dobrze, zostanę.

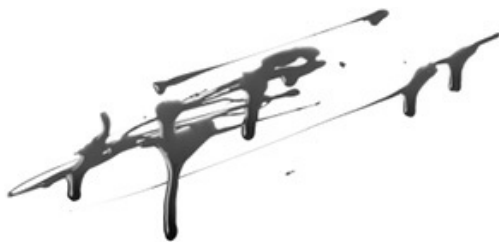
W półmroku sypialni rozebrała się i stanęła w świetle lampy.

Wzrok Eda przesunął się po jej ciele, czytając.

— Rany. Rome.

— Możesz dotknąć — rzuciła, stając bez ruchu.

Chwycił jej twarz w dłonie, delikatnie, i pocałował jej skórę pod oczami, potem w kąciku warg, a na koniec, ciepło, w usta.



— TO BYŁA moja wina — powiedział Noah. — Kazałem Simone wziąć nóż. Nazwałem ją Nasiche. Marnie siedziała przy szpitalnym łóżku, bawiąc się włosami.

— Zamierzałam porozmawiać z tobą na temat wyrzutów sumienia. Ale że dobrze się wczoraj wyspałam, przekładam wykład na późniejszy termin.

Nie tylko spała, pomyślał Noah. Coś w niej zapłonęło.

— Simone miała przynieść nóż, żeby mnie uwolnić — wyjaśnił. — Nie wiem, co zrobiła Hope, że skończyło się to w ten sposób. Simone mówiła, że Hope chce, by ją pocięła.

— Hope chciała, żeby Simone ją pocięła? — Marnie zmarszczyła brwi. — Jesteś pewien?

— Tak mi powiedziała. Mówiłem jej wtedy, że Hope potrzebuje pomocy. Kazałem jej przynieść nóż, żeby mnie uwolnić. Nie wiem, co zrobiła Hope... Nic nie mogłem zobaczyć.

— A słyszałeś coś?

— Tylko krzyki...

Marnie spojrzała badawczo na jego twarz.

— Jakiego rodzaju krzyki? Ze strachu? Z gniewu?

— Jedno i drugie. One obie... krzyczały. Ze strachu i z gniewu. — Poruszył się na poduszkach, krzywiąc się. — Nic nie widziałem.

Tego ranka ból był gorszy niż wcześniej. Wiedział, że to oznacza gojenie się ran, ale przez to nie mógł zrozumieć, co mówi do niego Marnie. Powiedziała mu o Leo, o żółtych różach przyniesionych przez niego do ośrodka na prośbę Hope, że ta ostatnia wiedziała, co ich widok wyzwoli w Simone. O lekceważącym stosunku Kennetha Reece'a do problemów psychicznych córki, jego alkoholizmie, pogardzie... Dobiegające z sąsiedniego pokoju ciche trajkotanie szpitalnego radia przeszkadzało Noahowi w skupieniu uwagi. Próbował zablokować te odgłosy, żeby skoncentrować się na tym, co ważne.

— Simone zaatakowała Hope. To się stało?

— Na to wygląda. Simone nie chce z nikim rozmawiać, nawet z Edem. A ja nie wierzę w ani jedno słowo Hope. Nie mamy niezależnych świadków, ale to Hope ma obrażenie obronne. U Simone nie znaleziono żadnej rany.

— Powiedziała mi... że Hope chce, by Simone ją pocięła. — Noah pokazał palcem na obandażowane

nadgarstki. — Widziałaś jej blizny?

— Simone czy Hope?

— Simone. Ja nie widziałem, ale dotykałem ich. Była... przerażona.

— Hope ją terroryzowała.

Nagle z pokoju obok dało się słyszeć głośny płacz. Nie trwał zbyt długo, zaraz zmienił się w teatralny śmiech, jakby ze wstydu.

— Jest tutaj? — zapytał Noah. — W tym szpitalu? Chodzi mi o Simone. Jest tutaj?

— Tak, ale nie na tym piętrze. — Marnie popatrzyła na niego. — Chirurg powiedział, że miałeś szczęście. Nie doszło do żadnego poważnego krwotoku wewnętrznego.

— A Hope? Jest tutaj?

— Nie. Myślisz, że chciała cię zabić?

Noah nie musiał się nad tym zastanawiać.

— Tak.

— Wiesz, jak to się odbywa. — Uśmiechnęła się przeproszająco. — *Powiedziała ci, że chce cię zabić?*

— Nie, ale okazała zupełne lekceważenie dla stanu mojego zdrowia. — Zbyt wiele słów; musiał na chwilę się zatrzymać, żeby odzyskać oddech. — Odważnik. Młotek tak samo.

Marnie spuściła wzrok na łóżko, na jego poranioną nogę.

— Tak uszkodziła ci kostkę? Młotkiem?

Noah popatrzył najpierw na sufit, a potem na nią.

— To zrobiła Simone. Gdyby to była Hope... miałbym złamaną nogę.

Marnie zamilkła na chwilę, by w końcu powiedzieć:

— Simone uderzyła cię młotkiem.

— Była... przerażona. Robiła wszystko, co kazała jej Hope.

Kolejny moment ciszy.

— Hope kazała jej uderzyć cię młotkiem — powtórzyła Marnie. — Słyszałeś, jak to mówiła.

Noah zagryzł poraniony od środka policzek.

— Nie, ale... to było oczywiste.

— Hope wszystkiemu zaprzecza.

— Zaprzecza czemu? Że zmuszała Simone do posłuszeństwa?

— Wszystkiemu. Zaprzecza wszystkiemu.

Umysł Noaha pracował jak zepsute dynamo; obracał się bez rezultatów.

— Zaprzecza...

— Wszystkiemu. Zrzuca całą winę na Simone. To Simone zmusiła ją do ucieczki ze szpitala. Simone zaprowadziła ją do domu, żeby zabrać odważnik. Simone włamała się do domu Bissellów. Kiedy ty się tam pojawiłeś, Simone cię zaatakowała. Simone cię związała i potem torturowała.

Noah przełknął ślinę, próbując zapanować nad mdłościami.

— Kettlebell. Jej zdaniem za to też odpowiada Simone?

— Tak. — Marnie mówiła spokojnie, z determinacją. Boleśnie zdawała sobie sprawę z błędów, jakie popełnili na samym początku, jeszcze w ośrodku. — Będę potrzebowała bardzo dokładnego opisu tego, co zrobiła i powiedziała Hope.

— Co zrobiła... Przystawiła mi nóż do gardła. Uderzyła mnie. W tchawicę. Położyła... odważnik na piersi i... uderzyła go. Młotkiem. — Nawet po tych kilku zdaniach zabrakło mu tchu, zadławił go szloch.

Marnie dotknęła jego dłoni.

— Nie teraz. Kiedy wydobrzejesz.

Pokręcił głową.

— Chcę... teraz. Musimy ją zamknąć.

— Już to zrobiliśmy. — Marnie nie zabierała ręki. — Wyzdrowiej, a wtedy porozmawiamy.

— Ayana... — zaczął.

— Żadnych wieści, ale ciągle szukamy.

— Rodzice Simone...

— Wyjechali do Marrakeszu. Skontaktowaliśmy się z nimi.

Nigdy się nie dowiedzą. Charles i Pauline Bissell nigdy się nie dowiedzą, co się działo w domu pod ich nieobecność. Nikt się nie dowie, o ile Simone nie znajdzie siły, żeby o tym opowiedzieć. Musiała być w szoku, bo z jakiego innego powodu odmawia współpracy i nie chce wyjaśnić, co się naprawdę wydarzyło?

Marnie podniosła się.

— Dan już czeka, a ja wracam na komisariat.

Noah nie chciał, żeby odchodziła, jeszcze nie. Miał zbyt wiele pytań.

— Hope powiedziała, że... udawałem. Że nie jestem... prawdziwym detektywem.

Zatrzymała się w progu i odwróciła.

— Kłamała. Na temat Leo. Na temat Simone. Na twój temat też. To potrafi najlepiej.

— Kazałem Simone wziąć nóż — powtórzył rozpaczliwie Noah. — Nazwałem ją Nasiche. Chciałem... żeby była Nasiche.

Kiwnęła głową, przyjmując te słowa bez zaskoczenia czy niechęci.

— Wszyscy tego chcieliśmy. Ja i Ed, i Toby Graves. Nasiche wiedziała, jak przetrwać.

Noah nie miał dość sił, żeby wyrazić słowami swoje uczucia. Był kolejną osobą, która manipulowała Simone Bissell. Nic dziwnego, że się zamknęła. Próbował sobie wyobrazić, jak do tego doszło. Nóż w dłoniach Simone. Hope obudzona ze snu, na podłodze, z rękami podniesionymi w obronnym geście...

Czy to takie proste? Hope broniła się przed atakiem Simone? Ponieważ Noah uruchomił w niej inny proces myślowy niż ten, który wywołała Hope bukietem żółtych róż? Uratowało mu to życie, może nawet i życie Simone, jednak jakim kosztem, jeśli Hope wszystkiemu zaprzeczała, a na potwierdzenie miała obrażenia obronne?

— Jeszcze jedno — rzuciła Marnie na odchodne. — Aresztowaliśmy Lowella Patona. Usłyszy zarzuty uszkodzenia ciała i naruszenia nietykalności cielesnej.

— Simone...?

— Nie, nie za to, co zrobił Simone. Pobił dwie inne dziewczyny. Przyłapaliśmy go na gorącym uczynku. Tak jak Simone. Na gorącym uczynku, z nożem w ręku, siedzącą w kałuży krwi należącej do ofiary.

— Henry Stuke — przypomniał sobie Noah. Próbował się podnieść. — Miał zmiądzoną dłoń. Zrzucił to na pracę, lecz przecież obserwował najpierw ośrodek, a potem szpital. Nie mogliśmy połączyć go z żadną z kobiet, ani z Simone, ani z Ayaną. Ron uznał to za stratę czasu, ale ta ręka. Jak u Leo.

Marnie zamknęła drzwi i wróciła do łóżka.

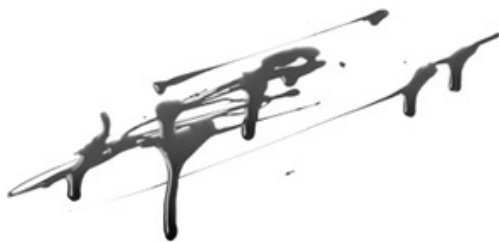
— Opowiadaj.

Noah pokręcił głową, pomstując na watę szklaną, która zdawała się wypełniać mu czaszkę.

— Nigdy się do tego nie przyzna. Jeśli to sprawka Hope... Henry jest gorszy od Leo, znacznie gorszy.

Prawdziwy macho. Nigdy się nie przyzna, że zraniła go kobieta.

— Może i racja — odparła Marnie, siadając u jego boku. — Ale i tak mi wszystko opowiedz.



DWA PIĘTRA WYŻEJ światło wślizgiwało się do środka przez hartowane szyby w oknach, odnajdując brązowe pasemka we włosach Eda.

— Rome... — Uśmiechnął się do niej szeroko, patrząc spod grzywki. Powstrzymała chęć poprawienia mu poczochranych włosów, ponieważ to ona była odpowiedzialna za ten bezład.

— Jak tam Simone? — Kiwnęła głową w stronę prywatnej sali. Przez szybę w zamkniętych drzwiach można było zobaczyć dziewczynę leżącą na łóżku; jej profil na tle białych poduszek wyglądał jak ciemny posąg z drewna.

— Śpi — odparł Ed.

— Uśpili ją?

— Nie, po prostu śpi.

— To już coś... Aresztowaliśmy wczoraj Lowella Patona.

Ed szybko na nią spojrzał.

— Gdzie?

— W jego mieszkaniu na szczycie bloku. Akurat maltretował dwie dziewczyny na telefon. Prokurator właśnie się zastanawia nad kwalifikacją czynu. Lowell próbuje przekonywać, że zrobił to za zgodą obu pokrzywdzonych, ale przy pięciu świadkach zeznających przeciwko niemu i dwóch rozbitych wargach ma na to nikłe szanse. — Posłała Edowi uśmiech, ciesząc się, że może mu przekazać jakieś dobre wieści. — Pójdzie do więzienia.

— Na jak długo?

— Przynajmniej pięć lat, może więcej, jeśli będziemy mieli szczęście.

Ed zajrzał do szpitalnej sali, żeby zerknąć na śpiącą dziewczynę.

— Szczęście — powtórzył.

— To nie powinno zależeć od szczęścia, wiem. A Lowell zasługuje na coś o wiele gorszego za to, co zrobił Simone. — Szczypały ją oczy. Opuściła na chwilę powieki, myśląc o aresztowaniu Patona. Torba pełna tanich gadżetów, płacz dziewczyn. Nie wiedziały, w co się pakują. Wyobrażały sobie pewnie, że we dwie są bezpieczne, że to tylko taka gra. Gra bogatego, białego dzieciaka. Nie miały pojęcia, jakie z Patona jest zwierzę i co go podnieca.

— Bardzo je skatował? — zapytał Ed.

— Trochę je poobijał, ale dotarliśmy na miejsce, zanim zabawa zdążyła się na dobre rozkręcić. Zabawa w stylu Lowella... — Marnie zerknęła na zegarek. — Ma się pojawić w sądzie o pierwszej. Powinnam pojechać na Talgarth Road, bo to ja dokonałam aresztowania.

Kiwnął głową.

— A masz czas, żeby najpierw zjeść śniadanie?

Uśmiechnęła się do niego.

— Ja stawiam.

Jej ulubiona kawiarnia, a w niej francuskie tosty i kawa. Za wcześnie na tłumy z przerwy lunchowej, za późno na te poranne. Właściciel zaprowadził ich do stolika na tyłach, niosąc dzbanek kawy i drugi, pełen gorącego mleka. Postawił oba ostrożnie, a potem wrócił do kuchni.

Marnie patrzyła, jak Ed bierze filiżankę w dłonie, a miękki zakrętas pary rozmazuje obrys jego szczęki. Jej wzrok podążył dalej, wzdłuż palców, aż do nadgarstka, nieco piegowatego w miejscu, gdzie kość kreśliła swój kształt pod skórą.

— Mam problem — powiedziała — w pracy.

Ed odstawił filiżankę.

— Jaki?

— Hope... — Opuszką kciuka badała wzór na obrusie. — Całą winę zwała na Simone. Ucieczkę ze szpitala, maltretowanie Noaha, wszystko. Zatrudniła prawnika. Jeszcze go nie poznałam. Grozi pozwaniem nas o niedopilnowanie obowiązków. Podobno nie zadbałam o to, by chronić Hope przed Simone.

— Ale... Żartujesz, prawda?

— Niestety. Cwana jest, musisz przyznać. Nie powinna była zostawać sama w szpitalu po tym, co się stało Leo. Jej prawnik chce wiedzieć, dlaczego jej nie aresztowano albo przynajmniej nie otoczono właściwą ochroną policyjną. I ma pewną słuszość.

Inspektor Welland opisał prawnika Hope jako „suczą pijawkę, stworzoną wyłącznie po to, by mnie wkurwić”, co nie działało dobrze na pewność siebie Marnie jako osoby będącej celem tejże pijawki.

— A co z zeznaniem Noaha? — zapytał Ed.

— Jej prawnik twierdzi, że zeznania są tendencyjne. Chodzi o rasizm. Noah Jake nie chce przyznać, że agresorem była Murzynka.

Ed miał tak poważną minę, że Marnie aż musiała się uśmiechnąć i wyciągnąć rękę, by kciukiem wygładzić zmarszczkę nad jego nosem.

— Spokojnie, jeszcze nie skończyłam.

Chwycił jej dłoń i przytrzymał.

— Jeśli stanie przed ławnikami...

— Wiem. Co zobaczą? Wrócimy do punktu wyjścia, a Hope stanie przed kolejną publicznością, odgrywając rolę ofiary. Znowu zagra na ich oczekiwaniach.

Ed pokręcił głową.

— Szkoda, że nie możemy liczyć na zeznania nikogo z ośrodka na temat tego, co naprawdę stało się z Leo... Ayana widziała to najlepiej.

— Niestety nadal nie możemy jej znaleźć. — Marnie badała palcami pulsujące tętnice w nadgarstku Eda. — Przynajmniej mamy pewność, że nie opuściła kraju, jeszcze. Domyślam się, że Hatim nie zadzwonił.

— Przykro mi. — Ed pokręcił głową. — Jedna rzecz. Kenneth Reece. Zadzwoń tu i tam, wypytaj o jego miejsce w domu komunalnym. Ma zaawansowaną marskość wątroby. Organ jest zbyt mocno zabliźniony, żeby Reece kwalifikował się na przeszczep, a w tej chwili leczą go na żółtaczkę typu C. Innymi słowy... ojciec Hope umiera.

— Naturalna sprawiedliwość. Myślisz, że Hope się tego domyśliła podczas ich ostatniego spotkania?

— Możliwe. Nie jest głupia. I знаła go w czasach, kiedy miał się dobrze.

Przyniesiono im tosty, które pachniały tak smakowicie, że Marnie pociekła ślinka. Sztućce zostały podgrzane i owinięte w grubą, lnianą serwetkę. Brzegi talerzy oprószono kryształkami brązowego cukru, który złocił się także w sercu gorących tostów. Właściciel lokalu przyniósł świeżo spienione mleko i dolewkę kawy.

— Dziękuję. — Marnie posłała mężczyźnie uśmiech. To miejsce było jej sekretem, zazdrośnie strzeżonym. Zastanawiała się, czy Ed rozumie, jak wielkie znaczenie ma fakt, że go tu przyprowadziła. — Masz czas, żeby tam podjechać, gdy już skończymy?

— Do Finchley? Pewnie. — Ed włożył do ust kawałek tosta. — O rany, Rome. Nie jadłem nic tak dobrego, odkąd...

— Uważaj.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem znowu zaatakował danie.

— Dobra. Będę musiał przychodzić tutaj codziennie.

— Proszę bardzo, o ile będziesz pamiętał, by zabrać mnie po drodze.

Kryształki cukru w kącikach ust sprawiały, że jego uśmiech błyszczał.

— Wszystkie drogi prowadzą do ciebie, Rome. Odezwał się jego telefon. Ed wytarł ręce i zerknął na wyświetlacz, marszcząc brwi.

— Wiadomość od Tessy. Ponoć ma nam coś do pokazania.

Podał komórkę Marnie. SMS był enigmatyczny, nie czuć było niepokoju czy pośpiechu, zwykła prośba, by Ed podjechał do ośrodka, gdy będzie miał czas. *Weź ze sobą tę policjantkę.*

— Chodzi o ciebie — uściślił Ed.

W ośrodku rusztowanie okazało się puste, a plastikowa folia przykrywająca dach poruszała się na wietrze. Drzwi były zamknięte. Britt wpuściła ich, a potem wróciła do pokoju dziennego. Usiadła obok Mab, kładąc jej na kolanach robiony przez siebie na drutach fioletowy szalik. Mab jej w tym pomagała, przytrzymując kłębek wełny w urękawicznionych dłoniach. Uśmiechnęła się promiennie na widok Marnie i Eda, wyraźnie zadowolona i przytomna.

— Hej! Patrzcie, kto przyszedł.

— Co słyhać? Macie dla nas jakieś wieści? — zapytała Britt.

— Kilka — odparła Marnie. — Znaleźliśmy Simone. Hope też.

— Och, to świetnie! Prawda, Mab?

Mab pokiwała głową, wciąż uradowana. Przy Britt cały ośrodek przeszedł transformację, łącznie

z samymi lokatorkami. Wnętrze wydawało się czyste i przytulne. Świeże kwiaty na stole, nowy regał na książki, poduszki na kanapach, dywan na podłodze.

Tessa siedziała obok Shelley. Telewizor był włączony, ale Tessa na niego nie patrzyła. Właśnie rozwiązywała krzyżówkę. Kiedy zauważyła gości, szturchnęła Shelley.

— Są tutaj.

— Mam przecież oczy, prawda? Widzę ich. — Złote kółko w lewym uchu zakołysało się, Shelley zgarbiła się, wzrok wbiła w telewizor, pięści schowała do rozciągniętych kieszeni bluzy. Niektóre kryształki odpadły od czarnego weluru, zostawiając kropki kleju.

Tessa przewróciła oczami.

— Rozmawialiśmy z Mab po waszym wyjściu. Pomyśleliśmy, że powinniście posłuchać, co ma do powiedzenia.

— Dobrze. — Marnie zajęła miejsce obok Mab, czekając, aż Ed również usiądzie. — Co takiego chciała nam pani powiedzieć?

Mab patrzyła z zadowoleniem na Eda.

— Teddy, dobry z ciebie chłopak.

— Dzięki, kochana. Chciałaś nam coś powiedzieć?

— Robimy szalik.

— Tak, widzę.

— Powiedz im o telefonie — rzuciła Tessa. — No dalej, Mab. To ważne, pamiętasz? — Kiedy staruszka nadal milczała, Tessa oznajmiła: — Mab myśli, że będzie miała kłopoty, ale mówiłyśmy jej, że to nie tak, jak z kolczykami i resztą.

— No — wtrąciła Shelley. — A moimi kolczykami to się nikt nie przejmował.

— Zamknij się — palnęła Tessa. — Opowiedz im o ładnym telefonie, Mab. — Zerknęła na Marnie. — W telewizji leciała reklama komórki i, cóż, głupio nam było, że wcześniej jej nie posłuchałyśmy. Wtedy z Ayaną. Dlatego kiedy zaczęła gadać o tym telefonie... Pomyśleliśmy, żeby was powiadomić.

Ed wyciągnął swoją własną komórkę z kieszeni i pokazał ją Mab. Uśmiechnęła się.

— Bardzo ładny telefon.

— Owszem. — Britt nie odłożyła drutów, które stukały teraz jeden o drugi.

— Nie tak ładny jak ten drugi.

Tessa szturchnęła Shelley w żebra, kiwając głową na Marnie.

— Jaki drugi? — dopytywał Ed.

— Ten z diamentami. Zostawiła go w pokoju — odparła Mab.

Ed starał się mówić lekkim, swobodnym tonem.

— Ayana go zostawiła?

— Nie Ayana, ona tylko myślała, że mam ten jej. Ta druga. Ta nowa. Hope.

Skórę Marnie rozgrzała świeża fala adrenaliny.

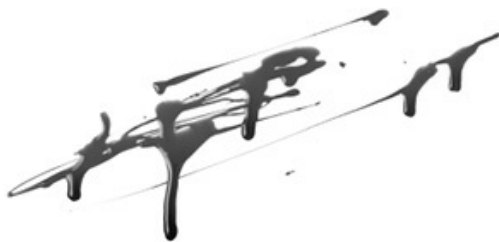
— Mab. — Ed kucnął przed kobietą i sięgnął po jej rękę. — Gdzie jest teraz ten ładny telefon?

Mab zdawała się tracić głowę. Ścisnęła palce Eda.

— Schowałam go — powiedziała. — Schowałam go, żeby go dla niej ochronić.

— Wiem, że chciałaś go ochronić. Jesteś bardzo ostrożna. Dbasz o wszystko. Pokażesz mi ten telefon?

Żebym mógł zobaczyć, jaki jest ładny.



— MAB miała telefon Hope? — Noah Jake, wsparty na poduszkach w szpitalnym łóżku, wyglądał znacznie lepiej po porannym wypoczynku.

— Schowała go pod obiciem krzesła. — Marnie usiadła obok niego. — Ed wyjaśnił mi, że Mab jest jak sroka. Zbiera wszystko, co inni zostawią na wierzchu.

Na czole Noaha pojawiła się zmarszczka.

— Hope nigdy nie wspominała, że zaginął jej telefon...

— Przykrywka. Leo zaklinał się, że żadnego nie posiadała. Zasugerował nawet, że nie umiałaby z niego korzystać. Nie wątpię, że w to wierzył. To część jej alibi; mąż izolował ją od świata, nie pozwalał jej do nikogo dzwonić. Mab znalazła komórkę tuż po napaści. Hope zapewne planowała poprosić Simone, żeby przyniosła ją ze sobą do szpitala. Myślała, że bezpiecznie będzie mieć kogoś, kto po niej posprząta. Nie wiedziała jednak, że Mab zdążyła już znaleźć telefon i schować go w obiciu krzesła. — Marnie naląła wody do szklanki. — Ładny zresztą. Modny pokrowiec, trochę jak Ayany, ale droższy. Mamy farta, Mab nosi rękawiczki. Na komórce znajdują się wyłącznie odciski palców Hope.

Twarz Noaha powoli się rozchmurzyła.

— Mów dalej. Widzę, że to nie koniec.

Marnie celowo milczała przez chwilę, zanim przeszła do dalszej części.

— Komórka Ayany zniknęła na pewien czas, dzień przed napaścią. Dziewczyna zgłosiła to Jeanette, a ta kazała jej dogadać się z Mab. Wszyscy wiedzieli, że Mab od czasu do czasu zabiera różne rzeczy. Ayana zapytała ją o telefon, ale Mab twierdziła, że go nie brała. Zdenerwowała się, więc dziewczyna dała jej spokój. Potem komórka wróciła na swoje miejsce i Ayana uznała, że Mab musiała ją oddać. Dzień po napaści Mab znalazła inny telefon, należący do Hope, schowany w jej pokoju. Wzięła go. Domyślam się, że Hope spodziewała się odzyskać komórkę, gdy Simone pojawi się w szpitalu. Nie mogła ryzykować zabrania go ze sobą, ponieważ nie zgadzało się to z jej alibi. — Marnie patrzyła, jak Noah zaczyna kojarzyć fakty. — Mamy bilingi z numeru Hope. Dzwoniła tuż przed napaścią. Do domu rodzinnego Ayany.

— Ayana... trzymała *domowy* numer telefonu w komórce?

— Jak mówił Ed, niełatwo się odciąć. Numer był zapisany w jej kontaktach. Sama nigdy go nie wybrała, ale Hope tak. Zaraz przed tym, jak dźgnęła Leo.

Noah zamknął oczy, zaraz otwierając je równie szybko.

— Hope zadzwoniła pod numer znaleziony w telefonie Ayany?

— I połączyła się z braćmi Ayany. Tak.

— Czyli...

— Nikt nie pojechał za tobą do ośrodka. Nie wydałeś Ayany. To wszystko przez Hope.

— Dlaczego? — Noah wydawał się dezorientowany, mimo znajdujących się na jego ciele licznych dowodów prawdziwej natury Hope Proctor.

— Najprawdopodobniej dlatego, że Ayana przejrzała Hope. Może nie do końca, ale dość, by ta ostatnia zdała sobie sprawę, że ma w ośrodku wrogo nastawionego do niej świadka. Kogoś, kogo może się pozbyć, wykonując jeden telefon. To ostatnia rzecz, jaką zrobiła przed napaścią na Leo. Utorowała sobie drogę.

Noah poruszył się nerwowo na łóżku.

— Znaleźliście Ayaną?

— Jeszcze nie, ale znajdziemy.

— A Hope?

Marnie wykrzywiła usta.

— Zajmę się nią. Nie wie jeszcze, że znaleźliśmy telefon. Z radością ją o tym poinformuję. Jej prawnika też.

— Rozmawiałaś już z Henrym Stuke'em?

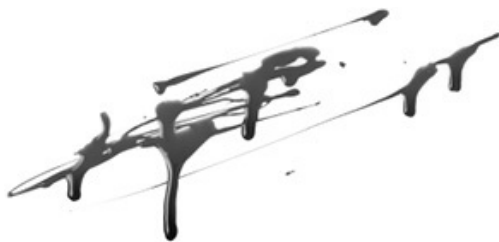
— Nie, ale porozmawiam.

— A co z Simone?

— Potrzebuje czasu. Podobnie jak ty. Czasu na zaleczenie ran. — Marnie wstała i na chwilę zatrzymała się przy łóżku. — Jak się ma Dan?

— Dobrze, dzięki. A Ed? — zapytał niewinnie Noah, uśmiechając się.

— Jak prawdziwy detektyw. No proszę. Mówiłam, że kłamała.



— CZYLI SIMONE BISSELL nie chce współpracować. — Inspektor Tim Welland siedział za biurkiem, wycierając fotografię swojego ulubionego samochodu ulubionym krawatem.

Zbliżała się trzecia po południu i Marnie zdążyła już wrócić z Talgarth Road, gdzie sąd nie zgodził się na wyznaczenie kaucji w sprawie Lowella Patona. Ostrożnie pozwalała sobie mieć nadzieję. Ed będzie mógł przekazać Simone dobre wieści, kiedy już trochę wydobrzeje; Paton trafi do więzienia na długo.

— Nie odzywa się nawet do Belloca? — zapytał Welland. — On zazwyczaj potrafi zdziałać cuda z tymi kobietami.

— Simone jest w głębokim szoku. Jestem pewna, że w końcu porozmawia z Edem, po prostu potrzebuje więcej czasu.

— Tymczasem Patrick Rolfe zbiera siły, żeby oskarżyć policję o zaniedbanie. Ma na panią oko. Jak zamierza pani sobie z tym poradzić?

— Mam całkiem niezły plan. — Zamilkła na moment. — W roli głównej twardy dowód.

— Miło mi to słyszeć... Hope Proctor świetnie się prezentuje w swojej roli. — Welland odłożył zdjęcie na odpowiednie miejsce na biurku. — Zwłaszcza w tych bandażach. Rolfe pokazuje ją jak nagrodę zapakowaną w błyszczący papier, z kokardką.

Marnie pokiwała głową.

— Cała jej linia obrony opiera się na jej wiarygodności jako świadka. Jeśli ją zakwestionujemy, wszystko upadnie.

Welland zaczął przekładać długopisy w porcelanowym pojemniku firmy Stilton. Ze środka ulatywał zapach jego pierwotnej zawartości.

— Rolfe chce wiedzieć, dlaczego nie aresztujemy Simone Bissell. Jego zdaniem prokurator powinien się chętnie nią zająć. I właściwie ma rację, zwłaszcza po sprawie Nasifa Mirzy. Tym razem mamy narzędzie zbrodni i odciski, a mimo to prosimy, żeby oskarżyli ofiarę.

— Hope Proctor już dawno temu przestała być ofiarą. Gdyby Rolfe miał trochę oleju w głowie, próbowałby to ugryźć z tej strony. Wykorzystać jej przykre doświadczenia z dzieciństwa.

— I wnosić o niepoczytalność, skoro może jej załatwić uniewinnienie i jeszcze odszkodowanie? To nie w jego stylu.

— Pan zna go lepiej niż ja. A nie jest przypadkiem drogi? Zastanawiam się, jak to pasuje do tego

całego izolowania Hope. Świat jest dla niej taki wielki i taki straszny, a jednak babka doskonale wie, gdzie szukać świętego adwokata? To się nie klei.

Welland odrzucił argument, kręcąc głową.

— Rolfe to oportunistą. Potrafi wywąchać współczucie opinii publicznej z odległości setek kilometrów. Tysięcy, jeśli w grę wchodzi też odszkodowanie. To on zgłosił się do niej, nie odwrotnie.

Wstał, sięgając po marynarkę.

— Potowarzyszę pani komisarz przy tym spotkaniu.

Marnie zamrugła z zaskoczenia.

— Nie ufa mi pan?

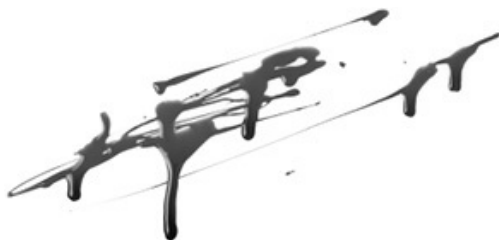
— Liczę na panią — poprawił. — Liczę, że Rolfe i jego klientka ostro się na pani przejadą. — Położył swoją potężną dłoń na jej ramieniu. — Pani komisarz, pogromca smoków.

Znowu zamrugła, absurdalnie wdzięczna za ciężką rękę, która przytrzymała ją w miejscu.

— Patrick Rolfe to żaden smok. To pijawka.

— Jaszczurka — sprostował Welland. — Zwierzę z rodziny smoków. Żyje w suchym terenie, doskonale się wspina... — Jego uśmiech był ciepły, letargiczny. — Mogłabyś go pokonać we śnie.

— Rolfe'a może i tak. Bardziej martwi mnie Hope.



HOPE, ubrana w workowaty, szary dres, wyglądała na szesnastolatkę. Spięła włosy w kucyk, podkreślając swoją czystą, pozbawioną makijażu skórę. Niepokój w oczach, lecz fałszywy. Marnie musiała sprawić, by stał się realny. Odrzeć Hope z kolejnych warstw przebrania, pokazać Timowi Wellandowi i Patrickowi Rolfe'owi prawdziwą Hope Proctor, córkę Reece'a. Usiadła, stawiając pudełko z papierami na metalowym stole.

— Poznałam twojego ojca w Dulwich.

Usta Hope drgnęły. Kiedy się odezwała, jej głos był bardzo cichy.

— Jak... jak się miewa?

— Jak się miewa? — Marnie złożyła ręce na blacie. — Świetnie. Jest z ciebie dumny.

Hope szeroko otworzyła błękitne oczy, zapominając języka w gębie. Rolfe złożył usta w dzióbek, jakby chciał zagwizdać. Welland skrzyżował ręce na piersi, przybrał wojowniczy wyraz twarzy.

— Jest z ciebie dumny, bo przetrwałaś. Bo jesteś, tutaj cytuję, *zuch dziewczyna*.

Hope pokręciła głową i spojrzała na swojego prawnika.

— Nie nudzi ci się to? — Marnie naprawdę chciała poznać odpowiedź na to pytanie. — Nie nudzi ci się granie kogoś, kim nie jesteś, jego grzecznej dziewczynki? Jego grzecznej, głupiutkiej laleczki? Mi by się znudziło. Zmęczyłoby mnie to śmiertelnie. Zwłaszcza po tym, jak wbiłabym komuś nóż w płuco.

Tyle lat nieustannego przeskakiwania z roli złotej dziewczyny w rolę zucha. Akt wymagający rozwagi, zawsze musiała odgrywać swoją partię idealnie, zawsze obawiała się, co się stanie, gdy powinie jej się noga. Nigdy nie mogła być szczęśliwa, prawdziwie szczęśliwa. I bezpieczna.

— Pani do czegoś zmierza? Najbardziej bym chciał, żeby cała ta przemowa prowadziła do przedstawienia dowodów. — Rolfe założył czerwony krawat i białą koszulę, w mankiety wpiął spinki z klubowym herbem. Spinki były błędem; podkreślały jego ego przy każdym ruchu rąk.

Marnie go zignorowała, zwracając się wprost do Hope:

— Twój tata powiedział, że nigdy nie miałaś problemu z tym, co robił. A wiemy, co robił Gayle, twojej mamie. Naprawdę ci to nie przeszkadzało?

Hope skuliła się w sobie. Zaczęła nerwowo przeczesywać włosy. Obgryzała paznokcie od czasu aresztowania, niszcząc perłoworóżowe dowody.

— Powiedział, że nie kontaktowałaś się z nim od pogrzebu mamy. Dlaczego?

— Leo mi nie pozwalał — szepnęła. — Nie... nie lubił mojego taty.

— A twój tata nie lubił jego. Dlaczego? Bo Leo nie był prawdziwym mężczyzną? Nie podnosił ciężarów, nie bił kobiet, czy co tam jeszcze robią prawdziwi mężczyźni...

— Czy ta rozmowa w końcu zacznie dotyczyć sprawy? — Rolfe pochylił się do przodu na krześle, jego czerwony krawat wyglądał jak autopsyjne cięcie na klatce piersiowej. Nie śpieszył się, cierpliwość pokrywała go jak kolejna warstwa lakieru na jego gładkiej twarzy.

Marnie zaserwowała mu wystudiowany uśmiech.

— Podnoszenie ciężarów dotyczy sprawy. Dwudziestokilogramowy, żeliwny odważnik kulowy z odciskami palców pańskiej klientki. Właśnie nim złamała żebra mężowi. I sierżantowi Noahowi Jake'owi.

— Już to omówiliśmy. Moja klientka działała pod przymusem, obawiając się o swoje życie.

— Sierżant Jake mówi co innego. Bardzo dokładnie opisał przyjemność, z jaką pańska klientka go maltretowała. Co więcej, odniósł bardzo wyraźne wrażenie, że zamierzała go zabić. Mamy celowy wybór narzędzia. Odważnik kulowy należy do pańskiej klientki. Został zabrany z jej domu. Użyła go, by połamać żebra sierżanta Jake'a, zaraz po tym, jak groziła mu nożem.

— Nożem, który został znaleziony w rękach Simone Bissell — dodał Rolfe. — Nożem, którym zadano mojej klientce zagrażające życiu rany.

— Proszę wyjaśnić mi jeszcze raz, dlaczego sierżant Jake miałby kłamać na temat wydarzeń, które omal nie doprowadziły do jego śmierci. — Marnie kiwnęła na Hope.

— Ależ proszę bardzo. — Rolfe podniósł i opuścił ramiona w swojej szytej na miarę marynarce; Marnie mogła przysiąc, że słyszała warknięcie Tima Wellanda. — Nikt nie zaprzecza, że sierżant Noah Jake wiele wycierpiał z rąk niestabilnej emocjonalnie młodej kobiety. Zważywszy na przeszłość Simone Bissell, jestem pewien, że wszyscy potrafimy zrozumieć jego rycerski instynkt, by ją chronić. Nie mogę jednak pozwolić, by odbyło się to kosztem mojej klientki.

— Usiadła mi na nogach — odczytała na głos Marnie z zeznań Noaha — i przystawiła nóż do piersi. Ostrzegła, żebym był ostrożny, bo „ta suka z kartą telefoniczną tym razem ci nie pomoże. Kiedy się odezwałem, uderzyła mnie w gardło rączką noża”.

— Widzę tu rycerskość i strategię polityczną — powiedział Rolfe.

— Polityczne co? — zapytał z naciskiem Welland.

— Poprawność, jeśli państwo wolą, polityczną poprawność. — Rolfe poprawił spinki. — Nie wierzę w przypadek, że sierżant Jake i Simone Bissell mają ten sam kolor skóry...

— On jest z Jamajki, ona z Ugandy. A pan jest rasistą — odparła Marnie.

— ...a także tę samą orientację seksualną — dokończył prawnik.

— Cofam to. Bigoci by się pana wstydzieli.

Rolfe kiwnął powoli głową, jakby bezgłośnie bił brawo.

— Ona ma rację. — Welland wyciągnął kciuk w stronę prawnika. — Zagra pan tymi kartami przed prokuratorem i zaserwują pańską głowę na wielkiej tacy. Noah Jake jest idealnym świadkiem. Wszyscy o tym wiemy.

— Lepiej, żeby miał pan rację. — Twarz Rolfe'a wydłużyła się w samozadowoleniu. — Ponieważ nic innego nie macie. Technik policyjny sam wyjął nóż z rąk Simone Bissell. Komisarz Graves był

świadkiem traumy mojej klientki bezpośrednio po napaści. A sierżant Jake znajdował się w innym pomieszczeniu, gdy do niej doszło.

Brwi Wellanda wspięły się wyżej na czoło.

— Przywiązany do rury pod umywalką przez pańską klientkę. — Kiwnął głową na Hope. — Świetnie potrafi pani krępować człowieka, jak na kogoś, kto nigdy wcześniej tego nie robił.

Hope znowu wykorzystała swój trik z kuleniem się; jeszcze chwila i całkiem zniknie. Przez sekundę Marnie jej współczuła — czy właśnie w ten sposób udało jej się przetrwać w dzieciństwie? Zajmując najmniej miejsca, jak to tylko możliwe, w tamtym zapomnianym przez Boga i ludzi domu? Przed ich oczami nie znajdowała się ani Hope Proctor, ani Hope Reece. W istocie mogli zobaczyć, ile z niej zostało po tym, jak Kenneth Reece odprawił swoje rodzicielskie czary.

Noah Jake ujrzał prawdziwą Hope w łazience Bissellów. Marnie przywołała wspomnienie jego zakrwawionych nadgarstków, skóry rozdartej pod wpływem prób wydostania się z więzów, gdy chciał uratować Simone.

— Komisarz Graves był świadkiem doskonałych zdolności aktorskich pańskiej klientki. Naprawdę potrafi grać. Noah dostał się na specjalny pokaz, poza głównym scenariuszem. A inspektor Welland ma rację, Noah to cholernie dobry świadek. Ukończył z wyróżnieniem psychologię. Trzeba było to wykorzystać — zwróciła się do Hope — zamiast zabawiać się w jego kata. A jednak domyślam się, że trudno zerwać ze starymi przyzwyczajeniami.

— Poważnie wątpię — powiedział Rolfe — by Leo Proctor miał czelność składać fałszywe zeznania przed sądem, by pognać swoją żonę jeszcze bardziej niż dotychczas. Tacy brutale jak on... wszyscy pod skórą pozostają tchórzami.

— To prawda, Hope? — Marnie popatrzyła na kobietę siedzącą obok prawnika. — Jesteś pod skórą tchórzem? Tak jak twój ojciec?

Hope podrapała się po łokciach, podnosząc tym samym rękawy, spod których wystawały bandaże.

— Pokaż mu swój tatuaż. — Marnie posłała jej uśmiech z drugiego końca metalowego stołu. — Ten, który zrobiłaś sobie na wzór tatuażu ojca. On mówi o twojej skórze, więc pokaż, co z nią zrobiłaś. My już wiemy, co zrobiłaś na skórze Leo.

— Moja klientka dość już wycierpiała z powodu uprzedzeń, jakie pani do niej żywi, pani komisarz. Gdyby nie pani niekompetencja, w tej chwili pani Proctor leżałaby w szpitalnym łóżku.

— Przecież leżała w szpitalu. Uciekła stamtąd, gdy tylko zdała sobie sprawę, że jej mąż może powiedzieć prawdę o tym, co się działo w ich domu.

— Co się działo w ich domu — powtórzył Rolfe. — Widziała pani dowody medyczne na to, co moja klientka wycierpiała z rąk męża. Naprawdę pani oczekuje, że prokurator, czy w ogóle ktokolwiek, przymknie na to oko?

— Pańska klientka podrywała nieznanym w barach w bardzo konkretnym celu: by zostać przez nich pobita. Nie wspominała o tym? Jestem pewna, że zdołamy znaleźć jednego czy dwóch takich mężczyzn. Trudno będzie jej udawać ofiarę, gdy udowodnimy, że szukała sadomasochistycznego seksu.

— Jak już wspominałem, jest pani do niej uprzedzona.

— Pani komisarz — powiedział Welland. — Moglibyśmy to przyśpieszyć? Zaczyna mnie boleć tyłek od siedzenia na tym metalowym krześle.

Marnie wyciągnęła rękę po pudełko i przysunęła je do siebie.

— Rozumiem, że nie kontaktowałaś się z ojcem po pogrzebie matki, ponieważ Leo tego zabronił.

Mogłaś jednak do niego zadzwonić, prawda? Kiedy Leo był w pracy.

Hope ciągnęła obiema rękami kucyk, napinając skórę na czole.

— Leo... sprawdzał bilingi. Żeby wiedzieć, do kogo dzwonię.

— Nie wpadłaś na to, by zdobyć komórkę? Ukryć ją przed mężem? Mnóstwo maltretowanych kobiet tak robi, na wszelki wypadek.

Wreszcie do niej dotarła. W błękitnych oczach błysnęła ulotna, lodowata iskra.

Hope nie patrzyła na pudełko z dokumentami, lecz wyraźnie bała się tego, co mogłoby się tam znaleźć.

— Nie miałam swoich pieniędzy. Leo mi nie pozwalał.

— Mogłaś odkładać drobne sumy z zakupów, prawda?

— Wszystko sprawdza. Cały dom jest... jak lista, z której może wykreślać różne rzeczy. Szuka błędów, które popełniłam, żeby mnie za nie ukarać.

— Och, byliśmy w waszym domu. Bardzo ładny. Leo miał swój własny pokój, pod samymi schodami.

— To... to było *moje*. To *mnie* tam kazał wchodzić. — Hope rozejrzała się dokoła, unikając sceptycznego wzroku Wellanda. — Staralam się być cicho. I byłam, ale tam się nie dało oddychać, nie mogłam się stamtąd wydostać...

— Zabawne, że to Leo miał połamane paznokcie, a na twoich dłoniach widziałam idealny manicure. Oczywiście do czasu, aż zdałaś sobie sprawę, że ten szczegół może cię wydać. — Marnie oparła ręce na folderze, dając Hope jeszcze chwilę na próby odgadnięcia, co się znajduje w pudełku. — Czyli nie miałaś komórki?

— Nie... swojej nie. — Ostrożnie stawiała zakład.

— Ale wiesz, jak korzystać z takiego telefonu. Wysyłałaś wiadomości z komórki Noaha. Na policję i do Dana Noysa.

— To nie ja, to Simone.

— Naprawdę? Wydawały się ostrzeżeniami. Dlaczego Simone miałyby nas ostrzegać przed Nasiche Aumą? Przecież to ona jest Nasiche Aumą.

— Nie wiem dlaczego. Jest szalona. To nie jej wina. W tamtym domu wydarzyły się potworne rzeczy. Naprawdę rozumiem. — Zwracała się do prawnika, używając tego samego gorączkowego tonu, jaki Marnie podziwiała w ośrodku dla kobiet. — To nie jej wina.

— Jakaś ty wielkoduszna — powiedziała Marnie. — Żeby wszystko było jasne: w rzeczywistości posiadasz własny telefon komórkowy.

— Już mówiłam, że własnego nie. Leo nie pozwalał...

Marnie wyjęła z pudełka torbę na dowody i położyła ją wraz z zawartością na stole. Diamenciki na obudowie odbijały światło lampy.

— Zacznijmy od początku, dobrze?

Hope natychmiast odwróciła wzrok.

— To nie jest mój telefon.

Prawnikiemowi nie spodobał się widok torby na dowody. Jeszcze chwila i poradzi swojej klientce, żeby przestała mówić.

— Ależ twój. Znaleźliśmy na nim twoje odciski palców. Wyłącznie twoje. — Marnie wyciągnęła kartkę papieru. — Mam tutaj wyciąg z połączeń wykonanych tym telefonem. Dzwoniłaś do Leo, na wasz domowy numer. Kto inny by to zrobił? — Sięgnęła po jeszcze jedną kartkę. — A to wykaz połączeń z twojego domu. Potwierdza czas i numer, z jakiego zostało wykonane połączenie.

Do tych dwóch bilingów dołączył jeszcze trzeci.

— Dzwoniłaś też do domu Ayany Mirzy. Rano tego samego dnia, kiedy próbowałaś zabić męża. Ponieważ szybko zauważyłaś, że Ayana jest dla ciebie zagrożeniem. Jako jedyna z lokatorek ośrodka przejrzała twoją grę. Ponieważ Ayana wie, że kobiety są tak samo zdolne do przemocy, jak mężczyźni.

— Nie. — Hope pokręciła gwałtownie głową. — *Nie*.

Marnie ułożyła dowody, żeby Rolfe na nie popatrzył. Telefon komórkowy oraz wykazy rozmów. Nie było miejsca na błąd.

— Widzi już pan, z czym mamy do czynienia? — zapytała.

Dolną część twarzy Wellanda wykrzywił uśmiech.

— *Widzi już pan, z czym mamy do czynienia?* Dobrze, to było dobre. Prawda, Rolfe?

— To nie jest mój telefon. — Hope odwróciła się do swojego prawnika, dopełniając grę swoimi oczami porcelanowej lalki. — To sztuczka. Już mówiłam, że ona mnie nienawidzi. — Posłała Marnie spojrzenie pełne gniewu. — Od początku uważała mnie za podejrzaną. To wariatka. Nie wiem, jaki ma problem. Czemu niby pojechała do mojego ojca, jeśli nie po to, by zrobić zamieszanie? Nie miała tam czego szukać, nikt nie miał. Dobrze o tym wiem, przecież to mnie wychowywał. — Zadrzała.

— Oskarżacie moją klientkę o posiadanie telefonu komórkowego? — Rolfe wyciągnął swoje błyszczące blackberry i położył na stole. — W takim razie aresztujcie i mnie.

— Proszę to odłożyć — powiedział ze znużeniem Welland, jakby prawnik właśnie sam się wydał.

— Ayana Mirza — wyjaśniła Marnie — została oślepią przez własnych braci. Wlali jej do oczu wybielacz. Trafiała do ośrodka, bo naprawdę obawiała się o własne życie. Niczego nie udawała. Nie próbowała manipulować kobietami, które przeżyły traumę. *Bała się*. Że jej rodzina ją odnajdzie i zabierze z powrotem do domu, by dalej torturować albo nawet zabić. — Położyła rękę na torbie z komórką. — Pańska klientka wskazała rodzinie Ayany, gdzie jej szukać. W rezultacie dziewczyna została porwana. Nadal jej nie znaleźliśmy. Być może w tej chwili jest torturowana. Bardzo możliwe, że już nie żyje.

— To nieprawda — przekonywała szeptem Hope. — Nieprawda.

— Zapytałaś, dlaczego pojawiliśmy się w ośrodku tamtego ranka, kiedy próbowałaś zabić swojego męża. Powiedziałam, że przyjechaliśmy porozmawiać z Ayaną. Jeśli wcześniej nie pałałaś do niej nienawiścią, od tamtej chwili na pewno. Zrujnowała twój plan, ale wiesz, co myślę? Myślę, że uratowałyby życie Leo nawet bez naszej pomocy. Jest twarda, jest mądra i *ma serce*. Współczucie i siłę. Z niej jest prawdziwa zuch dziewczyna. Nie z ciebie, z Ayany.

Hope zadrzała, odwracając wzrok.

— Twoja matka uciekła do takiego ośrodka rok przed tym, jak został u niej zdiagnozowany nowotwór. Było to dla niej miejsce bezpieczne; pierwsze takie w jej życiu. Poznała tam przyjaciół; ludzi, którzy rozumieli, przez co przeszła, i którzy wspierali się nawzajem. To byli jej pierwsi prawdziwi przyjaciele.

Hope szlochała. Skuliła się, odsuwając się od prawnika, od nich wszystkich.

— Myślisz, że byłaby z ciebie dumna? Z tego, co zrobiłaś kobietom w Finchley? Ayanie Mirzy? Czy może wystarczy ci duma ojca?

Łzy zmyły z twarzy Hope wszelki wyraz. Marnie chciała wierzyć, że ta rozpacz jest prawdziwa. Naprawdę chciała w to wierzyć. Każdy, nawet Hope Proctor, zasługiwał na szansę, by poczuć skruchę. Cała reszta — sprawiedliwość, więzienie, resocjalizacja — nie ma zupełnie sensu bez skruchy.

— Nie możesz już nic zrobić dla Ayany — powiedziała Marnie do Hope — ale wciąż możesz pomóc Simone. Mówiąc prawdę o tym, co się wydarzyło. Ona w ciebie wierzyła. Była gotowa walczyć dla ciebie.

— Pani komisarz... — Rolfe już wyrażał sprzeciw.

Marnie zignorowała go, próbując zmusić Hope, by patrzyła jej w oczy.

— Aresztowaliśmy Lowella Patona. Pójdzie siedzieć na bardzo długo. Myślę, że zgodzisz się ze mną, gdy powiem, że to dobrze. Jeśli Simone zezna przeciwko niemu, mógłby dostać to, na co zasłużył, czyli dożywocie. Mogłabyś się do tego przyczynić. Pomóc Simone posłać go do więzienia i odzyskać życie. Taką masz nad nią moc. Żałuję, że ja jej nie posiadam.

Czekała, aż coś się zmieni w twarzy Hope, zastanawiając się, czy marnuje swój czas.

Bardzo możliwe, że właśnie dała tej kobiecie kolejne alibi, kolejne przebranie, w którym się może schować, jednak kim byłaby bez wiary, że ludzie potrafią się zmienić?

Kim byliby oni wszyscy?

Welland czekał na Marnie na korytarzu, kiedy Hope została już zabrana do celi.

— Na końcu trochę pani popłynęła — oznajmił. — Z tą prośbą, by pomogła Simone Bissell.

— Chciałam się przekonać, czy jest zdolna do prawdziwej skruchy.

— To zadanie jej adwokata. My zbieramy dowody *przeciwko* niej. Niech Rolfe się skupi na obronie.

Marnie kiwnęła głową, ze zmęczenia chciało jej się płakać.

— Myślisz, że jej mąż będzie przekonującym świadkiem? — zapytał Welland.

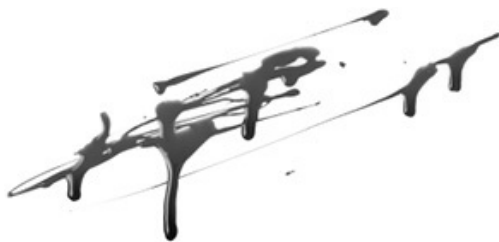
— Być może, jeśli otrzyma odpowiednią pomoc. — Zebrała włosy z twarzy. — Jest jeszcze Henry Stuke. Spróbuję go przekonać, żeby zeznawał o tym, co robili po wyjściu z nocnego klubu.

— Prawdziwy macho — mruknął Welland. — Nie tak go podsumował Noah? Życzę szczęścia, przyda ci się. Prędzej mi kaktus wyrośnie, niż ten Stuke zgodzi się zeznawać.

— Potrzebujemy go. Bez tych dowodów... Nie widzę szans na powodzenie. Spędziłam wiele czasu z Hope i dalej nie jestem pewna, co się dzieje w jej głowie. Wiem tylko, że jest niebezpieczna. Nie może chodzić wolno. Stuke też to wie. Jeśli faktycznie zrobiła mu to, co nam się wydaje... będzie kluczowym świadkiem.

— Świetnie. Tylko weź ze sobą Rona Carlinga, skoro ostatnio nie udało mu się dodać dwa do dwóch. Marnie pokręciła głową.

— Nie chcę wystraszyć Stuke'a. Mamy większe szanse, jeśli porozmawiam z nim sam na sam.



W WEST BROMPTON zapalały się już lampy uliczne, rzucając plamy cienia wielkości pięści na fasadę domu Henry'ego Stuke'a.

Marnie zapukała do drzwi, cofnęła się o krok i czekała, dotykając słodkiego miejsca na karku, gdzie pocałował ją Ed. Na całym ciele miała tuzin i więcej takich miejsc. Już nie ból znaczył jej ciało, lecz coś innego. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się, dosłownie na sekundę, zaraz podnosząc wzrok, gdy usłyszała skrzypienie drzwi.

— Pan Henry Stuke? — Pokazała mu legitymację. — Nazywam się Marnie Rome, jestem komisarzem policji i przyszedłam w sprawie, o której rozmawiali już z panem sierżant Carling i sierżant Jake.

Henry Stuke był równie szeroki w barach co Leo Proctor, jednak stał zgarbiony, próbując zmieścić się w niskich drzwiach; gdyby się wyprostował, górowałby nad nią. Ziemista, oliwkowa cera, blade orzechowe oczy i haczykowaty nos, który zdaniem Marnie z pewnością podobał się wielu kobietom.

Zerknął przez ramię do wnętrza domu.

— Dopiero co położyłem dzieci spać... To nie jest najlepszy moment. — Niski głos pasował do jego postury. Jakby go ubrać w spodnie khaki i niebieską koszulę, postawić w klubie, żeby tańczył sam na parkiecie... Marnie rozumiała, dlaczego Hope zwróciła na niego uwagę: samiec alfa z nutą domowych pieleszy. A może rozczarowania życiem? Tak czy inaczej, Hope wiedziałyby, jak to wykorzystać.

— Nie ma problemu. — Marnie uśmiechnęła się w odpowiedzi na obiekcje Stuke'a. — Mogę mówić po cichu.

Cofnął się, przytrzymując jej drzwi, a potem zamykając je, gdy Marnie znalazła się już w środku. Czowała zapach dzieci; unosząc się po zabawie woń rozgrzanego plastiku i skóry.

Dom okazał się dokładnie taki, jak go opisał Noah: chaotyczne sanktuarium dwójki maluchów śpiących na piętrze. Zabawki rozsypane w małym przedpokoju walczyły o miejsce z butami, kurtkami i składanym wózkiem, którego nie udało się złożyć do końca.

Stuke popatrzył na bałagan, pokonany.

— A może przejdziemy do kuchni? Mógłbym nastawić wodę na coś ciepłego do picia.

— Brzmi świetnie, dzięki.

W kuchni panował nieco mniejszy chaos niż w przedpokoju, a pachniało w niej duszonymi owocami i gotowanym mlekiem, a także perfumami, którymi producenci śmietników próbowali maskować zapach

zużytych pieluch.

— Kawy czy herbaty? — zapytał Stuke.

— To samo, co pan. Dzięki. Może pomogę?

— Nie trzeba. — Stuke nalał wody do czajnika elektrycznego i włączył grzanie, a potem zdjął z suszarki dwa kubki i postawił je na blacie, przesuwając na bok elektroniczną niańkę i sterylizator do butelek. Wszystkie czynności wykonywał prawą ręką, lewą chowając w kieszeni.

Kark miał sztywny i wrogi; Stuke'owi nie spodobała się sugestia, że może potrzebować pomocy. Marnie będzie musiała zachować ostrożność, jeśli chce namówić go na zeznawanie przeciwko Hope. Stuke nie powie nic, co mogłoby podważyć jego męskość, której Hope najwyraźniej z powodzeniem go pozbawiła. Czy tylko jego dłoń została przez nią zmiażdżona?

Marnie nasłuchiwała bliźniaków, leżących na piętze. W domu panowała dziwna cisza, jakby ściany i sufity zostały wytłumione. Kleista brązowa maź pokrywała kafelki nad kuchenką.

— Sierżant Jake wspominał, że został pan też wujkiem, nie tylko tatą.

Stuke wciąż był odwrócony do niej plecami, zajęty przygotowywaniem herbaty.

— Ano.

— Żona nadal u siostry?

— Cukru?

— Nie, dzięki. Panie Stuke...

— Henry.

— Henry. Chciałabym porozmawiać z tobą o Hope Proctor.

— O kim?

— Hope Proctor. Mieszkała przez jakiś czas w ośrodku dla ofiar przemocy w Finchley.

Stuke nadal na nią nie patrzył. Położył prawą rękę na blacie, spiął ramiona. Woda w czajniku zaczynała szumieć.

— Nigdy o niej nie słyszałem, przykro mi. — W jego głosie brzmiało ostrzeżenie: *nie idź tą drogą*.

— Możliwe, że znasz ją pod innym nazwiskiem albo w ogóle ci się nie przedstawiła, ale naprawdę nazywa się Hope Proctor. W tej chwili przebywa w areszcie.

— Nie znam nikogo takiego. — Jeśli jeszcze trochę się napręży, pęknie. — A czym podpadła policji?

— Próbowwała zabić swojego męża.

Stuke sięgnął ręką do lodówki.

— W takim razie cieszę się, że jej nie poznałem. — Otworzył drzwi, wyciągnął karton mleka i znowu zatrzaskał lodówkę. Powiew powietrza zdmuchnął z blatu kartkę z listą zakupów, która sfrunęła powoli na podłogę.

Marnie kucnęła, żeby ją podnieść, odruchowo czytając: *chusteczki, sok, szampon dla dzieci...*

Zapisane niebieskim długopisem na kartce w linie. Tusz zebrał się w paru miejscach w grudki, w innych przerywał. Stuke musiał poprawiać kilka wyrazów, kiedy długopis całkiem odmówił współpracy. W głowie Marnie rozległ się alarm.

Chusteczki, sok, szampon dla dzieci...

Lista została zapisana tym samym charakterem pisma, co list z pogroźkami, znaleziony w torebce Hope. Stuke próbował go zmienić, ale Marnie go rozpoznała. Nikt nie groził Simone Bissell. Liścik był

adresowany do Hope Proctor, a napisał go Henry Stuke.

Myślisz żeś taka bezpieczna, ale guwno wiesz cipo.

— Może położysz to na stole, dobrze? — Stuke nadal stał odwrócony do niej plecami; oczy miał na karku.

Wiedział, że Marnie trzymała listę zakupów. Najprawdopodobniej słyszał, jak wali jej serce. On nie był tylko ofiarą Hope. Był mężczyzną, który groził jej odwetem.

Woda w czajniku zagotowała się.

Wciąż wrzała, kiedy Stuke sięgnął po czajnik i nalał wzburzoną ciecz do kubków.

Marnie rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu jakiejś broni, czegokolwiek.

Wszystko, co było ostre albo ciężkie... zostało przez Stuke'ów odłożone poza zasięg bliźniaków. Teraz już raczkowały, jak wspomniał Henry w rozmowie z Carlingiem. Wszystko musiało leżeć wysoko.

Stuke odstawił czajnik z powrotem. Wyciągnął lewą dłoń z kieszeni i wyprostował ją, sięgając do półki, gdzie leżała herbata, zaraz obok bloku z nożami.

Marnie poczuła lodowaty ucisk w żołądku.

— Panie Stuke — powiedziała. — Henry.

Pozwalał jej zobaczyć jego lewą rękę. Jego zmiażdżoną rękę. Nie zrobiłby tego, gdyby nie miał pewności, że *ona* wie.

— Byłaś tam — rzucił beznamiętnie — w ośrodku, w tamtym mondeo. — Siłował się chwilę z herbatą, ściągnął ją na blat.

— Tak. Tak, byłam tam — odparła Marnie.

Odwrócił się wreszcie i stanął z nią twarzą w twarz, wyprostowany.

Próbowała się uśmiechnąć. Nie było jej łatwo. Światło padało tak, że na jego twarzy malowały się cienie jak siniaki. Stuke sprawiał, że lodówka wyglądała przy nim na małą, chociaż była wysoka. Rosły mężczyzna, którego oczu nie dostrzegała.

— Gdzie Freya? — zapytała. — Gdzie twoja żona?

— Na górze. — Stuke wrzucił po torebce herbaty do każdego kubka, wciskając ją do gorącej wody wykręconym kciukiem. To zasługa Hope i jej żeliwnej kuli, to ona zmiażdżyła jego dłoń. Zmieniła ją w powykręcany szpon, który można włożyć do gorącej wody i nic nie poczuć. Stuke był prawdziwym macho, facetem z jajami, a jednak Hope go zdominowała, oszpeciła. Pragnął zemsty.

— Z bliźniakami? — zapytała. — Freya jest na górze z bliźniakami?

— Nie. — Stuke zamieszał herbatę łyżeczką, najpierw w jednym kubku, potem w drugim, cały czas bacznie obserwując Marnie. — Nie z bliźniakami.

Marnie czuła palenie w gardle i za oczami. Czekala, aż Stuke powie, co zrobił ze swoją żoną i dziećmi.

— Nie wstaje z łóżka od trzech dni. — Stuke potrząsnął łyżeczką i odłożył ją na bok. Zaczął pocierać wargi wierzchem dłoni. — Jest na lekach. Dali jej jakieś pigułki.

— Freya... śpi?

Kiwnął sztywno głową.

— Bliźniaki... też śpią? — Kolejne kiwnięcie. — Zostałeś sam. Musisz się opiekować całą trójką. — *Boże, błagam, niech to będzie prawda.*

Stuke wrzucił łyżeczkę do zlewu, a ta zabrzączała jak szrapnel.

— Jak zawsze — odparł.

Zawsze sam. Zawsze opiekując się rodziną.

— Nie ma nikogo, kto mógłby ci pomóc?

Wyciągnął w jej stronę kubek z herbatą. Wykrzywił usta w uśmiechu.

— Przecież sobie radzę, nie?

— Hope...

— Nie wypowiadaj przy mnie imienia tej suki. — Postawił kubek na stole, skąd Marnie mogłaby go zabrać, gdyby zrobiła krok bliżej Stuke'a i tym samym znalazła się w zasięgu jego pięści.

— Trafi do więzienia. Na długo. Dwa przypadki usiłowania morderstwa, poważne uszkodzenie ciała...

— Dwa?

— Jej męża i sierżanta Jake'a. Poznałeś go. Przyszedł tutaj.

Stuke oblizał usta.

— Co zrobiła?

— Zmiażdżyła mu żebra żeliwną kulą.

Kiwnął głową, powoli, mlaskając językiem, jakby smakował swoją reakcją na te wieści. Henry Stuke to nie Leo Proctor. Nie wstydził się, a przynajmniej nie tylko wstydził, tego, co robili razem z Hope. Był niebezpieczny, niestabilny. I znajdował się zbyt blisko bloku z nożami.

— Jak się nazywają? — zapytała Marnie. — Jak się nazywają bliźniaki?

Zamrugął z zaskoczenia, poruszył nogami, na moment uciekając od cieni. Światło lampy sufitowej posypało jego głowę białym proszkiem, przez co musiał zmrużyć oczy. Znowu zamrugął. Powoli.

— Gabriel i Lily. Gabe i Lil.

Marnie wstrzymała oddech. Gdyby je skrzywdził... nie potrafiłby z taką łatwością wymówić ich imion.

— Piękne. Nietypowe.

Potarł oczy zaciśniętą pięścią.

— Freya je wybrała.

— Twoja żona nie radzi sobie. Nie tak dobrze jak ty.

— Dostała *pigułki* — powiedział, jakby to była nazwa choroby. — Śpi na okrągło. Ale mówią, że dochodzi do siebie.

— Przydałaby ci się pomoc. Z Gabrielem i Lily. Z Freyą.

Skoncentruj się na jego rodzinie, powtarzaj ich imiona. Przypominaj mu, co może stracić.

Pokręcił głową.

— Radzę sobie. Jako jedyny, cholera jasna. I z nimi, i z nią. Robię, co trzeba.

Nie skrzywdził ich, jeszcze nie. Nie miałby w sobie tyle gniewu, gdyby ich skrzywdził. Prawda?

— Tak, oczywiście, ale możesz przecież poprosić o pomoc. To nie jest zabronione.

— Dlaczego tu przyjechałaś? — zapytał z naciskiem. — Przez nią? Co wam naopowiadała? Suka. Co ta suka wam naopowiadała?

Gniew sprawił, że Stuke stał się jeszcze większy; wściekłość unosiła się nad nim jak dym nad ogniskiem.

— Nic. Do niczego się nie przyznaje. Dlatego tutaj przyjechałam. Potrzebuję świadka, kogoś, kto powie, jaka ona naprawdę jest. Jej mąż za bardzo się boi. Kobiety z ośrodka też się boją. Ale ty nie,

Henry. Musisz myśleć o Gabrieli i Lily. Bliźniaki potrzebują ojca. — Marnie wzięła płytki oddech. — Jeśli pomożesz nam wsadzić ją do więzienia... możesz odzyskać swoje życie. Dostaniesz drugą szansę. Niewielu ludzi może na to liczyć.

Pierś Stuke'a zadrżała.

— Myślisz, że tego właśnie chcę? — Splunął na nią śmiechem. — Moje życie. *To* życie? Ty głupia cipo. Ty głupia, *pieprzona* cipo.

Marnie wydusiła z siebie uśmiech.

— W porządku. Dobra, rozumiem. I wiesz co? Wyjdę już. — Położyła rękę na torebce. — Pozwolę ci się z tym przespać i zobaczymy, jak się będziesz czuł rano.

Nie przestawał się śmiać, teraz jego rechot przypominał warczenie.

— Próbuj. Śmiało.

Drzwi znajdowały się za jej plecami. Nie pamiętała, na jakiej wysokości została zamontowana klamka, ani czy Stuke je zamknął, gdy weszli do kuchni. Nie mogła sobie pozwolić na niezdarność; wyglądało na to, że musi odwrócić się do niego plecami.

— Nie możesz ich zostawić — powiedział Stuke, podnosząc blade oczy na pokój nad nimi. — Nie możesz zostawić ich samych ze mną. To niebezpieczne.

Marnie słuchała tykania zegarka na ręce, umykających sekund. Ile jeszcze minie, zanim Stuke wykona swój ruch? Cały drżał od gniewu i pożądania, a może czegoś gorszego.

— Czego chcesz? — Stała nieruchomo w nadziei, że on podąży jej śladem. — Jeśli nie drugiej szansy? Jeśli masz dość tego życia, które miałeś szczęście wieść... Dość żony i dzieci. Czego chcesz?

— Szczęście. Myślisz, że mam szczęście?

— Wielu ludzi nawet tego nie ma.

— Tak? To mają zasranego farta. — Znowu przejechał językiem po wargach. — Zdejmij marynarkę.

— Słucham?

— Ciepło tu. Zdejmij marynarkę.

Było gorzej. Znacznie gorzej.

— Panie Stuke... przecież pan wie, że tego nie zrobię.

Jego blade spojrzenie omiotło ją, jak światło latarki. Usta powędrowały do góry.

— Ależ zrobisz. Ja wiem, czego ty chcesz. Wiem, czego wszystkie chcecie, suki.

Wariat. Wściekły wariat. Jego wargi błyszczały od śliny. Ile z tego wywołała Hope, a ile pochodziło z natury Henry'ego?

— Czego twoim zdaniem chcę? — zapytała Marnie. Dopóki gadał, nie poruszał się. Kiedy zacnie się ruszać... to ją właśnie przerażało.

— Tego samego co ona — powiedział. — W końcu tu przyłazłaś, prawda? Wiedząc, co zrobiłem.

Zgadza się. Tim Welland polecił jej zabrać ze sobą sierżanta Carlinga, ale nie, ona musiała to zrobić sama. Komisarz Marnie Rome, pogromczyni smoków. Musiała przyjechać tutaj sama. Tylko że nie była sama; nigdy nie była sama, kiedy się bała. W kuchni tłoczyły się razem z nią duchy. Jej rodziców i Stephena Keele'a.

— Wszystkie jesteście takie same. Jedyne różnica jest taka, że *ona* udawała słabą. Przy ludziach, kiedy nie była *sobą*, udawała czyściutką, śliczniutką. Tak jak ty udajesz twardzielkę, ale ja się nauczyłem

patrzyć głębiej, przy niej się nauczyłem. I pod skórą nie jesteś twarda. Jesteś zdesperowana, inaczej nie przylazłabyś tu węszyć. Wiedząc, co zrobiłem.

— Nie wiem, co zrobiłeś. Tak naprawdę nie wiem. — Jej puls nieco zwolnił. Nie odwracała wzroku od Stuke'a, nie rozglądała się za bronią ani drogą ucieczki. — Powiedz mi, co jej zrobiłeś.

Stuke zrobił krok do przodu i zamachnął się swoją pięścią jak buławą.

— Dałem jej to, czego chciała.

— *Opowiedz mi.* — Grała na zwłokę, widząc wzór obrażeń obronnych na rękach ojca, widząc Stephena ze spuszczoną głową w sali sądowej, ukrywającego się przed wszystkimi.

Pokonaj to.

Wykorzystaj to.

Strach, ból, gniew... O ile nie uda jej się dorwać prawdziwej broni, emocjonalny arsenał to wszystko, co miała.

— Opowiedz — naciskała.

— W niczym ci to nie pomoże — zadrwił Stuke. — Oboje się na to zgodziliśmy. Nie możesz skazać dorosłego mężczyzny za to, że robił z dorosłą kobietą to, na co oboje mieli ochotę.

Marnie kiwnęła głową na jego powykręcaną dłoń.

— To masz na myśli? Tego właśnie chciałeś?

Podniósł rękę i spojrzał na nią. W kuchni latała mucha, bzycała, zderzała się raz po raz z szybą w oknie. Gdyby Marnie uciekła — gdyby odwróciła się i pobiegła — jak daleko zdołałaby dotrzeć? Do przedpokoju? Do drzwi wyjściowych? Oczami wyobraźni zobaczyła, jak potyka się o jedną z zabawek, łamie sobie nos o podłogę, Stuke ląduje na niej całym ciężarem, przyszpila...

— Trzeba było zobaczyć, jak wyglądała, kiedy z nią skończyłem. — Rozłożył ramiona, zabierając jeszcze więcej miejsca w kuchni.

— Widziałam — odparła Marnie. — Nie wyglądała wcale źle.

Nie to zamierzała powiedzieć. To nie była bezpieczna odpowiedź. A jednak pod jej wpływem Stuke zamarł i otworzył szeroko oczy.

— Nie wydaje mi się, żebyś w ogóle ją skrzywdził. Myślę, że nie dała ci szansy.

Obnażył zęby i rozprostował palce, by zaraz znowu zwinąć je w pięść, obie, także tę bez czucia. Którą uderzy najpierw? A może sięgnie po broń, skończy ten taniec, zanim zdąży się rozkręcić? Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że tak się stanie.

No już, szybciej.

Nie potrafili go powstrzymać. Greg i Lisa Rome nie potrafili powstrzymać czternastoletniego dzieciaka. Dlaczego? Gdyby wiedziała, jak to się odbyło — jak udało mu się ich zabić — może zdołałaby zachować życie. Kątem oka zobaczyła słaby błysk stali z bloku z nożami, na wysokiej półce.

Przed oczami stanął jej Stephen Keele w okularach ojca, wyzywający ją, by przestała go nienawidzić.

Zostań ze mną, proszę wspomnienie. Potrzebuję cię.

Dwoje dorosłych nie mogło powstrzymać drobnego nastolatka, którego próbowali kochać. Ponieważ nie widzieli go takim, jakim był naprawdę, dopóki nie zbliżył się na tyle, by ich zabić.

— Myślę, że Hope nie dała ci szansy — powiedziała Stuke'owi. — Czekala, aż odwrócisz się do niej plecami, a potem uderzyła cię żeliwną kulą, zanim zdążyłeś cokolwiek jej zrobić.

Teraz szedł w jej stronę z zaciśniętymi ustami, nie mówiąc już nic.

Świetnie. Ona też miała dosyć gadania. Nie chciała już marnować tchu, który był jej potrzebny do czegoś bardziej pożytecznego, na przykład...

By uniknąć ręki, która wystrzeliła w jej stronę, schyliła się i skoczyła do drzwi, jednak klamka uciekła jej z rąk, gdy złapał ją za kołnierz i rzucił na stół, gdzie odbiła się, mocno uderzając w drzwi, padając na podłogę, uciekając przed ciężarem jego ciała, kiedy padł zaraz za nią.

Jego twarz tak blisko, oczy kipiące w oczodołach; kłapnął szczękami, myśląc, że już ją dorwał, że teraz ją dorwał.

Pieprzyć to.

Przekreśliła się w bok.

Solidnym kopniakiem starła uśmiezek z jego twarzy.

Wstała.

Włożył rękę w rozdarty materiał jej marynarki i pociągnął ją w stronę stołu, przyciskając twarzą do podłogi, aż poczuła smak środków dezynfekcyjnych i mleka w proszku dla dzieci, a także krwi napływającej do ust.

Wydyszał jej w kark: „ty suko”, jego wolna ręka szukała czegoś na jej ciele, palce wędrowały po tatuażach.

— Chcesz wiedzieć, co robiliśmy? Pieprzyliśmy się. Gryźliśmy, drapaliśmy i *pieprzyliśmy*. Uwielbiała to. Chciała, żeby ją bić. Kochała smród własnej krwi. Podniecało ją to. I tak, popełniłem błąd, odwróciłem się do niej plecami na dwie sekundy, ale w ten sposób się to odbywało, męczyliśmy się na przemian. Najpierw ona mnie, potem ja ją. Tylko ostatnim razem moja kolej nie nadeszła. — Jego lewa ręka drapała Marnie. — Nie doczekałem się. Zostawiła mnie w tym śmierdzącym hotelu, spierdoliła do tego swojego udawanego życia. Ale ja wiem, co jest prawdziwe. Znam ją. Daj mi trzy minuty z nią w jednym pomieszczeniu i ci pokażę, wszystkim pokażę. Potrafię dać jej popalić. I ona to wie. Dlatego chciała mnie powstrzymać. Bo wie, że ją przejrzałem. Cały świat może się nabierać na te jej gierki, ale ja potrafię wymienić każde jej zboczenie. Wszystko, co na nią działa. Wszystko, czego potrzebuje. — Zaczął szybciej oddychać przy ostatnich słowach.

Jego ręce przestały się poruszać, jednak ciężar nadal wgniatał Marnie w podłogę.

Przebłysk wspomnienia, jaskrawy jak neon: chodnik przed domem jej rodziców, rozgrzany i zapiaszczony, dłoń Tima Wellanda na ramieniu, błysk świateł z samochodu ojca, wszystko kruche jak szkło. Wszystko. Ona w tysiącu kawałków, nie może wstać, nigdy już się nie podniesie...

Wysokie dźwięki gdzieś po lewej stronie: pisk zmieszany z trzaskiem głośników.

Marnie zamarła, poddając się sile grawitacji, a nieco opadłszy, kopnęła, tym razem porządnie, pęka chrząstka w kolanie, on pada, turla się na bok, ona za nim, uderza łokciem między łopatki, jego twarz wbija w podłogę, tym razem bez szarpania się, kajdanki lądują na nadgarstkach.

Kiedy już mogła, wstała.

Stuke wił się w rytmie płaczu rozlegającego się z elektronicznej niańki. Bliźniaki się obudziły.

Gabe i Lily. Potrzebowały taty, niech Bóg ma je w swojej opiece.

To go powstrzymało, to przywróciło Stuke'a do rzeczywistości. Gabriel i Lily. Bał się ich. Bał się ciężaru odpowiedzialności i władzy, jaką nad nim miały. Moc Hope bladła przy bliźniakach.

Marynarka Marnie wisiała z tyłu w dwóch strzępach. Włożyła z powrotem koszulę w spodnie i zebrała włosy z twarzy. Jednocześnie przestała się trząść.

— Dasz mi wszystko, czego potrzebuję, żeby wsadzić Hope za kratki. Wtedy nie wniosę oskarżenia. Pozwolę ci posprzątać ten bałagan i zająć się dziećmi. Rodziną. Ponieważ jesteś szczęściarzem, że ją masz.

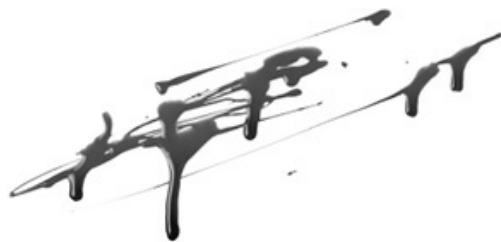
Stuke już nie warczał. Teraz szlochał. Przyciskał czoło do podłogi i szlochał.

Marnie odsunęła się. Wyciągnęła komórkę i wybrała numer komisariatu.

— Jestem u Henry’ego Stuke’a. Potrzebuję radiowozu i kogoś z biura wsparcia dla rodzin, jak najszybciej. A właściwie jeszcze szybciej. Potraktujcie to jako stan zagrożenia.

Elektroniczna niańka ucichła. Albo bliźniaki znowu zasnęły, albo ich matka się obudziła i do nich poszła.

W domu znowu zapadła cisza i Marnie przypomniało się, jak z zewnątrz niczym się nie wyróżniał spośród innych na tej ulicy.



NOAH JAKE poddał się w walce ze szpitalnym radio. Wydobywające się z niego trzaski stanowiły stałą ścieżkę dźwiękową dochodzącą z sąsiedniej sali. Dan zostawił swój smartfon, ustawiony na LBC. Noah włożył słuchawki i słuchał jednym uchem, żeby odwrócić swoją uwagę od bólu żeber.

Zasnął po wyjściu Marnie, przyśniła mu się Hope na ławie oskarżonych, wyciskająca współczucie i łzy z przysięgłych z taką samą łatwością, z jaką wyżyma się gąbkę.

Simone nie było w tym śnie, ale Noah obudził się, myśląc o niej. Gdzieś była, kto się nią opiekował? Czy już zgodziła się współpracować, może z Edem Bellokiem? Przypomniawszy sobie, jak szybko zdobył jej uwagę, nazywając ją Nasiche, i znowu poczuł wyrzuty sumienia, o których Marnie obiecała wygłosić mu wykład. Ostrożnie poruszył stopą, badając kostkę. Chciał się stąd jak najszybciej wydostać.

W Radio LBC gospodarz programu rozmawiał ze słuchaczami. Noah nie zwracał na to uwagi, kiedy testował kostkę, ale teraz znowu skupił się na słowach DJ-a, gdy ten zapowiedział następny telefon:

— Mamy na linii młodą dziewczynę, która chce nam opowiedzieć o swoich doświadczeniach z dorastania w północnym Londynie. Anna, dobrze pamiętam?

— Ayana. — Jej głos dobiegał bardzo wyraźnie, jakby siedziała w studio razem z DJ-em.

Ayana.

Noah przycisnął mocniej słuchawki do uszu. Żebra zaprotestowały gwałtownie, ale je zignorował. Zezreżował się w poszukiwaniu kartki papieru albo innego telefonu. Nie chciał wyłączyć radiostacji.

— Ayana. Dzwonisz z Whitechapel?

— Z motelu Fieldgate Mansions na Myrdle Street. Blok dziesiąty, mieszkanie G.

Tak! Świetnie. Nie rozłączaj się.

Gospodarz programu zaśmiał się.

— To bardzo konkretna lokalizacja! Dzięki, Ayano. O czym chciałaś porozmawiać?

— Potrzebuję pomocy policji. Jestem przetrzymywana wbrew mojej woli przez braci, Nasifa i Turhana Mirzów — mówiła spokojnym, nagłym, lecz nie histerycznym głosem. Przećwiczyła swoje kwestie przed wykonaniem telefonu. — Nasif jest poszukiwany przez policję w sprawie napaści na mężczyznę, który stracił dłoń. Jest bardzo niebezpieczny, a ja się bardzo boję. Nazywam się Ayana Mirza. Znajduję się w mieszkaniu G w bloku dziesiątym w hostelu Fieldgate Mansions na Myrdle Street.

Odważna, odważna Ayana.

Noaha przepełniała radość, gdy trzymał palec nad klawiszem szybkiego wybierania, by zadzwonić do Marnie, gdy tylko Ayana się rozłączy.

DJ pytał o policję: dlaczego nie zadzwoniła na policję?

— Nie byłam pewna, czy połączą mnie z właściwą osobą. Nie wszyscy w policji to właściwe osoby.

— Cóż, z... z pewnością teraz rozmawiasz z... z właściwymi ludźmi, Ayano. — Sądząc po jego jękaniu się, doświadczenia z programów nie przygotowały go na tego rodzaju oświadczenie. — Jestem pewien, że mnóstwo naszych słuchaczy właśnie dzwoni na policję, i wiem, że mój naczelny też to robi. Trzymaj się, a za bardzo krótką chwilę ktoś do ciebie przyjedzie.

Nie bądź głupi — przecież musi zostać na linii. Musimy mieć pewność, że nic jej nie zagraża. Musimy słyszeć jej głos... Ludzie muszą to usłyszeć...

Naczelnym musiał pomyśleć o tym samym, bo DJ zaraz dodał:

— Mów dalej, Ayano, mów dalej, żebyśmy wiedzieli, co się z tobą dzieje.

— Jestem w łazience na tyłach mieszkania. Zamknęli drzwi na klucz. Bracia są w pokoju, a matka wyszła na zakupy. Dlatego w ogóle mogłam do was zadzwonić. Schowałam... schowałam telefon. Przeszukali mnie, ale go nie znaleźli. Potrafię ukrywać różne rzeczy, ale boję się, co będzie, kiedy matka wróci.

— Zostań z nami, Ayano. Nie rozłączaj się. Cały Londyn cię wspiera. Masz w tej chwili ponad dwa miliony słuchaczy, wielu z nich bardzo blisko. Jeszcze chwila i będziesz bezpieczna.

Miał rację: zbyt wielu ludzi wiedziało, gdzie się teraz znajduje.

Mądra, mądra Ayana.

Poznała się takich programów podczas pobytu w ośrodku, kiedy to po raz pierwszy w życiu miała okazję pooglądać telewizję. Szybko się uczyła. Jej bracia nie mogli utrzymać tego w tajemnicy, nie teraz. Nie kiedy usłyszało ją ponad dwa miliony ludzi. I była gotowa zeznawać przeciwko rodzeństwu; Noah słyszał to w jej głosie.

— Londyńczycy, właśnie rozmawiamy z Ayaną Mirzą, młodą dziewczyną, która jest przetrzymywana w Whitechapel. Policja została już poinformowana i jest w drodze...

Noah nacisnął zieloną słuchawkę i radio uciszyło się, gdy komórka próbowała nawiązać połączenie z Marnie Rome.

Od autorki

W obcej skórze to fikcyjna opowieść, jednak niektóre postaci i ich historie powstały na podstawie informacji znalezionych w poniższych publikacjach:

- Jasvinder Sanghera, *Córki hańby*, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2011
- Christopher Chabris, Daniel Simons, *Niewidzialny goryl*, Wydawnictwo Laurum, Warszawa 2011
- Craig Taylor, *The real CSI: what happens at a crime scene?*, „Guardian Weekend” 28 kwietnia 2012
- Women’s Aid – witryna, gdzie mogą szukać wsparcia kobiety będące ofiarami przemocy:
www.womensaid.org.uk
- Karma Nirvana – witryna, gdzie mogą szukać wsparcia ofiary przemocy honorowej:
www.karmanirvana.org.uk

Podziękowania

Kolejne słowa? Tak, kilka. Bez tych ludzi niniejsza książka być może w ogóle by się nie ukazała, a na pewno nie w tym kształcie. Na serdeczne podziękowania zasłużyli:

Moja agentka, Jane Gregory, a także jej zespół, zwłaszcza Mary, która nie pozwoliła, żebym przepadła w odmętach niezamawianych manuskryptów. Moja redaktorka, Vicki Mellor, a także ludzie z Headline, którzy przywitani mnie z otwartymi ramionami.

Moi beta-czytelnicy, Elaine z Teksasu, I z Australii oraz Becca. Pokażna grupka z Max, a w szczególności Anne-Elisabeth, Claudia, Lisa, Manisha i Philippa. Rhian Davies, który mówił z sensem, kiedy ja już nie. Linda Wilson, której obietnica darmowego lunchu pomagała wszystko naprawić. Alison Bruce, która miała najlepsze teorie na temat Red Johna. Moje ulubione cheerleaderki, Vanessa Gebbie, Tania Hershman, Venetia i Alan Sarll. Pita, za fantastyczną pierwszą serię poprawek. River, za tequilę i awokado. Raven, za tatuaż.

Anna Britten, której przyjaźń przydawała się w kluczowych momentach.

Moja rodzina, która nigdy we mnie nie zwątpiła i zawsze potrafiła podnieść mnie na duchu. Moja mama, najlepsza na świecie. Moja siostra, Penny, pierwsza fanka. Moi genialni bracia, Mark i Nick. Mój mąż David i nasza wspaniała córka, Milly. Pewnego dnia pozwolę ci przeczytać tę książkę.

O autorce



Sarah Hilary mieszka z mężem i córką w Bath. Pracowała w księgarni, a także dla Royal Navy. Hilary w 2012 roku zdobyła Cheshire Prize w kategorii Literatura za opowiadanie *Udumbara in Lytham St Anne's*. *W obcej skórze* to jej pierwsza powieść, za którą dostała The Theakstons Old Peculier Crime Novel of the Year Award. Kolejny kryminał z cyklu z Marnie Rome *Nie ma innej ciemności* ukáže się w Polsce jesienią 2016.

Spis treści

Pięć lat wcześniej

Część 1

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

Część 2

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

Od autorki

Podziękowania

O autorce